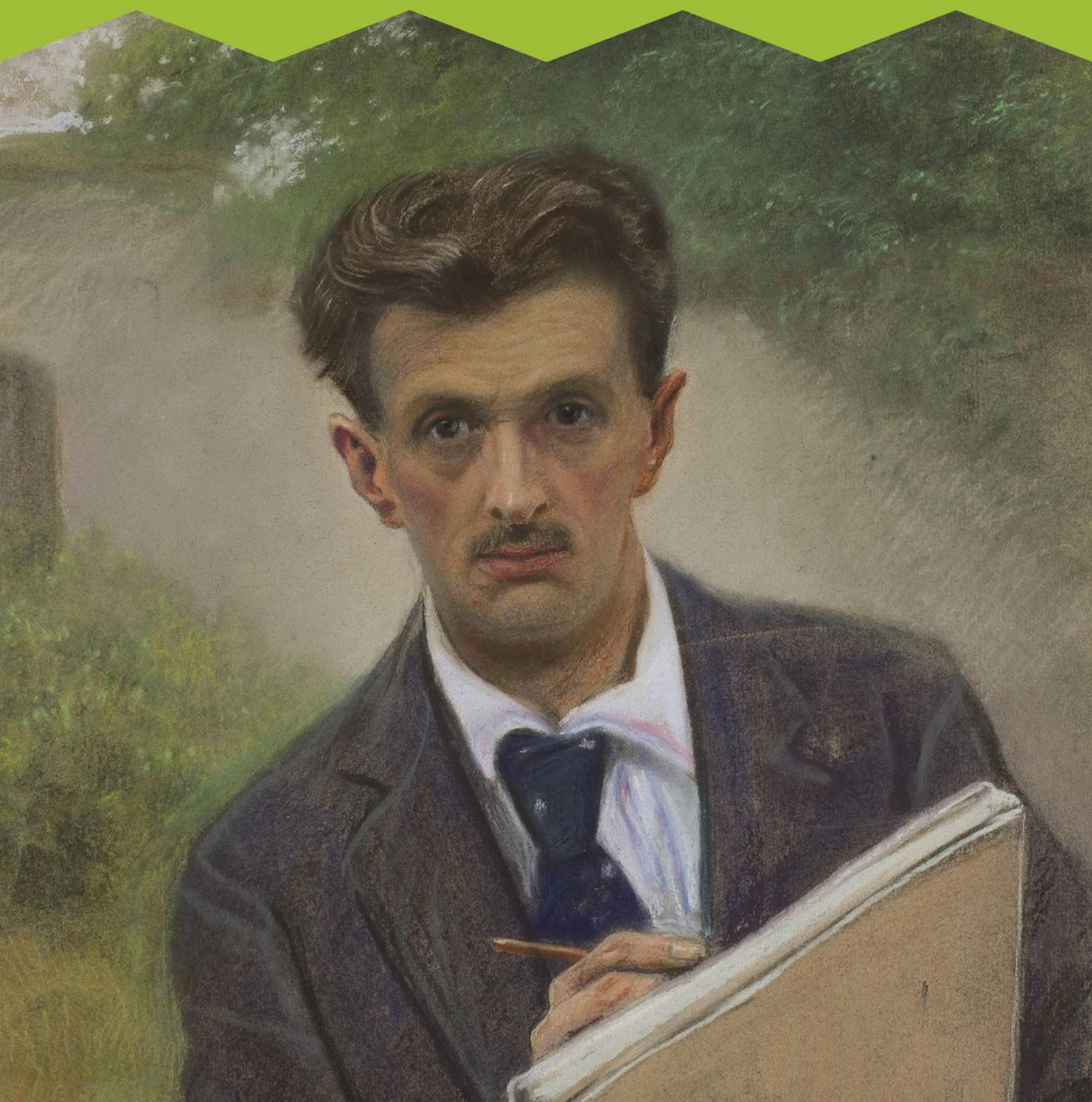


Dr. Murek zredukowany



TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

Dr. Murek zredukowany

ROZDZIAŁ I

Doktor Murek stanowczym gestem złożył papiery i wstał. Dalszą rozmowę uważał za stratę czasu, a zresztą z trudem panował nad nerwami.

— Pan wybaczy — rozłożył ręce — ale ustawa o samorządzie nie przewiduje tu najmniejszych wyjątków. Przetarg będzie ogłoszony w połowie października i cieszyłbym się, gdyby pańska oferta zyskała pierwsze miejsce.

Mówił nieprawdę i nawet nie próbował tych konwencjonalnych słów osłodzić uprzejmością tonu. Cieszyłby się właśnie z porażki Junoszyca. W tej chwili nienawidził go całą duszą. Z jakąż rozkoszą cisnąłby mu w ten uśmiechnięty pysk jego papierami, listami polecającymi i tą elegancką teczką, pokrytą monogramami, koronami, herbami.

I to wcale nie za obrzydliwy ton Junoszyca wobec panny Horzeńskiej. Poprostu dlatego, że w Junoszycu czuł aferzystę, że jego spokojny cynizm i nonszalanckie manjery pomimo wszystko były poprawne. Że lekceważenie, z jakim się odnosił do niego, do doktora Murka, zawierało jednak wszelkie pozory szacunku.

I teraz z całą swobodą, Junoszyca poprawił się na fotelu:

— Chwileczkę, panie doktorze, — zaczął swoim niskim, dźwięcznym głosem, z salowym uśmiechem, jakby nie zauważył urzędowego tonu Murka — chwileczkę. Przykro mi, że pana zatrzymuję, jednakże sądzę, że znajdziemy jakieś wygodne wyjście z sytuacji. Towarzystwo Asfaltowe...

Murek zaciął zęby i usiadł. Ten człowiek miał nad nim jakąś niezrozumiałą przewagę, chociaż był tylko interesantem, petentem, gorzej, bo petentem w przegranej sprawie. Dr. Murek nie tylko nie chciał, lecz i nie mógł, nie miał prawa załatwić prośby Junoszyca. Byłoby to z wyraźną szkodą miasta. Równałoby się to oddaniu monopolu na bruki i kanalizację Spółce Asfaltowej na lat dziesięć. Podobne zaś obciążenie zwałiloby budżet większych miast, jak Białystok, Wilno, czy Kraków, a cóż dopiero mówić o tutejszym budżecie... Rzecz była przesądzona w oczach Murka już od samego początku. Wprawdzie zacny prezydent Niewiarowicz, oddając Murkowi sprawę Junoszyca, jak i wszystkie ważniejsze sprawy gospodarcze, wyraził nadzieję, że „kochany nasz doktor potraktuje rzecz po ojcowsku”, ale Niewiarowicz sam później musiał przyznać rację Murkowi, jeszcze mu dziękował za ustrzeżenie magistratu od fatalnej gaffy.

Dlatego dr. Murek nie zadawał teraz sobie wogóle trudu wsłuchiwania się w misterną argumentację Junoszyca. Myślał o jednym: jutro ten typ nie będzie już miał w mieście nic do roboty i wyjedzie do Warszawy. Przystanie eksponować się w restauracji Wiechowskiego i w Klubie Urzędniczym, przestanie szastać się po ulicach swoim czerwonym Mercedese, no, i przesiadywać u Horzeńskich.

Jak on wogóle śmiał do panny Niry mówić per „brawurowa dziewczyna”!... A w ubiegły piątek posunął się do bezczelności, by jemu, narzeczonemu, z niedbałą miną powiedzieć:

— O, na tę dziurę Nira jest wręcz oszołamiająca.

I co miało znaczyć owo „na tę dziurę”? Przecież Junoszyca spotykał ją dawniej w Warszawie...

Murek zwęził powieki i wpatrywał się z nienawiścią w nieznacznie poruszające się wargi Junoszyca. Tak, musiał mu przyznać urodę. Te szerokie ramiona, kształtna głowa i twarz jak maska, jak maska poprawności. Z pod maski przeświecają tylko oczy, jego oczy:

zimne, przebiegłe, wstrętne. I te usta... Jest w nich coś bezwstydnego, a te zęby, oczywiście sztuczne. Nie można chyba do niemal pięćdziesięciu lat zachować takich zębów.

— Mógłby być moim ojcem — przemknęło Murkowi przez głowę — jest stary.

I zaraz zaczął obliczać, że Nira przed trzema laty, kiedy bawiła przez całą zimę w Warszawie, nie była jeszcze pełnoletnia. A Junoszyca musiał mieć wówczas co najmniej czterdzieści pięć... Nonsens. Ale wczoraj w klubie wojewodzina — a taka dama musi się znać na tych rzeczach — powiedziała głośno:

— Pan Junoszyca może się bardzo podobać!...

I ta łatwość, z jaką wkręcił się od razu do najlepszego tutejszego towarzystwa. Z samym wojewodą rozmawiał jak z równym, wepchnął się na polowanie do państwa Duksztów, obwoził po mieście generałową Zagajską, prezydenta Niewiarowicza omal że klepał po ramieniu. W niespełna dwa tygodnie! A u państwa Horzeńskich zachowywał się niczym we własnym domu.

Murek, chociaż od roku już tu mieszkał, chociaż zajmował w magistracie poważne stanowisko, a właściwie był prawą ręką prezydenta, do dziś dnia nie czuł się w sferze, w której się obracał, ani tak swobodnie, ani tak dobrze. Było to nad wyraz przykre, ale nawet w stosunku do Niry, nie umiał zdobyć się na taką zażyłość, do jakiej upoważniał go sam fakt narzeczeństwa. Zwłaszcza w obecności Junoszyca czuł się stremowany i pożerała go bezmyślna zazdrość.

A już w ostatnich dniach z trudem panował nad nerwami. W związku z przyjazdem radcy ministerjalnego na inspekcję, nie dosypiał, pracował od rana do późnej nocy, obiady jadał w biurze. Dwoił się i troił. Nie dla siebie zresztą. Chodziło mu o wykazanie, że przedmiot skarg i denuncjacji, którymi klika starosty Bożymka zasypywała ministerstwo, że ów rzekomo horendalny chaos, wprowadzony w gospodarce miejskiej przez prezydenta Niewiarowicza, jest czczym wymysłem. Wprawdzie przed zainstalowaniem się Murka w magistracie nie wszystko było w porządku, ale dopatrzenie się w tem złej woli tak zacnego i nieszkodliwego człowieka, jak Niewiarowicz, zakrawało na świadome oszczerstwo. Właśnie przez swoją zacność, przez miękkość i trochę przez umiarkowane próżniactwo, Niewiarowicz dopuścił do niejakiego rozprzężenia w zarządzie miejskim. Ale wszystko dało się naprawić. Radca Gąsowski nie mógł znaleźć najmniejszego mankamentu, a dr. Murek rósł we własnych oczach, widząc coraz życzliwszy stosunek ministerjalnego kontrolera do Niewiarowicza.

Rósł tem wyżej, że przecie nielada pokusę przełamał w sobie. Cóż byłoby łatwiejszego, jak wykorzystanie sytuacji dla własnej kariery. Wystarczyło pozostawić Niewiarowicza samemu sobie. Dać mu nieuniknioną sposobność do kompromitacji, do wykazania nieznamośności stanu faktycznego. A jednocześnie popisać się własnymi zasługami. Bynajmniej nie zmyślonemi, a tak oczywistemi, że jeżeli nie poszedłby od razu w górę, chociażby na stanowisko Niewiarowicza, byłoby to co najmniej dziwne.

Wyrzeczenie się tej sposobności nie przyszło wszakże Murkowi zbyt trudno. Brzydziłby się sobą. Miał widocznie wrodzony wstręt do intryg, do zakulisowej gry, do podstawiania nogi tym, którzy się chwieją, a którym tak, jak Niewiarowiczowi, winien był bądź co bądź wdzięczność. Dlatego starał się wogóle nie pokazywać się kontrolerowi, usuwał się w cień. W mieście i tak wiedziano o jego wartości i roli w magistracie, prezydent również go doceniał, a na dalszą karierę, na szerszą arenę, dr. Murek miał czas. Liczył sobie zaledwie lat trzydzieści.

Zresztą, było mu dobrze z tem, do czego już doszedł, a zbyt wysoko cenił dotychczasowe etapy, moralnie i zasłużenie osiągnięte przebytej drogi, by nie mieć automatycznego wstrętu do jakichkolwiek skoków, których efekt nawet pozytywny, podważyłby przedewszystkiem jego wiarę w słuszność i solidność obranej drogi.

Taki naprzykład Junoszyca, tak zwany człowiek interesu, a w rzeczywistości — Murek nie wątpił o tem — zwykły aferzysta, żyjący z dnia na dzień, był dla Murka nie tylko czemś zakłócającem uporządkowany obraz struktury społecznej, lecz wręcz grasantem, którego należałoby zamknąć, lub przynajmniej wysiedlić. Jest coś niesprawiedliwego w tem, że taki osobnik, właśnie taki osobnik, może cieszyć się powodzeniem, polyskiwać wielkim brylantem w pierścionku i rozwalać się na fotelu w jasnym i zapewne kosztownym ubraniu w wyzywającą kratę...

— Więc jakże, doktorze, — doleciały do świadomości Murka słowa Junoszyca. — Dojdziemy do porozumienia?

— Nie, panie — odpowiedział stanowczo. — To jest wykluczone.

— Jednakże... pan prezydent...

— Pan prezydent już moją decyzję zaakceptował.

Junoszcyc wstał:

— Szkoda — zaśmiał się swobodnie. — No, cóż... Może będziemy jeszcze żałować takiego rezultatu naszej znajomości.

Murek lekko wzruszył ramionami i nacisnął guzik dzwonka... W progu stanął woźny i niepytany, zameldował:

— Jeszcze jest pięć osób, panie naczelniku.

Junoszcyc niedbałym ruchem wyciągnął do Murka rękę:

— Zapewne spotkamy się jeszcze. Dowidzenia panu.

— Dowidzenia panu.

Gdy już był za drzwiami, Murek przypomniał sobie, że należało go wy badać, kiedy wyjeżdża. W tem powiedzeniu „Będziemy żałować”, oczywiście, była groźba. Łajdak! Napewno myślał o Nirze. W oczach takiego lotra, każda kobieta jest do zdobycia. Niechże i tu dozna zawodu.

— Tego jestem pewien — powiedział głośno i powtórzył: — Najzupełniej pewien.

Jednak nie był pewien. Napróżno skupiał uwagę, by wysłuchać pretensyj kupca Hofnagla do kierownictwa rzeźni. Innych interesantów też zbył odłożeniem rozmowy na przyszły tydzień. Tymczasem przez biurko przesuwają się codzienne bieżące sprawy. Było ich więcej, niż zwykle, gdyż Niewiarowicz i Talkowski na ten dzień przekazali mu swoje. Obwozili od rana radcę Gąsowskiego po wszystkich instytucjach miejskich. O drugie w klubie będzie pożegnalne śniadanie. Murek miał też wziąć w tem udział, lecz pomimo namów Niewiarowicza, postanowił nie iść. I tak musiał ktoś przecie zostać w magistracie, a zaległości Murek nie cierpiał. Pozatem przewidywał, że Junoszcyc wkręci się na śniadanie. Z jego tupetem!...

Przed samą trzecią, zadzwonił do państwa Horzeńskich i dowiedział się, że Nira wyszła na spacer.

Pani Horzeńska oświadczyła, że sama odradza córce i dodała:

— Niechże drogi pan sam jej za to da burę. Nie zapomniał pan o dzisiejszej kolacji? Czekamy.

Położyła słuchawkę. Zabawna! Czy zapomniał! Od trzech dni o niczem innym nie myślał. Wiedział, że po takiej kolacji w rodzinnym gronie zostawią go sam na sam z narzeczoną, że będzie mógł wycalować jej oczy i usta, i włosy... Może ubierze się w suknię bez rękawów... Wówczas dotyk jej nagich rąk na szyi, na karku... I rozmowa, bez świadków, taka zupełnie inna. O, w tych, niestety, bardzo rzadkich chwilach opadały zeń wszelkie obawy, wszelkie podejrzenia. Jej chłód, niemal wyniosłość, z jaką odnosiła się doń przy ludziach, zdawał się wtedy uzasadniony i nieważny, choć tak go przerażał.

Nie był bynajmniej przekonany, o szczerości pana Horzeńskiego i jego żony. Ich serdeczność, jeżeli nie polegała wyłącznie na przestrzeganiu form towarzyskich, miała zapewne podłoże wyrachowania. Bądź co bądź, wydawali córkę za człowieka porządnego, wykształconego, zajmującego poważne stanowisko. Za człowieka, który rozporządza wcale nie bylejakim dochodem i w dodatku ma przed sobą nienajgorsze perspektywy. Na początku znajomości starzy Horzeńscy, liczyli prawdopodobnie i na Fastówkę. W ich fatalnym położeniu finansowym zakupienie tego przylegającego do miasta folwarku przez magistrat, lub przebite ulic i kanalizacji w tamtym kierunku, było zbawieniem. Zapewne spodziewali się, że Murek żeniąc się z ich córką, przeprowadzi w magistracie tę sprawę, że będzie wołał tanie morgi teściów zamienić na metry, na drogie place, niż przygotować się na to, że wcześniej lub później trzeba będzie rodzinę żony utrzymywać z własnej pensji.

Dr. Murek wołał jednak tę drugą ewentualność. Rozplanowanie miasta w kierunku błotniejszej i malarycznej Fastówki byłoby — w jego pojęciu — nadużyciem, do którego nie był zdolny i tak rzecz postawił odrazu.

Sama Nira nie interesowała się tem wcale i Murek był przeświadczony, że w żadnym razie w ich wzajemnym uczuciu motyw finansowy nie odgrywa żadnej roli. Więcej. Już w samym fakcie, że ona, nosząc nazwisko Horzeńskich nie wolna od różnych kastowych

przesądów i snobizmów, zdecydowała się na małżeństwo z synem prostego chłopca — już w tem była gwarancja wartości jej uczuć. Kochała go niewątpliwie. Oczywiście, po swojemu i zapewne nie tak bezgranicznie, jak on ją kochał, zapewne w jej miłości było więcej rozważli i spokoju, niż onby tego pragnął, lecz dość, by mógł być pewny tej miłości.

Dr. Murek odłożył pióro i zamyślił się. W gabinecie aż dzwoniła cisza. Tylko gdzieś w odległym korytarzu słychać było tupot szybkich kroków. Godziny urzędowe skończone. Wstał i powoli zamykał szuflady biurka, później szafy z aktami, poprawił nogą zgięty róg łowickiego kilimu i uchylił okno. Deszcz zmieszany ze śniegiem, siekł ukośnie, w dalekiej perspektywie ulicy Kraszewskiego jarzyła się neonowa reklama kina Głorja. Lampy w cukierni Kesła naprzeciw świeciły blado. Latarni jeszcze nie zapalono. Przesunięcie o kwadrans pory latarni dało w elektrowni przeszło dwanaście tysięcy oszczędności... Odwrócił głowę, by jeszcze raz przyrzeć się z upodobaniem graficznym wykazom, rozwieszonym na ścianach. Tu jak na dłoni uwidoczniły się skutki jego, jego własnej pracy.

Przyszedł tu przed rokiem, nieznanym, obojętnym, ot, zwykłym urzędnikiem kontraktowym, którego dyplom i świadectwa były nieco lepsze od kwalifikacji innych kandydatów. Dziś zaś... Pomimo dużej dozy skromności, wiedział, że jest, że potrafił stać się niezastąpionym...

Przed ratuszem zawarczał motor magistrackiego Forda, trzasnęły drzwi na dole. Prezydent Niewiarowicz wrócił. Widocznie śniadanie skończone.

Dr. Murek strzepnął z rękawa jakąś nitkę, poprawił krawat i otworzył drzwi. Do gabinetu prezydenta przechodziło się przez buchalterję, przez salę wydziału wojskowego, pokoik sekretarza i poczekalnię. Wszędzie było już pusto, tylko w wojskowym siedział Jarnuszkowski i na rozłożonych ewidencjach robił papierosy.

Niewiarowicz był już u siebie. W gabinecie, jak zwykle, zapalił wszystkie światła, że aż razilo w oczy.

— U pana prezydenta — zaczął żartobliwie Murek — zawsze jasno, jak w sali operacyjnej.

Niewiarowicz zerknął nań spod grzebieniowatych czarnych brwi, chrząknął i lewą ręką pomacał się po gładko wygolonym podbródku. Jak po każdym przyjęciu, miał trochę zaczerwieniony nos i jeszcze puszystszą strzechę siwych włosów.

— Jakże się odbył bankiet? — zapytał Murek.

Spodziewał się barwnego i dowcipnego sprawozdania, paru złośliwości pod adresem starosty i generała Zagajskiego, no, i dokładnego rejestru potraw.

Niewiarowicz jednak mruknął niechętnie:

— Tak sobie.

— Wojewody nie było?

— Był.

— Miał przecież wizytować błotowicki powiat?

Niewiarowicz wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. To już zastanowiło Murka:

— Pan prezydent miał może jakieś przykrości?

— Ja?... Cóż znowu — niepewnym tonem mruknął prezydent i nagle zirytował się: — A cóż to panu przyszło do głowy indagować mnie? He?

— Ależ, panie prezydencie?!... Ja wcale...

— Przykro mi, lecz muszę panu, panie doktorze, zwrócić uwagę, że wtrąca się pan do spraw, które nie mają nic wspólnego z pańskimi obowiązkami urzędowymi. Tak! Właśnie to chciałem podkreślić.

Sapał i marszczył brwi, wreszcie zerwał się i zaczął chodzić po pokoju.

Murek szeroko otworzył oczy. Odkąd znali się, odkąd pracował z Niewiarowiczem, z tym człowiekiem życzliwym, grzecznym i lojalnym, nie słyszał od niego ani takiego tonu, ani takich słów. Lubił go właśnie za tę dobroć, za gładkość obejścia, za zgodność usposobienia, która często — niestety — posuwała się aż do ustępstw nieliczących z prezydencką powagą. Pomimo to cenil go, jako szefa, zachwycał się nim, jako rzeczywiście wspaniałym mówcą: żadna uroczyść w mieście nie obyła się i obyć się nie mogła bez mowy Niewiarowicza. Umiał wzniecać entuzjazm, rozweselać, a nawet wyciskać łzy z oczu słuchaczy, a chociaż trochę przeciągał dawnym petersburskim akcentem i rzadka posługiwał się rusycyzmami, wynagradzał to dynamiką głosu, szlachetnością urody

i szczerością wyrazu. Czynnny, ruchliwy, należał do wszelkich związków i stowarzyszeń, nie cierpiał samotności, prowadził wraz z żoną dom szeroko otwarty, bridżujący, tańczący, zawsze gotowy na przyjęcie gości.

— Trzeba żyć z ludźmi — lubił życzliwie pouczać Murka — ty ludziom, ludzie tobie. Tak! Tak, mój doktorze!

Sam też wprowadził Murka do miejscowego towarzystwa, lansował go, chwalił, reklamował, ba, obiecywał szczególniejszą protekcję w Warszawie. Murek zaś wiedział, że obietnice te nie są głoślowne, brat bowiem Niewiarowicza zajmował w stolicy wpływowe stanowisko, a chociaż umarł przed pięciu miesiącami, zostawił podobno niemniej wpływowych przyjaciół. Sam Niewiarowicz właśnie bratu zawdzięczał swoje prezydentwo, wysokie pobory, reprezentacyjne mieszkanie i stanowisko, po wojewodzie pierwsze w mieście. Na swoją popularność już sam zarobił i szczycił się często, że nie ma wrogów. Bo nawet i starosta Bożymek, chociaż usiłował wysadzić go z siodła, nie robił tego przez niechęć do Niewiarowicza, lecz w nadziei, że na opróżnione miejsce zdoła wsadzić swego szwagra.

Ta podjazdowa wojna truła nieco życie prezydentowi, nie o tyle jednak, by stracił dobry humor, by nie czuł się szczęśliwy, pływając w swoich znajomościach, przyjaźniach, stosunkach, nurzając się w życiu towarzyskim, politycznym i społecznym.

I ten człowiek, który nieraz przerywał Murkowi pracę i ciągnął go do swego gabinetu na pogawędkę, teraz przyjmował go, jak natręta.

— Czy pan jeszcze czego chce odemnie? — zapytał niecierpliwie, widocznie poirytowany długim milczeniem zaskoczonego Murka.

— Nie, panie prezydencie, tylko doprawdy nie wiem, czy może nieświadomie uraziłem czems pana prezydenta?

Niewiarowicz spojrział nań z ukosa i chrząknął:

— Nie, cóż znowu... Skądże... Tak... Skądże...

Był widocznie zakłopotany.

— Bo może — przemknęła Murkowi myśl — może pan nie jest zadowolony, że odrzuciłem... ofertę Junoszyca... Ale to nie wytrzymało żadnej kalkulacji...

Niewiarowicz zachnął się:

— Ależ naturalnie. Bardzo słusznie pan zrobił. Tak! Ten cały Junoszczyk... To wogóle jakaś nieciekawa, zdaje się, figura. Cóż znowu doktor mi z tem... wyjeżdża. Nie, pod względem uczciwości nie mam panu nic do zarzucenia!

Murek nie od razu odnalazł sens ostatniego zdania. Połapał się jednak po chwili i zapytał wprost:

— A pod jakim?...

— Co za „pod jakim”?... — zdetonował się Niewiarowicz.

— Pod jakim względem pan prezydent ma przeciw mnie zarzuty?

Niewiarowicz otworzył usta, zakaszlał i niespodziewanie zaśmiał się jakimś nieszczerym, nie własnym śmiechem:

— Co pan, doktorze... che... che... che... Ja... zarzuty?... I nie nudźże mnie do licha — zniecierpliwził się znowu. — Co pan wogóle o tej porze robi w biurze?

— Podliczałem sprawozdania szpitala i wydziału opałowego — nie ukrywając zdumienia odpowiedział Murek.

Prezydent podniósł ręce:

— Otóż właśnie. Zawiele ma pan roboty... Tak. Oddawna myślałem o tem... Niech pan zaraz jutro zda Lassocie te dawne jego referaty, a rzeźnię i elektrownię Kubinowskiemu. Tak! Wystarczą panu wodociągi, kanalizacja i bruki. No, co się pan na mnie patrzy, jakbym panu ojca zamordował? To jest niepodobierstwo, żeby pan był całym magistratem! Pocóż tu w takim razie ja, poco inni?...

Zaperzył się i prawie krzyczał. Murek przyglądał mu się przestraszony. Nie umiał sobie wytłumaczyć inaczej zachowania się szefa, jak tylko nadmiarem alkoholu.

— Jutro wszystko odwoła — myślał — i jeszcze przeprosi.

Lecz Niewiarowicz nie wyglądał na pijanego, co więcej, robił wrażenie kogoś wysilającego się na gburowatość. W każdym razie nie było sensu przedłużania rozmowy. Murek skłonił się i, mruknąwszy „dowidzenia panu prezydentowi”, wyszedł.

W ponurym nastroju wracał do domu. Dopiero skręciwszy w Parkową podniósł mokry już kołnierz palta. Pani Rzepecka, u której mieszkał, otworzyła mu drzwi i od progu zasypała narzekaniami na pogodę, na zabłocone ulice, na przeciekający dach, na polski klimat i na własny los, który kazał jej, córce austriackiego ambasadora w Rzymie i wdowie po wielkim uczonym, mieszkać w prowincjonalnej dziurze, w wojewódzkim mieście, gdzie wyższej kultury niema za grosz.

Z tym ambasadorem, Murek oswoił się już oddawna, w jednym z dwóch odnajmowanych od pani Rzepeckiej pokoiów wisiał jego wspaniały portret w złożonych ramach, olśniewający orderami, galonami i wstęgami. Nieboszczyk profesor Rzepecki, jako mniej reprezentacyjny, patronował w jadalni i wspominany był rzadziej. Nie uchroniło to Murka od przymusu przeczytania jego dzieł, a właściwie podręczników z zoologii paleontologicznej.

Swojej gospodyni Murek nie lubił. Oburzała go ta ślepa nienawiść do wszystkiego, co nie było przeszłością, pogarda dla terażniejszości, dla dzisiejszych warunków bytowania, ustroju, zwyczajów i układu społecznego, to jest dla wszystkiego tego, czemu, on, dr. Murek, zawdzięczał to, czym był, w czym zajmował określoną pozycję.

Owe barwne i piękne przedwojenne czasy pani Rzepeckiej dla niego były mglistem, ale dojmująco bolesnym wspomnieniem starego zaharowanego ojca, układającego się na brudnym tapczanie do snu w wyleńiałym kożuchu; zielonych bagiennych wygonów, gdzie pasł gęsi; maleńkich ze starości wielokolorowych i zarośniętych kurzem szybek w kwadratowych okienkach; kup gnoju pod chlewem i przeraźliwego krzyku matki, chorej, odkąd mógł zapamiętać, na kolki we wnętrzu.

Takie były te „stare dobre czasy”. Wąsaty żandarm austriacki, pan dziedzic, wielki, tłusty i ochrypli, siedzący na szerokozadnej klaczy i połyskujący cholewami, ksiądz proboszcz, zawzięcie targający za uszy wszystkich rówieśników Murka, może jeszcze i pan leśniczy Mizerko z długą strzelbą, przerzuconą na wyszywanym w kwiaty rzemieniu — możni tego świata — ci zapewne czuli się dobrze. Bał się ich bardziej, niż ojciec, chociaż nie umiał jeszcze tak, jak on, ich nienawidzić.

Kilka razy próbował przekonać panią Rzepecką, że w kim, jak w kim, a w nim, w doktorze Murku, nie znajdzie współtowarzysza w żalobnych trenach nad grobem przeszłości. Zdawała się nie rozumieć jego wyjaśnień, chociaż wiedziała, że pochodzi z chłopów i że swoje wykształcenie, pozycję i wychowanie zawdzięcza przypadkowi.

Marzył też o dniu, kiedy wreszcie stąd się wyprowadzi. Upatrzył już sobie ładne, sześciopokojowe mieszkanie w domu Fajncyna na Zagajskiej. Wpłacenie zadatku odkładał do dnia ustalenia daty ślubu. Panna Nira na kilkakrotne propozycje, by zechciała zobaczyć ich przyszłe „gniazdko”, zawsze odpowiadała odmownie. Nie wtrącała się też w kwestje, związane z urządzeniem mieszkania. Na życzenie pani Horzeńskiej miała tam pójść część mebli z dworu w Czolnach. Właściwie meble te już należały do Murka, gdyż wykupił je u komornika od zajęcia. Tylko buduar z różowego mahoniu i palisandrowy gabinet zamówił u miejscowych stolarzy, oczywiście na raty, gdyż niewielkie swoje oszczędności chował na koszty ślubu i wesela.

Odkładanie decyzji w tej sprawie martwiło i irytowało Murka. Minęły już trzy miesiące od czasu, gdy oświadczył się i został przyjęty. Nie urządzono wprawdzie, wbrew nadziejom Murka, oficjalnych zaręczyn, lecz i tak całe miasto o tem wiedziało. Spotykani znajomi nie omijali żadnej sposobności, by nagabywać narzeczonego pytaniami o dzień ślubu. Murkowi zaś, im dłużej to trwało, tem częściej zdawało się, że w pytaniach czuje nutkę niedowierzania, czy nawet ironji.

Zresztą, gdyby od niego to zależało, wziąłby ślub natychmiast. Gdy już raz postanowił się ożenić, z dnia na dzień obrzydło mu jego kawalerstwo, samotność, obiady w Urzędniczym Klubie, kolacje u Wiecheckiego, pani Rzepecka z jej ambasadorem i tandetnie umeblowane dwa pokoiki.

Spędzał w domu jaknajmniej czasu. Nocował, a zrzadka wpadał, by zmienić ubranie, lub obuwie. Wyobraźnią oddawna był już na Zagajskiej. Układał porządek dnia, wiedział, że każdą wolną od pracy chwilę będzie spędzał przy niej. Tak, wtedy szybko pozna ją do gruntu, zwiąże z własnym życiem, odseparuje od całego jej dzisiejszego świata. Zdawał sobie sprawę, że dotychczas nie przestał być dla Niry obcym, nie zdołał opanować jej

myśli, zająć centralnego punktu w jej dniu. Nieraz, w chwilach przygnębienia mówił jej z goryczą:

— Pani jest dla mnie treścią i celem, ja zaś dla pani tylko ewentualnością, ewentualnym warjantem jutra.

Znalazł to zdanie w jakiejś niemieckiej powieści — pełno ich było w szafach pani Rzepeckiej — i bardzo mu się podobało. Dopatrywał się w niem tragicznego napięcia.

A ona uśmiechała się tajemniczo, opuszczała swoje długie, ciemne rzęsy, aż rzuciły cienie na policzki, i mówiła:

— Jeżeli jest tak, muszę uważać pana za szaleńca.

— A jest tak właśnie? — pytał z niepokojem.

— Podobno prawdziwy mężczyzna najbardziej pragnie niebezpieczeństwa — odpowiadała wieloznacznie.

Po takich rozmowach dr. Murek nieraz godzinami leżał w ciemnym pokoju, rozważając każde słowo, przypominając każdy ruch jej głowy, każde spojrzenie. Przerazał się wówczas, swoją bezradnością wobec tej dziewczyny. Właściwie mówiąc, nic o niej nie wiedział. Była dlań wielką ciemnością, czy też wielką jasnością, przed którą stawał oślepy. Rozsądek podsuwał mu wygodne wytłomaczenie: jej pańskie wychowanie, owa sztuka, która banalnością słów, konwencją form, rytuałem zdawkowości opancerza człowieka i ubezpiecza jego istotę od badawczych spojrzeń, od przenikania nazewnątrz ech tego, co się w jego duszy dzieje.

Ale intuicja, a tę dr. Murek miał niemniej wrażliwą, nie dawała się zaspokoić tem jednym. Intuicja domagała się wstępu poza ów giętki a nieustępliwy pancierz konwencjonalnych formułek, przeczuwając za nim drugą i beznadziejną zaporę: — obojętność.

Dr. Murek nie chciał słuchać głosu tych zwątpień. Kochał, a jego miłość, jak każda miłość prawdziwa, pełna była wiary. Chciał Nirę rozumieć, lecz nie chciał jej analizować, chciał ją znać, lecz nie pragnął szperania w jej duszy, w jej życiu, ani nawet w jej przeszłości. Kochał ją tem prostem, silnem uczuciem, które nie tylko nie zaludnia wyobraźni potworkami trujących pytań, lecz gotowe jest do bohaterskiego optymizmu.

Widywał się z narzeczoną trzy, lub cztery razy na tydzień, zawsze w domu jej rodziców, lub zrzadka na przyjęciach u Niewiarowicza, wojewody, czy też u prezesa Sądu, Tołubińskiego. Nira bywała pozatem u swoich ciotek, krewnych i znajomych w pobliskich majątkach, ale Murek tam nie bywał zapraszany.

Państwo Horzeńscy mieszkali przy Wielkiej, gdzie stała ich, a właściwie babki Horzeńskiej, willa, jedyna część okazałego kiedyś majątku, wolna od ciężaru hipotek, banków i prywatnych wierzycieli.

Leżące o dwadzieścia dwa kilometry od miasta Czołny, puszczone były w długoletnią dzierżawę i tylko obrotności dzierżawcy zawdzięczały to, że jeszcze nie poszły na licytację. Pan Horzeński już oddawna machnął na ten majątek ręką, a liczył tylko na jakiś pomyślniejszy obrót sprawy z niedużym folwarkiem Fastówką.

Do miasta przenieśli się już przed dwoma laty przez wzgląd na chorobę pani Horzeńskiej, cierpiącej na dokuczliwą astmę, co wymagało częstych wizyt lekarskich. Pozatem dwór w Czołnach, zamieszkały obecnie przez dzierżawcę, nie odznaczał się szczególniejszymi wygodami, a jego zapuszczenie nie dawało odpowiednich ram pannie na wydaniu. Zresztą, pretekstem przenosin była Fastówka, na której nabyto pan Horzeński gospodarował, a także życzenie sędziwej babci Horzeńskiej, pragnącej umrzeć wśród swoich. W rzeczywistości staruszka czuła się znakomicie i ani myślała umierać. Wprost przeciwnie. Z całej rodziny ona była najruchliwsza, najżywiej interesowała się wszystkim, najdespotyczniej pilnowała, by nikt i w niczem nie wykroczył przeciw regułom, panującym w jej domu. Liczyła sobie lat dziewięćdziesiąt, a do ulubionych jej dowcipów należało przechwalanie się, że wygląda najwyżej na osiemdziesiąt dziewięć.

Dr. Murek przepadał za babcią Horzeńską i ilekroć był w willi przy ulicy Wielkiej, bazował się w pobliżu jej fotela, w niej znajdował oparcie i ratunek w konwersacyjnych trudnościach, u niej szukał pomocy, gdy ktoś z domowników lub gości brał go na cel dwuznacznych komplementów, czyli poprostu impertynenckich kpin, do których nie można było przyczepić się, a które stanowiły specjalność ludzi ich sfery. Nie wiedział, czy babcia go lubiła, natomiast ceniła go niewątpliwie i liczne miał tego dowody.

Mniej lub więcej stałych domowników u państwa Horzeńskich było zawsze sporo. Do stołu nie nakrywano nigdy mniej niż na dziewięć osób. Gdy zapraszano na kolację Murka, na szczęście nie bywało gości.

Tym jednak razem już w przedpokoju zauważył dobrze znane futro z ogromnym bobrowym kołnierzem: adwokat Boczarski. Boczarski uchodził i lubił uchodzić za arbitra elegancji. Ubierał się w Warszawie, lub nawet w Wiedniu, zaliczał siebie do arystokracji, a Murka ostentacyjnie tytułował „panem kolegą” z tej racji, że obaj ukończyli studia prawnicze. Mając w swym biurze nieraz wizyty Boczarskiego, Murek tem niechętniej spotykał go na gruncie neutralnym, lub w domu narzeczonej. Drażniła go maniera szpilowania rozmowy obcojęzycznymi wstawkami, kolportaż plotek z „wyższego towarzystwa” i cały ten dęty snobizm adwokata, który — wszyscy o tem wiedzieli — bił po chamsku i zamykał w domu żonę, starszą od siebie żydówkę, z którą ożenił się dla pieniędzy.

Sprawdziwszy przed lustrem, że krawat jest dobrze zawiązany, a czarna marynarka i spodnie w paski leżą bez zarzutu, Murek wyjął z kieszeni palta złożoną we czworo ściereczkę, przetarł lakierki i wszedł do dużego pokoju, nazywanego przez babcię salonem, a przez resztę rodziny hallem. Przed kominkiem, na którym skwierczały wilgotne i nie chcące się rozpalić polana, siedzieli półkołem państwo Horzeńscy, Boczarski, pan Salwator, głuchy jak pień stryj Horzeńskiego i marszałkowa Radecka, daleka kuzynka babci, wdowa po mohylowskim marszałku szlachty. Niry nie było. Przez uchylone drzwi jadalni dolatywał brzęk układanych przy nakryciach sztućców i donośny głos babci, komendującej służbą.

— Otóż i pan Franciszek — tonem odkrycia powitał Murka gospodarz.

Murek nie lubił swego imienia, zwłaszcza w tym domu: lokaj Horzeńskich nazywał się tak samo.

Towarzystwo poruszyło się, panowie wstali, marszałkowa zapytała, czy pada deszcz, pani Horzeńska zauważyła, że już jest listopad, a zatem pora na przymrozki, stryj Salwator miał minę stropioną, a wreszcie uśmiechnął się, jakby usłyszał lekki dowcip.

Po dłuższej chwili Murek zauważył, że zbyt długo i niepotrzebnie manipuluje chusteczką w okolicy nosa, schował ją do kieszeni i usiadł na okrągłym pufie. Towarzystwo wróciło do przerwanej rozmowy o różnicy między etykietą hiszpańską, a rosyjską. Pan domu był znawcą tych rzeczy, Boczarski wtrącał gęsto uwagi, świadczące, że interesował się tem również.

W pokoju było prawie ciemno, gdyż lampkę na stole przysłonięto japońskim parawanikiem, płomień zaś na kominku raz po raz przygasał, leniwie pełgając po białej korze brzoźowej i skręcając ją w rurki. Pani Horzeńska, niska pulchna brunetka w ciemnozielonej taftowej sukni, mocno ściśnięta gorsetem, siedziała sztywno, nie opierając się o fotel i tylko jej zielone oczy ustawicznym, niespokojnym ruchem zdradzały nadmierną nerwowość tej nieruchomej postaci. Na Murku pani Horzeńska zawsze robiła wrażenie osoby oczekującej czegoś z hamowaną niecierpliwością, opanowanej wewnętrzną gorączką, czującej się wszędzie i o każdej porze jakby tymczasowo, podróżnie, przypadkowo.

Jej mąż przy swoim olbrzymim wzroście i masywnym tułowi, pomimo żywej zamaszystej gestykulacji, wyglądał osiadle i niewzruszenie. Cienie jego rąk kładły się poza nim na dywanie, jak czarne skrzydła wiatraka, obracane porywistymi atakami wiatru. Szeroka, niemal kwadratowa twarz, czerwona i mięsista, wyrazistą mimiką akcentowała każde słowo, a siwe mociumdziejskie wąsy znajdowały się w nieustannym ruchu. Bardzo wysokie, wspaniałe sklepione i gładkie czoło kazało każdemu, kto pana Horzeńskiego bliżej nie znał, uważać go za bardzo mądrego i światłego człowieka. Dr. Murek dawno już pozbył się tego złudzenia, nie wyrobił sobie jednak o przyszłym teściu żadnego ujemnego zdania. Uważał, że winien mu jest szacunek, a to wykluczało wszelkie niepoehlebne definicje. W każdym razie, wołał go od pani Horzeńskiej, milczącej i — jak sądził — egoistycznie skrytej. Do pana Salwatora, marszałkowej i do reszty domowników odnosił się z uważną uprzejmością, jak zresztą i do każdego sprzętu w tym domu, gdzie nigdy nie umiał zdobyć się na swobodę.

Tego dnia czuł się gorzej, niż zwykle. Wciąż nurtowało go wspomnienie niezrozumiałej awantury, jaką mu urządził Niewiarowicz, troska, a nawet niepokój o to, jak ułoży się dalsza z nim współpraca, czy po wytrzeźwieniu — prezydent oczywiście był pod-

chmielony — zechce on cofnąć swoje zarządzenia?... Pozatem martwiła Murka obecność Boczarskiego. Oznaczało to, że po kolacji trzeba będzie się do brydża i przypadnie sposobność rozmowy sam na sam z Nirą.

— Djabli tego kauzyperde przynieśli... — irytował się w duchu, przyglądając się z niechęcią jego okrągłym, wystudjowanym ruchom, orlemu nosowi, klasycznym rysom, i całej patetycznej urodzie, o której nawet tak przenikliwa osoba, jak babcia, mówiła, że jest szlachetna.

Boczarski do wizytowego ubrania nie nałożył lakierów. Był w czarnych gemzowych półbucikach, co u niego nie mogło być przypadkowe i Murek zanotował to sobie, jako wskazówkę na przyszłość. W tej i zblizonych dziedzinach dr. Murek dostrzegał wiele braków swego wychowania, a chociaż sam do nich nie przywiązywał wagi, zdawał sobie sprawę z ich roli w życiu. Pod tym względem dom państwa Horzeńskich traktował poniekąd, jak kursy dokształcające. Ilekroć zaś zdawało mu się, że razi innych swoją nieznaną formą towarzyskich, odczuwał coś w rodzaju żalu do swego opiekuna, ś. p. doktora Słowińskiego. Skolei robił sobie za te nadmierne pretensje gorzkie wymówki. I tak wszystko jemu i tylko jemu zawdzięczał. Począwszy od pierwszych tajemnic alfabetu, a kończąc na wszystkim tem, czem był dzisiaj. Więcej! Zawdzięczał mu tę równowagę duchową, ten spokój wewnętrzny, tę trzeźwą i uczciwą ocenę życia, ten czynny i z głęboko pojętego obowiązku, wypływający swój stosunek do rzeczywistości, do państwa, do narodu, społeczeństwa i ludzkości. Jakże łatwo było zwichnąć się w młodzieńczych latach. Skusić się atrakcyjnością światoburczych haseł, utopijnych programów, politycznych fantazji! Albo uleść pokusom egzotycznego indywidualizmu, stać się jednym z tych ludzkich zwierząt, żerujących bezpożytecznie i samolubnie, pasorzytem cynicznym i nie-twórczym zastawiającym się przed odpowiedzialnością za własną egzystencję cynicznym pojmowaniem doczesności.

— Niema rzeczy błahych, niema czynów obojętnych, mój Franku — mawiał ś. p. dr. Słowiński.

Tą też zasadą kierował się w całym swym życiu. Przez długie lata aż do osiągnięcia rangi radcy dworu i emerytury pracował w galicyjskiej administracji krajowej, uprawiał działalność społeczną, był ceniony i szanowany. Klęską jego życia było to, że nigdy nie ożenił się i nie założył rodziny, co uważał za podstawowy obowiązek człowieka. Dlaczego go nie dopełnił? Murek nie dowiedział się nawet z papierów i pamiętników zmarłego. Dość, że to swoje sprzeniewierzenie się własnym zasadom, okupił wychowaniem i wykształceniem trzech ubogich chłopców: Jana Bardonia, który zginął w randze porucznika armji austriackiej w roku 1915-ym pod Przemyślem, a po którym radca do śmierci nosił żalobę, Hieronima Pasięckiego, obecnie prokuratora sądu apelacyjnego i najmłodszego z nich, Franciszka Murka.

Po radcy odziedziczył dr. Murek sporą bibliotekę dzieł prawniczych, filozoficznych i moralistycznych, a jeszcze bardziej wymowny od drukowanego spadku testament poglądów, związanych w logiczny system, w którym świat był uorganizowany, jak wielka piramida, według rozumnych, a zatem świętych praw hierarchji, o stopniu zaś, o kondygnacji w tej piramidzie dla poszczególnego człowieka, decyduje jego wartość wewnętrzna i przydatność społeczna, jego zasługi, cnoty obywatelskie i ludzkie, poziom umysłu, ciężar wiedzy, a także charakter czyli wola i trwałość zasad. Wszelkie zakłócenia w tym uporządkowanym obrazie są zgubą dla całości, a klątwą dla winowajców.

Franciszek Murek przejął ten spadek i był sumiennym jego wyznawcą, nietylko przez petyzm dla zmarłego, lecz i z własnego najgłębszego przeświadczenia. Zawsze na bodaj najdrobniejszym odcinku swojej pracy nie zaniedbywał niczego, by wypełnić zadanie, już przez to wielkie i ważne, że stanowiące cegiełkę w strukturze całej piramidy.

Jak był pilnym uczniem w gimnazjum, niemniej pilnym słuchaczem prawa na Uniwersytecie, a później urzędnikiem, starającym się powierzone mu obowiązki wypełnić jaknajlepiej, tak też uważał za konieczne przyswojenie sobie takich form zewnętrznych, które w jego pozycji są nieodzowne.

Dlatego słuchając wywodów pana Horzeńskiego o etykiecie dworskiej, która wydawała mu się śmiesznym komedjanctwem, szybko przywołał siebie do porządku wyjaśnieniem sobie, że nie powinien zbyt pohopnie osądzać przedmiotu, którego w demokra-

tycznym ustroju nie mógł poznać, a który zapewne ma rację i sens istnienia już przez to samo, że istniał.

Nie mógł jednak skupić uwagi. Drażniła go przeciągająca się nieobecność Niry. Nie był pewien, ale zdawało mu się, że z odległego pokoju słyszy jej głos, jakby rozmawiała przez telefon.

Zjawiała się dopiero przy stole. W czarnej wieczorowej sukni z matowego jedwabiu, obcisłej i wąskiej u kolan, wyglądała, jak giętka łodyga zakończona jasnym kwiatem szerokiego dekoltu i małej, kształtnej głowy. Wiedział, że nie można jej było nazwać piękną, wiedział, iż wielu mężczyzn razi jej dumne podniesienie głowy i wyzywające spojrzenie, i niemniej wyzywające duże, jędrne usta, a jednak przy każdym nowym spotkaniu doznawał jakby olśnienia. Wydawała mu się za każdym razem nieskończenie wspanialsza, niespodziewanie doskonalsza od tej, którą przecie z drobiazgową ścisłością umiał przy każdym przymknięciu oczu, wytworzyć w wyobraźni.

Gdy podawała mu rękę, Murek powiedział kilka słów zdawkowych i bez sensu. Przy stole siedział naprzeciw Niry. Tak, nie omyliło go pierwsze spojrzenie: napewno miała jakieś przykrości, może nawet płakała. Oczy były mocno podsinione, brwi lekko ściągnięte i bledsza była, niż zwykle, tylko usta zdawały się płonąć. Nie używała żadnych różów, ani karminu do warg. I tak zwracała uwagę kolorytem złotawej cery, miedzianym połyskiem czarnych włosów, głęboką, lśniąca czernią oczu i ciemnym rumieńcem policzków.

Przypatrywał się narzeczonej, nie odrywając — o ile pozwalała na to ogólna rozmowa — spojrzenia. Przy kolacji Nira zapytała go dwa razy o jakieś obojętne rzeczy, pozatem milczała. Babcia również, jakby czemś skłopotana, całą uwagę skupiała na jedzeniu. Przy stole siedziano prawie półtorej godziny. Były przekąski, później jakaś ryba i kwiczoły, a na zakończenie krem z konfiturami. Ci ludzie przejadali sumy!

Czarną kawę podano w hallu, gdzie też rozstawiono stoliki do brydża. Dr. Murek skorzystał ze sposobności i wszedł za Nirą do buduaru.

— Jaka szkoda — zaczął — że będę musiał grać. Tyle sobie obiecywałem...

Nie dokończył i uśmiechnął się prosząco. Nira spojrzała nań roztargniona:

— Ach tak — powiedziała bez intonacji.

— Pani miała dziś jakieś zmartwienie, panno Niro?

— Ja? — zdziwiła się i niespodziewanie roześmiała się wesoło i szczerze — ależ wprost przeciwnie!

Dziwnie onieśmielił go ten wybuch wesołości.

— Nie rozumiem — zająknął się — bardzo się cieszę, ale myślałem... Pani źle wygląda...

— Ach, rzeczywiście — spojrzała w lustro — przepraszam, panie Franku... Tak, tak, bolała mnie głowa. A... a cóż pan?... Dużo było dziś roboty z tym kontrolerem?

— Nareszcie skończyła się — zatarł ręce. — Gąsowski wyjechał.

— Samochodem? — zainteresowała się.

— Jakim samochodem?... Cóż znowu, koleją. Przypuszczam, że koleją, bo i przyjechał...

— Nie wiem, ktoś mi wspominał, że miał go zabrać pan Junoszyca swoim Mercedesem.

— Skądże... Wątpię...

— Może mi się przesłyszało — wzruszyła ramionami.

— A kto o tem mówił?

— Och, jakież z pana nudziarz. Nie pamiętam — w jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

— Niech pani wybaczy, panno Niro — z nabożeństwem wziął jej rękę i pocałował, — zastanowiło mnie to... Ze względu na pana Junoszyca. Zresztą przypuszczałem, że wyjedzie. Niestety, nie mogliśmy przyjąć jego oferty...

Wydeła usta:

— Naturalnie. Ponieważ ja ośmieliłam się prosić pana o życzliwe ustosunkowanie się do tej sprawy... Naturalnie. O, nie, nie robię panu z tego zarzutu. W każdym razie już nigdy nie spróbuję obarczać pana swymi prośbami.

— Ale, panno Niro — zaśmiał się szczerze, — osobiście dla pani gotów byłbym ponieść największe straty, ale magistrat i miasto nie są moją własnością. Czyż pani nie bierze tego pod uwagę, że...

— Że pan chciał jaknajprędzej wykurzyć stąd człowieka, mając doń doprawdy bezzasadną niechęć. Owszem. Ale zapewniam pana, że to nie jest fair. Nie jest fair. I jeszcze panu powiem, że mężczyzna tego typu, co pan Junoszyc, nie potrzebuje ani mojej, ani niczyjej obrony. O, kto jak kto, ale on napewno nie!

Murek poczerwieniał. Chciał przekonać ją, że na odmowną decyzję w najmniejszym stopniu nie wpłynęły pobudki osobiste, chciał jaknajostrzej przywołać ją do porządku. Gorycz, oburzenie i ból, tak mu jednak skotłowały myśli, że tylko przygryzł wargi i spojrzał narzeczonej w oczy.

Zreflektowała się i machnęła ręką:

— Zresztą, co to mnie obchodzi. Mam wszakże nadzieję, że zmieni pan swoją metodę postępowania w stosunku do mnie w wypadku, gdybym została pańską żoną.

— Jakto... w wypadku? — wykrztusił i tak zbladł, że uznała za stosowne złagodzić sytuację:

— Gdy zostanę pańską żoną.

Gwałtownie chwycił ją za rękę:

— Panno Niro, Niro, błagam panią, niechże pani ma trochę dla mnie litości, odrobinkę... serca... Pani nawet nie może sobie wyobrazić, jak panią kocham... jak...

Wargi mu drżały, głos wibrował. Pokrywał pocałunkami jej dłonie, tulił je do ust, do oczu, do czoła.

— O, przepraszam — rozległ się od drzwi głos pana Horzeńskiego. — Niro, daruj, ale pan Franciszek pożądanym jest przy stoliku.

— Ależ, proszę bardzo — odpowiedziała chłodno.

Idąc do hallu, Murek stwierdził, że czoło, dłonie i twarz ma wilgotną od potu. Jeżeli ona to spostrzegła, mogła odczuć obrzydzenie. Niech djabli porwą te karty!

A karta szła mu tego wieczora, jak nigdy. Już w pierwszym robrze z niejakim, a nawet z dużym ryzykiem zaliczył szlema w karo i zrobił go z kontrą. Nie uważał, lecz szczęście mu dopisywało. Po drugiej, wstając od stolika, był wygrany przeszło sto złotych. Najwięcej przegrał mecenas Boczarski i to najbardziej cieszyło Murka.

Panie już spały, oprócz babci, która wytrwale kibicowała synowi.

Murek wyszedł razem z Boczarskim, a że mieszkali przy jednej ulicy, musieli nadal znosić swoje towarzystwo, chociaż obaj nie byli tem zachwyceni. Deszcz ustał, niebo iskrzyło się gwiazdami, od rzeki ciągnął ostry, mroźny wiatr. Szli w milczeniu. Gdy przy kościele skręcali w Brzeską, mecenas zapytał:

— Od dawna zna pan radcę Gąsowskiego?

— Ja?... Dlaczego mecenas pyta?... Wcale go nie znałem.

— Hm... Szkoda, że doktor nie był na pożegnalnym śniadaniu w klubie. Dali dobre kaczki. Wcale nienajgorszy burgund.

— Mecenas był? — zdziwił się Murek.

— Ach, kogo tam nie było! Chyba ze trzydzieści osób. A jednak... pańska nieobecność zwróciła ogólną uwagę, doktorze.

— Moja? — wzruszył ramionami — cóż ja... Nie lubię takich bankietów.

Mecenas rzucił lekko:

— Różnie to komentowano.

— Co?

— Pańską nieobecność. Właśnie... Nawet Gąsowski głośno wyrażał zdziwienie, że pan jakby go unikał.

— Cóż w tem dziwnego. Nie rozumiem...

Boczarski ziewnął i machnął parasolem:

— Źle się wyraziłem. Gąsowski nie dziwił się, tylko stwierdził, że właściwie niema czemu się dziwić.

— Nie rozumiem — zniecierpliwił się Murek.

— Mój Boże, no nie słuchałem tego ze specjalną uwagą. Dał jakby do zrozumienia, że doktor go unika, gdyż nie chce przypomnieć mu swoją osobą jakichś dawnych historyj. Powiedział coś w tym rodzaju: — nazwisko pana Murka od razu wydało mi się znajome, ale teraz już je dokładnie przypominam.

Murek stanął i wziął Boczarskiego za ramię:

— Ale, panie, ja nigdy go na oczy nie widziałem! Ja nie miałem z radcą Gąsowskim żadnych historyj! To jest jakieś nieporozumienie!

— Bardzo możliwe — obojętnie zgodził się mecenas.

— Więc cóż za pretensje?

— Czy ja wiem, drogi panie, — skrzywił się Boczarski — może pan miał w przeszłości takie, czy inne zdarzenia, które mogły się władzom nie podobać.

— Przecież nikogo nie okradłem, ani zamordowałem! — wybuchnął Murek.

— O zapewne, zapewne... Ale, drogi panie, w dzisiejszych czasach tyle ludzi należy do różnych niepożądanych organizacji, wyznaje niebezpieczne poglądy... Namnożyło się tego. Tu komuniści, tam masoni, faszyci, antysemita, socjaliści, anarchiści... teroryści... djabli wiedzą.

Murek roześmiał się:

— Tylko, że ja, panie mecenasie, do żadnych takich rzeczy nie należę.

— Zapewne. Ale wie pan, co Anglicy nazywają „szkieletami w szafie”?

— Nie.

— Takie różne sprawy, o których się już zapomniało, a które po latach odnajdują się niespodziewanie.

— Śmieszne rzeczy — odrzekł spokojnie Murek. — Ja nie mam żadnych szkieletów w szafie.

— Tak?... Tem lepiej. Widocznie to te... jakże... halucynacje... he... he... he.. No, Dobranoc, doktorze, ogrzał mnie dziś pan paskudnie, ale zrewanżuję się. Dobranoc.

— Zawsze służę mecenasowi.

Rozstali się. Murek przyspieszył kroku, koło komisariatu policji, gdzie z okien bił ostry blask, spojrzął na zegarek. Stojący przed bramą posterunkowy zasalutował mu służbiście i życzliwie. W domu było zimnawo, pani Rzepecka nie lubiła wydawać na opał. Trzeba było cienką kołdrę uzupełnić letnim kocem. Rozmyślał o głupstwach usłyszanych od Boczarskiego, lecz nie przejmował się nimi zbyt. Popierwsze mecenas miał zwyczaj nie trzymania się ściśle prawdy, a podrugie wszystko to nie miało żadnego podstaw.

Nazajutrz o ósmej był już w biurze. Przejrzał korespondencję, podyktował pannie Celinie kilka listów i wyszedł do Izby Skarbowej, by z prezesem Czakowskim ostatecznie uzgodnić rozrachunki z tytułu podatków komunalnych. Czakowski przyjął go mniej serdecznie, niż zwykle. Nie zaczął od pytania, którym zawsze witał Murka: — Kiedyż doktor zdecyduje się przejść z tego swego magistratu do nas? Natomiast powiedział, że jest zajęty i skierował Murka do swego zastępcy, doktora Żytniewicza.

Tu go też po upływie kwadransu złapał telefon panny Celiny.

— Był pan prezydent — mówiła przestraszonym głosem — strasznie się pieklił, że pana doktora niema, że wczoraj coś polecił panu doktorowi, a to nie jest wykonane...

Murek mruknął „dobrze”, przeprosił Żytniewicza i popędził do magistratu. Pamiętał o wczorajszym zarządzeniu prezydenta, lecz nie brał tej dyspozycji poważnie. I teraz chciał mu to wyperswadować, to też nie zachodząc do siebie, odrazu poszedł do Niewiarowicza.

— Pan prezydent mnie szukał? — zwrócił się do sekretarza Więcka.

— Tak. Bardzo się gniewał.

— Zaraz go udobrucham — uśmiechnął się i zawrócił do drzwi gabinetu, lecz sekretarz zatrzymał go:

— Pan prezydent zabronił kogokolwiek wpuszczać bez meldowania. Ja zaraz pana doktora zamelduję.

— Zwarjowałeś pan, panie Więcek? — zachnął się Murek. — Ja mam się meldować?!

— Cóż ja poradzę — rozłożył ręce — taki rozkaz.

— Ha, no to idź pan.

Więcek znikł bezszelestnie za drzwiami i po chwili wrócił:

— Pan prezydent prosi zaczekać.

— Czy tam ktoś jest?

— Nie, panie doktorze.

Murek spojrzął nań pytającym wzrokiem, lecz Więcek wbił oczy w biurko. Dwie maszynistki pod ścianą zerkały zaciekawione w stronę Murka.

Zaczął chodzić po pokoju. Minęło pięć minut, dziesięć. Czuł, że maszynistki nie spuszczają zeń oczu.

— Może pan doktor spocznie? — podsunął mu krzesło Więcek.

— Nie, dziękuję.

Starał się zachować spokój, lecz przychodziło mu to z trudnością:

— W tem musi coś być — powtarzał w myśli — musi coś być.

Po kwadransie dzwonek zabrzączał trzykrotnie i Murek natychmiast wszedł do gabinetu. Niewiarowicz z ponurą miną i jakby ociągając się, podał mu rękę zza biurka.

— Dziwię się bardzo — zaczął oschłym tonem — że zaniedbuje pan swoje obowiązki. Nie mogę tolerować tego, bym musiał w godzinach urzędowych szukać swoich podwładnych po całym mieście.

— Byłem w Izbie Skarbowej, panie...

— To już nie należało do pana. O ile się nie mylę, wydałem panu wczoraj polecenie przekazania spraw podatkowych właściwemu referentowi. Tymczasem był pan łaskaw nie zastosować się... Tak... Zlekceważyć moje zlecenie. Ani pan Lassota, ani pan Kubinowski nic od pana nie dostali. To jest przeciwne mojemu pojęciu o porządku.

— Panie prezydencie. Bardzo przepraszam, ale sądziłem, że to nie jest aż tak pilne. Pozatem myślałem, że... zdawało mi się, że pan był zadowolony z mojego...

— Panie doktorze — przerwał Niewiarowicz — pan sądził, pan myślał, to panu wolno. Ale nie wolno panu ignorować moich dyspozycji. Tak. Ma pan ściśle określony zakres spraw i proszę do nich wrócić. Jeżeli zaś to panu nie odpowiada... Ha... Wspominał pan, iż Czakowski ciągnie pana do siebie. Cóż?... W skarbowości można zrobić karierę. Osobiście radziłbym panu... Tak. Tam dostałby pan etat...

Niewiarowicz dotychczas siedział nieruchomo i wyraźnie unikał wzroku Murka. Teraz wstał i zbliżył się do niego.

— Etatby pan dostał — powtórzył zachęcającym tonem. — Słowo daję, że życzę panu jak najlepiej. Jeżeliby pan chciał, to mogę nawet pomówić o tem z Czakowskim. Tak. Co? Murek patrzył nań szeroko otwartymi oczyma:

— Ależ, panie prezydencie — wyjąkał. — Ja wcale nie miałem zamiaru... I dlaczego?... Przepraszam, jeżeli zawiniłem i na przyszłość...

— Na przyszłość — wpadł mu w słowa Niewiarowicz — powinien pan oceniać życiowe rady. Ot co! Widzę, że panu praca w samorządzie nie odpowiada. Pan jest młody, doktorze, i życie przed panem. Tak. A tutaj co?... No, panie Franciszku, niech pan raz posłucha doświadczonej rady starego człowieka. Tak będzie najlepiej. Dla pana...

Murek oparł się ręką o krzesło. Teraz już nie wątpił, że wchodzi tu w grę owe niedorzeczne zarzuty Gąsowskiego, o których mówił Boczański. Postanowił rzecz postawić jasno.

— Panie prezydencie — zaczął — mówiono mi, że wczoraj na bankiecie radca Gąsowski wyraził w stosunku do mnie, czy do mojej przeszłości jakieś podejrzenia. Otóż zapewniam pana prezydenta, że nigdy, pod żadnym względem nie zrobiłem nic takiego, czegobym musiał wstydzić się, cobym musiał ukrywać. I jeżeli dlatego pan prezydent chce, bym się usunął, gotów jestem świadkami udowodnić...

Głos mu uwiązł w gardle. Niewiarowicz poczerwieniał i wybuchnął:

— Co pan! Co znowu! Zbiera pan jakieś idjotyczne plotki po mieście, imputuje mi pan jakieś konszachty, inwigilacje... Co za bzdury! Mnie tam nie obchodzi czyjeś gadanie. Może pan myślisz, że boję się kogoś? Że wystarczy palcem kiwnąć, żebym już dudy w miech?... Pan mnie obrażasz, panie Murek! Tak. Pan nie zdaje sobie sprawy z tego, że mówi pan do Niewiarowicza, herbu Pomian! Pluję na wszelkie stosunki. Rozumie pan? Niewiarowicze swemi szablami wyrąbali swoją niezależność. Jacek Niewiarowicz kazał biskupowi Hromieszcze wlepić dwadzieścia nahajów w goły tyłek, gdy ten ośmielił się mu grozić królewskim trybunałem! Rozumiesz pan? A pan mnie tu posądzasz o to, że się kogoś lękam?... Tak?... To jest, wybac pan, bezczelność, panie Murek...

Z rozmachem uderzył pięścią w stos papierów, aż kałamarze podskoczyły na biurku.

— Nic mnie pańska przeszłość nie obchodzi i nic niczyje gadania — sapnął, roznierwiając i burząc swoje siwe włosy, aż się nastroszyły i nad czerwoną od gniewu twarzą wyglądały, jak rozwichrzony srebrny płomień. — Pan nie masz nawet szacunku dla

zwierzchnika. Tak. Ale ja panu zakazuję występować przedemną z czemś podobnym. Ja to wykluczam raz nazawsze.

Niewiarowicz dyszał ciężko i tak był podniecony, że bez celu przekładał i przestawiał gwałtownymi ruchami różne przedmioty na biurku. Cały ten wybuch był dla Murka niezrozumiały. Wspominając o bankiecie, nie użył przecie żadnego słowa niestosownego! Nie miał najmniejszego zamiaru urażenia prezydenta i milczał teraz, ostatecznie zdezorientowany, chociaż ucieszył się tem, że owa opowiedziana przez Boczarskiego historyjka nie miała nic wspólnego z rażąca zmianą w ustosunkowaniu się doń Niewiarowicza.

Po dłuższym milczeniu Murek odezwał się:

— Bardzo przepraszam, panie prezydencie, nie miałem ani w myśli czemkolwiek pana dotknąć.

Niewiarowicz zakaszał, mruknął coś pod nosem i pochylił się nad papierami.

— Zaraz, według życzenia pana prezydenta, oddam te referaty Lassocie i Kubinowskiemu.

— Niech pan przedtem mnie to pokaże — kiwnął głową Niewiarowicz.

Murek skłonił się i wyszedł. Z miny Więcka i maszynistek wywnioskował, że podsluchiwali. Zresztą i podsluchiwać nie potrzebowali. Prezydent krzyczał na cały gmach. W każdym razie odczuł wyraźnie zmianę swojej sytuacji. Jeszcze wczoraj za podsluchiwanie zrobiłby im surową wymówkę. Dziś musiał udać, że niczego nie spostrzega.

Panna Celina, wątpa, anemiczna blondynka, przywitała Murka wystraszonem spojrzeniem. Widocznie nasłuchiwała się już od innych sprawozdań z awantury w gabinecie prezydenta.

Bez słowa otworzył szafę i zaczął wyjmować akty. Była tego spora kupa. Gdy zaczął pracować w magistracie, miał przydzielone tylko trzy referaty. Z biegiem czasu Niewiarowicz przekazywał mu coraz więcej nowych, przyczem tak się złożyło, że dr. Murek, chociaż w poborach i w randze równy innym szefom sekcji, stał się ich faktycznym zwierzchnikiem i — jak mówiono — trzął całym zarządem miejskim. Nie przysparzało mu to sympatji ani w oczach kolegów, ani wśród wielu zawistnych, rozplotkowanych i ustawicznie wzajem przeciw sobie intrygujących urzędników w mieście, w Izbie Skarbowej, w Województwie, w Starostwie i t. d. Niezasłużenie, gdyż Murek wcale nie rwał się do władzy. Poprostu lubił pracować, umiał dbać o ogólny porządek, a w swoich działach pracował tem systematyczniej, że nie wierzył w swoje zdolności do improwizacji. Myślenie, wyrabianie własnego zdania, ogarnianie jakiegokolwiek przedmiotu przychodziło mu z większą trudnością, niż innym. Już w latach szkolnych cierpiał bardzo z powodu tego upośledzenia. Niektórzy profesorzy wręcz odmawiali mu inteligencji. Do równowagi wrócił dopiero wtedy, gdy zwierzył się ze swej tragedji ś. p. doktorowi Słowińskiemu

— Mówisz głupstwa — powiedział wtedy Słowiński. — Patrzę na ciebie od czasu, gdyś jeszcze nie miał dziewięciu lat. Bądź przekonany, że uważniej i z większem zainteresowaniem obserwuję twój rozwój, niż ci pedagogzy. Nie robię im z tego zarzutu. Są jeszcze młodymi wychowawcami. Ale zapewniam cię, że w porównaniu z twoimi kolegami, nie jesteś ani o jotę głupszy. Wiesz tyle, co oni, a rozumiesz może więcej. Nie masz tylko owej lotnej inteligencji, owej błyskotliwości umysłowej. Myślisz wolniej, lecz nie znaczy to, byś myśleć nie umiał.

Słowa te głęboko zapadły w pamięć Franciszka Murka, uratowały go przed utratą wiary w siebie, pozwoliły mu przebrnąć przez ostatnie lata gimnazjum i wydział prawny Uniwersytetu, wreszcie wskazały metodę pracy samodzielnej i dały kamerton w jego ustosunkowaniu się do ludzi, nakazując powściągliwość w reakcjach, opanowanie impulsów, działanie po dojrzałym namyśle.

Dlatego właśnie po upływie pół godziny, wracając z pliką teczek do gabinetu Niewiarowicza, nie miał jeszcze gotowych wniosków, nie wyrobił sobie zdania o zachowaniu się prezydenta i postanowił nie śpieszyć z zabiegami o wyjaśnienie pobudek i celu jego działania.

Niewiarowicz już się uspokoił, a chociaż unikał podawnemu wzroku Murka, rozpytywał go tonem niemal życzliwym o szczegóły przedstawionych przezeń referatów. Przy nim też wezwał Lassotę, Kubinowskiego i Jelczę, oddając im papiery i zaznaczając, że dr. Murek jest przeciążony nadmiernie cudzą robotą.

Gdy zostali sami, podszedł do okna i nieodwracając się, powiedział:

— Na pańskim miejscu, doktorze, pomyślałbym o przeniesieniu się do jakiejś innej instytucji. Mówię to dla pańskiego dobra.

Zrobił dłuższą pauzę i dodał:

— Stałe stanowisko, etatowa posada, to wielka rzecz.

— Zapewne — przełknął ślinę Murek.

— O, widzi pan. A w samorządzie dziś o etaty trudno. Co to trudno! Niema najmniejszej nadziei. Tak.

— Ja też nie liczyłem na etat — pośpieszył zaznaczyć Murek.

— Nie liczył pan?... Bardzo słusznie. Ba, może dojść do obniżki uposażeń. Ministerstwo krzywi się na wysokość budżetów w samorządach. Zwłaszcza na koszty administracji. Tak. Tymczasowa rada miejska też mnie ciśnie. Hm... Nie wiem, czy nie będę zmuszony przeprowadzić... redukcji. Tak... hm... właśnie redukcji...

Odwrócił się, obciągnął marynarkę, chrząknął i zapalił papierosa, a raczej usiłował go zapalić, bo mu zapalki jedna po drugiej gasły. Murek wydobyl swoją zapalniczkę i podał Niewiarowiczowi ogień.

Prezydent zerknął ku niemu i powiedział:

— No, doktorze, ale trzeba zabrać się do roboty. Dowidzenia!...

Murek wrócił do swego pokoju i zabrał się do pracy. Szybko załatwił bieżące sprawy, poczem wyszedł do poczekalni, by rozsegregować interesantów. Woźni jeszcze nie wiedzieli o nowym podziale kompetencji: trzeba było petentów skierowywać do Lasoty, Kubinowskiego, Jelczy, lub też zostawić sobie. W związku z tem wynikło pewne zamieszanie, tem większe, że jak zwykle pod koniec miesiąca, interesantów było wielu. Do pierwszego grudnia zostawało trzy dni.

Przypominał o tem nietylko napływ roboty w magistracie lecz i przyroda. Zima nadchodziła szybkim krokiem. Od południa zaczął padać śnieg. Pokrył białą warstwą dach dwupiętrowej kamieniczki naprzeciw, drzewa przed cukiernią Kesla, ratuszowe sztachetki i sięgające okien kopulaste tuje. W biurze zrobiło się bardzo jasno i zdawało się cieplej, chociaż mróz wzrastał, a śnieg nie przestawał padać.

Okolo czwartej, gdy wychodził z magistratu, spotkał Murek panie Horzeńskie. Matka w szerokim karakułowem futrze wyglądała pękato i ciężko przy Nirze, jeszcze, zdawało się, wyżej i wysmuklejszej w popielicowym żakiecie, który jej sięgał zaledwie do bioder, odsłaniając całą długość nóg, obciągniętych wąską spódnicą z szorstkiego angielskiego materiału.

Obie panie obładowane były paczkami. Wychodziły właśnie ze sklepu Rubinkrauta i ucieszyły się ze spotkania kogoś, gotowego do uwolnienia ich od ciężaru.

— Tylko do dorozki — usprawiedliwiała się pani Horzeńska — sądzę, że znajdziemy je przy rogu.

Przy rogu jednak okazało się, że lepiej przejść się i Murek odprowadził je aż do willi.

— Nie jest pan dzisiaj specjalnie rozmowny — powiedziała mu na pożegnanie Nira z odcieniem niezadowolenia.

— Ja? — opamiętał się. — Ale cóż znowu!...

— Słowa z pana nie można wydobyć.

Pani Horzeńska uśmiechnęła się i konwencjonalnie dodała:

— Cóż, to przywilej zakochanych...

— Przesadzasz, mamó — odezwała się Nira. — Pan Franek nawet nie ucieszył się z naszego spotkania...

Spojrzał na nią z wyrzutem. Już chciał powiedzieć, że nie powinny gniewać się na jego humor, gdyż miał w biurze rozmaite przykrości, ale ugryzł się w język. Natomiast przypomniał sobie, że Jabłkowski, dzierżawca placów tenisowych w miejskim parku, zawiadomił go o otwarciu ślizgawki. Zapropomował też Nirze, by poszli tam wieczorem.

— A dobrze — ożywiła się. — Niech pan wstąpi po mnie o siódmej. Mamó, nie masz nic przeciwko temu?

— Nie, jeżeli pan mi obieca, że nie zaziębi Niry...

— Obiecuję najsolenniej.

— Więc do siódmej!

— Rączki całuję.

Zawrócił w stronę klubu, lecz przeszedł mimo. W klubie spotkałby wielu kolegów, a nie chciał ich widzieć. W restauracji Wiecheckiego obiad kosztował o trzydzieści groszy drożej, ale było pusto. Jadł bez apetytu, zato wypił kilka większych wódek, bo gryzły go myśli.

Nie rozumiał, co mogło wpłynąć na zmianę ustosunkowania się doń Niewiarowicza. Jako urzędnik, nic nie miał sobie do wyrzucenia. Jeżeli zaś wchodziły w grę owe fantastyczne „szkielety w szafie”, o których mówił mecenas Boczarski, to popierwsze nigdy do żadnych organizacji nie należał, polityką nie zajmował się, prawomyślności swojej mógł dowieść, a powtóre sam prezydent najkategoryczniej wykluczył podobne insynuacje.

— Zatem, co się stało? — zachodził w głowę.

Bo jednak coś się stać musiało. Nie mogło to wszystko spaść z nieba wraz z pierwszym śniegiem. I skąd nagle prezydent doszedł do doradzenia mu Izby Skarbowej?... Albo te napomnienia o oszczędnościach w magistracie, o redukcjach?... Nie zamierza go chyba nastraszyć i w ten sposób przygotować do obniżki pensji. Dla Murka jakakolwiek obniżka byłaby ciosem poważnym ze względu na owe raty, którymi spłacał zamówione meble, no, i ze względu na jego przyszły rodzinny budżet...

— Co się stało? — powtarzał sobie w kółko i w kółko wracał od jednej myśli do drugiej. Nie umiał jednak znaleźć z nich wyjścia. Wypił jeszcze kieliszek wódki i zgniewał się:

— A niech sobie będzie, jak ma być!

Zapłacił i poszedł do domu przebrać się, a pięć przed siódmą dzwonił już do drzwi willi Horzeńskich. Nie chcąc zdejmować kożuszkę, czekał w przedpokoju dobre pół godziny, zanim wybiegła Nira, ubrana cała na białą i jeszcze piękniejsza (w tym stroju nikt jej piękności nie może odmówić — pomyślał), niż zawsze. Trochę skrzywiła się, że nie wziął dorożki, ale ostatecznie orzekła, że powietrze jest cudowne i nawet nie chciała oddać narzeczonemu swoich łyżew, którymi dzwoniła wesoło.

Właściwie nigdy dotychczas nie zdarzyło się, by mogli tak długo być we dwójkę i to rozpromieniło Murka. Nira była swobodniejsza, prawie radosna i niemal zalotna. Patrzył w nią, jak w słońce.

— Boże! — mówił prędko, jakby chciał zdążyć powiedzieć jej jak najwięcej. — Boże! Jaka pani jest cudna. To trudno sobie wyobrazić, że to nie fantazja, ale rzeczywistość, że to się stanie, że nikt inny, tylko właśnie ja, że...

— Ale co „że”!? — śmiała się. — Niechże już pan skończy.

— Przez całe życie nie skończę. To tak, jak litanja, czy jeszcze lepiej: nowenna do pani. Wie pani, że nieraz czytałem o miłości, ba, widziałem ludzi, którzy się kochają, ale nigdy nie wyobrażałem sobie, że w tem niema krzty przesady! O, ja i panią nauczę kochać tak mocno, tak szalenie, jak ja. Panno Niro! Zobaczysz pani, jakie to olbrzymie szczęście...

— Przecież kocham pana — wtrąciła lekko.

Aż zatrzymał się na chwilę:

— Kocha mnie pani?... Kocha?... — mówił nagle scichłym głosem. — Niech pani to powtórzy, panno Niro, proszę powtórzyć!...

— Oj, nudzi pan — zlekka się zniecierpliwiła.

— A widzi pani... — zawyrokował melancholijnie.

— Już się pan robi ślamazarny?

— Nie, nie — ożywił się Murek. — Ale ja panią zarażę swoją miłością...

Nira spojrzała nań poważnie:

— Niech mi pan najpierw powie, co to jest miłość?

— A pani nie wie?

— Wiem — odpowiedziała stanowczo. — Miłość, to płomień, to szaleństwo, to ślepotą, to chęć zatracenia samej siebie, wtopienia się w kochanego człowieka. Bez reszty. To chęć, to potrzeba unicestwienia swojej woli, psia uległość i szczęście rodzące się pod dotykiem ręki... Pod każdym dotykiem, czy to będzie pieszczota, czy uderzenie...

Patrzyła wprost w oczy narzeczonemu, lecz zdawała się go nie widzieć i mówić, jakby do siebie:

— Miłość, to cierpienie, to upodlenie, to niewolnictwo... a przytem... nie przytem, lecz właśnie dlatego największa rozkosz! To wieczny, nienasycony głód, to przenikająca każde włókno tęsknota, tęsknota nigdy niezaspokojona, bo w najzupełniejszym zespoleniu

żyje strachem przed następną chwilą rozstania. To żądza wchłonięcia, zjednoczenia się, zidentyfikowania... bodaj w śmierci.

Umilkła i szli obok siebie zamyśleni.

— Straszna to miłość — odezwał się po dłuższej przerwie Murek. — Straszna, dra-
piezna i krwiożercza...

— To prawda — przyznała poważnie.

— Może tak kochają dzicy ludzie, jacyś buszmeni, czy inni ludożercy — powiedział z uśmiechem.

Nira potrząsnęła głową:

— Nic pan nie wie! Ludożercy! Niech rozbiorą nas z tych sukien, z tych konwenansów, z przymusów dobrego wychowania...! Niech pozwolą każdej wykrzykiwać swoje najskrytsze pragnienia, a każda kobieta, słyszy pan, każda będzie buszmenką, bo każda tylko takiej miłości pragnie.

Murek oburzył się:

— No nie, na to się nie zgodzę. Pierwsza pani, panno Niro, nie byłaby zdolna do takiego... rozwydrzenia!

W jego głosie zabrzmiało tyle mocnego przeświadczenia, że spojrzała nań i wybuchnęła śmiechem.

— Ciekaw jestem, czy byłaby pani szczęśliwa, gdybym według tego przepisu uderzył panią! Ja przepraszam, ale to słowa pani.

Zaśmiała się jeszcze głośniejsze i długo nie mogła się uspokoić:

— Gdyby pan uderzył?... O, mój Boże... Nie, ja uduszę się ze śmiechu!... O, zapewniam pana, że nie sprawiłoby to mi żadnej przyjemności. I on już przepraszal... Ratunku!

— Nie widzę w tem nic zabawnego — skrzywił się.

— Niech pan powie, panie Franku, jak pana kochały kobiety?

— Jakto kochały?

— No, przecież musiał pan do swoich lat trzydziestu mieć chociażby kilka romansów?

Oczywiście, miał, lecz mówienie o tem z Nirą uważałby za najwyższą nieprzyzwoitość. Ponieważ jednak nie chciał kłamać, powiedział wymijająco:

— Nie sądzę... To jest wiem napewno, że dotychczas w żadnej kobiecie nie wzbudziłem jakiegokolwiek poważniejszego uczucia.

Nie miało się to z prawdą. Przygodne i krótkotrwałe związki w jego życiu obywatela były bez głębszych uczuć. Jedną tylko Zunią Bolczówną, u której rodziców mieszkał w Stanisławowie, gdy pracował w Kasie Chorych, twierdziła, że go kocha. Okazało się jednak, że jednocześnie polowała na małżeństwo z porucznikiem Dołkiem, za którego też wkońcu wyszła.

— A pan, panie Franku, też nigdy nie kochał? — zapytała Nira.

— Owszem. Nawet uważałem to za mój obowiązek...

— Co? Kochanie się? — zdziwiła się.

— Nie. Powiedzenie o tem pani. Kochałem się będąc studentem. W pewnej denty-
stce...

— W dentyście? — Nira z trudem powstrzymywała się od parsknięcia śmiechem.

— Tak, ale to była miłość bardzo naiwna, młodzieńcza i zresztą niefortunnie ulokowana. W każdym razie miłość zupełnie inna od tej, którą kocham panią.

Nira swobodnie wzięła go pod rękę i pochylając się szepnęła:

— Ta też jest źle ulokowana.

— Nie powiedziałyby pani słowa „też”, gdyby... Tamta kobieta niegodna była nawet spojrzeć na panią. Była uosobieniem fałszu i brudu.

— O?... Uwodziła swoich pacjentów?

Murek nie odpowiedział, więc westchnęła i dodała:

— W każdym razie cieszę się, że dopuszcza pan możliwość istnienia kilku rodzajów miłości. Niech pan patrzy co za tłok!

Rzeczywiście w parku pełno było ludzi. Koncertowa koncha rozbrzmiewała dźwiękiem walca z płyty gramofonowej, spotężniałym dzięki wielkim megafonom. Na lodzie kręciło się kilkadziesiąt osób. Murek przypiął łyżwy narzeczonej i sobie. Ślizgał się do-

brze, a chociaż zamało tu było miejsca do popisu jazdą figurową, Nira od razu oceniła jego umiejętność.

Była wyjątkowo wesoła, rozbawiona, wyglądała ślicznie. Aż oczy rwała. Wszyscy znajomi i nieznajomi mężczyźni przyglądali się jej z nieukrywanym zachwytem. Co zaś najbardziej brało Murka i napełniało go dumą, to owa obojętność, z jaką Nira odnosiła się do całego otoczenia. Zdawała się nie spostrzegać strzelistych spojrzeń, zajęta wyłącznie sobą i towarzyszem.

— Co to jednak znaczy wychowanie, — myślał Murek — takt, umiejętność zachowania swobody przy jednoczesnym zignorowaniu zachwyków. To jest klasa panien z dobrego domu.

Przed dziewiątą odwiózł Nirę do domu. Na pożegnanie dowiedział się rzeczy przykrej.

— Jutro niech pan nie dzwoni — powiedziała — o jedenastej rano wyjeżdżam z mamą do Warszawy. Jeżeli pan chce, może pan przyjść na dworzec.

— Do Warszawy? — zmartwił się.

— Nie na długo. Dwa, trzy dni. Po sprawunki.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Horzeńscy często bywali w Warszawie. Zwłaszcza panie. Jednak tym razem niepokój ogarnął Murka. Przekonywał siebie, że nie ma to sensu, że niepokój wynika z ogólnego zdenerwowania, jednak nazajutrz przyszedł na dworzec ponury. Ulokował panie w przedziale i długo spoglądał za znikającym pociągiem.

Wróciwszy do magistratu, znalazł na biurku bilet wizytowy Niewiarowicza. Bilet miał zagięty rózek. Panna Celina wyjaśniła, że prezydent wstąpił tu przed kwadrans, bardzo się zirytował i zostawił kartkę.

— Co mówił?

— Ja nie słuchałam — zaczerwieniła się panna Celina... — Coś tam, że... „znowu go niema”...

Murek natychmiast poszedł do Niewiarowicza, lecz sekretarz oświadczył mu, że prezydent nikogo nie przyjmuje. Uśmiechnął się przytem dwuznacznie.

Po godzinach urzędowych dr. Murek w fatalnym nastroju wrócił do domu bez obiadu. Drzwi otworzyła służąca Karolka. Wystrojona było w odświętną sukienkę i wiało od niej mocnym zapachem perfum. Od kilku tygodni, odkąd tu służyła, nie widział jej w takiej gali, ani w takim usposobieniu. Przewracała oczami, krygowała się, a nawet wyglądała ładniej niż zwykle. Tajemnica tej metamorfozy szybko wyszła najaw. Okazało się, że pani Rzepecka wyjechała na cały tydzień do siostry w lubelskie.

— A Karolka co? Zamąż wychodzi, że taka strojna?

Wyszczrzyła w uśmiechu mocne, szerokie zęby:

— Eee... zamąż... ktoby tam zaraz żenić się chciał.

Zdjął palto i jakoś mu się weselej zrobiło.

— A Karolka chciałyby? — spojrzał na nią życzliwie.

Nie mogła jeszcze mieć trzydziestki, chociaż nacodzień, w brudnej potarganej spódnicy i w wypłowiałym swetrze, wyglądała prawie staro.

— Ci... pewno — poruszyła szerokimi biodrami — bez chłopa cni się.

Uznał, że dość poufałości, chrząknął i skierował się do siebie. Karolcia ociągając się, ustąpiła mu z drogi i powiedziała za nim:

— A panu doktorowi to już dziś zimno nie będzie. Nabuzowałam w piecu, że aż trzeszczy.

— Dziękuję Karolce.

— Proszę bardzo. Ja dla pana zawszeby, tylko ta stara choroba skąpa, pies na każdą szczapę.

W obu pokojach Murka rzeczywiście było aż duszno. Chciał otworzyć któreś okno, lecz wszystkie były opatrzone na zimę i poobklejane papierem. Zdjął marynarkę i wyciągnął się na kanapie. Starał się zacząć myśleć spokojnie i systematycznie o swojej sytuacji, lecz z salonu rozległy się gwizdy, piski, a wreszcie jakaś melodia. Karolka nastawiła radio. Używała swobody. Już zamierzał wstać i zburzyć ją za to, gdy zjawiła się sama:

— Czy panu nie przeszkadza, że ja gram na radju?

— Nie, ale żeby Karolka nie zepsuła. Lepiej nie ruszać.

— A co tam zepsuć? — wzruszyła ramionami — stara wszystko powyłączała i myślała, że ja nie potrafię puścić. Ale jak pan nie chce, to mogę nie grać.

— Lepiej nie — powiedział pedagogicznie.

Karolka stała w dalszym ciągu przy drzwiach, a po chwili odezwała się:

— Chciałabym coś zapytać, tylko nie śmiem...

— No co?

— A dlaczego pan doktor nie leczy ludzi tak, jak wszyscy doktorzy?

Ubawiło go to, lecz cierpliwie i rzeczowo wytłumaczył jej, jaka różnica jest między tytułem doktorskim a zawodem lekarskim.

— Aha — zrozumiała — a co to, pan na obiad dziś nie pójdzie?

— Nie. Nie mam ochoty.

— To jakże tak?... O! Tak nie można. Chłop musi swoje zjeść.

Pomimo protestów Murka uparła się, że mu coś przyrządzi. Nie upłynęła godzina, gdy zjawiała się, z patelnią jajeczniczy, przysmażoną kielbasą i z butelką wódki. Nakryła serwetką stół i Murek zwróciwszy jej wydatki zabrał się, z apetytem zresztą, do jedzenia.

— Kieliszki choroba pozamykała. Musi pan po chłopsku szklaneczką pić — kręciła się koło stołu Karolka — a wie pan doktor, że ta nasza stara to mówi, że pan za przeproszeniem z chłopów. Przez złość tak mówi.

— Bo to prawda — potwierdził Murek.

— Ale też! Nie taka ja głupia. Jakby pan był z chłopów, toby pan był alfabetą, a nie doktor. Tylko ta stara, to taka wiedźma, choroba. Ona mówi, że panu zachciało się z dziewcziczką z Czolnów żenić, ale, że oni, niby jejna rodzina, to nosem kręci. A że niby sama panna, to u niej pan nic mieć nie może, bo strasznie już dbająca. Żeby dopiero po ślubie. Jakby tak kręcili nosem, to coby się tak o ten ślub strzymywała! No nie?

Murek zmarszczył brwi:

— Cóż to panią Rzepecką może obchodzić!

— A właśnie. Pewnie — przytaknęła Karolka — a jak przyjdzie do kuchni to furt pańską osobą sobie tę krzywą gębę wyciera. Co ona nie gada!... Jak ta sklepniczarka sprzeciwka mówiła, że pan doktor to w magistracie każdą jedną urzędniczkę za kochankę ma, to nasza stara, że broń Boże, że pan całkiem bez kobitów się obchodzi, bo pan, jakoś to ona mówiła, namunista, czy co?... Ale mówi, że to lepiej jak z takimi owcami, co to każdego jego kawalerskie prawo. Ale ja tam nie wierzę...

— Najlepiej będzie — z gniewem przerwał jej Murek — jeżeli Karolka przestanie gadać głupstwa. I wogóle nie wtrącać się do cudzych spraw!

— Ja też — zaczęła, lecz powiedział jej ostro:

— Proszę już iść do siebie!

Gdy zamknęły się za nią drzwi, zerwał się i zaczął chodzić po pokoju, wyrzucając przez zaciśnięte zęby przekleństwa. Nigdy nie przypuszczał, że jest tematem rozmów i to takich rozmów.

— I co ja ich wszystkich obchodzę! — wściekał się.

Ze złości wypił prawie całą butelkę wódki. Alkohol trochę go uspokoił. Zaczął nawet żałować, że skrzyczał Karolkę. W każdym razie jej informacje tak zniechęciły go do ludzi, że postanowił już nie wychodzić. Rozebrał się i położył do łóżka, chociaż zaledwie było po siódmej. Ledwie zgasił światło zapukała Karolka.

— Muszę zabrać naczynie — wyjaśniła — o jej, jak tu ciemno! Pan już śpi?

— Śpię — odpowiedział krótko.

Potyknąwszy się o krzesła, szła w ciemności.

— Niech Karolka zapali światło.

— Oj, nie mogę, bo się wstydzę. Ja już też rozebrana...

Zawadziła o łóżko. W nozdrza Murka uderzyła fala zapachu perfum i potu. Krew od razu zabębniła mocniej. Wyciągnął ręce. Pochyliła się nad nim. Dotyk szorstkiej płóciennej koszuli i ciepłego gładkiego ciała. Przemknęło mu przez nerwy wspomnienie jej szerokich bioder i grubych muskularnych łydek. Poderwał się i przyciągnął ją do siebie. Silnie, sprężyste przywarła doń całym ciałem.

— Ty, głupia — wykrztusił przez zaciśnięte szczęki.

— O jej — szepnęła.

I więcej nie zamienili słowa. O świcie słyszał przez sen brzęk talerzy i sztućców. Musiała sprzątać ze stołu.

Obudził się codziennym nałogiem o siódmej. Okna iskrzyły się mroźną śniegą. Pod bokiem coś uwierało dotkliwie. Namacał czarną grubą szpilkę od włosów, obejrzał ją z niedowierzaniem, zwolna położył na nocnej szafce i mruknął:

— Psiakrew!

Karolka przyniosła śniadanie. Kawę, bułki i masło, oraz gazetę. Powiedziała „dzieńdobry”, lecz nie spojrzała mu w oczy. Umyślnie nie zabrał się do śniadania, nim krzątała się po pokoju, zabierając ubranie i buty do czyszczenia. Wziął gazetę i z przyzwyczajenia zaczął przeglądać. Był to „Głos Poranny”, mała gazetka miejscowa, wydawana przez Związek Pracy Obywatelskiej. Poza przedrukami z pism stołecznych zawierała zawsze sporo wiadomości z miasta, z urzędów, z województwa. W oczy rzucił się czarny dwuszpaltowy tytuł: „Zmiany w magistracie”. Krótką notatkę przeczytał jednym tchem:

„Jak dowiadujemy się, w naszym magistracie w najkrótszym czasie nastąpią zmiany na kilku stanowiskach. Mianowicie ustępuje dotychczasowy szef sekcji bruków, wodociągów i kanalizacji, dr. Franciszek Murek. Sekcję tę obejmie referent aprowizacji, p. Paweł Jelca, którego miejsce zajmie inż. Wacław Pośnik z wydziału rachuby”.

Murek czuł, że mu krew ucieka z twarzy. Przeczytał notatkę jeszcze raz. Ręce drżały i musiał je oprzeć o koldrę.

— Bzdury! To niemożliwe! — krzyknął głośno.

Zmiał gazetę i cisnął nią pod piec, lecz już po chwili wyskoczył z łóżka, by ją podnieść. Ubierał się gorączkowo, z nienawiścią spoglądając na zadowoloną, półuśmiechniętą twarz Karolki. Śniadania nie jadł. Na ulicy hamował się, by nie biec.

Pannę Celinę zastał zapłakaną. Nie zwrócił na to uwagi. Woźny, odbierając odeń palto, powiedział:

— Pan sekretarz Więcek prosił, aby pan doktor zaraz do sekretarjatu...

— Dobrze.

W biurze musiano już czytać „Głos Poranny”. Wszyscy, których spotykał, patrzyli nań ze szczególniejszą uwagą. Więcek przywitał go dyskretnym uśmiechem.

— Niewesoły liścik mam dla pana doktora. Oto tu — wskazał zapieczętowaną kopertę — Ale będzie pan łaskaw pokwitować odbiór.

Podsunał Murkowi książkę i wskazał rubrykę. Murek podpisał się i już teraz wiedział, że wiadomość w „Głosie” nie jest zmyślona.

— Cóż to — starał się zdobyć na uśmiech — wypowiedzenie?...

Więcek rozłożył ręce.

Koperta zawierała krótkie urzędowe pismo według stereotypowej formułki. Z dniem pierwszym grudnia... wskutek redukcji... w związku z reorganizacją... na podstawie artykułu takiego-to...

Nowe było tylko jedno: miał natychmiast zwrócić się do kasy, celem otrzymania należnych poborów za trzymiesięczny przepisowy okres wypowiedzenia. Oznaczało to, że chcą pozbyć się go odrazu.

Usiłując zachować spokój, schował pismo do kieszeni i zapytał:

— Czy... redukcja objęła dużo osób?...

— No — z wahaniem odpowiedział Więcek. — Zamierzona jest szerzej... Ale narazie dotyczy tylko pana doktora i panny Celiny.

— Tak... — potrząsnął głową Murek. — No, trudno. Czy już jest pan Niewiarowicz?

— Panu chodzi o świadectwo?... Mam je przygotować na jutro i przesłać do kasy, gdzie razem pan doktor je odbierze z...

— Ach, mniejsza o świadectwo. Chciałem jednak rozmówić się z prezydentem.

Więcek zrobił ruch ubolewania.

— Bardzo żałuję, ale... pan prezydent już zapowiedział, że nie będzie miał czasu pana przyjąć.

— Ani jutro?

— Ani.... wogóle. Pan prezydent jest teraz bardzo zapracowany.

Murek nie odpowiedział ani słowa i wyszedł.

ROZDZIAŁ II

Do Izby Skarbowej przyjęto trzech nowych urzędników. Dyrekcja poczt rozpisła konkurs na jedno z kontraktowych stanowisk, przyczem od kandydatów żądano ukończonych studiów prawniczych. Dyrekcja robót publicznych zaangażowała cztery osoby. O wszystkich tych wolnych miejscach dr. Franciszek Murek dowiedział się w porę i wszędzie złożył podania wraz z odpisami świadectw. Wszędzie napróżno, chociaż — o ile przez znajomych został poinformowany — jego kwalifikacje w wielu wypadkach były najlepsze.

W ciągu pierwszych kilku tygodni nie przejmował się tem zbyt. Sam przecie, zajmując jedno z kierowniczych stanowisk w magistracie, miał nieraz powód do narzekania na brak wykształconych, dzielnych i godnych zaufania pracowników. Wyrobił sobie nawet dość ujemne zdanie o bezrobociu wśród inteligencji.

— Ci ludzie albo nie umieją, albo nie chcą pracować — mawiał nieraz, gdy naciskał go kierownik pośrednictwa pracy w Związku byłych działaczy niepodległościowych, inżynier Weicht.

Teraz, kiedy musiał sam się u niego zarejestrować, czuł się trochę nieswojo. Tembardziej, że wkrótce po magistrackiej dymisji w Związku zaproponowano mu, by ustąpił z Zarządu, a to dla dobra zrzeszonych. Wbrew zapewnieniom Murka, uważano tu, że jego udział w Zarządzie będzie niewsmak prezydentowi Niewiarowiczowi.

Nie upierał się. Wyszedł z posiedzenia obrażony. Postąpił jednak źle. Za przykładem bowiem Związku poszły niemal wszystkie organizacje do których należał. Nawet Bezpartyjne Zjednoczenie Pracy Państwowej, gdzie był bodaj najczynniejszym członkiem. Wyzyskano tu małą nieformalność: nie wpłacił w porę składki członkowskiej i został skreślony, chociaż niemal wszyscy z wpłatami zalegali po pół roku lub dłużej.

— Mam złą passę — zagryzał wargi dr. Murek — ale to nic. Musi się odwrócić.

Tymczasem nie odwracało się. Zasób gotówki wyczerpywał się z wolna, lecz stale. Pomimo poważnych oszczędności woreczek irchowy, noszony na piersi pod koszulą, chudł z tygodnia na tydzień. Od pani Rzepeckiej trzeba było wyprowadzić się i zamieszkać w jednym pokoiku przy ulicy Dojazdowej u rodziny emerytowanego kolejarza. O tyle tu było lepiej, że miał osobne wejście przez sionkę. Wprawdzie nie miał wcale gości, lecz wolał być nieskrępowany. Jediną osobą, która przychodziła tu od czasu do czasu, była służąca z dawnego mieszkania, Karolka.

Przynosiła listy, które wciąż nadchodziły pod dawnym adresem. Zresztą przychodziła rzadko, wtedy tylko, gdy udało się jej zwiść czujność podejrzliwej wdowy. Korespondencja, jaką dostarczała Murkowi składała się wyłącznie z odpowiedzi na jego podania i to z odpowiedzi wciąż odmownych. Dziewczyna musiała przedtem odczytywać te listy, gdyż widocznie orjentowała się w sytuacji Murka, chociaż nigdy z nią o tem nie mówił. Wogóle nie mówili ze sobą. Poza kilku zdaniem na temat pani Rzepeckiej nie mieli sobie nic do powiedzenia. On uważałby za rzecz śmieszną i niestosowną dzielenie się z nią swojemi nadziejami i troskami. Ona pogodziła się z tem bez słowa sprzeciwu, a całe współczucie dla pana doktora wyładować umiała w niezmiennej gotowości dostarczenia mu samej siebie. Raz wprawdzie przyniosła dwa kawałki pieczonej kaczki, resztkę po świątecznym przyjęciu u pani Rzepeckiej, lecz zbesztana i wyśmiana, nie zrobiła już tego więcej.

Spędzali ze sobą krótkie półgodzinki, które dla Murka były tylko chwilowem odwróceniem się od rzeczywistości. Po nich jeszcze czarniejsze przychodziły myśli i jeszcze dokuczliwsze refleksje. Już to, że wstydził się wizyt Karolki, że pokryjomu wpuszczał ją przez sionkę, że odnosił się do tej dziewczyny po zwierzęcemu, — napępniało go gorczyzą do siebie. A już wręcz gardził sobą za to, że w brudny sposób zdradza narzeczoną, że znieważa swoją miłość do Niry.

Nie pomagały żadne spekulacje i targi z sumieniem, żadne usprawiedliwienia i argumenty. Ogarniało go przerażenie na myśl, że Nira mogłaby w jakiś sposób o wszystkim się dowiedzieć. Na szczęście nie wróciła jeszcze z Warszawy. Murek przed Bożem Narodzeniem otrzymał od niej krótką kartkę. Pisała, że leży chora na grypę, a po chorobie zapewne nie będzie mogła wracać od razu z obawy przed powtórnem zaziębnieniem.

Murek pisał do niej regularnie dwa razy na tydzień. Uważał, że więcej nie wypada, lecz objętość każdego listu wciąż wzrastała. Oczywiście ani myślał rozpisywać się o swoich kłopotach. Bał się, by widząc nowy i tym razem uzasadniony powód do odroczenia

ślubu, nie zaczęła patrzeć na ich narzeczeństwo, jak na rzecz nierealną. Dlatego tylko mimochodem wspomniał o swoim ustąpieniu z magistratu i dodał, że w najbliższym czasie obejmie bardzo dobre stanowisko.

Nira na listy, swoim zwyczajem, nie odpisywała. Zresztą nie pisywała też do domu, jak o tem przekonał się w sam dzień Nowego Roku. Naogół unikał spotkania z Horzeńskim, lecz w tym dniu przyzwoitość nakazywała złożyć w willi przy ulicy Wielkiej życzenia. Wybrał się umyślnie o piątej, by nie zastać gości.

Pan Horzeński wyszedł doń w szlafroku i przywitał z ostentacyjnym chłodem:

— Dziękuję panu za życzenia, chociaż, przyznam się, nie spodziewałem się tej wizyty.

— Jakże, proszę pana — zaczął Murek, lecz Horzeński przerwał mu odrazu:

— Po tem, co pan nam zrobił... Nie, proszę pana. Nawet dziwię się, że uważał pan za możliwe zaszczyścić mój dom.

Murek przestraszył się:

— A cóż ja zrobiłem?...

— Niezłe pytanie! — ironicznie zaśmiał się Horzeński.

— Zapewniam pana, że zostałem zredukowany bez żadnego powodu. Słowem honoru ręczę, że nie popełniłem najmniejszego nadużycia! Jeżeli zaś chodzi o to, że chwilowo nie mam posady... Jestem przekonany, że w najbliższym czasie coś odpowiedniego znajdę. W każdym razie córka szanownego pana, jako moja żona, proszę mi wierzyć, będzie miała byt zapewniony. Jestem młody, energii mi nie brak...

Horzeński niecierpliwie machnął ręką:

— A cóż mnie to obchodzi!? Do stu djabłów, co mnie obchodzi, czy pan masz posadę, czy nie?... Chyba nie imaginujesz pan sobie, że wydamy Nirę za pana?

— Ależ... ja nie rozumiem...

— Taki pan naiwny? A jeszcze doktor praw! Zaprzepaścieś mi pan jedyną okazję rątku! Ja tak panu ufałem, że sam już nie wtrącałem się w te rzeczy, a pan póty zwlekał z zakupieniem przez miasto Fastówki, aż pana wyleli! Ja omal tego życiem nie przypłaciłem, słyszysz pan?! Przez pół roku zwodzić, zwlekać... oszukiwać! Tak, bo to już oszustwo!... Jestem zrujnowany! Nie pozostaje mi teraz nic innego, jak z pudełkiem od sardynek iść pod kościół. No! Ja panu tego nie przebaczę. Wolno panu być głupcem, ale na własną odpowiedzialność. Teraz przepadło. Kupują już grunty od wschodu. Jakiś tam Żelazikowski, hycel, parwenjusz, obłowi się.

Czerwony i wściekły potrząsnął nad głową Murka pięściami:

— I ja zaufałem panu!... Niedorajda! Zachciało mu się wywrotowej polityki!... Coś pan Hitlerem, czy Mussolinim, czy innym Witosem chciał zostać! Tfu!... I ja na Związku Ziemiaków muszę za takiego jegomościa oczami świecić. „Naręczony pańskiej córeczki podobno w tajnych partjach rej wodzi...” Tfu! Jeszcze gotowi mnie posądzić, że z panem mam coś wspólnego!...

— Ależ... — próbował zacząć Murek, lecz Horzeński wrzasnął:

— W nosie mam pańską politykę! Ale jak ktoś chce coś zrobić, to niechże potrafi to ukryć! Rozumiesz pan?... A tak pana wyleli, a cała nadzieja na Fastówkę przepadła...

Rzucił się na fotel i sapał, ruszając gwałtownie wąsami. Murek tymczasem zdołał się opanować i powiedział spokojnie:

— Myli się pan. Nigdy ani panu, ani nikomu nie obiecywałem przeprowadzić w magistracie sprawy Fastówki.

— Jakto?...

— Nietylko nie obiecywałem, lecz najwyraźniej w świecie powiedziałem, że byłoby to wbrew interesom miasta.

— I cóż z tego, że wbrew? Mało to rzeczy robi się wbrew? Zbżikował pan chyba!

— Ale ja jestem uczciwym człowiekiem...

— Poczcwiym — zjadliwie poprawił Horzeński. — I cóż pan z tej swojej uczciwości masz?... Co?... Wyrzucili pana za drzwi. I ani Fastówki, ani posady. Wyrzucili za drzwi... Fiut i niema.

Murkowi krew uderzyła do głowy:

— To się jeszcze pokaże!

— Niby co?

— A to, że ja do magistratu wrócę.

— Et — machnął rękami Horzeński.

— Jeżeli rzeczywiście postawiono mi za mojemi plecami zarzut jakiejś politycznej nieprawomyślności, udowodnię, że to jest wysane z palca. Ja nigdy nie należałem do żadnej partji, do żadnej organizacji politycznej. A zresztą to wszystko plotki. Prezydent Niewiarowicz zapewnił mnie, że w te banialuki nie wierzy...

— Tak? Nie wierzy?... — zaśmiał się Horzeński. — Otóż powiem panu: Możesz pan mydlić oczy komu pan chcesz, tylko nie mnie, bo mnie to nic nie obchodzi. Teraz już ani ziębi, ani parzy. Ale pan musisz sam doskonale wiedzieć, za co pana wydalono, skoroś nie protestował. To raz. A powtóre tenże prezydent Niewiarowicz mówił głośno na imieninach u wojewody, że pan podszedłś go, ukrywając swoją przeszłość polityczną. Dość wyraźne, czy nie?

— To bezczelne oszczerstwo! — wybuchnął Murek. — O, ja się nie dam podziemnym intrygom. Całe moje życie dotychczasowe jest jak na dłoni...

Do hallu weszła babcia Horzeńska, więc umilkł i zerwał się, by ją powitać i złożyć życzenia. Staruszka z miłym uśmiechem wyciągnęła doń rękę:

— No, nareszcie pan się zjawił. Czy to ładnie tak zapominać o moim domu?... Jak niema naszej przynęty, to już stara babcia nie liczy się?...

— Skądże, proszę szanownej pani... Nie śmiałem narzucać się...

— Pan jest tu zawsze mile widziany. Nawet już wobec pana nie przestrzegamy przyjętych form. Widzi pan, mój syn jest w szlafroku. Bądź, Staszku, tak dobry i włóż marynarkę. Nie uznaję negliżu w salonie.

Mówiła z uśmiechem, lecz wyraz jej oczu był rozkazujący.

Pan Horzeński skrzywił się i powiedział:

— Pan Murek już właśnie zęgnął się...

— Rzeczywiście śpieszę, proszę szanownej pani.

— To trudno. Ja mam swoje prawa, mój panie Franciszku — wzięła go pod rękę staruszka. — Pogawędzimy sobie. Proszę siadać. Staszku, bądź tak miły i zadzwoni na służbę. Napiję się z panem Franciszkiem kawy.

— Serdecznie dziękuję — bąknął. — Ale...

— To dla mnie wielka uroczystość — przerwała. — Kawa mi, niestety, szkodzi. Zatem nie odmówi mi pan towarzystwa. Stęskniłam się za młodością. Oni tu wszyscy tacy starzy. Cóż, miał pan jakieś wiadomości od narzeczonej?

Pan Horzeński wzruszył ramionami i wyszedł. Murek z wolna uspokajał się. Rozmowa z babcią zawsze działała nań kojąco. Jakże żywy umysł zachowała ta kobieta, jaką umiejętność rozmowy. Z nią jedną nigdy nie brakło tematu, tyloma rzeczami interesowała się, tyle czytała, no, i przedewszystkiem tak łatwo umiała mówić. Niczem nigdy nie dawała poznać, że cokolwiek ją nudzi, potrafiła zawsze znaleźć miejsce na bezosobisty, czasem nawet ostry dowcip.

I teraz przetrzymała Murka przeszło pół godziny na rozmowie, w której ani razu nie dotknęła drażliwych spraw jego dymisji, Fastówki, narzeczeństwa, chociaż niewątpliwie doskonale o wszystkim wiedziała od syna. Nie dotknęła tych spraw, a jednak między zdaniem, między słowami potrafiła dać Murkowi do zrozumienia, że nie powinien zrażać się afrontami, że ona nigdy nie łudziła się przyszłością Fastówki, a że pomimo wszystko jest najlepszej myśli co do małżeństwa jego z jej wnuczką.

Na pożegnanie jeszcze raz zobowiązała go do częstszych odwiedzin i dodała, że zęgną go w imieniu syna, który ani rusz nie może się rozstać z szlafrokiem.

Gdy tylko znalazł się sam na ulicy, ponownie ogarnęła go wściekłość. Więc Niewiarowicz okłamał go, obrzydliwie okłamał. Całe jego oburzenie było komedją. Nędzna kreatura. Uląkł się oszczerzej plotki. Oczywiście Boczarski nie wyssał nic z palca. Na owym pożegnalnym bankiecie Gąsowski napewno mówił źle o Murku. Ale dlaczego? Skąd wzięły się te plotki? Niewiarowicz po śmierci brata nie jest pewny swego stanowiska i drży o własną skórę....

— O, ja mu jeszcze pokażę — zaciskał zęby Murek.

Chęć zemsty przemówiła w nim pierwsza. Począł wyszukiwać w pamięci zarzuty przeciw Niewiarowiczowi. Znalazło się ich sporo. Na koszt miasta remontował swoje mieszkanie. Woźny, opłacany z magistrackiej kasy, był u niego lokajem. Od kupca Lubarowicza dostarczano mu mięsa bezpłatnie za przymykanie oczu na machinacje w rzeźni.

A komisja do badania kina „Glorja”, a wydzierżawienie składów miejskich siostrzeńców?...

— Ja mu pokażę!...

Wystarczyło pójść do starosty Bożymka i wszystko to wyłożyć na stół. Ten już sobie poradzi. Pan Niewiarowicz wyleci, jak z procy. Chce być stróżem politycznej prawomyślności urzędników, niechże wylegitymuje się z własnej. Krótką ma pamięć, jeżeli sądzi, że Murek nie zakontował sobie jego zwierzeń... Już Bożymek ładnie go urządzi...

Murek zatarł nerwowo ręce, lecz uprzytomnił sobie, że zemsta taka jemu samemu nicby poza satysfakcją nie dała. Starosta po wygryzieniu Niewiarowicza, wsadziłby na prezydenturę własnego szwagra, a w każdym razie na głowie stanąłby, by Murek nie wrócił do magistratu. Za wiele porażek jemu zawdzięczał.

— Nie, tu trzeba działać celowo i rozważnie.

Przedewszystkiem należy zbadać, jakie zarzuty Gąsowski postawił, później zdemaszkować ich kłamliwość, zażądać rehabilitacji i powrotu na dawne stanowisko, a wtedy będzie czas na porachunki z panem Niewiarowiczem. I nietylko z nim! Z tymi wszystkimi, którzy odrazu od „podejrzanego” odwrócili się. Teraz zrozumiał, dlaczego z takim pośpiechem wykreślono go lub odsunięto od pracy we wszystkich organizacjach społecznych... Ich wszystkich ogarnęła panika, na myśl, że mogą być posądzeni o bliskie stosunki z człowiekiem nieprawomyślnym.

Zaśmiał się gorzko.

— Oto ludzie!

Żeby chociaż wiedział konkretnie, o co go oskarżają! Jakież popełnił zbrodnie? Do jakiej podziemnej partji miał należeć?...

— Tak, od wyświetlenia tego trzeba zacząć — postanowił.

To też zaraz nazajutrz rano wybrał się do mecenasa Boczarskiego. Służący wprowadził go do poczekalni i zapowiedział, że odrazu pan mecenas go nie przyjmie, gdyż ma u siebie już jednego klienta. Poczekalnia była właściwie niedużym salonem o ścianach, zawieszonych od sufitu do podłogi obrazami w złotych ramach. Płótna były tak ciemne ze starości, że nie mógł rozróżnić na pierwszy rzut oka ich treści. Przypomnił sobie natomiast kursujące po mieście kpinki na temat ich wartości. Twierdzono, że nie są to bynajmniej antyki, ani dzieła wielkich malarzy, lecz imitacje, specjalnie zamówione przez Boczarskiego. Złocene mebelki i bardzo efektowny dywan uzupełniały urządzenie pokoju. W amfiladzie drzwi były pootwierane, jednak uszu Murka nie dolatywał żaden dźwięk. Nawet z położonego obok gabinetu nie słychać było nic. Na stole leżały pisma francuskie, jakaś rozłożona i do połowy poprzecinana książka w tymże języku i angielski tygodnik ilustrowany. Zdołał zrozumieć z niego tylko datę: wydany był przed rokiem.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i Murek usłyszał ostatnie słowa rozmowy:

— Ani miesiąca dłużej — podniesionym głosem mówił adwokat.

— Nie będziesz pan taka świnia — odpowiedział klient, który zresztą stropił się, ujrzawszy Murka.

Był to Stawski, znany w mieście niebieski ptak o złotych piórach. Niemal co roku był aresztowany lub poszukiwany przez policję, znikał, ukrywał się zagranicą, lecz zawsze wracał i zawsze od wszelkich zarzutów umiał się wykręcić. Posądzano go o przemytnictwo, o handel narkotykami, o różne oszustwa i kombinatorstwo, lecz niczego mu nie dowiedziono.

— O wilku mowa — zwrócił się z uśmiechem do Murka, połyskując złotymi zębami.

— Uszanowanie panu doktorowi.

Murek niechętnie podał mu rękę. Dawniej w magistracie zbywał go kiwnięciem głowy. Teraz miał ochotę powiedzieć, że słyszał koniec rozmowy i że nie o nim, ani o wilku była mowa, lecz o Boczarskim i o świni. Powstrzymał się jednak, gdyż przemogła ciekawość.

— O mnie? — spytał. — Nie przypuszczałem, by moja osoba mogła być interesująca o tyle...

— Pan Leon Stawski — odezwał się pośpiesznie mecenas — wspominał właśnie, że pan doktor obejmuje jakieś poważne stanowisko w naszej skarbowości.

— To nieprawda — wzruszył ramionami Murek.

Zauważył przytem, że tamci dwaj zamienili szybkie spojrzenia. Stawski klasnął w ręce i, wkładając monokl w oko, powiedział:

— Ach, czego to ludzie nie wymyślą. No, na mnie czas. Moje uszanowanie panu doktorowi, padam do nóżek kochanego mecenasa. Cześć, cześć...

Po wejściu do gabinetu, Murek skonstatował, dlaczego nie dobiegał zeń żaden dźwięk. Drzwi były grubo obite i zasłonięte ciężką kotarą, ściany pokryte dywanami.

— Co za tupet ma ten wstrętny żydziak — zaczął Boczarski, wskazując Murkowi krzesło. — Nie znoszę go organicznie.

— Przyjemny nie jest — powściągliwie bąknął Murek.

Mecenas widocznie uznał za niewystarczające swoje określenie, gdyż uważał za stosowne usprawiedliwić wizytę Stawskiego:

— Bronilem go kiedyś i dotychczas nie mogę od tego jegomościa odczepić się. No, tak. Los adwokata. A czemże to panu mogę służyć?

Murek przysunął swój fotel:

— Przychodzę do pana mecenasa i jako do adwokata i jako do człowieka, który przypadkowo był świadkiem początku moich nieszczęść. Czy przypomina pan mecenas sobie naszą rozmowę sprzed miesiąca, gdyśmy wracali wieczorem od państwa Horzeńskich?

— Owszem.

— A wie pan, że zostałem zwolniony z magistratu?

— Słyszałem o tem.

— Otóż postanowiłem powrócić na dawne stanowisko. Wymówiono mi pracę pod pozorem redukcji. Okazało się jednak, że przyczyną istotną były te oskarżenia, które miał rzucić na mnie Gąsowski. Oskarżenia od początku do końca, nieuzasadnione. Postanowiłem tedy obalić je. Lecz niepodobna walczyć z wiatrakami, gorzej, z próżnią. Właściwie nie mam pojęcia, co mi zarzucają. I dlatego przyszedłem do pana prosić o możliwie szczegółową relację z owego bankieciku, a następnie o radę, w jaki sposób wystąpić o rehabilitację.

Boczarski oparł się o biurko, ruchem przyzwyczajenia wyciągnął mankiety, zapalił papierosa i zapytał:

— A pan jest pewien, że jakiegokolwiek informacje nieprzychylne o panu będą przy bliższym i dokładniejszym sprawdzeniu pozbawione podstaw?

— Ręczę za to głową.

— Jest pan u adwokata. To jak u spowiednika. Tu ściany nie mają uszu...

— Nie wątpię, ale ja nic do ukrycia nie mam.

— Ha, tem lepiej — zgodził się Boczarski. — Więc w Klubie Urzędniczym mówiono wtedy tylko to, co panu powtórzyłem. Z tego niewiele da się wywnioskować. Osobiście wątpię, by Gąsowski zostawił Niewiarowiczowi polecenie usunięcia pana. To już była jego własna, że tak powiem, gorliwość. Nie mnie jednego zresztą zaskoczyła pańska dymisja. Przecie Niewiarowicz zawsze i głośno zachwycał się panem. I taka zmiana frontu. ...Stąd wnioskuje, że zarzuty musiały być poważne. Jeżeli chodzi o to, co mówią w mieście, a co od czasu do czasu obija mi się o uszy, to jedni twierdzą, że pan kiedyś był zamieszany w jakąś aferę komunistyczną, inni, że na uniwersytecie był pan szefem bojówki faszystowskiej...

— Absurdy!

— Gdzie leży prawda niewiadomo, a dla pana, doktorze, najważniejsze, że to nikogo nie obchodzi.

— Jakto?

— Nie obchodzi. Tak, czy owak, czy był pan tem, czy tamtem, endeckim bojówkarzem, czy bolszewickim agitatorom, to nie zmienia sprawy. Powiem panu więcej: łatwiej i wygodniej jest kogoś usunąć, niż doszukiwać się konkretnych przeciw niemu dowodów. Słusznie nazwał pan swoje zamiary walką z próżnią i jeżeli o mnie chodzi, a ja, panie, znam życie, radzę na to wszystko machnąć ręką i poszukać nowej posady. Otóż to, nowej posady zwłaszcza...

— Pan daruje, mecenasie — przerwał Murek. — Ale moje postanowienie jest nieodwołalne.

Boczarski uśmiechnął się:

— Ha, w takim razie, musi pan wydobyć z magistratu papier, w którymby sprecyzowano zarzuty przeciw panu.

— Niewiarowicz mi takiego papieru nie da.

— No, więc cóż pan może zrobić? Nie napisze pan przecie skargi do sądu ani do ministerstwa, że wydalono pana nieprawnie. Zarząd bowiem miasta ma niezaprzeczone prawo redukcji pracowników, o ile uzna to za potrzebne.

— Niewątpliwie, ale nie z powodu gołosłownych oskarżeń.

— Jakich oskarżeń? Ma pan je na piśmie? Nie, a zatem co pan w skardze poda? Że po mieście chodzą takie a takie plotki?... Drogi doktorze, przecie jest pan prawnikiem!

— Tak, muszę panu mecenasowi przyznać rację. Czy zatem nie ma sposobu?...

Boczarski zaczął kiwać się w fotelu:

— Sposób był jeden. Najprostszy. Zrezygnować z beznadziejnej drogi prawniczej i postarać się o to, by wojewoda, jako najwyższa władza polityczna, wpłynął na Niewiarowicza. O, ja wiem, że i ta droga nie należy do łatwych. Powinien pan wprost zwrócić się do wojewody. Całkiem prywatnie. Nie ze skargą wydalonego urzędnika miejskiego, lecz jako obywatel poszkodowany na honorze, uważa pan, na honorze, samem posądzeniem o nieprawomysłność. Jeżeli wojewoda uwierzy panu, wówczas znajdzie wiele możliwości wyświeślenia sprawy. Zaznaczam jednak jeszcze raz, że winien pan zwrócić się doń nie jako do dygnitarza, lecz jako do autorytetu, że tak powiem, moralnego. Rozumie mnie pan?

— Więc nie składać podania?

— Podania?! — Boczarski wybuchnął śmiechem. — Ależ niech pana Bóg broni! Iść osobiście.

Zaczął szczegółowo opisywać Murkowi, jak ma się odbyć jego posłuchanie u wojewody i co należy mówić.

Słuchał, przyznając, że ten Boczarski jest jednak spryciarzem i że w zupełności zasługuje na opinię zdolnego adwokata.

Bez żalu też zostawił na biurku monetę dziesięciozłotową, chociaż mecenas wzbraniał się przed przyjęciem honorarium za taki drobiazg.

— A jak pan sądzi — zapytał Murek, gdy Boczarski zęgnął go w przedpokoju. — Przeprowadzę swoją sprawę pomyślnie?

— Wszystko jest w ręku Opatrzności — uśmiechnął się adwokat. — Niestety, Opatrzność w dzisiejszych czasach ma tak przepełnione ręce, że nigdy nie wiadomo, co i kiedy z nich spadnie. W każdym razie nie warto się przejmować, a jeżeli pomyśli pan o prywatnej posiadce, może będę mógł coś dla pana znaleźć. Dowidzenia.

Przyjęcia w województwie odbywały się w środy i piątki. Wojewoda Łęk-Dornicki, niegdyś dowódca sławnej beskidzkiej dywizji, objąwszy przed trzema laty swój wysoki urząd, wprowadził własny system załatwiania tych petentów, którzy z jakichkolwiek powodów chcieli stanąć przed obliczem samego wojewody z pominięciem przepisowej drogi urzędowej. Entuzjastyczny wielbiciel staropolskiego obyczaju i tradycji piastowskich, dokupił zaraz na początku swych rządów położony za gmachem województwa ogród Josska Szapiry, kazał w pień wyciąć wszystkie drzewa, zostawiając tylko w środku jedno jedyne, starą rozłożystą lipę. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni pod tą właśnie lipą odbywały się zbiorowe audjencje u pana wojewody. Indywidualnych nie cierpiał. Pod pnem ustawiono ciężki dębowy zydel dla wojewody, petenci, w liczbie kilkunastu, czy kilkudziesięciu otaczali go półkolem, poczem mieli przyjemność wysłuchania kilku ogólniejszych uwag o pogodzie, o urodzajach, o zdarzeniach ostatnich dni, znanych już — niestety — z gazet. Czasem wojewoda, będąc w lepszym humorze, ubarwiał tę gawędę mniej lub bardziej popularnymi anegdotami, czy dowcipami, a zawsze nie szczędził własnych poglądów na wszystkie omawiane przez siebie sprawy, czy to miejscowe, czy krajowe, czy międzynarodowe. W ten sposób petenci mogli kształtować swój światopogląd zgodnie z najbardziej miarodajną opinią swego starszego przyjaciela i opiekuna, jak wojewoda lubił siebie nazywać.

Po takiej pogadance występowali kolejno interesanci, w zwięzłych słowach przedstawiali swoją rzecz, a wojewoda natychmiast wydawał decyzję, którą stojący za nim sekretarz zapisywał w notesie. W szczególnie rzadkich wypadkach wyznaczano powtórne posłuchanie w cztery oczy w gabinecie.

Podczas przyjęć pod lipą za okalającym ogródkiem parkanem gromadziła się zwykle spora liczba mniej zajętych obywateli, przeważnie młodzieży starozakonnej, którą w ra-

zie niesforne i hałaśliwego zachowania się, rozpędzali dwaj dzielni policjanci. Z drugiej strony, w gęsto obsadzonych oknach gmachu wojewódzkiego, widniały rozradowane i uśmiechnięte twarze personelu urzędniczego.

Po wysłuchaniu ostatniego petenta wojewoda dawał znak i dwaj inni policjanci obchodzili półkole z dwoma w drzewie rzeźbionymi pudłami, częstując wszystkich papierosami, przyczem wojewoda bacznie przestrzegał, by nie ominięto nikogo.

W zimie z konieczności cały cercle przeniósł się do wielkiej sali wewnątrz gmachu, gdzie patryarchalną lipę zastępowała nieco wyleniąca palma. To już było nie to. W zimie też wojewoda w gorszym bywał usposobieniu. Zamiast kremowej, chesuczowej marynarki lub siwej samodziałowej kurty i długich, palonych butów, zjawiał się w zwyczajnym ubraniu, bez sękaty laski, którą postarostwiecku można było, wbiwszy ostrym końcem w matkę-ziemię, podeprzeć się z biodra, a przedewszystkiem bez nastroju. Brak szerszego audytorjum i fatalna akustyka wysokiej, niemal kościelnej sali sprawiały, że zbiorowe posłuchania przypominały raczej równie dawnowieczną, lecz mniej atrakcyjną publiczną spowiedź powszechną. W dodatku i policjanci nie zawsze zdążyli tu na czas pozdejmować, lub podwracać do ściany tabliczki z napisami: „Palenie surowo wzbronione”.

Toteż i petentów w zimie bywało mniej, niż zazwyczaj. Murek zastał w sali sześć osób, a po nim przyszyły tylko cztery. Znał prawie wszystkich. Było kilku ziemian z odleglejszych powiatów, błotwicki hotelarz Majeran, osadnik wojskowy, kapitan Dorsz, dwaj chłopci w kozuchach i jakaś paniusia w wypłowiałym paletku i staromodnym kapeluszu.

Dr. Murek liczył na to, że wojewoda po znajomości nie odmówi mu osobnej audjencji. O to też tylko chciał prosić. Wyłuszczenie podobnej sprawy przy wszystkich byłoby niemożliwością. Wiedział jednak, że trafiwszy na zły humor wojewody — nic nie wskóra.

A wojewoda, jak na nieszczęście, wszedł pochmurny i zamyślony. Zdawał się nikogo nie spostrzegać, chociaż rzucił swoje głośnie: „Witajcie”. Mruknął odniechceni kilka zdań o mrozie i kradzieżach w lasach państwowych, paru słowami załatwił się ze zbrojeniami morskimi Japonji i przystąpił do wysłuchania petentów. Na pierwszy ogień poszła paniusia, której chodziło o jakieś komplikacje z wdową rentą inwalidzką, po niej hotelarz skarżył się na przodownika, który go gnębi mandatami karnymi, gdyż „ma ciągle przyczepienie do mojej rodowitej żony, a una nie może na to patrzeć spokojnie”. Wśród ogólnej wesołości, wywołanej tą romantyczną historją, sekretarz zanotował krótką decyzję: „Dochodzenie dyscyplinarne. Przedłożyć”. Jeden z chłopów prosił o ulokowanie w szpitalu brata, „który jest warjant”, drugi „dopraszał się łaski, żeby pan prezydent, albo jaki minister trzymał do krztu trojaczki, co się mojej babie przytrafiły”. Jedni przyszyli ze skargami, inni z prośbami, inni z projektami.

Murek rozmyślnie uplasował się ostatni w półksiężycu i gdy przyszyła nań kolej szybko wyłożył swoją prośbę, mówiąc wyraźnie, dobitnie, tonem żołnierskiego meldunku. Wojewoda Łęk-Dornicki cenil w podwładnych taki ton i ilekroć w ten sposób doń się zwracano, zaraz przechodził na „wy”, co było oznaką większej konfidencji z podwładnym. Dr. Murek zresztą sam lubił tę formę, przypominającą wojskowy ład, karność i poczucie hierarchji. Nieraz, jako gospodarz Świetlicy, jako delegat zarządu tej czy innej organizacji społecznej, lub już całkiem służbowo, w charakterze reprezentanta magistratu, miał możliwość stykania się z wojewodą, którego poważał, szanował i podziwiał, jako znakomitego administratora, dygnitarza łaskawego, lecz pełnego dostojeństwa, człowieka z otwartą głową, tępiącego nadużycia i biurokracyzm. Wojewoda bowiem słynął, jako pogromca formalistyki biurokratycznej i sam przy lada okazji to podkreślał.

Wysłuchawszy Murkowego meldunku, podniósł wysoko brwi i przechylił głowę:

— Nie widzę powodu, by robić wyjątki. O co panu chodzi?

— Sprawa ściśle osobista, panie wojewodo — resztę oddechu wydobyl z siebie Murek, zbity z tropu tem, że wojewoda zwrócił się doń „per pan”.

W głosie wojewody zabrzmiało zniecierpliwienie:

— Każdy ma sprawę osobistą. Słucham?

Murek czuł krople potu występujące na czoło. Jedno nieszczęsne słowo i wszystko przepadło.

— Ale tu... tutaj... jest podłoże polityczne...

Wszyscy nastawili uszy, lecz wojewoda bez namysłu kiwnął głową:

— Dobrze. Za... — spojrzął na zegarek. — Za dwadzieścia pięć minut wezwie pana do mnie pan sekretarz. A teraz proszę, kochani państwo, papierosika!

Dwaj policjanci kopnęli się żywo, obnosząc pudła z papierosami. Murek swego długo nie mógł zapalić, bo ręka mu drżała. Gdy jednak ściśle w określonej minucie wprowadzony został do gabinetu, zdążył się już uspokoić.

— Proszę siadać i mówić — wskazał mu miejsce wojewoda.

Murek niemal napamięć miał przygotowaną swoją skargę. Zwolniono go bez podania powodów, a tymczasem głośno mówi się, że zarzuca mu się nieprawomyślność. Otóż jest to niecne oszczerstwo. Murek w ciągu całego swego życia nie zrobił nic, co by mogło nasunąć cię podobnego podejrzenia. Wszystko da się sprawdzić, zbadać, przeprowadzić najdrobiazgowsze śledztwo. Murek błaga o to, jak o łaskę. I nie zwraca się do pana wojewody, jako do reprezentanta władzy, lecz jako do najwyższego autorytetu moralnego...

Wojewoda słuchał uważnie i cierpliwie. Gdy Murek skończył, wojewoda uderzył dłonią w biurko:

— Dobrze, panie doktorze. Powiem panu, że i ja słyszałem o tych zarzutach. Ale nim cośkolwiek postanowię, chcę wiedzieć prawdę. Czy może mi pan dać słowo honoru, że oskarżają pana niesłusznie?

— Daję słowo honoru, panie wojewodo — powiedział uroczyście Murek, unosząc się z krzesła.

— Dobrze. Wierzę panu. A teraz proszę uważać. Niemożę rozkazywać prezydentowi Niewiarowiczowi w kwestjach personalnych. Nie mam prawa. Nie mogę też prywatnie naciskać go w pańskiej sprawie, bo sam wykorzeniam protekcję. Ale obowiązek mi nakazuje wyświetlić rzecz całą. Słusznie i trafnie zauważył pan, co jest świadectwem pańskiego państwowego myślenia, że Prezydent Rzeczypospolitej, mianując mnie wojewodą, w imieniu narodu i państwa złożył w moje ręce nie tylko władzę, lecz i autorytet moralny. Otóż, jako stróż moralnych dóbr narodu i państwa na swoim odcinku, winienem dbać, by nie została zmarnowana część tych dóbr, jednostka wykształcona, uczciwa i pożyteczna. Zrozumiano?

— O panu, jako o urzędniku i jako o człowieku, miałem najlepszą opinię. Zdolnych, uczciwych i przydatnych ludzi jest mało, bardzo mało i społeczeństwu, narodowi, państwu brak ich ciągle. Nic dziwnego, w dziedzinie materiału ludzkiego prowadzi się gospodarkę rabunkową. Ra-bun-ko-wą! A to jest najgorsze szaleństwo. Ludzi odpowiednich wyrzuca się na bruk, a idą w górę lizusy, hemoroidziarze i inne pierdzistolki. Administracja, skarbowość, samorządy, wszystko obsadzone jest nie ludźmi z męską inicjatywą, lecz kastratami, eunuchami, niezdolnymi do twórczego, radosnego rozmachu. A państwo nie może zmienić się w rupieciarnię paragrafów, biurokratyczną łamigłówkę, w ciuciubabkę dla pierdzistolików, w której każdy z za swego papirku pokazuje drugiemu język i woła „akuku”. Zawsze to mówię. Ale to nie ma nic do rzeczy. Więc co to pan chciał?... Aha! Zatem jest tak: każę sprawę zbadać, pana prezydenta Niewiarowicza rozpytam. Zostawi pan u mego sekretarza, pana Landy, swój adres, w ciągu trzech tygodni wezwę pana. Zrozumiano?

— Tak jest, panie wojewodo.

— Nic nie obiecuję, niczego nie przyrzekam, ale osobiście rzeczy dopilnuję. Oto wszystko. Czy mogę jeszcze czem służyć panu?

Murek ze łzami w oczach zerwał się z miejsca, obtarł wilgotną dłoń o ubranie i tak nisko pochylił się, ściskając rękę wojewody, jakby zamierzał ją pocałować. Zresztą zrobiłby to z prawdziwą przyjemnością.

Przez całą godzinę, czekając w korytarzu na przyjęcie u sekretarza Landy, wciąż potarzał sobie półgłosem:

— Wojewoda! Oto człowiek! Oto dygnitarz!

Pełen był jak najlepszych nadziei. Nie popsuł mu nawet humoru fakt, że po przeszło godzinnym oczekiwaniu dowiedział się od woźnego, że pan sekretarz już dziś, jako po godzinie pierwszej, nikogo nie przyjmie.

Zgłosił się nazajutrz. Tym razem musiał wypełnić karteczkę meldunkową, rodzaj przepustki i w kolejce został wywołany. Landy zanotował sobie adres Murka.

— Czy w magistracie — zapytał — jest pańska ewidencja, curriculum vitae i t. d.?

— Naturalnie.

— No, to dobrze. Ech... znowu pisaniny będzie. Niech pana bogi pokochają, doktrze. Będę musiał nową teczkę założyć dla pańskiej sprawy. I to właściwie nie mam pojęcia, do którego skorowidza ją wciągnąć? To wcale nie należy do naszej kompetencji. Stary nie ma nic lepszego do roboty!...

Murek uśmiechnął się pojednawczo:

— A cóż ja miałem zrobić?

— Czy ja wiem — wzruszył ramionami Landy — skarga do sądu, zabiegi w policji politycznej... Hm... W każdym razie niech pan złoży mi podanie. Przecie musi być jakaś podstawa postępowania. Sprawa nie może zacząć się ot tak, z powietrza. Stary wprowadziłby tu taki chaos, że choć łbem wal o ścianę.

— Więc złożę jeszcze dziś podanie. A czy trzeba ostemplować?

Landy aż podskoczył na fotelu:

— No, oczywiście! I pan jest doktorem praw, byłym urzędnikiem samorządowym, a o takie rzeczy pan pyta! Znaczek stemplowy za trzy złote.

Rozmowa z sekretarzem tylko nakrótka zachwiała optymizmem Murka. W gruncie rzeczy przyznawał mu rację. Sam zawsze był zwolennikiem bezwzględnego porządku i ścisłego przestrzegania przepisów. Sam wygląd Landy sprawiał Murkowi przyjemność. Tak powinni wyglądać wszyscy urzędnicy: schludnie, poważnie, godnie. U dygnitarzy już inaczej. Na wyższych szczeblach dopuszczalna, a nawet potrzebna jest indywidualność. Naprzykład, minister, albo wojewoda, a chociażby prezydent miasta. Każdy z nich musi czems się wyróżniać...

Przypomnił sobie Niewiarowicza. No, ten będzie miał minę, gdy wyrzucony przezeń Murek wróci do magistratu. A wróci triumfalnie, wielokrotnie mocniejszy, niż dawniej. Niewiarowicz upokorzony, będzie musiał przeprosić. Ale mało tego. Murek już potrafi wówczas dać mu do zrozumienia, kto kogo naprawdę trzyma w rękę. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Dr. Murek przymykał oczy i widział nadchodzący dzień swego powrotu. Jalcza, Więcek i wszystkie te pieski, które odwróciły się doń z chwilą dymisji ogonami, zaczną skakać na dwóch łapkach. W mieście, w innych urzędach, też nastąpi pierwszoklasna konfuzja...

A u Horzeńskich?... Tu, niestety, nie można było spodziewać się radykalnej zmiany nastroju. Teraz, kiedy wyszło najaw, o co Horzeńskiemu chodziło i na co miał nadzieję, po brutalnym zachowaniu się przyszłego teścia, dr. Murek nie spodziewał się powrotu dawnych, wprawdzie chłodnych, lecz poprawnych stosunków. Może to zresztą i lepiej. Po rozparcelowaniu Fastówki Horzeńskim zostanie niewielki kapitalik. Wyżyć — wyżyją, ale oczywiście nie na dotychczasowym poziomie. Niechże między nimi a zięciem nie będzie uczuć rodzinnych. Tęm lepiej dla zięcia... Ani przez chwilę Murek nie zwątpił w Nirę. Ona nie da się przekabacić, a zbyt mało liczy się z wolą rodziców, by zdecydowała się przekreślić swoje uczucia do narzeczonego z tej jedynej racji, że zawiodły nieuczciwe projekty finansowe ojca.

Widmo nowej zwłoki w wyznaczeniu daty ślubu rozwiewało się dzięki audjencji u wojewody. Murek był pewien, że najdalej za miesiąc wróci na poprzednie stanowisko. Tak w to wierzył, że poszedł do zakładów stolarskich i opłacił zwykłą ratę za zamówione meble. Umówił się tam też co do sprowadzenia z Czołnow i odrestaurowania tych antyków czołnowskich, które już faktycznie były jego własnością.

Głównie też z zamiarem porozumienia się w tej sprawie poszedł któregoś dnia do willi na Wielką. Liczył też i na rozmowę z babunią, zamierzając prosić staruszkę, by napisała do Warszawy w celu przyspieszenia powrotu córki i wnuczki.

Ku swemu zdziwieniu i radości dowiedział się od lokaja, iż panie właśnie przyjechały południowym pociągiem.

— Ale niech pan doktor lepiej innym razem będzie łaskaw, bo teraz państwo chyba nie przyjmą.

Dopiero teraz Murek zauważył przestraszony wzrok lokaja, nieład w przedpokoju i rozbity szybę w drzwiach do salonu. Skądś, z dalszych pokoi dobiegał hałas przewracanych mebli, gwar wielu głosów i krzyki.

— Co się tu stało?! — zapytał przerażony.

Służący machnął rękami:

— Cały dom rozwałą. Złapała go z tą rudą, co to niby do rachunków przychodziła. Stary, a głupi. Drzwi od gabinetu nie mógł zamknąć. Ale to i dobrze, należało mu się. Ludziom od roku zalega, a w tę rudą to pchał drań forszę...

— Ale kto?

— No... jaśnie pan. Starsza jaśnie pani to chyba wykituje z tego wszystkiego...

Przeraźliwy spazmatyczny krzyk kobiecy ostrym piskiem rozległ się gdzieś bliżej:

— Morderca! Ratunku!... Morderca...

Murek rzucił na ziemię kapelusz i skoczył przez otwarte drzwi. W hallu na środku leżał wywrócony wielki fotel i stolik z porcelaną. W gabinecie na ciemnym dywanie widniały rozrzucone części męskiej i kobiecej garderoby. Pod obcasami zatrzeszczało szkło rozbitej lampy. Przez palarnię Murek wpadł do buduaru, gdzie na podłodze kłębiło się kilka osób. Chrapliwy bas Horzeńskiego charczał urywanie:

— A masz, a masz, a masz... wiédźmo, masz...

Czyjaś głowa miarowo uderzała o podłogę...

— Złodziej, morderca!... — pisał kobiecy głos.

Z przewalającej się kupy sterczały gołe kosmate i chude nogi Horzeńskiego. Jedną z nich ciągnęła oburącz marszałkowa Radecka, której siwe włosy prawie zakrywały twarz. Pokojówka Milcia walczyła w środku, gdzie w strzępach różowej koszulki z twarzą ociekającą krwią, leżała nawznak owa ruda, do której przywarła pani Horzeńska. Jej mąż usiłował oderwać jej ręce od ofiary, a ciotka Leokadja biła go popielniczką po głowie. W pewnej chwili Horzeński wierzgnął nogą i marszałkowa Radecka, niczem wyrzucona z katapulty, przemknęła z nieludzkim krzykiem obok Murka i uderzając całym ciężarem o misterne biureczko w rogu pokoju, legła z trzaskiem w jego gruzach.

Murek, szybko zorientowawszy się w sytuacji, zrzucił palto, przeskoczył przez Milcię i upatrzawszy dogodny moment, chwycił pod ramiona rudą pannę. W następnej chwili, zapewniwszy sobie równowagę w rozstawionych nogach, — szarpnął z całej siły. Piekielny wrzask towarzyszył temu cesarskiemu cięciu. W rękach pani Horzeńskiej zostały dwie smugi rudych włosów, ciotka Leokadja przewróciła się, a Horzeński zsunął się z pleców żony, lecz winowajczyni całego zajścia stała już bezpiecznie za plecami Murka.

— Bandyci! Zabili... Zabili mnie!... — rozpaczliwie darła się z kąta marszałkowa Radecka spod stosu zmasakrowanego biureczka, wyciągając ku niebu ręce, czarne od atramentu.

— Proszę się uspokoić! Proszę państwa!... — zdyszonym głosem usiłował przekrzyć ich Murek.

— Ja tę dziewczkę uduszę! Łajdaczka! — wypiskiwała histerycznie pani Horzeńska, siedząc na podłodze w podartych karakułach, z głową karykaturalnie zmierzwioną, potrząsając kurczowo zaciśniętymi pięściami.

— Ciebie uduszę, ty wiédźmo! — rzucił się do niej znowu mąż, straszny i śmieszny w poszarpanej górze od pidzamy, z wielką czerwoną pręgą przez policzek i z kłakami włosów na piersi.

Na szczęście przytomna pokojówka zagroziła mu drogę i pchnęła na tapczan, aż jęknęły sprężyny. Na karku widniała napuchnięta rana, z której cieniutką strużką ciekła krew.

Murek uznał za najlepsze natychmiastowe usunięcie obiektu awantury. Ruda panienska trzymała się kurczowo jego ramienia, skulona i rozdygotana.

— Niech pani idzie tu — pociągnął ją do sypialni, a stąd do łazienki. — Proszę obmyć krew. Zaraz przyniosę pani ubranie.

— Ja się boję! — jęknęła. — Ja się boję, niech pan nie odchodzi!

Wyglądała okropnie. Twarz podrapana ociekała krwią, resztki kombinezki załośnie zwisały z jednego ramienia. Pełne obwisłe piersi i duży okrągły brzuch pokryty siecią niebieskich żyłek, również nosiły liczne ślady walki.

— Jakie to szczęście — przemknęło Murkowi przez głowę, — że Nira nie widziała tego wszystkiego. Gdzie ona może być?... Może gdzie leży zemdlona!

Nawinął się właśnie lokaj, któremu kazał odszukać garderobę panny. W buduarze był już spokój. Pani Horzeńska, zanosząc się spazmatycznym łkaniem, doprowadzała przed lustrem swój wygląd do jakiego-takiego porządku. Jej męża już nie było. Musiał wynieść

się do gabinetu. Ciotka Leokadja cuciała w kącie marszałkową Radecką. Murek przypomniał sobie poco tu wszedł: chodziło o palto. Podniósł je z podłogi, strzepnął i właśnie rozejrzął się za bezpiecznym miejscem, gdzieby je ulokować, gdy w drzwiach stanęła babcia Horzeńska. Oparta na swojej laseczce i blada, jak papier, zwróciła się jednak do Murka z uśmiechem:

— Dobry wieczór, panie Franku. Proszę mi wybaczyć, że w moim domu...

Głos zadrżał i już Murek przestraszył się, że staruszka straci przytomność. Ona jednak opanowała się i dorzuciła jednym tchem:

— Dziękuję. Proszę, Nirę znajdzie pan w jej pokoju.

Nic nie odpowiedział, tylko serce mu się ścisnęło litością i podziwem dla tej staruszki. On sam, młody i zdrowy, pomimo silnych nerwów, czuł się zupełnie wytrącony z równowagi. W pierwszych chwilach działał nie myśląc, zrobił to, co zrobiłby instynktownie w każdej podobnej sytuacji. Teraz jednak nie umiał przywołać się do przytomności, zrozumieć, co właściwie zaszło i jaką on sam w tym rolę odegrał. Ogarnął go nagle wstyd za tych ludzi, uczucie wstrętu, podobne do tego, jakie miał już raz, kiedy jeden z kolegów biurowych ukradkiem wybierał mu z szuflady papierosy. Czuł się tak, jakby w jego oczach zostało zdemaskowane jakieś nędzne oszustwo, jakby odkrył fałszyfikat w tem, co cenił, co chciał cenić. A jednocześnie gdzieś pod krtanią laskotała go potrzeba śmiechu. Przykrego, złego śmiechu.

Minął się w korytarzyku z rudą dziewczyną, którą służący dość bezceremonjalnie popychał ku kuchennemu wyjściu. Zapukał do drzwi Niry. Nie było odpowiedzi, wobec czego nacisnął klamkę. Leżała na tapczanie, oparta na łokciach i czytała książkę.

— No, jakże tam? — zapytała, nie odwracając głowy — życie rodzinne kwitnie?

— To ja — powiedział Murek — dobry wieczór pani.

Zerwała się i usiadła:

— Pan?... A pan skąd się tu wziął?

— Właśnie przyszedłem niedawno...

— W samą porę! — wybuchnęła głośnym śmiechem.

Podciągnęła nogi i zakryła je brzegiem różowego szlafrocza. Na włosach miała siatkę, która, zapinając się pod brodą, podkreślała śliczny owal jej twarzy. Rozjarzone śmiechem oczy paliły się czarnym ogniem. Wydała mu się nieprawdopodobnie i niewiarygodnie piękna, najdroższa i najbardziej upragniona.

— Przyjechała pani! — chwycił jej rękę i wśród pocałunków powtarzał: — Przyjechała! Moja ukochana! Przyjechała... Tak tęskniłem...

Lekko wyswobodziła dłoń z jego rąk:

— No dobrze, dobrze, ale niech mi pan powie, czy tamci już wszyscy w szpitalu?

— Którzy tamci? — zdziwił się szczerze.

— No, moja kochana rodzinka!

Zasepił się:

— Rzeczywiście, bardzo... bardzo przykre... Pani słyszała?

Z irytacją odsunęła książkę:

— Czy słyszałam! Cała dzielnica musiała słyszeć. Mama jest zupełnie niepoczytalna! Czy to pan pisał ten anonim?...

Murek aż oniemiał.

— No, mnie pan może się przyznać. Pan pisał?

— Jaki anonim?

— Niechże pan nie udaje — zniecierpliwiała się. — Babcia pisała, że tatuś zrobił panu brutalną scenę, a zaraz po liście babci przyszedł ten anonim o tatusiu i jego... złotowłosej amantce. Muszę panu przyznać, że to było szatańsko zręczne posunięcie. Nie podejrzewałam pana o tyle dyplomatycznych zdolności: jednym zamachem zemścić się na tatusiu, zdyskredytować go i zmusić matkę, a zatem i mnie do powrotu.

— Myli się pani — potrząsnął głową — nigdy w życiu nie napisałem żadnego anonimów. I zdaje mi się, że niczem też nie dałem pani, panno Niro powodów do posądzenia mnie o taką podłość.

Wzruszyła ramionami:

— Ach! Podłość! Lubi pan nadużywać mocnych słów. Może nie pan pisał, ale pan to zaaranżował. Mama, gdy przeczytała o zastawieniu jej brylantów, wpadła w istny szal.

Bałam się, że nasz dom musi teraz przypominać scenę teatru z ostatniego aktu „Hamleta”. Same trupy. Co?

— Jakie to szczęście, że pani tego nie widziała!...

— O, nie. Podobne widowisko może być interesujące, ale jeden raz. Gdy powtarza się częściej, zaczyna nudzić. Wykapałam się tymczasem i jak pan widzi, usiłowałam czytać, o ile odgłosy życia rodzinnego na to pozwalały.

Murek posmutniał. Był przekonany, że Nira nadrabia miną, by nie okazać, jak wstydzi się za swoich, lecz dotknął go ten sarkastyczny ton.

— Panno Niro — odezwał się. — Niech pani nie udaje cynizmu. Proszę mi wierzyć, że w pełni współczuję z panią, że dla mnie to... to zajście jest równie bolesne...

— O?... Bolesne? Czyżby i pan przytem oberwał jakiegoś guza? — zaśmiała się swobodnie.

Murek zmarszczył brwi:

— Powtarzam, że nie do twarzy pani z tym tonem. Wiem doskonale, że pani cierpi. Drwinami tego się nie zakryje. Musi pani kochać i rodziców i dom... ognisko...

Nira wyprostowała się, jej oczy zwięzły się i błysnęły gniewem:

— Kochać?... Kochać?... Ja nie cierpię ich! Słyszysz pan, nie cierpię! Duszę się w tym domu! Ze wstrętem oddycham tem powietrzem. Czy pan nie widzi, że jestem młoda, chcę życia, chcę szczęścia, chcę prawdziwego zła i dobra, nawet cierpienia, nawet krzywd, ale prawdziwych, bujnych, żywiołowych! A tu jest trupiarnia! Dogorywanie! Tu niema żadnego ogniska, tylko sterta nawozu, tlejąca w zaduchu hipokryzji!... To wszystko jest skazane na zagładę! Co mnie może łączyć z tem roślinnem dogorywaniem, z tem... z tem... próchnem!...

Zerwała się i oburącz chwyciła się za głowę:

— O, Boże, Boże! Ja muszę stąd się wydostać, ja muszę oderwać się od tego! Nie dam się wessać w to grzęzawisko! Nie dam się! I wyrwę się, słyszysz pan, wyrwę się za wszelką cenę!

Stała przed nim, drżąca z gniewu i buntu.

— Nie zniosę tego dłużej, duszę się!

Ogromna radość ogarnęła Murka. Na początku trochę przestraszony jej wybuchem i pogardą, z jaką mówiła o własnej rodzinie, teraz widział tylko jedno, prostą konsekwencję: ona chce czempredziej rozstać się z domem, a zatem wyjść za niego, zacząć nowe życie.

— Niro, szczęście moje! — wyszeptał w największym rozczuleniu. — Zabiorę cię, tak, zabiorę panią stąd, jak najprędziej...

Murek, sam bliski łez, łagodnie i tkliwie objął ją i nieznacznym, delikatnym ruchem dłoni głaskał jej ramię.

— Zabiorę cię — mówił półgłosem. — Już niedługo. Będziemy mieli własny dom, własne ognisko, własne szczęście. Dla ciebie, tylko dla ciebie będę żył... Gotów jestem i umrzeć dla ciebie. Niro, mój najdroższy skarbie, moja kochana, pokrzywdzona królowo... No, nie płacz już... Nie płacz... Za każdą z twoich łez oddałbym całą swoją krew. Tylko troszkę cierpliwości. Wszystko będzie słonecznie i dobrze... Już prędko... Rodzice muszą się zgodzić na przyspieszenie ślubu. Zgodzą się, zobaczysz. Nie mają prawa więzić mojego rajskiego ptaka... Już niedługo...

Zdawała się uspokajać pod wpływem jego słów, co rozrzewniło go jeszcze bardziej. Zniżył głos i mówił szeptem, tuż przy jej głowie:

— To prawda, że narazie nie możemy jeszcze się pobrać, ale to kwestja kilku tygodni, miesiąca... Moja redukcja zostanie cofnięta. Wrócę do magistratu na dawne stanowisko. Sam wojewoda tem się zajął. A gdy będę miał zapewnioną stałą pensję, gdy wrócę do magistratu, wtedy już nic...

Stanowczym ruchem uwolniła się z jego objęć.

— Boże! — powiedziała znicierpliwionym, lecz już spokojniejszym głosem. — Niechże mi pan da święty spokój z tym swoim magistratem!...

Murek zaniepokoił się: chyba powiedział coś bezsensownego, czy popełnił jakiś nieakt? Odrazu stracił pewność siebie i patrzył na nią skonfundowany. Nira tymczasem ocieżałym ruchem, jakby zmęczona, zapaliła górne światło, wyjęła z szafy suknię i jeszcze jakies szczegóły garderoby i za parawanem zaczęła się ubierać. Nie wiedział, czy ma

wyjsć, czy zostać, a bał się pytaniem sprowokować nieprzychylną odpowiedź. Stał i czekał. Po chwili wyszła w długiej wieczorowej sukni i, usiadłszy przed lustrem ze skupioną uwagą, zdejmowała siatkę, pieczołowicie i długo układała poszczególne pasma i fale włosów, połyskujących na zgięciach miedzią, potem jakimś kremem zlekka wytarła twarz, przyczesła brwi i, westchnąwszy, powiedziała:

— Proszę mi wybaczyć, panie Franku, stan moich nerwów.

— Ależ...

— Nie jestem histeryczką, ale nie wiele do tego brakuje. Mówmy o czemś innym. Cóż pan porabiał?

— Ja? — uśmiechnął się. — O, to nic ciekawego. Może pani mi lepiej powie, jak spędzały panie czas w Warszawie?

Niechętnie i jakby z przymusem mówiła o krewnych, o znajomych, o teatrach, o modzie i cenach futer, o restauracjach i dancngach. Stopniowo wspomnienia warszawskie ożywiły ją, nawet zaśmiała się kilka razy. Miał ogromną ochotę zapytać, czy widywała Junoszyca, lecz póty to odkładał, aż zapukano do drzwi. Wszedł służący:

— Jaśnie pani starsza prosi do stołu — zameldował.

Murek spojrział nań zdumiony, potem pytająco na Nirę. Nie przypuszczał, by po tej potwornej awanturze, kolacja miała odbyć się normalnie. Zwłaszcza swoją obecność uważał za nieodpowiednią i chciał Nirę pożegnać, lecz lokaj pośpieszył zaznaczyć, że jaśnie pani starsza koniecznie prosi i pana doktora.

Gdy niechętnie i zażenowany za Nirą wchodził do jadalni, byli tam już wszyscy, nie wyłączając pana i pani domu. Jak zwykle tutaj, ubrani wieczorowo, nieco uroczyści i uprzejmi. Mogłoby się zdawać, że w tym domu nic nie zaszło, że ci ludzie wogóle nie byłiby zdolni nawet do podniesienia na siebie głosu. Gdyby nie wyraźne, choć zapudrowane, lub pozaklejane plasterkami ślady bójki, Murek sam zwątpiłby w to, co widział na własne oczy zaledwie przed dwiema godzinami. No, i rozmowa nie dawała się nawiązać, mimo usilnych zabiegów babci. Tylko głuchy pan Salwator, stryj pana domu, zdradzał wyśmienity humor, gadając bez przerwy. Musiał nie słyszeć awantury i nic o niej nie wiedzieć, gdyż raz po raz zwracał się do jej uczestników z dowcipami, anegdotkami i żarcikami na temat szram i sińców. Bawił się tem znakomicie i był sobie rad.

Na Murku zrobiło to wszystko razem makabryczne wrażenie. Wracając do domu, obiecał sobie dwie rzeczy: jak najprędzej wyrwać Nirę z tego domu i rozstać się z Karolką. Już wówczas, gdy Nira płakała, przeklinał w duchu swoją słabość, to, że uległ pokusie i że plamił swoją miłość brudnym i niegodnym uczciwego człowieka stosunkiem fizycznym.

Nazajutrz, gdy przyszła Karolka, usiłował wytłumaczyć jej stan swego sumienia. Zrozumiała tylko, że ją odpędza, a chociaż nie przejęła się tem zbyt, chlipała prawie pół godziny, dając Murkowi do zrozumienia, że gdyby mu się coś odmieniło, zawsze gotowa jest do powrotu.

Jeden po drugim mijały dni, dręczące bezczynnością. Prawie codziennie widywał się z narzeczoną, a pewien swego rychłego powrotu do magistratu, chodził po mieście ostentacyjnie uśmiechnięty i z podniesioną głową, zwłaszcza towarzysząc pannie Horzeńskiej. Może dlatego, a może przez zwykłą ciekawość, zatrzymywali go teraz częściej znajomi, wypytując o zamiary na przyszłość, a mimochodem starając się dowiedzieć coś bliższego o awanturze u Horzeńskich, o której opowiadano niestworzone rzeczy. Służba musiała roznosić plotki, a te wykoszławiły i bez tego przykrą prawdę do rozmiarów niemal zbrodni. Życie jednak potoczyło się wkrótce dawnym trybem i już nie mogło być mowy o zamordowaniu w willi na Wielkiej owej rudej panienci, gdyż kilka osób widziało ją na własne oczy w separacie w restauracji Wiecheckiego i to z Horzeńskim.

Tymczasem minął zapowiedziany przez wojewodę termin i Murek zaczął nachodzić sekretarza Landę, by dowiedzieć się o losie swojej sprawy. Ten jednak nie chciał, czy nie umiał nic powiedzieć i skończyło się na tem, że trzeba było znowu udać się do samego wojewody.

Na piątkowym zbiorowym przyjęciu, na które Murek przyszedł pełen najlepszych nadziei, wojewoda na szczęście był w doskonałym usposobieniu. Dobrodusznie przemówił za zgodą między obywatelami różnych wyznań, wskazał na nieistotność rozbieżności rasowych i klasowych, które już z odległości księżycy muszą być niedostrzegalne, a co

dopiero z takiego naprzykład gwiazdozbioru Wielkiej, czy nawet — przypuśćmy — Małej Niedźwiedzicy. Po kilku hipotezach astronomicznych i muśnięciu sprawy przysłych stosunków międzyplanetarnych, przeszedł odrazu do wysłuchiwania petentów i łaskawie większość spraw zadecydował przychylnie, gdy jednak uśmiechnięty zwrócił się do Murka, wyraźnie spoważniał:

— A, pan doktor Murek. O cóż panu chodzi?...

Nim jednak Murek zdążył coś powiedzieć, wojewoda zmarszczył brwi i zawołał:

— Przypominam. Tak, tak. Otóż panie doktorze, zbadałem pańską skargę. Zbadałem, i przykro mi bardzo, że wprowadził mnie pan w błąd.

— Ja, panie wojewodo... — zaczął Murek.

— Pan — ostro przerwał wojewoda. — Co pan doktor sobie wyobraża, ja nie wiem. Zaprzęta pan swoją osobą województwo i ministerstwo, jakby wszystkie najwyższe instancje administracyjne nie miały nic innego do roboty, jak zajmować się pańską przeszłością polityczną.

— Ależ, panie wojewodo, ja nie mam żadnej przeszłości politycznej! — prawie krzyknął w rozpaczy Murek.

Wojewoda skrzywił się:

— Ma pan, czy nie, to jest obojętne. Gdyby pan miał antypaństwowe grzechy na sumieniu, zostałby pan oddany sądom. A skoro ich pan nie ma, lub obciążają pana rzeczy niekaralne, nikt pana z tego powodu usunąć z posady nie miał prawa. Zrozumiano?... W państwie jest prawo. Pan wie, co to jest prawo?... Praworządność! Każdy obywatel temu prawu podlega. Ono wskazuje mu jego obowiązki i jego uprawnienia. Może pan znajduje, że to nie jest słuszne, ale ja jestem przeciwnego zdania, panie doktorze Murek. I skąd do licha, ubrdał pan sobie, że zwolniono pana z powodów politycznych?... Czy to nie manja wielkości! Do stu diabłów! Ministerstwo nic o tem nie wie. Zarząd miasta wyraźnie i w urzędowym piśmie stwierdza, że zwolniono pana wskutek zwyczajnej redukcji. Pan prezydent Niewiarowicz osobiście to potwierdza. A pan, pan ma widocznie jakieś niezdrowe ambicje, jakieś chorobliwe przywidzenia. Czy panu się zdaje, że ja, jako wojewoda, nie mam nic lepszego do roboty, niż zajmowanie się pańskimi fantazjami?... Niech się pan opamięta, panie doktorze Murek!...

Wojewoda skończył, zmrużył nerwowo powieki i odwrócił się do następnego interesanta.

Schodząc po szerokich schodach, Murek napróżno usiłował zebrać myśli. Jedno wiedział: — Przegrana. Spadło to nań, jak obuch, i przyćmiło zdolność zdawania sobie sprawy z przyczyn i szczegółów poniesionej klęski. Do późnego wieczora leżał na łóżku, przykrywszy się wraz z głową paltem.

Obmierzło mu nagle wszystko. Ogarnęła go taka apatja, że gdyby bodaj pożar wybuchł w domu, nie miałby ochoty ruszyć się z miejsca. Stopniowo, zwolna krystalizowała się świadomość krzywdy, krzywdy, wobec której był bezsilny. Krótco jednak poddawał się rozrzewnieniu nad własną bezsilnością. Pięści same zaczęły się zaciskać, a krew napływała do mózgu. Wiedział dobrze, co mu nakazywała zrobić jego natura. Przed oczyma, jak żywy stanął obraz lat dziecinnych. Na rynku w miasteczku tłum ludzi, a w środku Mikoła Bacel, gospodarz z Ławrynówki, kum ojca, bosi, w parcianych portkach, z dyszlem w obu rękach, a na dyszlu krew, a na ziemi, w kałuży brodaty Judka, co po wsiach jeździł za bydłem, i ziandar z blyszczącymi guzikami. A Mikoła krzyczał:

— Moja krzywda, wasza śmierć!

A wszyscy naokoło milczeli, albo jeszcze przytakiwali, bo stronę Mikoły trzymali, że go żyd oszukał, a żandarm za żydem się ujął. Judka leżał z rozwaloną głową i z dziwnie otwartą gębą, a ten drugi w mundurze, cały we krwi, ruszał się jeszcze, a co się poruszył, Mikoła zawijał dyszlem i walił z całej siły, krzycząc:

— Moja krzywda, wasza śmierć.

I chociaż zaraz przyszło dużo żandarmów, którzy strasznie wygrażali, i po rękach i nogach zakuli Mikołę w łańcuchy, w pamięci Murka pozostał on, jako bohater. Miał wtedy lat sześć, nie więcej, może siedem, ale nigdy w duchu później nie zdobył się na potępienie Mikoły Bacela, gospodarza z Ławrynówki. Już będąc w domu pana Słowińskiego, chodząc do czwartej, czy piątej gimnazjalnej, dowiedział się, że Mikołę wtedy powiesili.

Wiadomość ta nie oburzyła go wcale. Tak i należało. Ale Mikoła umierał ze spokojnym sumieniem, bo za swoją krzywdę zapłacił, sprawiedliwość sobie wymierzył...

Byle to zrobić, a potem to już wszystko jedno!...

Murek usiadł na łóżku i wpatrzył się w ciemność. Serce biło mocno i niespokojnie. Wiedział, co mu szumi po głowie. Tak, pragnął odłaty za swoją krzywdę. Nie kary, nie zemsty, lecz sprawiedliwej odłaty. Moja krzywda, wasza śmierć!... Właśnie, i tylko śmierć. Dawny projekt denuncjacji wydał mu się śmieszny i zbyt łagodny. Czuł w sobie konieczność bezpośredniego fizycznego działania. Chwycić za gardło i udusić lub rozbić łeb!...

I nagle zastanowił się: komu?... Przez myśl przesuwają się szybko postacie wojewody, Gąsowskiego, Niewiarowicza, Jelczy, Czakowskiego, sekretarza Więcka, Landy i niewiadomo dlaczego Junoszyca. Dla nich wszystkich rosła w nim nienawiść. Stopniowo coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że jednak od Niewiarowicza przede wszystkim ma prawo zażądać rozrachunku. Gdzieś pod czaszką zaczęło formować się i twardnieć postanowienie.

Ciężko podniósł się z łóżka, nie zapalając lampy, odszukał poomacku kapelusz, naciągnął palto i wyszedł do sionki. Przekręcał właśnie klucz w zamku, gdy sąsiednie drzwi uchyliły się i w kłębie pary, buchającej w mróz z ciepłego wnętrza, stanął pan Żurko, właściciel mieszkania.

— A pan doktor, za przeproszeniem, wychodzi? — zapytał tonem rozczarowania.

— A bo co, panie Żurko?

— Eee... nic. Tak sobie. Myślałem, że pan może nie pogardzi... He... moja stara kazała...

Staruszek zakaszłał w przeciagu i dodał:

— A i prośbę mielibyśmy.

Murek bez słowa wszedł do pokoju, a raczej do schludnie utrzymanej kuchni. Z sąsiedniej alkowy odrazu przydreptała Żurkowa, przygarbiona, chuda staruszka. Oboje przypominali parę białych, ruchliwych i zaniepokojonych królików. Żyli samotnie. Mieli wprawdzie troje dzieci, lecz dwie córki już dawno wyszły za mąż i mieszkały gdzieś daleko, a syn wyemigrował do Ameryki i tyle o nim wiedzieli, że doszedł do majątku. Do rodziców nie przyjeżdżał, ani znaku życia nie dawał. To też, ile razy staruszkowie zaczepiali Murka, rozmowa wciąż kręciła się koło niewdzięczności dzieci. Nawet nie narzekali na nich. Niczego przecie od nich nie chcieli, broń Boże. Skarżyli się tylko, że przyjdzie im umrzeć, nie doczekawszy się ciepłego słowa od nich. Na komodzie w kolorowych ramach stały fotografie, nad nimi z niebieskiego wazonu zwisały się papierowe czerwone kwiaty. Nawet czystość tutaj, nawet białe firaneczki na oknach i doniczki z pelargonjami, wszystko tu było smutne, osierocone, gotowe do pożegnania na zawsze. W starych oczach, między zmarszczkami, wciąż szklily się łzy, nie wiadomo, czy ze smutku, czy ze starości, aż i obcierać ich nie było warto, a może i nie czuli, jak im wysychały na powiekach. Cały dzień krzątały się oboje w swoim mikroskopijnym gospodarstwie, a wieczorami gawędzili wciąż o tem samym, najczęściej pociemku, przez oszczędność, a i dlatego, że nawet przez okulary czytać już przy sztucznym świetle nie mogli.

Murek czuł dla staruszków jakąś bliżej nieokreśloną litość i dlatego, chociaż początkowo wytargował swój pokój za piętnaście złotych miesięcznie, później dobrowolnie dorzucił jeszcze trzy złote. Dla niego nie był to wielki pieniądz, dla nich stanowiła ta kwota o możliwości takiego luksusu, jak mleko do kawy.

To też, gdy Żurkowa skwapliwie zaczęła nakrywać stół obrusem, Murek stanowczo oświadczył, że za przyjęcie dziękuje. Usadził się pod oknem i zapytał:

— O cóż chodzi?

— Bardzo wielka przykreść... Ot... na stare lata — zaczęła Żurkowa, lecz mąż przerwał jej:

— Do pana doktora, jako do wykształconego człowieka zwracam się. Może pan da łaskawie jaką radę. Już do żadnej impulsywnej pracy nie nadaję się. Ręce trzęsą się, widzę już słabo. Jeszcze ot, w ogródku tam coś tego i owego, ale żeby tak, to nic. Sam pan doktor widzi. Ale, jak panu wiadomo, służyłem kiedyś kolejowo. Czterdzieści lat, panie, czterdzieści lat. Bywało pogoda nie pogoda, choroba nie choroba, do swojej roboty marsz! I zacóż, pytam się taka krzywda?...

— Jaka krzywda?

— A no, powiadają, że u zaborcy, niby, że u ruskich służyłem. A mójże panie, moja wina? A bo to chciałem akurat u ruskich?

— Polskich to i nie było wtedy — tonem zapewnienia wstawiła staruszka.

— Otóż to — potwierdził. — A oni mi powiadają, że teraz taki przepis wyszedł, że mnie moją emeryturę zmniejszyć trzeba. Ludzie, mówię, opamiętajcie się! Za co?... Czy ja co złego, uchowaj Boże, zrobiłem?... Nie to, powiadają, ale służba w zaborczych ruskich na mniej liczy się. To, mówię, może i mnie należy się odmłodzić, żeby z tych czterdziestu lat, co mi potracali na emeryturę, wróciło się?... I jakże to tak?

Staruszek ubawił się własnym dowcipem, klepnął się po kolanie i zerknął na żonę, a ta zaśmiała się cichutko, zakrywając usta ręką.

— I widzi pan doktor, co parę lat zmniejszali. To na oszczędności, to obniżki, a to procenty, a teraz znowu. Powiadają, że od rządu taki przepis wyszedł. Jakże od rządu niesprawiedliwość? Za co? Tak tu siedzim z moją starą i kalkuluje: jak tu z tego wyżyć? Za mieszkanie płacić trzeba, a i opału nikt darmo nie da. Co jemy, sam pan doktor widzi. Kartofle i kluski. A choćbyśmy tego mięsa, co na niedzielę do posmakowania kupujemy, wyrzekli się jak pokusy piekielnej, to i tak nie wyciągniem.

Tu znowu wtrąciła się staruszka i zaczęła szczegółowo wyliczać pozycje niezbędnych wydatków i zakończyła:

— Lepiej przyszliby i powiedzieli: niema dla was nic więcej, umierajcie!

— Co też opowiadasz — zachichotał jej mąż. — Przecież na koszt pogrzebu nie byłoby. Jeszcze przeklinaliby po śmierci. Tak ot czterdzieści lat pracy... Życie człowiekowi zeszło, a nawet na trumnę sosnową nie starczy... Ale ja myślę — ożywił się nagle — że od pana doktora, jako od urzędowej osoby, i wogóle znającego, jakaś rada nam przyjdzie. Bo my, cóż możemy zrobić?... Żadnej siły, ani opieki nie mamy. Prawo z nami, po naszej stronie, ale to słaba pociecha. Przez sądy swojego nie dojdziem, a choćby, to na sądy pieniędzy potrzeba. Nikt z nami się nie liczy. Emeryt, to tak, jak ubogi krewny, co się go z łaski utrzymuje, a jak zadługo żyje, to i łaski coraz mniej. — A my, starzy, nikomu już niepotrzebni. Choćby i wszystko nam odebrali, to i tak jesteśmy bezbronni.

Staruszek wyjął chustkę i długo nos wycierał. Murek pomyślał, że mógłby być synem tych dwojga i że to może lepiej, że jest sierotą. I tak zabolala go ich właśnie bezradność, bezbronność.

Pokiwał głową. Cóż im może poradzić?... Ciężko, bardzo ciężko, ale niech starają się przetrwać. Może przyjdzie poprawa. Teraz takie zarządzenia wyszły. Wszystkim obcinają pobory. Jednym mniej, innym więcej. Nie zawsze sprawiedliwie...

Tu Murek siłą kilkuletniego nawyku poczuł się w jakimś stopniu odpowiedzialny za zarządzenia państwowe, odezwał się w nim obowiązek solidaryzowania się z państwem. Zaczął pouczającym i poważnym tonem wyjaśniać, że rządy też są instytucją ludzką, że osiągnięcie bezwzględnej sprawiedliwości w podziale dochodów i obciążeń, jest bardzo trudne, że kryzys zmusza państwo do rozstrzygnięć nieraz przykrych, a jednostki, które na tem ucierpiały, powinny pogodzić się z nową sytuacją, gdyż dobro całości tego wymaga.

Żurkowie słuchali coraz bardziej onieśmieleni, aż umilkł zawstydzony pustką własnych słów. Jakże inaczej brzmiały, ile miały głębokiego sensu i niewzruszalnej prawdy wtedy, gdy w nie wierzył.

— Pogodzić się? — lęklonie odezwał się Żurko. — I pewnie muszę się pogodzić, bo cóż zrobić?... Ho, gdybym był młody, jak pan, Ho!...

Murek spojrział nań z nagle zainteresowaniem i zapytał półgłosem:

— I coby wtedy pan zrobił?

— Wtedy?... Oho! Co tam gadać! Nie zastawiłbym swojej krzywdy nikomu na pamiętkę... Pewno! A potem plunąłbym i poszedł w świat! Dla młodego wszędzie miejsce i kawałek chleba się znajdzie. Prawda, stara?

Staruszka westchnęła i machnęła rękami. Murek zapiął palto, wstał i pożegnał się.

Zaraz za drzwiami uderzył go mocnym porywem lodowaty wiatr. Setki drobnych jak pył śnieżynek wdarły się za kołnierz, siekły w twarz, kłuły w oczy. Pochylił się i szybko szedł pod wiatr. Pod nogami śnieg skrzypiał urywanym metalicznym dźwiękiem. Trzeba było przymknąwszy powieki iść prawie naoslep. Ulice były puste. Na rogu Poznańskiej i Leśnej ktoś mu się uklonił. Odpowiedział sięgnięciem ręki do kapelusza. Przejmujący powiew

wtargnął do rękawa i poszedł przez plecy. W gęstej zadymce topniały i rozmazywały się światła latarni. We wnętrzu kościoła czerwona lampka żarzyła się pod figurą, oświetlając stopy posągu i rój czerwonych wirujących dokoła gwiazdek.

Za kościołem skręcił wlewo, otworzył furtkę i zadzwonił na ganku. Wysokie ciężkie drzwi uchylily się, pokojówka w czarnej sukience i w białym haftowanym fartuszkowi powitała go jak starego znajomego. Dawniej często bywał u prezydenta, czy służbowo, czy jako gość.

— O, tak dawno pana doktora nie widziałam! — z przyjaznym uśmiechem na puciołowatej twarzy zabrała się do zdejmowania palta. — Proszę tylko usiąść na chwilę, bućki obetrę. Taka zawieja, że strach. Zziąbnął pan doktor?

Spojrzał na jej zalotne oczy, na pogodny uśmiech. Z odległych pokojów, dolatywały śmiechy i piski dzieci. Pozatem jasno tu było, zacisznie i jakoś dziwnie bezpiecznie.

— Zziębłem. Mróz tęgi — powiedział i nie patrząc jej w oczy zapytał:

— Jest pan prezydent?

— A jakże. Niech pan doktor pozwoli do salonu. Zaraz zamelduję.

W salonie rozejrzał się po znajomych ścianach. Nie siadał, a gdy minęło kilka minut i nikt się nie zjawiał, zaczął chodzić. Nie zdawał sobie sprawy z celu swego przybycia. Nie miał żadnego konkretnego zamiaru, ale wiedział, że jest tu wrogiem i że nie odejdzie stąd bez czegoś, co się stać musi. Nie odczuwał najmniejszego podniecenia. Przeciwnie, opanował nim jakiś ołowiany ponury spokój, jaki nadchodzi po ostatecznej decyzji.

— Dobry wieczór, panie Franciszku — usłyszał za sobą głos kobiety i wzdrygnął się.

Do salonu weszła pani Niewiarowiczowa, korpulentna, zlekka siwiejąca blondynka, o pogodnym spojrzeniu. Wyciągnęła do Murka rękę:

— Czy to wizyta, czy ma pan do męża interes?... On właśnie się ubiera. Zmizerniał pan trochę. Dawno nie widzieliśmy się. Niechże pan siada. No proszę siadać — powtórzyła z uprzejmym naciskiem cokolwiek rozkapryszonym tonem, z którym przed dwudziestu laty musiało jej być do twarzy, bo i dziś jeszcze czemś nieuchwytnym przypominała dziecko.

Usiadł niechętnie i powiedział twardo:

— Ja tylko z interesem, i tylko do pana Niewiarowicza.

— Mąż zaraz nadejdzie — zdawała się nie spostrzegać jego tonu. — Tymczasem ja pana ponudzę. Cóż pan porabia, panie Franciszku?

Spojrzał na nią niemal z nienawiścią:

— Chyba pani prezydentowa żartuje. Cóż mogę porabiać? Szlifuję bruki z łaski małżonka pani.

Zmieszała się, powolnym ruchem poprawiła włosy i powiedziała ciepłym głosem:

— Tak, to bardzo, bardzo przykre...

— Dla kogo? — zapytał z ironią.

— O, niech mi pan wierzy, panie Franciszku, że i dla mnie. Lubiałam pana zawsze i ceniałam. Proszę mi wierzyć. Nie umiem, wprost nie umiem darować mężowi pańskiej dymisji. To nie było fair, nie comme il faut, nawet niskie... Ach, pocóż zresztą wyszukiwać nazwę! Mam do męża o to żal, panie Franciszku. Jest dla mnie coś obrzydliwego w tropieniu i prześladowaniu najzaciejszego człowieka za dawne, zapomniane, a często i odpokutowane błędy. Ile razy czytam historię Jean Valjean'a, Wiktora Hugo...

— To niema nic wspólnego — przerwał niecierpliwie — ja nie jestem żadnym zbrodniarzem, proszę pani.

— Ależ ja tego bynajmniej nie chciałam powiedzieć. Analogja ma tu odniesienie...

— Żadnego odniesienia mieć nie może! Gdybym miał sobie coś do wyrzucenia, chociaż cień na swojej przeszłości, tobym słowa nie miał prawa powiedzieć. Tymczasem postawiono mi za plecami zarzuty i uniemożliwiono obronę. Co ja zresztą będę pani o tem mówił, skoro pani sama od swego czcigodnego małżonka wszystko wie.

— Rozumiem pana — przytaknęła — że dobrej pamięci o moim mężu pan nie zachowa. Powtarzam, że sama mu tego przebaczyć nie umiem. Chociaż to przecież nie on wyciągnął tę sprawę, tylko dygnitarz z ministerstwa, radca Gąsowski. Zapewne, mój mąż okazał mało odwagi i mało charakteru. Kiedy Gąsowski robił mu zarzuty, że takiego człowieka jak pan... pojęcia nie mam, co on ma przeciw panu... Mąż powinien był przeciwstawić się. Może zażądać dowodów. Czy ja wiem. Ale Gąsowski ma ogromne

wpływy w Warszawie. Sam pan rozumie, że jedno jego słowo, a mój mąż straciłby swoje stanowisko. Od śmierci jego brata nie mamy żadnego oparcia ani stosunków. Już raz przed dziesięć laty zostaliśmy na bruku. Ale mąż wówczas był młodszy i obowiązków mieliśmy mniej. A żyć trzeba...

— Państwu trzeba, a mnie nie? — zapytał z sarkazmem.

— Panie Franciszku! Ja przecież go nie pochwalam, ja go nie bronię nawet. Tylko chcę, żeby pan był dlań wyrozumiały. To dobry, chociaż słaby człowiek. Niechże pan powie, cobyśmy robili, znalazłszy się na bruku? On już jest przecie stary, a rodzinę mamy liczną, szkoły drogo kosztują, Anielka chora na gruźlicę, musi przebywać w Zakopanem. Wyjazd stamtąd to dla niej śmierć. Cóżby począł mój mąż?... Kto wie, czy nie łatwiej byłoby mu postąpić zgodnie z sumieniem i stanąć w pańskiej obronie. Ale co potem. On przecie nie ma żadnego fachu, ani, jak panu wiadomo, wykształcenia. Zato jest stary i obarcza go rodzina. Przysięgam panu, panie Franciszku, że ja osobiście wolałabym pójść na najgorszą nędzę, niż teraz świecić przed panem... moim wstydem.

Odwróciła głowę i zakryła dłonią oczy. Po policzkach spływały łzy, złościąc ciemne brzozy w powłoce pudru i różu. Po chwili opanowała się i znowu zaczęła mówić. Wyglądała już teraz inaczej, policzki jakoś obwisły i napuchnięte powieki postarzały się bardzo. Ramiona opadły, a małe pulchne ręce raz po raz składały się jak do modlitwy. Mówiła coś o młodości Murka, o jego zdrowiu, wykształceniu, o tem, że dla takiego człowieka życie stoi otworem, że powinien mieć litość dla słabych i starych.

Nie słuchał już tego. Już mu to było wszystko jedno, co mu ta kobieta powie. Przyszedł tu załatwić porachunki z krzywdzicielem. Przyszedł urzeczony wizją Mikołaja Bacela, a teraz przemieniło się w nim coś w środku, przekręciło, na inną wychodziło prawdę. Niby nic nowego nie stało się. Babska gadanina. Sam bo wszystko wiedział, ale — już teraz ni siły, ni ochoty do porachunku nie miał. Osłabiło w nim i nawet aureola Mikołaja jakoś przyciemniała.

Wstał i kiwnął głową:

— Niech tam — powiedział poprostu — niech tam będzie moja krzywda.

— Panie Franciszku — chwyciła go za rękę. — Bóg panu nagrodzi. Za to przebaczenie. Oboje z mężem baliśmy się, że pan będzie się mścił, ale wiedzieliśmy, że pańska szlachetność, jak szczerze złoto...

— Co tam szlachetność — zniecierpliwził się. — Nie szlachetność, a zwykła pogarda. Niech go!...

W tej chwili prezydent Niewiarowicz swoim sprężystym krokiem wszedł do salonu, z wysoko podniesioną głową:

— A, pan doktor. Czemże mogę służyć? — odezwał się dostojnie i swobodnie. — Czy pozostały jeszcze jakieś sprawy niezłatwione?

Pani Niewiarowiczowa chciała coś powiedzieć, lecz Murek splunął prezydentowi pod nogi i powoli, nie śpiesząc się, wyszedł.

Zatrząskując za sobą drzwi, miał wrażenie, że oto rozstaje się raz na zawsze z przeszłością, z przeszłością spokojną, bezpieczną, uporządkowaną układającą się kalendarzowo według rozkładu godzin urzędowych w podziałce dni biurowych i świąt, według reguł zgóry wiadomych, prowadzących wyraźną drogą aż do zacisza emerytury. Na drodze tej w perspektywie rysowały się nieodzowne, konieczne i przewidziane etapy: awanse, małżeństwo, dzieci, może order, a w każdym razie uznanie, przypieczątowane w końcu, czarną klepsydrą.

Czy takiego życia pragnął?... Czy takie sobie wybrał?... Nie. Rozpoczął je tak, a nie inaczej, gdyż poprostu innego życia nie rozumiał. Po obu stronach wytkniętej trasy, pewnej i niezawodnej, jak asfaltowa droga, bałwanila się ustawiczna zmienność, kłębiły się wiry, bez przerwy działało się coś, wznosiły się wysoko i zapadały w nicość powodzenia i klęski, karjery i upadki, bogactwo i głód. Tam, gdzie pierwszy każdego miesiąca nie przynosi gwarancji określonego bytu, gdzie z wyższych kondygnacji piramidy organizacyjnej nie spływa ujęty w paragrafy i przepisy program pracy, gdzie człowiek zdany jest na własną przemyślność, na kaprysy losu, na fale konjunktury, na ciągle ryzyko, tam trzeba nieuspiającej czujności, wiecznego pogotowia, zdolności do codziennej walki.

A dr. Murek, jeżeli po skończeniu prawa nie dał się namówić do wyboru kariery adwokackiej, w której przecie szersze i wspanialsze rozwijały się możliwości z perspektywą

bogactwa włącznie, jeżeli wybrał zawód urzędniczy, to właśnie dlatego, że takie życie było niemal przyrodzoną jego potrzebą.

Po rozmowie z panią Niewiarowiczową, po zatrzaśnięciu za sobą drzwi przeszłości, wiedział i rozumiał, że został strącony ze znanej sobie bezpiecznej drogi, że znalazł się w obcym, groźnym żywiole, gdzie trzeba zdobyć już nie dostęp do spokojnego żerowiska, lecz dzień po dniu walczyć o każdy kęs chleba. Nie wiedział tylko, jak to ma robić, o co się zaczepić, od czego zacząć...

Zaczęły mijać dni, nieznośnie dręczące, tem cięższe, że w samotności trawił swoją rozpacz. Nie miał nikogo, z kim mógłby, lub chciał podzielić się myślami. W domu Horzeńskich oczywiście nie napomknął ani słowem o ostatecznej przegranej. Przeciwnie, gdy zainterpelowano go o to w związku z plotkami o owej audjencji u wojewody, zdobył się na śmiech i zapewnił, że owszem ma wszystkie szanse powrotu na dawne stanowisko, waha się jednak, czy to się opłaci, bo ma znacznie lepszą propozycję prywatną.

Z niepokojem zerkał na obecnych, w obawie, że wyczyta w ich oczach powątpiewanie. Drżał na myśl, że Nira zwątpi w możliwość małżeństwa i zerwie z nim, byle wyrwać się z domu. Pewnego niedzielnego popołudnia groźba ta zdawała się nagle urzeczywistnić. Przy podwieczorku przyniesiono pocztę i Nira, przeczytawszy adresowany do niej list, oznajmiła:

— Za tydzień wyjeżdżam do Warszawy.

Dla wszystkich widocznie było to niespodzianką, gdyż nawet pani Horzeńska spytała:

— Co się stało?

— Nic się nie stało — spokojnie odpowiedziała Nira. — Ciocia Stefa pisze mi, że otrzymałam posadę.

— Jako posadę? — zdziwił się pan Horzeński. — Nic mi nie wspominałaś o żadnych zamiarach!?

— Bo nie wiedziałam, czy uda mi się coś dostać.

Murek zaśmiał się. Nie wyobrażał sobie panny Niry w roli urzędniczki:

— Pani żartuje! Chciałoby się pani pracować?...

— Proszę pana — wzruszyła ramionami. — Nie zawsze robi się to, co odpowiada naszym upodobaniom. Są czasem i konieczności, które...

— Nie widzę tu żadnych konieczności — z naciskiem powiedział pan Horzeński. — Masz rodzicielski dom, niczego ci tu nie brak, a to ci z góry powiem, moja córko, że ja jestem przeciwny wysługiwaniu się po biurach panien z dobrych rodzin. Ani towarzystwo, ani wogóle nic, niema o czym mówić...

— Czy... Czy tato boi się demoralizującego wpływu biura? — zapytała z ironją.

— A chociażby — zaperzył się.

Córka zmierzyla go szyderczem spojrzeniem, i stary zmieszał się.

— Ja nie będę chodziła do czcigodnych ojców rodzin w celu prowadzenia ich rachunków — powiedziała z naciskiem i dodała. — Zresztą niema o czym mówić. Jestem pełnoletnia i rozporządzam sobą.

— Tylko do pewnego stopnia, moja droga — hamował gniew pan Horzeński — jeszcze dziś napiszę do Stefy, by podziękować jej za łaskawe wtrącanie się do moich spraw.

— Nie radzę pisać — tonem groźby, odpowiedziała Nira — bo jeżeli tej posady nie dostanę, to i tak wyjadę. Tylko, że będę musiała poszukać innych środków utrzymania.

— Dziecko drogie — łagodząco odezwała się babcia — ja osobiście nie widzę nic złego w twoich zamiarach i sądzę, że ojciec pogodzi się z nimi również. Powiedz że, gdzie ma być ta posada?

— W biurze, babciu, a w którym, wolę nie mówić, póki nie otrzymam oficjalnego zawiadomienia.

— Jak chcesz, kochanie. Nie nalegam. W każdym razie zamieszkasz chyba u Stefy?

— Taki mam zamiar — po chwili wahania odpowiedziała Nira.

Burza została zażegnana, lecz Murek czuł się przygnębiony, co nie uszło uwagi babci. To też, gdy zostali we dwoje, starała się dodać mu otuchy. Mówiła, że dla niego to i lepiej. Narzeczona jeszcze przed ślubem pozna wartość pracy, nauczy się cenić zarobione pieniądze, straci trochę fum, odziedziczonych po matce. A gdy spróbuje życia samotnej kobiety, tem bardziej zatęskni do własnego małżeńskiego domu i do męskiej opieki.

Argumenty babci trafiły Murkowi do przekonania. Tę niemniej perspektywa rozłąki nie wydawała mu się pociągająca. To też odtąd codziennie wypytywał Nirę, czy nadeszło oficjalne zawiadomienie z Warszawy. Wyjazd jej w domu został już przesądzony, w związku z czym Murek kilkakrotnie towarzyszył narzeczonej i jej matce przy zakupach.

W każdym razie nie mógł, nie miał prawa prosić Nirę, by zrezygnowała ze swego zamiaru. Cóż ofiarowałby jej wzamian?... Obawiał się nawet, czy ona nie dostrzegła, że przestał dopominać się o wyznaczenie daty ślubu.

Nie stracił bynajmniej wiary we wspólną przyszłość, bo gdyby tak było, nie znalazłby w sobie ani sił, ani energii do życia.

Tymczasem jednak gotówka topniała z dniem każdym. Topniała w coraz mniejszych dawkach, lecz najmniejszy bodaj groszowy wydatek przybliżał widmo pustki w woreczku. To też zrezygnowawszy z zabiegów o posadę w jakimkolwiek urzędzie, Murek odwiedził wszystkie znane sobie instytucje prywatne w nadziei, że bodaj najskromniejszą posadkę znajdzie. Wszędzie jednak był raczej nadmiar pracowników i przemyślano o redukcjach. O zaangażowaniu kogoś nowego nawet mowy być nie mogło.

Z bólem serca postanowił zrezygnować z zamówionych mebli, za które już szereg rat wpłacił. Właściciel firmy nie chciał jednak ani słyszeć o zwrocie bodaj części pieniędzy. Z punktu prawnego, miał słuszność i Murek musiał zadowolić się obietnicą, że w wypadku nabycia jego mebli, przez kogoś innego, otrzyma część swoich wpłat.

Poszedł też do Fajncyna, właściciela kamienicy, gdzie zarezerwował dla siebie mieszkanie. Nie był tu do niczego zobowiązany, ale dla przyzwoitości należało poinformować właściciela, że się żrzeką.

— Co jest? — zapytał Fajncyn — pan doktor się nie żeni?

— Narazie nie. Muszę swoje projekty odłożyć.

— Nu, odłożyć, to i mieszkanie może poczekać. Ja pana doktora powim, że o dobrego lokatora, na taki lokal, to teraz trudno. A mam byle komu wynająć, co to płacić nie będzie, to wolę jeszcze poczekać.

Murek uśmiechnął się smutnie.

— Zadługo pan czekałby.

— No? Dlaczego?

— Bo póki dobrej posady nie znajdę, to się nie ożenię.

Żyd spojrział nań z zaciekawieniem:

— Jakże, to pan doktor już w magistracie nie pracuje?

— Ano nie.

— Dlaczego?

— Zredukowali mnie. Jestem bezrobotny.

— Ajajaj — pokręcił głową Fajncyn — taka osoba i bezrobotny... Ale pewno nie dziś, to jutro, pan doktor w jakim urzędzie znowu co dostanie?

Murek potrząsnął głową:

— Wszędzie pełno. Trudno bardzo.

Żyd zamyślił się i po dłuższej chwili zapytał:

— Przecież pan zna się na prawie, i na urzędach, i na podatkach, i na rozporządzeniach. Pan mógłby być jak adwokat?

— Nno nie, bo do adwokatury trzeba przejść przez aplikanturę, a pozatem...

— Uj, ja też nie mówię — przerwał Fajncyn — tylko tak kalkuluję, że jakby pan w jakiej firmie temi rzeczami się zajął, to i zarobek może być... Ja pana powiem: bracia mojej żony, to oni mają wielkie interesy. Oni handlują z lasem. Firma „Polskie drzewo”. To oni kupują na wyrąb, a później przecierają w tartakach i sprzedają, to na Śląsk do kopalni, to zagranicę. Oni oba to wciąż w rozjazdach, a z tem chodzeniem po urzędach, to dla nich nieszczęście. Oni wprawdzie mają swego adwokata, ale taki adwokat to skórę zedrze, a robić mu się nie chce. Jak pan chce, to ja mogę z nimi pogadać.

Murek bardzo podziękował Fajncynowi, lecz nie miał nadziei, by jego projekt został zrealizowany. Nie zaprzestał też starań nad zdobyciem posady. Codziennie wynotowywał z dzienników kilka odpowiednich ogłoszeń i wysyłał oferty. Koszt znaczków pocztowych stał się poważną pozycją w jego budżecie. Odpowiedzi jednakże nie otrzymywał wcale,

lub nadchodziły takie, które proponowały mu akwizycję i domokrężną sprzedaż. Zawsze jednak żądano kaucji, której przecież złożyć nie mógł.

Pod koniec lutego, Nira wyjechała do Warszawy. Pociąg odchodził o siódmej rano i dlatego złożyło się tak szczęśliwie, że nikt z rodziny jej nie odprowadzał, dzięki czemu Murek do ostatniej chwili mógł być z nią sam na sam.

Nira była w cudownym usposobieniu, rozmowna i wesoła. Raz po raz parskała śmiechem, żartując z pogrzebowej miny narzeczonego i zapewniając go, że pomimo oddalenia będzie mu tak wierna, jak dotychczas.

— Chyba, że poznam w Warszawie jakiegoś maharadzę. Wówczas za siebie nie ręczę i wydam się za niego — śmiała się. — Zresztą mam nadzieję, że pan, panie Franku, przyjmie godność drużby? Prawda?

— Z takich rzeczy nie wolno żartować — cicho powtarzał Murek, lecz w zgiełku podróżnych nawet go nie słyszała.

Dopiero na pożegnanie podała mu swój adres w Warszawie i obiecała obszernie napisać.

Wyskoczył z pociągu już w biegu i długo machał na peronie chusteczką, chociaż wiedział, że Nira przez zamrożone szyby nie może go widzieć. Wracając do domu, rozważał w myśli, przepowiednie babci Horzeńskiej, która przewidywała, że po miesiącu, czy dwóch wnuczce obrzydnie posada i wróci do swoich.

Przed bramą domu, stał jakiś starszy żyd i rozglądał się. Gdy Murek go mijal, wchodząc do bramy, żyd zapytał:

— Przepraszam pana, czy doktor Murek?

— Tak.

— Ja mam do pana interes. Jestem Lesser, szwagier Fajncyna.

— Aaa — zdziwił się Murek.

— Możemy wstąpić do pana pogadać?

— Proszę bardzo — zakłopotał się Murek. — Tylko u mnie jeszcze nie sprzątnięte.

Lesser zaśmiał się:

— Ja nie kobita, mnie wszystko jedno.

Obawy Murka były nieuzasadnione. Stara Żurkowa wstała wcześniej, a pokój lokatora uprzątała przedewszystkiem. Lesser usiadł przy stole, rozejrzał się i zapytał:

— Pan już dawno bez posady?

— Trzeci miesiąc.

— Zredukowali?

— Tak.

— Ja wiem, że pan jest uczciwy człowiek — innym tonem zaczął Lesser. — My z bratem mamy interes, co go pan pewno zna „Polskie Drzewo”.

— Owszem, słyszałem.

— Otóż mój brat, to on trochę na rabina się szykował, on nawet w żargonie źle mówi. Tylko po hebrajsku. To pan rozumie, że wszystko na mojej głowie. Żeby firma szła, ja muszę dopilnować, żeby dobrze kupić i dobrze sprzedać. Ja muszę każdą rzecz sam sprawdzić. I las, i wyrąb, i transport, i w tartakach. To już ja, żebym nie wiem co, żebym i nocami nie spał, jak rok okrążył, to i tak nie mogę dopilnować wszelkich spraw urzędowych. Pan mnie rozumie?... Zadużo ich jest. Podatki takie i siakie, i jeszcze inne; ubezpieczenia, kasy chorych... ja wiem? To trzeba nogi do tego połamać. Oni myślą, że człowiek tylko poto ma przedsiębiorstwo, żeby im różne papierki i formalności wypisywać i płacić, czy jest za co, czy niema. Żeby nie mój brat, co jest uparty, to jabym już dawno cały interes zwinął i wyjechał na drugi koniec świata. Ale skoro nie mogę, to już chcę jakoś na swoim wyjść. Adwokat, co mi te rzeczy załatwia, ani dba o to, ani ja mu nie mam czasu na ręce patrzeć. Fajncyn powiadał mi, że pan doktor do tego w sam raz. Dużo pan u mnie nie zarobi, ale lepsze to, jak nic. Co pan o tem myśli?

— Myślę — odpowiedział Murek — że zasadniczo mógłbym zgodzić się.

— To i dobrze. — Powiem panu tak: robim próbę. Będzie nam sztytować razem, to pomyślimy o stałej umowie. Narazie daję panu dniówkę, pięć złotych.

— Jakto dniówkę?

— No, to tak dla wygody i pańskiej, i mojej. Jakbyśmy wzięli umowę miesięczną, to obaj musielibyśmy zapłacić od tego, djabli wiedzą poco, ubezpieczenie i podatek. A tak

lepiej. Więc dniówkę pięć i pozatem od każdej sprawy jakiś procent. Wytargujesz pan zniżkę jakiejś zaległości — procent. Ile?... Ja wiem?... Zależnie od sprawy. Klócić się nie będziemy.

Murek zastanowił się. Oczywiście, nie zachwycała go ta propozycja. Oczywiście, perspektywa nieustalanej pracy i równie nieustalonych zarobków, nie odpowiadała mu wcale. Przejmowała go strachem myśl, że nie da sobie rady, a niesmakiem konieczność działania w imieniu żydowskiej firmy, w dodatku na niekorzyść Skarbu Państwa. Jednak wyboru nie miał. I tak z nieba mu to spadło. Dlatego może nawet nie pomyślał o wytargowaniu lepszych warunków i zgodził się.

Firma „Polskie Drzewo” składała się z maleńkiego baraku, gdzie mieścił się kantorek i z olbrzymiej posesji zawalanej stertami desek, bali, tarcic, sągami drzewa i gonty. Wszystko razem położone na krańcu przedmieścia Chęty, za dworcem, nad rzeką, w kącie, utworzonym przez brzegi i własną bocznice kolejową.

Brat Hermana Lessera, Nuchim, gruby i milczący brodac, zaglądał tu rzadko, sam Herman nigdy. W kantorku sprawował władzę buhalter Kacowicz, mały nerwowy żydek, który, jak sam twierdził, jeden jedyny całą firmę umiał na pamięć. Kacowicz przyjął Murka z rezerwą. Znał go zresztą z magistratu, gdzie nieraz załatwiał interesy. Stąd pozostał mu szacunek, należny osobie urzędowej, od której humoru zależy wiele, lecz i niechęć do człowieka obcego. Minęło kilka dni, zanim doszedł do przekonania, że Murek nie dybie na wysadzenie go z posady. Zresztą i posada nie była do pozazdroszczenia. Poza oficjalną rolę buchaltera, Kacowicz spełniał tysiące przeróżnych funkcji. Kontrolował ładunki, stróżów nocnych i dziennych, zajmował się wypłatami, prywatnymi sprawami rodziny chlebobawców, pisaniem ofert, wylawianiem z pism ogłoszeń o przetargach i licytacjach, a w razie potrzeby sam otwierał bramę, palił w piecu i gotował herbatę. Od świtu do nocy po całej posesji rozlegał się jego jazgotliwy, zaaferowany dyszkant.

W nawale tych zajęć, zdążył jednak w stosunkowo krótkim czasie zaznajomić Murka z urzędowymi sprawami i zostrożna zaczął nim komenderować, wysyłając go to do izby skarbowej, to do zarządu kolejowego, to do zakładu ubezpieczeń.

Pod koniec tygodnia przyjechał Herman Lesser i wysłuchawszy Murkowego sprawozdania, wypłacił mu trzydzieści złotych dniówek i ekstra setkę za załatwienie sprawy postojowego na kolei.

Murek powoli przyzwyczajał się do nowego stanowiska. Do późnego wieczora codzień studjował ustawy i taryfy, wyszukując w nich możliwość zmniejszenia wydatków firmy. A że z wieloma stronami obecnego zajęcia był już dawniej obeznany, że orjentował się w sieci dróg urzędowych i w kompetencjach różnych władz — szło mu coraz łatwiej. Jednak wstydził się potrochu, bądź co bądź, niewyraźnej pozycji, jaką zajmował i w miarę możności unikał wywnętrzania się na ten temat. Bywając wszakże w wielu urzędach w nowym charakterze, musiał legitymować się jako radca prawny firmy „Drzewo Polskie” i w mieście, gdzie nic ukryć się nie dawało, wkrótce wszyscy wiedzieli, że dr. Murek — jak wyraził się Żytniewicz z Izby Skarbowej — wyzyskuje swoje umiejętności, dla oszwabiania Skarbu. Niektórzy urzędnicy, dawni koledzy, nie ukrywali przed Murkiem zazdrości, podejrzewając, że teraz dopiero robi kokosy.

Wieści o tem dotarły i do willi na Wielkiej. Pani Horzeńska, spotkawszy Murka w starostwie, przywitała go prawie serdecznie, nawet napomykając o tem, że „drogi pan tak jest zajęty robieniem interesów, podobno świetnych, że zapomina o nas”.

Murek nie zapomniał, lecz od czasu wyjazdu Niry nie chciał u Horzeńskich bywać. Wspomnienie tamtej awantury było silniejsze, niż poczucie obowiązku odwiedzenia rodziców narzeczonej. Tembardziej, że od niej samej miał — ku swemu radosnemu zdziwieniu — częste, dość częste wiadomości. W niespełna dwa tygodnie otrzymał wprawdzie krótkie, lecz aż cztery karteczki. Pisała, że jeszcze posady nie ma, lecz to kwestja dni, że jest zdrowa i że życzy mu zrobienia milionów na handlu drzewem. Widocznie miała o nim wiadomości z domu, wiadomości, oczywiście, nieścisle, i przesadzone. Pomimo to w swoich niemal codziennych listach do Niry nie prostował tych informacji. Niech lepiej myśli, że powodzi mu się świetnie.

W istocie powodziło się nieźle. Lesserowie byli zadowoleni, Kacowicz również. Drugi tydzień przyniósł wprawdzie tylko dniówkę, zato trzeci prawie dwieście złotych. W per-

spektywie wylaniała się nawet znacznie okazańsza suma w związku z wykryciem przez Murka nadmiernego obliczenia podatku za place firmy.

Właśnie po wynotowaniu potrzebnych danych, które ostatecznie i czarno na białem wykazywały błąd, zjawił się w urzędzie, gdy referent wręcz mu oświadczył, że nie będzie wogóle z nim pertraktował. Otrzymał taką instrukcję od zwierzchnika:

— Pan, doktorze, nie jest współwłaścicielem tej firmy i nie posiada pan plenipotencji.

— Mogę przedstawić, w razie żądania, odpowiednie upoważnienie.

— Może pan. Ale naczelnik wyraźnie oświadczył, że nie będzie sobie zwracał tem głowy. Niech tu przyjdzie który z właścicieli.

Murek chciał powiedzieć, że jest to samowola, i że wreszcie skieruje skargę do wyższej instancji, lecz powstrzymał się. W interesie przedsiębiorstwa leżało przedewszystkiem zgodne i potulne ustosunkowanie się do wszelkich władz.

Nazajutrz Herman Lesser, który specjalnie musiał odłożyć wyjazd do Gdańska, wrócił z urzędu chmurny i zrezygnowany. Wyprawił Kacowicza z jakimś poleceniem i usiadłszy przed żelaznym piecykiem westchnął:

— POCO panu ta polityka?

Murek aż zerwał się z krzesła.

— Ja panu powiem, co mi oni powiedzieli — ciągnął Lesser. — Oni powiadają, że nasza firma nie mogła sobie znaleźć innego, jak takiego, co go za niebłagonadiożność usunęli. I co ja mam robić?... Sam pan to rozumie, panie Murek. Ja z pańskiej roboty jestem kontent, ja do pana mam zaufanie, że pan nie złodziej, że pan solidny gość. Ale co ja mogę poradzić, jak mi mówią, że dla mnie niebezpiecznie pana trzymać. Ja wiem?... Oni mogą takie szykany wymyślić, że mnie tylko zostanie powiesić się. Ja muszę ich słuchać. Mało tego. Oni mi jakiegoś innego tu wypychają... Twierdzą, że jak mam dać chleb, to niech dam takiemu, co jest polecony, to i firma na tem lepiej wyjdzie... I co ja z nim zrobię?... On jest byłym oficer. Ja wiem?... Ja mu słowo powiem, to on gotów do mnie strzelać z rewolwerem. Ja wogóle się go boję... Oj, czemu mnie pan nie uprzedził, że pan polityczny?... Janie potrzebowałbym teraz brać sobie obcego człowieka na kark. Już to pan nieładnie ze mną postąpił...

Murek stopniowo uspokajał się. Czyż miał polemizować z Lesserem, udowodniać mu swoją niewinność, prosić o zmianę decyzji?... Sam wiedział dobrze, że człowiek ten inaczej postąpić nie może.

Zdjął z gwoździa palto, nacisnął na uszy kapelusz i powiedział:

— No, trudno. Dowidzenia, panie Lesser. Należy mi się jeszcze dwadzieścia pięć złotych. A może i tego pan nie da?

— Oj, panie Murek. Czego się pan na mnie obraża? Moja wina?

— No, nie — przyznał.

— Trzeba panu było z tą polityką?... A co do należności, to dlaczego dwadzieścia pięć?

— Prosty rachunek: pięć dni.

Lesser zaśmiał się:

— To pan liczy i dzisiejszy dzień i wczorajszy?... A przecie pan w te dni nic nie zrobił. Panu należy się piętnaście.

Murek machnął ręką:

— Możesz mi pan i nic nie dać. Do sądu nie podam.

Lesser odliczył bilonem piętnaście złotych i położył na stole:

Na dworze była odwilż. Nogi po kostki zapadały w mokry podciekły śnieg. Ciepły, wilgotny wiatr, przefiltrowany przez sterty desek, pachniał żywicą. Przed dworcem utworzyła się wielka kałuża, ale na Parkowej, gdzie ruch pojazdów był mniejszy, było jeszcze sucho i biało. Przechodząc obok domu Boczarskiego, Murek przypomniał sobie napomknięcie mecenasa o jakiejś posiadzie. Nie miał nic do stracenia i dlatego postanowił wstąpić. Boczarski jeszcze nie wrócił z sądu. Czekano nań z obiadem. Gdy jednak zjawił się, przyjął Murka natychmiast.

— Słyszałem, że doktor z Lesserami wszedł w spółkę. Niech pan uważa. To spryciarze.

— Wcale nie wchodziłem w spółkę — zaprzeczył Murek. — Z czemże zresztą miałbym wejść?

— No, no — przymrużył oko adwokat. — Już tam nie bez tego, żeby pan sobie przy tych magistrackich interesach czego nie uciął.

— Myli się mecenas — poczerwieniał Murek. — Nie jestem złodziejem...

— O, takie mocne słowa — skrzywił się Boczarski. — Pan zbyt rygorystycznie traktuje polskie słownictwo, panie kolego. Papierosika?... A cóż pana do mnie sprowadza? Bo i ja wobec tego, że jak słyszę, jest pan wolny, miałbym pewną propozycję.

— Właśnie. Wspominał pan kiedyś...

— Rzecz wkrótce stanie się aktualna. — Boczarski wstał, zamknął drzwi i starannie zaciągnął grubą portjerę. — Przedewszystkiem zaznaczam, że ja nic z tem nie mam wspólnego. Występuję tylko jako adwokat w imieniu klienta, do którego... wołę się nie przyznawać. Dlatego też proszę pana o słowo, że nasza rozmowa zostanie w absolutnej tajemnicy. Bez względu na to, czy przyjmie pan propozycję, czy odrzuci.

— Słowo mogę dać — zgodził się Murek.

— Zatem... Chodzi o pewne przedsiębiorstwo. Zapewne domyśla się pan, że nie ja je zakładam. Podkreślam, że nie mam z tem absolutnie, ale to absolutnie nic wspólnego. Są kapitaliści... Przeważnie zagraniczni... Tu reprezentuje ich znany panu Leon Stawski. Umilkł i czekał na odezwanie się Murka.

— Nie zraża to pana? — zapytał po chwili.

— Cóż, w każdym razie nie zachęca. Ten Stawski to notoryczna szuja.

— Nie zaprzeczam. I właśnie dlatego nie może się eksponować. Ktoś, kto da firmie nazwisko i zostanie dyrektorem przedsiębiorstwa, musi posiadać pełne kwalifikacje moralne. Inaczej firma nie uzyska prawa istnienia.

— Wątpię — odezwał się Murek — czy u władzy moje nazwisko będzie dobrze widziane, ze względu na te oszczerstwa...

— Polityczne?... O, to nie gra roli. Zresztą, taki spryciarz, jak Stawski, przeprowadzi rzecz w Warszawie, gdzie o panu nikt nic nie wie.

— A jakież to ma być przedsiębiorstwo?

Boczarski stuknął palcami i skrzywił się:

— Nie wiem dokładnie. Werbownictwo emigracyjne, pośrednictwo w osiedlaniu się w kolonjach, czy stręczenie pracy w Ameryce... Coś w tym rodzaju.

— Ja na tem nie znam się wcale.

— Ach — wzruszył Boczarski ramionami. — Cóż to pana obchodzi? Stawski sam wysunął pańską kandydaturę. Widocznie wie, co robi.

— A ileż ja tam dostanę?

— To rzecz umowy. Sądzę, że... kilkaset złotych. W każdym razie nie będzie pan miał wiele roboty. Głównie chodzi o firmę, o nazwisko, o brzmieniu, że tak powiem, swojskiem, o to, że pan jest Polakiem i katolikiem, no, i posiadaczem tytułu naukowego. I za to się płaci. Co do zajęć, zdaje się, będą kontenci, gdy pan ograniczy je do minimum. Te żydy mają różne interesy i nie lubią, by w nich szperać.

— To znaczy, że interesy są brudne.

— Mój panie kolego — westchnął Boczarski. — Nie tylko brudne rzeczy trzeba ukrywać. Zresztą nie jest pan aż tak naiwny, by chciał się tem interesować. Poza tem powtarzam, że o niczem nie wiem. Jeżeli pan chce, proszę wprost zwrócić się do Stawskiego.

Murek kiwał się na krześle i w milczeniu palił papierosa.

— Zatem? — przynaglił adwokat.

— Dobrze. Gdzie go można znaleźć?

— To rozumiem — zatarł ręce Boczarski. — Więc, on mieszka u ojca, przy Alei Kosynierów 6. Ten duży, czerwony dom. Wie pan?... Drugie piętro. Tylko niech pan nie szuka na drzwiach nazwiska Stawski. Jego ojciec nazywa się jeszcze poprostu Zalcman. Za dwa dni Stawski przyjedzie i wówczas niech pan doń wstąpi. No, a teraz nie ośmielę się pana dłużej zatrzymywać, bo i mnie obiad stygnie.

Stawski bawił w Krakowie i wrócił dopiero po czterech dniach. Murka przyjął z wylewną poufalością.

— W sam czas, kochany panie doktorze. W sam czas. Boczarski wyłożył panu wszystko?

— Nie, bo przecie on z tem nie ma nic wspólnego. Napomknął tylko, że chodzi o biuro emigracyjne.

Stawski wybuchnął śmiechem i klapnął Murka po kolanie, ponieważ zaś miał zawsze spocone ręce, Murek cofnął nogę. Nie cierpiał płam na ubraniu.

— Ten Boczarski to morowy karaluch — śmiał się Stawski. — Jemu się zdaje, że wszyscy wciąż uważają go za świętego. No, ale mówmy o biznesie. Pięć Kościuszek miesięcznie. Dobra pensja?

— Dobra. Ale zależy za co.

— Właściwie zadarmo — przysunął swoje krzesło Stawski. — Pan będziesz, doktorze, dyrektorem Zjednoczenia Organizacji Kolonizacyjnych. Niezła nazwa, co?

— Więc to nie firma, tylko jakaś instytucja społeczna?

— Właśnie cała sztuka w tem, żeby firmę tak nazwać, żeby wyglądała na społeczną. Firma musi udawać, że prawie bezinteresownie ułatwia emigrantom wyjazd i znalezienie pracy zagranicą. Pojmuje pan?... Musi pozatem dla pociągnięcia klienteli chłopskiej mieć zabarwienie ludowe. Jak panu na imię.

— Franciszek.

— Doskonale. Dyrektor Franciszek Murek i doktor praw. Czego więcej trzeba? Praca dla naszego ukochanego ludu? Nie?... Pod takim szyldem można działać bezpiecznie.

— A cóż może być niebezpiecznego?

Stawski zrobił niewyraźny gest:

— No... Różnie. Władze do wszystkiego się czepiają, wszędzie wsadzają swój nos. W kraju bezrobocie, głód, a oni zamiast cieszyć się, że tyle tam ludzi wyjedzie, wolą węszyć w każdej takiej imprezie, powiedzmy, handel żywym towarem... Że kilkaset dziwek znajdzie chleb za oceanem, to już koniecznie żywy towar... Zresztą, panie Franciszek, czy pan myśli, że one, te wiejskie dziewczyny nie wolą tego, niż kopać kartofle?... A w takiej firmie emigracyjnej, zawsze może się zdarzyć, że pewien procent emigrantek w Ameryce puści się na lekkie wody. Czy my za to, pytam się pana, możemy ponosić odpowiedzialność? My jej już tu na miejscu dajemy posadę w Ameryce i kontrakt z pracodawcą tamtejszym. Ale nie możemy ręczyć, czy ona tam tego kontraktu nie zerwie. Cholera ją wie, nieprawdaż?... No, ale im posadzić o handel żywym towarem łatwo. Tylko, widzi pan, udowodnić to będzie trudno. Kontrakt!!! Pojmujesz pan?

Murek patrzył spodełba na błyski w jego oczach, na półuśmiezek, biegający wokół grubych warg.

— Ale biuro nie będzie zajmowało się wyłącznie eksportem kobiet? — zapytał jeszcze.

Stawski wyduł usta:

— No, wyłącznie... nie. Jak się zdarzy jakiś amator. Ale głównie w Południowej Ameryce jest zapotrzebowanie na kobiety. W filantropię nie możemy się bawić. Popyt stwarza podaż. A co do pana, drogi panie Franciszku, to pan ani werbowaniem, ani niczem nie będzie się zajmować. Tylko najlegalniejsze dawanie kontraktów do podpisu. Oto wszystko.

Murek pokiwał głową i wstał. Stawski przyglądał się mu z niepokojem.

— I za to pięćset, powiedzmy, pięćset pięćdziesiąt złotych miesięcznie. To jest grosz! To jest forsa!

— Właściwie powinienem — wolno zaczął Murek. — wprost od pana pójść do policji. Za takie rzeczy do kryminału...

— Wolne żarty — wybuchnął śmiechem Stawski. — Co pan głupstwa opowiadasz? Z czym pójdzie pan do policji? Tu za drzwiami może być choćby i pięć osób, co naszą rozmowę słyszały. Co oneby zeznały?... Nie bądź pan głupi, panie Franciszek. A zresztą, co ja złego, co nieprawnego mówiłem?... Opamiętaj się pan. Z pańską naiwnością daleko pan nie zajedziesz. Chcesz pan sześćset złotych?...

Zastąpił Murkowi drogę.

— Siedemset! — zawołał już z gniewem.

— Puść pan — odpowiedział Murek. — Nie na takiegoś pan trafił. Prawda, że teraz nic panu zrobić nie mogę, boś za sprytny. Ale nie radzę otwierać takiej firmy. Nie radzę!

Otworzył drzwi i w przedpokoju natknął się na dwóch młodzieńców, którzy odskoczyli w bok. Usłyszał jeszcze za sobą wściekły głos Stawskiego:

— To dopiero idyjota!...

Ogarnęło go jakieś nieznośne obrzydzenie do życia, do ludzi, do tego miasta, do tych ulic błotnistych i szarych, do samego siebie. Zrozumiał wreszcie, że tutaj już przegrał z kretelem, że tu nic dla siebie nie znajdzie i przyszły mu na myśl słowa Boczarskiego:

— W Warszawie nikt o panu nic nie wie...

Tak. Wyjechać. Najprędzej wyjechać. Na szerszy świat. Tam przecież musi znaleźć sobie kawałek chleba. Jest nie do pomyślenia, by w społeczeństwie, liczącym tak mały odsetek inteligencji, mógł zginąć człowiek wykształcony, młody, zdrowy, zdolny do pracy. Społeczeństwo ma obowiązek, już nie tylko ze względów humanitarnych, lecz i we własnym, dobrze zrozumianym interesie, znaleźć w sobie miejsce dla niego.

Pogrążywszy się w tych rozważaniach, odzyskiwał energję, wiarę w przyszłość, i chęć do działania.

Warszawa! Że nie pomyślał o tem wcześniej! Że z takim uporem trzymał się tego złego miasta, które go odepchnęło, wyparło się i omal nie wtrąciło w bagno... Warszawa... Szerokie horyzonty... Inne tempo życia i, co ważniejsze — Nira.

Wstąpił na pocztę, gdzie już oddawna odbierał listy. Tym razem była niebieska koperta z Kielc: wydział finansowy magistratu, odpowiedział odmownie na ofertę Murka. I kolorowa kartka od Niry. Donosiła, że czuje się świetnie i otrzymała już posadę w Towarzystwie Ubezpieczeń „Sumienność”.

— Warszawa! Pakować się i jechać! Zaraz jutro — powtarzał, idąc do domu.

Zaraz za furtką wyjął klucz. W ciemnej sionce ręce natknęły się na coś żywego:

— Kto tu? — zaniepokoił się.

— To ja — usłyszał pokorny szept.

— Kto ja?

— Karolka.

Wezbrało w nim oburzenie. Przecie stanowczo i raz na zawsze zabronił jej przychodzić, że taka dziewczyna wstydu nie ma, ani ambicji.

— Poco Karolka przyszła? Czy nie zabronilem Karolce przychodzić?!

Nic nie odpowiedziała. Otworzył drzwi do swego pokoju. Weszła za nim i stanęła przy progu.

— Ja nie poto — wybąkała — tylko chciałam pożegnać się. Niech pan nie gniewa się.

Murek udobruchał się, lecz zapytał surowo:

— Poco pożegnać się?

— Bo nie mam już służby. Pani Rzepecka mnie wydalila. A i sama poszłabym.

— No, to Karolka nową służbę znajdzie.

Wytarła nos rąbkiem włóczkowego szalika.

— Eee... i szukać nie będę.

— Cóż to, praca Karolce obrzydła?

— Nie to.

— Tylko co?

— A ot, do ojca, do swoich pojedę.

Murek z tych niechętnych odpowiedzi wywnioskował, że musiało coś się stać. Przyjście Karolki sprawiło mu wielką przykrość. Samą swoją obecnością przypominała mu, że postąpił, ba, że postępował źle, że nie był w porządku wobec własnego sumienia. Milczał i nie patrzył na nią. Skoro chce wracać do swoich, niechże wraca, lecz poco go nachodzi? Obecność tej dziewczyny zaczęła go niecierpliwic. Skąd wogóle wyobraziła sobie, że musiała właśnie jego pożegnać.

Tymczasem Karolka bynajmniej nie zabierała się do odejścia. Przysiadła na brzeżku krzesła i rozluźniła węzeł ciepłej chustki wełnianej. Murek, chcąc zabrać się do pakowania, powiedział:

— Ja wiele czasu nie mam. Też wyjeżdżam.

Dziewczyna zaniepokoiła się:

— Wyjeżdża pan. A to dopiero...

— Bo co Karolka chciała?

— Eee... nic. Tak sobie. Tylko jeszcze o radę prosić... Niech pan, broń Boże, nie pomyśli, że ja cośkolwiek. Gdzież tam. Ani mi w głowie. Ja nie taka. Sama chciałam i nikogo nie winuję. Tylko, że teraz nie wiem. Bo, żeby mój ojciec inszy był. Żeby wyrozumienie miał, a to on bardzo na ludzi uważający, co niby powiedzą. A wiadomo, ludzie. Im tylko na język trafić, to już nie popuszczą. Gadaniem gorzej jak psami zaszczują. A ojciec, że to gospodarz i swój ambit ma, to nie ścierpi...

Murek nie mógł zorjentować się w tej całej gadaninie, a że przeczuwał coś przykrego, wolał nie dopytywać się.

— Ja nie z żadnymi pretensjami przyszłam — zaczęła znowu Karolka, patrząc w podłogę — ale prosić, czy pan doktor sposobu jakiego nie znajdzie. Bo teraz to jeszcze nic, ale później wiadomo... Każdy pozna, na służbę nikt nie weźmie w niezdroziu, a ojciec przepędzi... Znam ja go. Przepędzi.

— Co Karolka opowiada? Jakie niezdrozie? — zerwał się z krzesła.

Zaczerwieniła się i powiedziała obojętnie:

— Niby pan nie wie. Spodziewam się.

Chwycił ją za ramiona i potrząsnął:

— Co? Co?...

— Ano tak... Żeby choć ta cholera, moja stara, oddała mi moje zasługi... Ale powiada, że sama nie ma, że pokoje stoją niewynajęte. A ja do jednej znającej baby chodziłam. To chce pięćdziesiąt złotych. Żeby stracić... Zborgować, nie zborguje. Mówi, że i tak ryzyko dla niej, bo jakby nie udało się, to do więzienia pójdzie... Ja od pana doktora pieniędzy nie chcę, ja nie taka. Ale może pożyczki, czy poręczenie u tej baby...

Wyrzuciła to z siebie jednym tchem i umilkła. Murek przetarł czoło. Spadło to nań nowym, najgorszym, ciężarem i zupełnie oszołomiło. Zaczął chodzić po pokoju, coraz prędzej, coraz nierówniej.

Dziewczyna wodziła za nim spojrzeniem i siedziała nieruchomo. Nagle zatrzymał się przed nią:

— I to moja wina? — zapytał półgłosem.

— Niczyja wina — wzruszyła ramionami — bo to pan chciał, żeby tak było?

— Nie o to chodzi. Ale czy to przezemnie?

— Przecież nie z wiatru — zmarszczyła brwi.

— I może Karolka przysięgnąć, że moje?

Żachnęła się:

— A cóż to! Żądam ja czego od pana?... Nachodzę?... Raz przyszłam po radę i pomoc. Jakby z kim innym, to do pana nie przyszłabym. Co ja? Uczciwa dziewczyna jestem i laski niczyjej nie potrzebuję. Chce pan pomóc, pomoże, Nie, to i nie proszę.

Wstała i zaczęła zaciągać chustkę.

— Niech Karolka zaczeka — wziął ją za łokieć. — Tak nie można. Oczywiście, skoro moja wina, to i moja odpowiedzialność. Oczywiście. Tylko, niech Karolka do żadnych bab nie chodzi. Karolka jest katoliczka, a Kościół tego zabrania. To jest wielki grzech...

— I tamto było grzech — zauważyła rzeczowo.

— Ale to i grzech, i zbrodnia. Prawo tego zabrania. To trzeba już odpokutować. Trudno. Zabijać nie wolno. Tak, to nie ulega dyskusji.

— Lepiej teraz — bąknęła, — póki nieżywe, jak potem.

— Ani teraz, ani potem — powiedział stanowczo. — Tylko jaką na to znaleźć radę?... Jaką radę... Przecież Karolka sama rozumie zirytował się — że ja nie mogę z Karolką się żenić!

— Co pan? — zachichotała. — Albo to ja głupia, żeby tak myśleć.

— No, właśnie — przytaknął i uspokoił się.

Usiadł plecami do niej przy stole, oparł głowę na rękach i starał się wynaleźć jakiś sposób na załatwienie tej sprawy. Na dworze szybko się ściemniało. Mimo domu z wielkim hałasem przeszedł autobus do Błotowic. Karolka nie ruszała się z miejsca, tylko od czasu do czasu pociągała nosem. Gdy już zrobiło się całkiem ciemno, wstała i dawnym zwyczajem zapaliła lampę. Murek nawet tego nie zauważył. Wreszcie odsunął krzesło.

— Niech Karolka zaczeka — powiedział. — Zaraz wrócę.

Słyszała, jak zapukał do izby Żurków. Nie było go może pół godziny, może dłużej. Wszedł, usiadł na łóżku i kazał Karolce usiąść naprzeciw.

— Więc będzie tak — powiedział. — Karolka zamieszka tu u państwa Żurków. To bardzo dobrzy i serdeczni ludzie... Serce mają. Na utrzymanie ja będę Karolce przysyłać, ile będzie trzeba. A za kąt w ich izbie Karolka będzie musiała im, starym, posłużyć, wyręczyć. I jeszcze tak ze trzy złote dopłacić. Ja im wszystko powiedziałem. Co tu było robić tajemnicę? Powiedziałem, jak jest prawda. Zgodzili się, a dla Karolki to i lepiej, bo jak pora przyjdzie, to stara się zaopiekuje. Teraz to ja pieniędzy nie mam. Sam jestem bez

pracy. Ale zostawię tu swoje rzeczy, to Karolka potrochu będzie je sprzedawać i na kilka miesięcy musi starczyć, a później będę dosyłać.

Słuchała w skupieniu.

— Jak się urodzi — ciągnął — to ja tam swego ojcostwa nie będę się zapierał. — W Bogu nadzieja, że zarobić potrafię na siebie, to i dziecku starczy.

— To pan na siebie biedę napytał — westchnęła Karolka po dłuższej przerwie.

Wzruszył ramionami.

— Pewno, że to nieradość. Ale co robić?... Trzeba. Więc jak, Karolka?

— Aże mi wstyd, ja panu nietylko co, ale i ciężarem.

— Trudno. Więc Karolka zgadza się?

— Jakże mam nie zgodzić się. Tylko teraz jeszcze to, iż mogę pracować. Byle potem państwo chciało mnie przyjmując.

Zapewnił ją, że co do tego, nie może być żadnych obaw. Starym przyda się pomoc, a są uczciwi. Potem otworzył szafkę i komodę. Systematycznie wyjmował wszystko, rozkładając na dwie strony. To zabierał, a tamto jej zostawiał do spieniężenia. Tłumaczył, ile co jest warte, żeby nie dała się handlarzom oszwabić, radził, co sprzedawać najpierw, a co starać się przetrzymać jaknajdłużej.

— Jakbym prędko pracę znalazł — mówił. — To zabiore, co zostanie, bo przy sprzedawaniu wielka jest strata.

I tak ciężko mu było rozstawać się z temi rzeczami, które stanowiły cały jego wieloletni dorobek. Każdą szanował i utrzymywał we wzorowym stanie. Wprawdzie już od kilku dni liczył się z koniecznością stopniowego wyzbywania się garderoby, gdy postanowił jechać do Warszawy, zamyslał sprzedać wszystkiego, oprócz najniezbędniejszych przedmiotów. Nie przewidywał wszakże, że wyzbędzie się ich zadarmo.

Pocieszał się tylko tem, że spełnia swój obowiązek, że bierze na siebie słuszną karę za lekkomyślną winę, że czyn jego jest dobry, nieprzymuszony, a że wierzył w to, iż dobro posiane daje stokrotny plon, wzrosła w nim nadzieja pomyślniejszej przyszłości.

— Komu Bóg daje obowiązki, — myślał, — temu daje też możliwość ich wypełnienia.

Dochodziła już dziewiąta, gdy skończył i powiedział:

— No, Karolka może już iść, a jutro przed szóstą rano, proszę wstąpić, żeby to, co zostawiam, ułożyć i zostawić na przechowanie u Żurków. Ja o siódmej jadę.

— Kolację jeszcze panu przyrządę — rzekła dziewczyna, i nie czekając na zgodę, zabrała się do rozpalania spirytusowej maszyny.

Bułki, trochę kielbasy i herbata do której kazał i Karolce usiąść, nie zabrały wiele czasu. Dziewczyna jednak nie zabierała się do wyjścia. Posłała łóżko i stanęła pod piecem.

— Na co Karolka jeszcze czeka? — zapytał.

— Ja?... Na nic.

— No, to dowidzenia. Do jutra.

Zdjął marynarkę, i zaczął odwiązywać krawat. Dziewczyna nie ruszyła się z miejsca.

— Czemu Karolka nie idzie! — zdziwił się.

Znowu nic nie odpowiedziała.

— No? — przynaglił ją niecierpliwie.

— Niech pan się kładzie. Ja nie przeszkadzam — bąknęła niewyraźnie.

— Owszem — powiedział stanowczo — przeszkadzasz i proszę iść.

Odwróciła się twarzą do pieca i wodząc dłonią po kaflach, zaśmiała się:

— A jakbym z panem przenocowała, to co?... Tak, na pożegnanie... Co sobie szkodać?...

Murek oburzył się. Pospiesznie naciągnął znowu marynarkę, zburczał ostro dziewczynę i wypchnął ją za drzwi.

Przez całą noc nie mógł zasnąć. Wstał i ubrał się, zanim Karolka nadeszła. Jeszcze raz rozmówił się z Żurkami, domknął walizkę, pożegnał się i ruszył na dworzec. Do pociągu było jeszcze pół godziny. Umyślnie nie wszedł do poczekalni, gdzie zebrało się kilka znajomych osób, widocznie również jadących do stolicy. Nie chciał narazić się na rozmowę i pytania, a wiedział, że nikt z nich do wagonu trzeciej klasy nie wsiądzie. Przyszło mu na myśl, że postąpił źle, nie złożywszy pożegnalnej wizyty Horzeńskim. Właściwie zależało mu tylko na babci. Obiecywał sobie jednak, że z Warszawy usprawiedliwi się listownie nagłośnią wyjazdu.

Punktualnie o siódmej pociąg ruszył. Korzystając z tego, że sam był w przedziale, wyjął irchowy woreczek, przeliczył pieniądze. Zostało mu niespełna sto dwadzieścia złotych. Sto dwadzieścia złotych i walizka z rzeczami.

Koła niespokojnie zastukały na zwrotnicach, zadudniły na moście i wpadły w równy skandowany rytm.

ROZDZIAŁ III

Pani Bożyńska spojrzała na siostrzenicę podejrzliwie i wypuszczając nosem kłęby dymu, powiedziała bez nacisku:

— Nie chciałam cię martwić, droga Niro, ale o tym panu Junoszycu, słyszałam bardzo rozmaite zdania.

Nira podniosła brwi:

— Rozmaite?... Zatem i dodatnie. Cóż, kochana ciociu, to już dobrze. Ludzie o nikim życzliwie nie mówią.

— Tak, kochanie. Jednak dobrze jest wiedzieć przynajmniej coś o człowieku, którego się przyjmuje. Sama rozumiesz, że żadnej z moich przyjaciółek nie wystarczy mgliste określenie: „pan, który robi interesy”. Nazwisko ma przyzwoite, ale na Podolu, o którym wspominał, nikt Junoszców nie zna.

Nira znowu zerknęła na zegarek i wstała zniecierpliwiona.

— Ach, ciociu, więc poproś go o przedstawienie dowodów osobistych. Powtarzam ci, że u nas przyjmowany był w najlepszych domach. Sama zresztą powiedziałaś, że jest „bardzo dobrze”.

— Nie zaprzeczam.

— A i tu, w Warszawie, nie brak mu stosunków, pierwszorzędnych stosunków. Zresztą, czy się wprasza do domu cioci?... Jeżeli się nie podoba...

— Nie podoba mi się — przerwała pani Bożyńska — ta żarliwość, z jaką go bronisz.

— Bynajmniej nie żarliwość. Prostu jestem zdenerwowana. Miał być przed ósmą, a już jest kwadrans po!... Obawiam się, że... przeciąga mu się ta konferencja.

Nim pani Bożyńska zdążyła wypowiedzieć nową uwagę, zjawił się lokaj i oznajmił, że przyszedł pan Junoszyca.

Wszedł swobodnym krokiem, jak zawsze, dystyngowany, w pysznie skrojonym smokingu.

— Pani zechce wybaczyć — zwrócił się elastycznym ukłonem do pani Bożyńskiej — że porywam jej siostrzenicę. Panna Horzeńska była tak rozrzućna, że obiecała mi osłodzić moją starość tego wieczoru i pozwolić mi pokazać się w teatrze w jej zachwycającym towarzystwie.

Mówił po francusku, gdyż w domu tym, o czym wiedział, języka polskiego używała tylko służba i czasem Nira.

— Jestem przekonana — odpowiedziała pani Bożyńska — że nie zostaną później państwo zbyt długo na kolacji.

— Panno Niro — Junoszyca skłonił głowę. — Będzie tak, jak pani rozkaże, ale nie ośmieliłbym się być winowajcą w oczach pani Bożyńskiej.

— Bardzo słusznie — przytaknęła pani Stefanja — mam dziś wieczorem kilka osób na bridżu. I zależy mi na tem, by moja siostrzenica wróciła najdalej o pierwszej.

— Dobrze ciociu — nadstawiła jej policzek do pocałunku Nira.

— Termin będzie ściśle dotrzymany — powiedział na pożegnanie Junoszyca.

Od ogrodu Saskiego powiał wiatr zapachem młodych liści. Chodniki były zapchane tłoczącą się publicznością. Jezdnią mknęła rzeka samochodów. Junoszyca zatrzymał się na rogu i otworzył drzwiczki taksówki.

— Wsiadaj — powiedział krótko i rzucił szoferowi — Hotel Śląski.

Gdy wóz ruszył, Nira chwyciła go za rękę:

— Co ty ze mną robisz? Koki! Co ty ze mną robisz! Przez dwa tygodnie nie napisałaś ani słowa! Myślałam, że oszaleję.

— Oszalałaś naprawdę — odpowiedział gniewnie. — Djabli wiedzą, co tobie może strzelić do głowy!

— A cóż ja zrobiłam? — przestraszyła się.

— Jesteś paradna. Mobilizujesz całą Warszawę. Dzwonisz do wszystkich moich znajomych, podnosisz alarm, narażasz mnie na śmieszność. I wtedy, kiedy ja nie mogę pokazać się we własnym mieszkaniu, bo zależy mi na tym, by myślano, że jeszcze nie wróciłem z Wiednia...

— Koki! Przepraszam, bardzo przepraszam — przytuliła się doń Nira — ale ja tak strasznie, tak strasznie tęskniłam...

— Więc tęsknij na zdrowie, tylko do ciężkiego djabła nie psuj mi moich interesów! Jeżeli.... Jeżeli tak dalej będzie mi nie szło, gotów jestem uwierzyć, że tego pecha, to ty mi przynosisz.

— Koki! — jęknęła.

— Wysiadał — odburknął.

Taksówka stała przed małym hotelikiem przy ulicy Skośnej. Duży brudny pokój na pierwszym piętrze, pomimo otwartych okien dusił zapachem stęchlizny. W sąsiednim numerze jakaś kobieta wybuchała paroksyzmami kaszlu, w przerwach obrzucając kogoś przekleństwami. Na stoliku rozłożony był papier z resztkami bułek i szynki. Pusta butelka od koniaku, druga do połowy wypróżniona i trzy kieliszki były świadectwem niedawno skończonej przekąski. Na łóżku leżała wspaniała waliza z krokodylowej skóry, na nocnej szafce także neser.

— Musiałeś tu się zatrzymać? — ze zdumieniem zapytała Nira.

— Przecież nie zrobiłem tego dla przyjemności.

— A tam, na Szucha?

— Tam czeka na mnie ten amerykański idjota. Zaśmiesi mi całą garsonjerę. Co noc wraca urżnięty w sztok i rzyga na moje dywany. Jeżeli do wtorku nie uzyskam zezwolenia na bezcłowy wwóz tych jego zakichanych maszyn, bydlę pójdzie do prokuratora.

— Ale ty masz szanse? — zapytała Nira.

— Mam?... Guzik mam. — Junoszyca kopnął krzesło, które omal nie wywróciło się.

— Mam w kieszeni fałszywą studolarówkę, te dwie walizki i... ciebie. Niezły bagaż, co?

Zaśmiał się, zaklął i wyciągnął się na kanapie. Nira wciąż stała oszołomiona. Nawet nie odczuła obelgi. Jej myśl z wytężeniem pracowała nad jednym: — Jak mu pomóc? Przecie, gdy wyjeżdżał, bez chwili wahania zastawiła swoje futro. Gdyby sprzedała popielice, mogłaby za to sprawić sobie pelerynkę z pięknych srebrnych lisów. Wiosna tego roku była późna i każda przyzwoita kobieta, jako tako dbająca o swój wygląd, nie pokazywała się na mieście bez futrzanej pelerynki, bez dwóch spiętych lub chociażby jednego lisa. Takie efektowne rozszerzenie ramion zwężało biodra, wysmuklało sylwetkę, a owalowi twarzy i głowie dawało niezastąpione tło.

Codziennie, wracając z biura, Nira rozpaczliwym spojrzeniem obrzucała mijane kobiety. W samym biurze na trzydzieści z górą pracownic, ona jedna nie miała nawet najskromniejszego lisa. Prawie wszystkie zarabiały nie więcej niż Nira: dwieście z czemś złotych miesięcznie. Można jeszcze było zrozumieć to u mężatek, lub u tych panien, którym wiek i uroda umożliwiały otrzymywanie drogich prezentów. Były jednak i mocno starszawe, jędrzowate paniusie, utrzymujące się wyłącznie z pensji, a i te jakimś cudem umiały tak ułożyć swój budżet, że starczyło im na futra.

Nira o pożyczce od ciotki Stefy nie mogła marzyć. I tak ledwie tam wiązano koniec z końcem. Rodzice od lutego zdobyli się na przysłanie pięćdziesięciu złotych. A wiosna, jak na złość ciągnęła się bez końca. Wiadomość o przyjeździe Junoszyca napęłniła Nirę otuchą. Była pewna, że interesy powiodły mu się i że nie sprawi mu kłopotu wykupienie choćby tylko popielic. Zabrała nawet kwit lombardowy ze sobą.

Tymczasem on sam jest w najgorszej sytuacji. Z niepokojem przyglądała się jego pięknej twarzy. Wargi ułożył jakby do gwizdania, gładkie wspaniałe czoło zarysowało się lekką brózdą między brwiami.

Im dłużej przyglądała się mu, tem bardziej ustępowały obawy i zwątpienia. Wierzyła, nie, wiedziała, że ten człowiek, że taki człowiek przegrać nie może. Była pewna, że pod tem czołem nieustannie pracuje potężny, precyzyjny mózg, że tysiące myśli przesuwają się niestrudzenie, aż nagle dadzą olśniewające skojarzenie. Jakże dobrze to знаła! Wówczas usta rozsuna się w półśmiech, podniosą się opuszczone powieki i oczy błysną decyzją. Jej nie powie nic, ale już w następnej chwili siada do telefonu, czy do biurka... Zaczyna

działać. A później, gdy szeregiem niezawodnych posunięć zrealizuje plan, potrafi całą rzecz tak opowiedzieć...

Przysiadła na brzeжку kanapy i delikatnie, wstrzymując oddech, zaczęła wodzić wargami wzdłuż brwi. Zwykle lubił to. I Nirze zdawało się, że tą pieśczętą bierze jakoś bodaj najmniejszy udział w jego myślach. Teraz jednak odsunął Nirę zdecydowanym gestem:

— Daj spokój z tem lizaniem się — powiedział szorstko. — Nie jestem usposobiony. Że też te kobiety nie umieją nigdy wyczuć nastroju!

— Nie wiedziałam, że i od innych musisz tak się opędywać — odsunęła się Nira.

— Muszę.

— Wiem, że mnie zdradzasz — starała się mówić cicho, by nie dostrzegł jej podniecenia.

Junoszczyk ziewnął:

— Zdradzam.

— Nie, to niemożliwe! — chwyciła go za rękę.

— Niemożliwe — zgodził się obojętnie.

Przywarła ustami do jego warg.

— Koki, mój Koki — powtarzała wśród pocałunków — ożeń się ze mną, błagam cię, ożeń się! Przecie ja ci nie będę żadnym ciężarem. Będę pracowała. Będę ci pomagała. I przysięgam ci: Nie będę zazdrosna...

Pod pocałunkiem uczuła, że jego usta uśmiechają się. W oczach jednak błysnął gniew.

— Koki... — dodała jeszcze nieśmiało i umilkła.

— Zamęczysz mnie, zanudzisz — odezwał się znużonym głosem. — Już ci dwa razy mówiłem, że nie mogę, nie chcę i nie ożenię się z tobą. Nie cierpię żadnych obowiązków. POCO mi u diabła ciężkiego małżeństwo?...

— Więc mnie nie kochasz! — zawołała porywczo.

— Kocham i co z tego?

— Gdy się kocha, to się chce mieć tego kogoś na własność.

Junoszczyk skrzywił się:

— To też i mam ciebie.

— Takie widywanie się ukradkiem — zaczęła, lecz przerwał jej, wpadając w słowo:

— ...mnie zupełnie wystarcza. Moja droga, żenić się powinni tacy ludzie, jak ten twój narzeczony... Jakże mu tam?... Murek. Cóż z nim? Jeszcze jest w Warszawie?

— Ach, nic mnie to nie obchodzi. Jest, zdaje się.

— Dostał jaką posadę?

Nira wzruszyła ramionami:

— Czy ja wiem?! Zdaje się, że wziął się do handlu.

— Do handlu? — zdziwił się Junoszczyk. — Na tem to on nic nie robi. To cymbał.

Zapukano do drzwi. Numerowy oznajmił, że przyszedł jakiś pan i pyta o pana Junoszczyka. Zgodnie z zastrzeżeniem, portjer powiedział, że nikt taki tu nie mieszka, ale ten pan pomimo to kazał „poszukać” i powiedzieć, że ma certyfikat.

Junoszczyk zerwał się z kanapy i kazał natychmiast wprowadzić owego pana. Nira musiała stanąć przy oknie i odwrócić się do pokoju plecami. W szybie widziała odbicie małego eleganckiego jegomościa, który szybko wręczył Junoszczykowi jakieś papiery. Zamienili przytem kilka krótkich zdań i interesant wyszedł.

Na twarzy Junoszczyka nie znalazła żadnej zmiany. Stał i spokojnie przeglądał papiery.

— No — powiedział wreszcie — chociaż to się udało.

— Udało się?

— Phi... drobiazg. Kilkanaście tysięcy. Ale i to dobre. Uniknęłaś przykrew historii. Masz szczęście.

— Ja? — zdziwiła się.

— Aha. Musiałbym cię narazić na towarzystwo tego amerykańskiego szympansa.

— Tego, któregoś umieścił w swojej garsonjerze?

— Tak. No, popraw kapelusz. Jedziemy na kolację do Bristolu. Musiałabyś go zabawić przez kilka dni i natchnąć ochotą do dłuższego pobytu w naszej pięknej stolicy.

— Chyba nie wyobrażałaś sobie, że zgodzę się na taką rolę! Wstydz się, Koki!

— Wstydzę się, ale wyobrażałem — zaśmiał się wesoło.

Zarzuciła mu ręce na szyję: ten jego cynizm działał na nią, jak wzrok węża: przejmował wstrętem i obezwładniał.

Wchodząc na salę restauracyjną przypomniawszy sobie z dotkliwą wyrazistością brak wymarzonej pelerynki z lisów. Było sporo znajomych Junoszyca, który kłaniał się z tym swoim pańskim wdziękiem naprawo i nalewo. Imponował jej właśnie tym kontrastem świetnej dżentelmeńskiej powierzchowności i brutalnej siły wewnętrznej, nie liczącej się z niczym i z nikim. W niektórych spojrzeniach i ukłonach dostrzegła maskowaną niechęć, lub ostentacyjną powściągliwość, lecz wyraźnego lekceważenia nikt nie ośmieliłby się mu okazać.

— A co sobie o mnie myślą — mawiał Junoszyca — to mam w nosie.

Stolik, przy którym siedli natychmiast, został otoczony przez nadskakującą służbę. Wiedzieli, że będą drogie napoje i dania, że kapnie suty napiwek. Na reprezentację Junoszyca nie żałował pieniędzy.

— Ludzie muszą wiedzieć, że się komuś powodzi — twierdził, — jeżeli mają go szanować.

Przy kawie zapalił cygaro i, przyjrząwszy się Nirze, powiedział:

— To dobrze, że wyglądasz tak... skromnie. Niech wiedzą, że bywam z kobietą z towarzystwa. Jednak przydałoby ci się jakieś futro. Skończę z tym amerykańskim durniem i kupię ci coś ładnego.

Przecie wiedziała, że on sam o tem pomyśli! Jakże mogła go nie kochać!

Do stolika przysiadł się jakiś chudy blondyn w binoklach. Junoszyca przedstawił go półgębkiem i z tego wynioskowała, że to ktoś podrzędny, tembardziej, że podczas rozmowy nie wymienił też jej nazwiska, co robił chętnie, ilekroć zależało mu na danym człowieku. Z reguły przechodzili przy obcych na pan i pani. Blondyn mówił o jakimś zakwestjonowanym zapisie hipotecznym, o kaucji w związku z dostawami i prosił Junoszyca o zainteresowanie się temi sprawami. Do podobnych rozmów Nira była przyzwyczajona. Ilekroć znaleźli się w kawiarni, czy restauracji, zawsze ktoś się przysiadł do stolika, lub odwoływano Junoszyca do telefonu.

W trakcie rozmowy padło kilka nazwisk, a po jednym z nich Junoszyca zwrócił się do Niry:

— Czy w domu pani ciotki nie bywa prezes Holbein?

— Nie... Chyba nie. Jak on wygląda?

— Bardzo gruby, sepleni i nosi okulary.

— Nie. Napewno nie znam — potrząsnęła głową Nira.

Junoszyca zamyslił się:

— A może ktokolwiek ustosunkowany w Zakładach Przemysłowych „Rono”?... Kto tam jest?...

— Serkowski, Wundt, Jagodziński — szybko odpowiedział blondyn.

Okazało się jednak, że u pani Bożyńskiej żaden z wymienionych nie bywa, i Nira żadnego z nich nie zna. Gdy blondyn pożegnał się i odszedł, Junoszyca zaczął bębnić palcami po stole.

— Brak mi wielu ludzi. Mógłbym sporo fajnych rzeczy przeprowadzić, gdybym bliżej znał takiego na przykład Holbeina, albo chociażby Jagodzińskiego.

Patrzyła nań wzrokiem winowajczyny. W jego słowach wyczuwała niezadowolenie. Po długiej pauzie Junoszyca nagle zapytał:

— W „Sumiennosci” niema zmian?

— Nie, przynajmniej ja o żadnych nie słyszałam.

— Wciąż siedzisz w dziale korespondencji?...

— Tak. Mieli mnie przenieść do rachuby, ale okazało się, że moje języki obce są podobno niezastąpione, i dyrektor Lender nie chce mnie puścić.

Junoszyca pogwizdywał pod nosem i niespodziewanie powiedział:

— To nonsens. Marnowanie czasu i możliwości.

— Jakich możliwości?

— Posłuchaj, Niro... Zarabiasz coś trzysta złotych?

— Znacznie mniej.

— Właśnie. Czyś ty nigdy nie pomyślała, że w temże Towarzystwie Asekuracyjnym jest droga do wcale dobrych dochodów?...

— Dla mnie?

— Dla ciebie bardziej, niż dla kogo innego. Jesteś ładna i masz masę wdzięku...

— Dziękuję. — Zarumieniła się tak, jakby nigdy i od nikogo podobnych komplementów nie słyszała. Co prawda, Junoszczyk nie mówił ich nigdy. Nawet przed trzema laty, gdy go poznała podczas krótkiego pobytu w Warszawie i gdy starał się ją zdobyć, nie posługiwał się w tym celu prawieniem komplementów. To nie leżało w jego typie. Wiedziała, że mu się podoba. Chciała wierzyć, że ją kocha, lecz on sam o tym nie mówił, ona zaś na tym jednym punkcie nie wyrzekła się wobec niego swoich ambicji i wołałaby umrzeć, niż dopytywać się o to.

Musiał zauważyć jej rumieniec i zmieszanie, lecz ciągnął dalej tym samym tonem:

— Masz prewencję, formy, umiejętność konwersacji. Na dziesięć metrów pachnie od ciebie arystokracją w najlepszym znaczeniu tego słowa, no, i nazywasz się pierwszorzędną. Wszystko to razem jest pewnym kapitałem, który można, a zatem trzeba wyzyskać. Jestem pewien, że otrzymawszy twój bilet wizytowy i relację o twoim wyglądzie, żaden mężczyzna nie pomyśli, żeby odprawić cię z przedpokojem. Do głowy mu nie przyjdzie, że jesteś agentką asekuracyjną.

— Więc ty chciałbyś, Koki, bym została agentką? — przeraziła się.

— Chciałbym.

— Ależ to okropna praca... Chodzić po mieszkaniach...

— Popierwsze, nie widzę w tym nic okropnego. To raz. Panie z najlepszego towarzystwa pracują dziś po sklepach. Podrugie, zarobisz na tem pięć razy więcej, niż siedząc w biurze, a pozatem, nie chodzi tu wogóle o pracę, ani o ubezpieczenie od apopleksji różnych pierników, lecz o nawiązanie z nimi znajomości. Niczego więcej. Ot, zwyczajna znajomość, najwyżej lekki flirtik. Chodzi o to, by taki facet nabrał nadziei, że z czasem, przy pewnych staraniach może spodziewać się powodzenia u ciebie. Niema starszego mężczyzny, dobrze sytuowanego, któryby się nie skusił taką perspektywą. Znam ich dobrze. Popisanie się romansem z młodą i ładną panną z towarzystwa, toż to więcej warte dla takiego typu, niż wygrana na loterii. No, i popisanie się przed samym sobą. Odzyskanie nadwątlonej wiary we własne męskie uroki.

W miarę, jak Junoszczyk rozpaliał się do projektu, Nira była coraz zimniejsza. Czula tu coś obrzydliwego.

— Nie sądzę, — powiedziała — bym swoim sposobem bycia umiała dać komuś wrażenie, że jestem gotowa na każde skinienie palcem.

— Bo i nie trzeba dawać żadnego wrażenia — skrzywił się. — Nie znasz ludzi. Już sam fakt, że taki jegomość widzi pojętny obiekt w roli agentki, wystarcza. Będzie przeświadczony, iż kosztem ubezpieczenia się zyska jej skłonność. Każda kobieta, którą warunki ekonomiczne stawiają w zależności od mężczyzny, wywołuje w nim najdalej idące nadzieje. Nie potrzebujesz robić w tym kierunku specjalnych wysiłków. Wystarczy, jeżeli po niejakich certacjach przyjmiesz propozycję przejażdżki samochodem lub kolacji w dobrym lokalu.

— Ale poco?

— Bądź cierpliwa — zmarszczył brwi. — Poto, że przy pierwszej sposobności poznajomisz mnie z takim gościem. „Mój kuzyn, pan Junoszczyk”. Oto wszystko.

Nira uśmiechnęła się melancholijnie:

— Nie wydaje mi się to wszystko szczególnie zachęcające...

— A mnie wydaje się bardzo dobrym pomysłem.

— Pozatem wątpię, by dykcja zechciała powierzyć mi agenturę.

— O to się nie bój. Zaraz jutro lub pojutrze wpadnę do was i pomówię z twoim dyrektorem.

— Odmówi.

Junoszczyk zaśmiał się:

— Bądź spokojna. Mnie nie odmówi. Mam ja na niego pewien haczyk i on o tem doskonale wie.

Przed pierwszą Nira była już w domu. Junoszczyk uparł się, by ciotce Stefie dotrzymać słowa. Zjawienie się siostrzenicy pani Bożyńska powitała zadowolonym uśmiechem. Rzeczywiście było kilka osób. W gabinecie grano w bridża. „Piąta wychodząca”, pani

Szczaniecka, która z nudów przeglądała już od godziny stare ilustracje (jedna para broniła robra), przyjęła zjawienie się Niry z zachwytem, i Nira musiała ją bawić sprawozdaniem ze sztuki, na której nie była.

Te ciotczyne bridże, powtarzające się po dwa i trzy razy na tydzień, gromadziły najczęściej to samo towarzystwo. Kilka pań z plutokracji i zubożałej arystokracji, wszędobylskich i rozplotkowanych, wypalających moc papierosów i wałkujących plotki publiczne i prywatne, i stosunkowo niewielu mężczyzn. Byli to przeważnie cudzoziemcy, dyplomaci minorum gentium, starsi panowie, reprezentujący różne egzotyczne republiki, kończący w Warszawie swój lekki, błyskotliwy żywot, spędzony smakowicie i dostatnio na koszt owych republik, których obywatele dla dodania blichtru swym przedstawicielom musieli się wyrzec luksusu noszenia butów i używania mydła. Oprócz tych wyszlifowanych starych próżniaków i darmożądów bywali też i młodzi dyplomaci, początkujący karierowicze. Ci przez odwiedzanie pani Bożyńskiej zaspokajali swe poczucie obowiązku dyplomatycznego, nawiązując tak zwany kontakt z miejscowym społeczeństwem.

Młodzi mogliby być zabawni, gdyby nie ich ustawiczny strach przed ewentualnością większych wydatków, czy wyższej przegranej w bridża. Nie dorobili się jeszcze przyzwyczajonych poborów, a ich pensyjki z trudem wystarczały na opędzenie kosztów reprezentacyjnego wyglądu. Pannie Horzeńskiej przyglądali się łakomie, lecz żaden z nich nie ryzykował żadnych awansów. Rewanże za skromne zresztą przyjęcia zbywali kwiatami, lub zaproszeniami na większe herbatki w poselstwach czy ambasadach. Starsi ich koledzy, z tytułu swoich stanowisk, rozporządzali już konkretniejszymi dowodami wdzięczności: mogli sprowadzać wina, perfumy, czy pończochy bez cła.

Permanentny bridż ciotki Stefy i zbierające się na nim towarzystwo było podobno przyczyną rozvodu pani Bożyńskiej z mężem. Pan Bożyński nie nazywał przyjaciółek żony inaczej, jak „stare gitary”, przyjaciół „wałkoniami za cudze pieniądze”, a bridża „piekielną katarynką”. Mieszkał na Wspólnej i prowadził w domu biuro pośrednictwa sprzedaży majątków ziemskich przyczem wiodło mu się niezgorzej, dzięki licznym pokrewieństwom i stosunkom w różnych stronach kraju. W każdym razie starczało na wypłacanie renty byłej żonie.

Mieli troje dzieci. Najstarszy Wojciech, na złość matce — jak twierdziła — został inżynierem, i, co gorsza, zamiast wejść do któregoś z pułków kawalerji, uzyskał przydział do saperów. Jego bataljon stał o kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy, lecz Wojtek przyjeżdżał rzadko, dość jednak często, by swym wyglądem i desaprobującą małomównością utrzymywać matkę w stanie trwałej niechęci do siebie. Wysoki i zgrabny, ubierał się u jakiegoś małomiasteczkowego krawca i mundur oficerski wisiał na nim workowato. Od czasu zainstalowania się na Królewskiej Niry, która widocznie mu się podobała, zaglądał częściej, lecz nie przestał milczeć, ani nie zaczął dbać o swoją powierzchowność. Nirze kiedyś zwierzył się, że pracuje nad jakimś wynalazkiem, o czym nikt nie wiedział.

Młodsza o dwa lata od Wojtka Krystyna mieszkała z ojcem, dokąd się przeniosła po trzyletnim niefortunnym pożyciu małżeńskim ze słynnym bokserem Kruszyną. Ich „mezaljans”, w swoim czasie był głośnym skandalem, który Kryśce nie opłacił się zupełnie.

Najmłodsza Mika, niebrydka mała blondyneczka, o filigranowej figurze i jasno-niebieskich oczach, po skończeniu klasztornej pensji zagranicą, mieszkała przy matce w roli panny na wydaniu. Cicha i anemiczna, tak przez wzgląd na usposobienie, jak i na zdrowie, była rzadkim gościem w salonie, wcześniej kładąc się spać i wcześniej wstając. Rankami chodziła na studia malarskie, wieczory spędzała w swoim pokoju, pełnym sielankowych akwreli i atlasowych poduszek. Nie lubiły się z Nirą i unikały się wzajemnie, chociaż nigdy nie zamieniły nietylko najmniejszego przykrego słówka, lecz ani nieprzychylnego spojrzenia.

Nira nie mieszkała u ciotki darmo. Za pokój i utrzymanie oddawała więcej, niż połowę swej pensji. To dawało jej poczucie niezależności i prawo przyjmowania własnych znajomych.

Nie było ich zresztą wielu. Najczęściej zaglądała nowa przyjaciółka i koleżanka biurowa, pani Lechowska, rozwódka, ocierająca się o żydowsko-polską arystokrację. Nira lubiła ją za jej spryt, dowcip i cynizm. Drugim gościem był Junoszyć, trzecim i ostatnim z częstszych — Murek.

Jego zjawienie się w Warszawie Nira przyjęła, jak klęskę. Jeżeli, wyjeżdżając z domu, nie zerwała z nim ostatecznie, to tylko na kategorię życzenie Junoszyca.

— Ani się waź! — mówił. — Zapewniam cię, że to wymarzony mąż dla ciebie. Póki nie znajdziesz innego bubka, ani się waź zrywać z tym Murkiem. Trzeba być rozsądną. Interesy twoich rodziców wiszą na włosku. Mnie mogą djabli wziąć w każdej chwili. Sama to rozumiesz, że musisz mieć jakieś oparcie. A ten Murek wcale nie jest uciążliwy. Co ci to szkodzi?

Mówił jeszcze o tem, że może znaleźć się sam w sytuacji trudnej, w której będzie potrzebował pomocy, że zresztą nikt nie zmusza jej do brania ślubu, a takie nominalne narzeczeństwo ma swoje zalety.

Na wyraźne życzenia Junoszyca wysłała kilka kart pocztowych do Murka, rozgniewała się jednak, gdy przyjechał. Przedewszystkiem na tle Warszawy wyglądał bardzo prowincjonalnie. Podrugie, zjawił się u ciotki podczas nieobecności Niry i przedstawił się, jako jej narzeczony. Wprawdzie ciotka Stefa uznała, że prezentuje się możliwie, a manjery ma lepsze, niż nazwisko, nie powinien był jednak przyjmować zaproszenia na obiad. Mika orzekła, że jest przystojny. Pochlebiali to Nirze, ku jej własnemu zdumieniu. Rzeczywiście, i jej samej wydał się ładniejszy od obrazu, który zachowała w pamięci. Może dlatego, że obraz ten brzydł z dnia na dzień, nie podsycany życzliwością wyobraźni. Murek niewątpliwie mógł się zaliczać do przystojnych mężczyzn. Prawie wysoki, mocno zbudowany, o długiej, kanciastej twarzy i twardych rysach, wywierałby nawet wrażenie bardzo męskiego, gdyby nie różowe kolorki, ciemno-blond przystrzyżone wąsiki i nadmiar tłuszczu. Przypominałby zażywnego kupczyka, gdyby nie jasne i surowe spojrzenie niebieskich oczu.

— Bardzo solidny — zawyrokowała po jego wyjściu ciotka Stefa. — Chociaż przydałoby mu się więcej obycia. W twoich rączkach, Niro, szybko tego nabędzie.

Lecz Nira bynajmniej nie zamierzała zajmować się taką guwernerką. Przeciwnie. Od razu oświadczyła Murkowi, że nie może mu poświęcać wiele czasu. Biuro, obowiązki towarzyskie, przemęczenie. Dała mu nawet do zrozumienia, że ciotka Bożyńska, ze względu na snobizm własny i bywających u niej osób, nie życzy sobie wizyt narzeczonego siostrzenicy.

— Pan rozumie, panie Franciszku — mówiła Nira. — To nie jest dom mój, dom moich rodziców, gdzie byłam swobodna.

On prostodusznie przyznał jej słuszność i stanęło na tem, że widywać się będą albo na mieście, albo po uprzednim porozumieniu się telefonicznym u ciotki Stefy. Nira zaś tak umiała za każdym razem sytuację przedstawić, że od jego przyjazdu, to jest w ciągu dwóch miesięcy, widzieli się tylko sześć razy.

I on zdawał się godzić z tym stanem rzeczy. O ile początkowo telefonował z natarczywymi prośbami co dwa, trzy dni, o tyle teraz odzywał się rzadziej, stał się mniej wymagający i dokuczliwy.

Zresztą obecność narzeczonego w Warszawie miała dla Niry i swoje dobre strony. Istniał poważny pretekst do wychodzenia z domu o różnych porach, bez pobudzania podejrzliwości ciotki, która nietylko przez pragnienie rozciągnięcia nad nią moralnej opieki, ile przez ciekawość i ze względów prestiżowych poczuwała się do obowiązku kontroli.

Nira łatwo zbywała wszelkie indagacje:

— Byłam z narzeczonym w cukierni.

W wypadku zaś, gdy dłużej zabawiła w garsonjerze Junoszyca, tłumaczyła się przyjęciem u siostry Murka. Musiała dla świętego spokoju wymyślić tę siostrę i wydać ją zamąż, za majora weterynarza: prości, ale poczciwi ludzie.

Junoszyca pękał ze śmiechu, słuchając sprawozdań Niry o skromnym, lecz pogodnym życiu owych majorostwa, o ich trojgu rozkosznych dzieci i o tem, jak ciotka Stefa drobniawo wypytuje o stosunek Murka do tych małych, by wywnioskować, czy będzie dobrym ojcem.

W istocie Nira nie wiedziała nawet, gdzie Murek mieszka. Wspomniał raz o tem mimochodem, że u krewnych na Żoliborzu, a gdy zdziwiła się, że dawniej nie mówił o tem, że ma wogóle krewnych, zbył to powiedzeniem:

— Ach, to bardzo dalecy krewni.

I zmienił temat rozmowy. Ponieważ dla Nirry było najzupełniej obojętne, gdzie on mieszka i jaką ma rodzinę, nie przyszło jej nigdy na myśl wracać do tego przedmiotu.

Spotykali się zazwyczaj w niewielkiej cukierce na Miodowej. Przez telefon zapowiadał zawsze, że ma moc rzeczy do powiedzenia, lecz gdy siedzieli naprzeciw siebie przy stoliku, powtarzał w kółko, że ją kocha, że dla takiej miłości warto żyć, że kiedyś będą bardzo szczęśliwi i wlepił w nią cięło zachwycone oczy. Nawet o sobie prawie nic nie opowiadał.

Z jego słów wiedziała, że ma „napiętą” bardzo dobrą posadę, a tymczasem pomaga pewnemu adwokatowi. Nie musiało mu się jednak dobrze powodzić. Przychodził zawsze w tem samym ubraniu i tych samych bucikach, dość zniszczonych. Gdy pod koniec marca zrobiło się cieplej, musiał chyba zastawić palto, bo później oziębiło się znacznie, on jednak twierdził, że mu bez palta ciepło, chociaż miał ręce sine.

Wtedy nawet żalowała go trochę. W gruncie rzeczy nie był dla niej antypatyczny. Dawniej, w domu rodziców, gdy po pół roku i dłużej nie widywała Junoszyca, w głębi duszy godziła się na ostateczność zostania jego żoną. Działał nawet na jej rozbudzone, a głodne zmysły, tembardziej, że podniecała je myśl o jego miłości. Pozatem i za tę miłość, choć jej nie ceniła, była mu przecież wdzięczna. Koki miał rację, że kobieta musi zawsze mieć w odwodzie taką miłość, gotową do najdalej idących poświęceń, taki pas ratunkowy. Dawało to poczucie bezpieczeństwa. Jeżeli nie ostatecznego portu, to chwilowej przystani, skąd można znowu rozejrzeć się po życiu.

A Nirze biegło ono skokami z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Było to życie podrózne, dorywcze, tymczasowe. Jej młodość wchłaniała zdarzenia, niecierpliwie przepuszczała przez palce prąd czasu, bulgoczący w krętem łóżysku, pędzący w niewiadomym celu. W tym nurcie ani się było dna dopatrzeć, ani własnego odbicia.

Pod wpływem takich czy innych przykrości przychodziła czasem refleksja:

— A co dalej?... Czem się to wszystko skończy?...

Lecz nienawidziła tej myśli. Przepędzała ją gwałtownym wzywaniem na pomoc wspomnień o rozkoszy, o drobiazgach codziennych, o fatalaszkach. Zaludniała świadomość tem wszystkim, zamulała, zagęszczała, by zakryć, zatopić, zepchnąć pod powierzchnię, myśl niedobrą, wynurzającą się, niczem topielec z ustami otwartymi do groźnego pytania:

— Co dalej?... Czem się to skończy?...

Dlatego i marzeń nie lubiła. Nie były to zresztą marzenia dalekosiężne. Ot, spędzić całą dobę od świtu do świtu z Junoszycem, wyjechać z nim na kilka tygodni na Riwjerę, sprawić sortie z sześciu srebrnych lisów, wykupić „Mercedesa” z zastawu...

Ostatnie marzenie wkrótce się spełniło. Koki przeprowadził jakiś interes z cyną, czy cynkiem, i pięknie odświeżony samochód znów był do dyspozycji. A Nira potrzebowała go teraz bardziej, niż dawniej.

Pod koniec maja decydująco zmieniła się jej sytuacja w Towarzystwie Asekuracyjnym: została agentką. Przestała pobierać pensję, miała zaś otrzymywać prowizję od przeprowadzonych ubezpieczeń, co w razie powodzenia powinno było dać wcale przyzwoity dochód.

Co pewien czas Junoszyca układał jej listę osób, które nadawałyby się na klientelę. Uzgadniała ją następnie z szefem i codziennie odwiedzała kilka upatrzonych ofiar.

Jednych ubezpieczało się na życie, lub od nieszczęśliwych wypadków, innych od kradzieży, lub od odpowiedzialności cywilnej. Nie każda polisa opłacała się Nirze. W wielu wypadkach chodziło głównie o co innego, o nawiązanie znajomości, o zbliżenie takiego jegomościa z Junoszycem, o wyjednanie protekcji dla jego przedsięwzięć.

Przewidywania Junoszyca nie we wszystkim się sprawdziły. Zdarzało się niestety, że ten, czy inny „upatrzony” wcale jej nie przyjmował, lub z miejsca odprawiał z niczem. Starzy spryciarze mieli przecie „nosa”, dzięki któremu doszli do majątku. Znali się na ludziach i na interesach. Tak naprzykład nie powiodło się z grubą rybą, o którą Koki najbardziej zabiegał. Prezes Zakładów Przemysłowych „Rono”, Holbein, wprawdzie za trzecim razem raczył dopuścić Nirę przed swoje oblicze, lecz okazał zupełny brak zainteresowania zarówno dla asekuracji, jak i dla agentki. Na zakończenie trzyminutowej audjencji powiedział oschle:

— Radzę pani wydrukować na biletach wizytowych to, że jest pani agentką Towarzystwa „Sumiennosc”. Zabieranie ludziom czasu przez wprowadzanie ich w błąd, jest też

klęską i przed taką klęską chętnie się ubezpieczę, jeżeli wprowadzicie ten dział. Dowiedzenia!

Tegoż wieczoru Junoszyca kazał Nirze uśmiechnąć się do Holbeina w kawiarni, dokąd umyślnie w tym celu przyszli. Ten gruby wół jednak nawet się nie uklonił, choć musiał zauważyć i poznać.

Ta przykrość i irytacja Junoszyca sprawiły, że po wyjściu z kawiarni rozplakała się na ulicy, co znowu przyniosło jej w zysku całą litanję obelg i dwa wielkie sińce nad łokciem.

Chciała przecie jak najlepiej, zrobiła wszystko co mogła, posunęła się aż do kompromitacji, zaczepiając obcego człowieka w publicznym miejscu. Junoszyca jakby nie umiał tego zrozumieć. Jak kleszczami ścisnął jej rękę:

— Mam w nosie twoją kompromitację! Słyszysz?! Gdybym ci kazał, musiałabyś z nim, czy z każdym innym położyć się do łóżka!

— Koki! — chlipała z bólu i obrazy. — Co ty mówisz?

— A co wielkiego? Ważna mi rzecz — syczał szeptem, by nie słyszeli go przechodnie.

— Niby to taka świętość?... Cnota, psiakrew, dziewica!

Wyrwała mu rękę:

— Nie masz prawa tak mówić!

— Ciszej! — syknął.

— Nie masz prawa! To nikczemnie z twojej strony. Ty przecie wiesz, że przedtem nie należałam do nikogo!

— I cóż z tego?... Zdaje ci się, że to taki rarytas?... A zresztą potem już nie miałem kontroli.

Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy, on tylko zrobił niecierpliwy ruch ramieniem i dorzucił:

— Przy twoim temperamenciku!...

— Koki!...

— Z tym fajtlapowatym Murkiem pewnie też nie bawiłaś się w ciuciubabkę, lecz w... Z naciskiem wyrzucił z siebie ordynarne słowo i dodał:

— Mnie nie oszukasz.

— Nie wierzysz? Ty mnie nie wierzysz? — zapytała rozpaczliwie.

— Graj komedję komu innemu — odpowiedział zimno. — I nie udawaj takiej prawdomówniej. Kłamać to i ja mógłbym się od ciebie nauczyć. Umiesz łączyć, jak z nut.

— Ale nie tobie!

— Kto łże, ten wszystkim łże.

Umilkła. Nagle wezbrała w niej dzika, szalona nienawiść do tego człowieka. Szli obok. Nie podnosząc powiek, widziała jego nogi w jasnych spodniach i brązowe błyszczące buciki. Najszańsze myśli przychodziły jej do głowy. Pchnąć go nagle pod rozpędzone auto. Niech ginie rozmiążdżony... Niech zginie za to, że mogły mu przez usta przejść te słowa... Albo pójść do policji i donieść. Niech zginie w więzieniu za wszystkie swoje sprawy... Tak, donieść, albo nie, to zamało... Żeby go ktoś bił, aż do krwi, żeby zabił... Cóż prostszego! Wystarczy odszukać Murka i wyznaczyć mu całą prawdę!... Tak! Powiedzieć mu: — Pomścij moją hańbę! Ten człowiek uwiódł mnie, podeptał, zepchnął w bagno... O, takiego Murka nie trzeba będzie zachęcać do zemsty. On się z nim po chłopsku rozprawi...

Czuła, że krew ucieka jej do serca, jakieś dziwne drżenie rozplynęło się po całym ciele.

— Zemsty... Zemsty... — wirowało w głowie.

— Uwważaj! Tramwaj! — szarpnął ją za ramię.

Tuż przed nią szybko przesunął się długi, czerwony wagon. Stanowczem targnięciem się uwolniła się od ręki Junoszyca. Przeszli przez jezdnię i skręcili w boczną ulicę. Było tu całkiem pusto. Nira zatrzymała się.

— Posłuchaj, Koki — powiedziała, jak się jej zdawało, spokojnie, chociaż głos drżał febrycznie — znosiłam od ciebie wiele upokorzeń, chamskich obelg i lekceważenia, ale teraz przebrałeś miarę...

Zabrakło jej oddechu. Junoszyca stał nieruchomo. W jego oczach było zdumienie.

— Przebrałeś miarę — ciągnęła. — Lecz omyliłeś się. Ja nie pozwolę sobą poniewierać, pomiatać. Nie jestem dziewczką!

— I cóż dalej? — zapytał bezbarwnym tonem, a jego rysy zeszywniały.

— Ja ci tego nie przebaczę! — wybuchła. — Gorzko za to zapłacisz! Nie cofnę się przed żadną zemstą!

Spodziewała się, że zacznie ją uspokajać, przepraszać, perswadować lub że wybuchnie gniewem. On jednak stał spokojnie. Nagle na jego twarzy zjawił się lekki uśmiech.

— Ha, cóż? — odezwał się obojętnie. — Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć ci w tem powodzenia. Żegnam!

Zwykłym ruchem uchylił kapelusza i ruszył w stronę domu normalnym swoim elastycznym krokiem.

Nira stała, jak urzeczona. Zdawało się jej, że za chwilę straci przytomność i upadnie. Widziała, jak o kilkadziesiąt kroków on sięgnął do kieszeni i nie zatrzymując się, zapalił papierosa. W świetle następnej latarni mignęło jego jasne ubranie. Już zaczęła go tracić z oczu.

Ogarnęło ją nagle nieludzkie przerażenie. Zrozumiała, że traci go na zawsze, że nigdy nie usłyszy jego głosu, nigdy nie będzie mogła oprzeć głowy o jego ramię, że oto tam w mroku niknie jej szczęście, którego niczem nie da się okupić...

Zaczęła biec. Coraz szybciej, coraz szybciej... Nogi były jakby drewniane, nie czuła pod nimi chodnika, pędziła w jakiejś próżni, w której tupot jej biegu zdawał się ją doganiać echem panicznej ucieczki przed tem, co się stało, przed bólem i rozpaczą.

Dopadła go przed bramą. Spazmatycznie, kurczowo chwyciła za rękę i przycisnęła ją do piersi, rozdygotanej łomotem serca. Nie wyrwał ręki i nie powiedział słowa. Pokornie wchodziła za nim na schody, czekała, aż drzwi otworzy, i wsunęła się za nim. Naprawdę jednak szukała jego wzroku. Zatrzasnął drzwi, powoli ściągał rękawiczki, powiesił kapelusz, zapalił w gabinecie światło i zaciągnął story.

Wtedy dopiero stanął przed nią.

— Więc co? — zapytał przesadnie łagodnym tonem. — Więc co, panienko?... Chciałaś się mścić?... Mścić?...

Nieprzytomna ze strachu i ze szczęścia, wyrzucała z siebie najpokorniejsze słowa, błagania, przeprosiny, łkania. Usiłowała zarzucić mu ręce na szyję, lecz on z całej siły odepchnął ją od siebie. Cztery, czy pięć kroków i nogi zawadziły o dywan, całym ciężarem uderzyła o krzesło i upadła wraz z niem na podłogę.

Junoszyca poderwał ją z ziemi:

— Mścić się?... — pytał straszliwym szeptem przez zaciśnięte zęby. — Na mnie się mścić?... Może zadenuncjować? Co?... Ty... suko!

Zwinęła się z bólu, lecz on, jak kleszczami, trzymał ją oburącz za ramiona.

— Koki!... Litości!... Daruj!... — jęczała. W ustach miała smak krwi.

— Ja cię nauczę! Ja ci pokażę! — rzucił nią o ziemię i widocznie zmęczony, usiadł na fotelu.

Nira rozdygotana, z włosami w nieładzie, doczołgała się doń i szlochając, objęła jego nogi.

— Koki!... Ja byłam... szalona... Przebacz.. przebacz. „Przecie ja cię tak kocham... Daruj...

Pochylił się, podniósł ją i posadził na kolanach. Przywarła z całej siły do jego piersi. Nie czuła już bólu, tylko niewypowiedzianą radość, tylko jego pocałunki na twarzy, mokrej od łez i krwi.

— Już dobrze — mówił ciepło i serdecznie. — Już dobrze, już nie pamiętamy o niczem... Minęło.

I przyszła noc, jedna z najszańszych, nieprzytomnych, dzikich i rozkielzanych, podczas których zapomina się nie tylko o wieczornym dramacie, lecz o całym świecie, o tem, co było i co będzie, o własnem istnieniu i nawet o miłości samej.

Jak pijana, Nira wracała do domu. Słońce już wznosiło się ponad dachy. Ulice pełne były tupotu nóg, śpieszących do pracy. Dalekie gwizdki fabryczne nawoływały się z krańców miasta. Polany wodą asfalt lśnił atlasową czernią. Odświeżone nocą powietrze wypełniało płuca aż do dna.

W domu wszyscy spali. Ciotkę jednak obudziły ostrożne kroki Niry. Musiała się wytłumaczyć: — Pojechała wieczorem samochodem pod Łowicz. Z narzeczonym i jego siostrą. Pociemku wpadli na furmankę. Samochód zarzucił. Wypadła i pokaleczyła się.

— Jezus, Marja! — usiadła na łóżku ciotka. — Czy ci tylko nic nie jest?!

— Nie, nic. Przenocowaliśmy w Łowiczu, i tam w aptece mnie opatrzone. To wszystko powierzchowne.

O pójściu do biura w takim stanie nie mogło być mowy. Przez lewy policzek biegła nabrzmiała szrama, pod okiem i koło ust były dwie mniejsze ranki, jednak powierzchowne i niebolesne. Zato ręce, ramiona i biodro, pokryte wielkimi sińcami, dokuczały bardzo.

Obudziła się popołudniu. Ciotki nie było, ani Miki. Zato przyjechał Wojtek. Nałożyła szlafroczek i wyszła doń do buduaru. Wojtek wiedział już od matki o „katastrofie pod Łowiczem” i był tem widocznie przejęty.

— Twój narzeczony jest zbyt lekkomyślny, Niro — powiedział. — Gdybym ja miał taką dziewczynę, nosiłbym ją w pudełeczku, owiniętą w wate.

— Nie jestem ze szkła — zaśmiała się.

— Przecie nie tylko szkło tak się pielęgnuje. Naprzykład kwiaty... Jakiś rzadki storczyk. Tak, ty mi właśnie przypominasz jakiś egzotyczny kwiat. Nie cieplarniany, lecz wyrosły bujnie i dziko gdzieś wśród ljan, w dziewiczej puszczy...

Patrzył na końce swoich palców i mówił jakby do siebie.

— Każdy człowiek przypomina jakieś zwierzę, czy roślinę. A ty właśnie storczyk. Masz w sobie przepych i dzikość, ale i świeżość. Znać po tobie, że nie dotknęła cię nigdy chciwa ręka. To zabawne, ale przysiągłbym, że to samo musi odczuwać każdy mężczyzna, i to onieśmiela. Założyłbym się... Ale nie uważaj tego za wtrącanie się w twoje intymne sprawy... Założyłbym się, że nawet twój narzeczony nigdy cię nie pocałował...

Nira zaśmiała się. Ten Wojtek był paradny. W pierwszej chwili bała się, że z niej drwi. Mówił jednak serjo.

— To prawda — powiedziała.

— A widzisz!... Nie stawiałem sobie nigdy za punkt honoru zbliżanie się do wielu kobiet, ale chyba jestem dobrym psychologiem.

— Tęgo ci odmówić niepodobna — przyznała z powagą. — Tylko jakież dla mnie zysk z tego pietyzmu? Napewno wołałabym pocałunki, niż szramy na twarzy i sińce.

— A ja ci mówię — potrząsnął głową z głębokim przeświadczeniem — że nie znasz siebie.

— Jesteś kapitalny, Wojtku — zaczęła się tem bawić.

Przyszło jej na myśl, coby też zrobił, gdyby tak teraz niespodziewanie siadła mu na kolanach i mocno pocałowała go w usta?...

— W każdym razie — odezwał się — dr. Murek zasłużył w zupełności na ostrą nagane, którą mu mama dała.

Nira zaniepokoiła się:

— Jakto?... On był tu?...

— Nie, telefonował. Mama tym razem miała rację. Podobno tak się zmieszał, że plótł jakieś głupstwa. Kiedy się prowadzi wóz, w którym jest kobieta, nie wolno brawurować, bo...

— Czy on tu przyjdzie? — przerwała Nira.

— Zdaje się, że tak. Miał cię odwiedzić. To chyba jego obowiązek.

— Nie sądzę.

— Jeżeli nie miałabyś nic przeciwko temu, chciałbym skorzystać ze sposobności i poznać przyszłego kuzyna.

— Ależ proszę cię bardzo — odpowiedziała roztargniona, zajęta myślą, jakby pozbyć się Murka. Gdyby miał u siebie telefon!... Co za barbarzyństwo nie mieć telefonu!...

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Nira zerwała się:

— Ja sama mu otworzę!

— Pozwól...

— Nie, nie. I nie idź za mną — powiedziała uśmiechnięta, lecz stanowczo.

— Ach, przepraszam — cofnął się Wojtek.

Nie był to jednak Murek. Jeszcze dwa razy napróżno biegła do dzwonek. Przyszedł elektrotechnik, później dozorca domu i jakiś domokrażca. Dopiero za czwartym razem w drzwiach ukazał się Murek. Ledwo go poznała, tak się zmienił. Mocno opalony, schudł bardzo. Policzki straciły rumiany kolor i zapadły się. Gdyby nie zdrowa opalenizna, wyglądałby, jak rekonwalescent po ciężkiej chorobie.

Patrzył na Nirę z niepokojem i z radością:

— O, dzięki Bogu, nic pani nie jest. Nie zrozumiałem słów pani Bożyńskiej. Tak, jakby gniewała się na mnie za jakąś katastrofę samochodową?...

— Wszystko panu wyjaśnię, ale teraz nie mogę — przerwała mu z pośpiechem. — Niech pan wieczorem przyjdzie do cukierni, tam, na Miodową. Teraz, dowidzenia...

— Dzisiaj?...

— Tak, o ósmej. Dowidzenia.

Pocałował obie jej ręce i odszedł. Z westchnieniem ulgi zatrzasnęła drzwi i wróciła do Wojtka:

— Żałuję, ale poznasz go innym razem — powiedziała. — Wpadł dosłownie na sekundę. Ma istny nawal interesów. Nie miałam serca zatrzymać go dzisiaj.

— Szkoda... Chciałbym wiedzieć, jaki jest człowiek, którego kochasz.

— Skądże jesteś taki pewny, że go Kocham?

— Ach, to leży w twoim typie. Pozatem nie zaręczyłabyś się z człowiekiem niekochanym. Zresztą widziałem niecierpliwość twego oczekiwania. Nie jestem złym psychologiem?... Prawda?...

Chciała zmienić rozmowę i dlatego zażartowała:

— Zato technologiem jesteś napewno świetnym. No, jakże tam z twoim wynalazkiem?

Nie omyliła się. Zaczął z przejęciem mówić o swoich pracach. Nie znała mężczyzny, któryby nie dał się wziąć na taki haczyk. Nawet Koki zapominał o wymówkach i dokuczaniu, gdy umiejętnie skierowała rozmowę na jego interesy.

Zaognienie szram do wieczora minęło prawie zupełnie. O ósmej punktualnie przyszła do cukierni. Murek już na nią czekał. Siedział nad szklanką herbaty. W silnym świetle wyglądał jeszcze mizerniej. Zerwał się na powitanie. Rozczulenie hamowało mu głos.

— I ja napiję się herbaty — rzuciła kelnerowi.

— Może jakieś ciastka? Tu są niezłe ciastka — zaproponował Murek.

— Nie, dziękuję.

— Panno Niro, pani przecie wyszła przed kolacją. Naprawdę, ciasteczko pani nie zaszkodzi.

Zgodziła się. Zresztą ciastko było obrzydliwe i zostawiła je ledwie napoczęte. Opowiedziała Murkowi obmyśloną po drodze historyjkę o katastrofie. Poza niepokojem o stan jej zdrowia, nie zajął się tem głębiej. Jak za każdym widzeniem się, promieniał i był wzruszony, co dodawało mu ślamazarności. Jednak był jakby żywszy w ruchach i w spojrzeniu. Musiał stracić ładnych kilka kilogramów. To samo ubranie, w którym widywała go zawsze, stało się zbyt luźne. Między szyją a kołnierzykiem utworzyła się również na palec szeroka przerwa. Ręce zato zgrubiały, krótko obcięte paznokcie były popękane, na jednym widniał duży czarny podciek od uderzenia lub przyciśnięcia.

— Ale co się z panem działo? — pytała.

— Ze mną? Nic...

— No, jakto, chorował pan chyba! Tak schudnąć! A może pan zajmuje się jakimś sportem?

— A tak, tak właśnie! — podchwycił skwapliwie. — Uprawiam sporty... Wiosłuję... To doskonale robi na zdrowie. Doskonale. Opalam się przytem.

— Nawet lepiej pan z tem wygląda — przyznała.

— Oooo... — zażenował się.

— Widocznie sport zabiera panu moc czasu, oddawna pan się nie odezwał?

— No — spochmurniał. — Chciałbym, proszę mi wierzyć, panno Niro, że chciałbym jak najczęściej... Ale mam moc zająć.

— Więc i powodzi się panu niezłe?

— Niestety — uśmiechnął się. — Zaledwie niezłe.

— Szkoda — powiedziała obojętnie.

Murek ożywił się:

— Ale to tylko tymczasem. Stadjum przygotowawcze. Proszę nie wątpić, że wkrótce, że bardzo prędko będzie lepiej.

Był zaniepokojony i jeszcze dodał:

— To tylko kwestja czasu.

Tak się z nim inaczej rozmawiało, niż z innymi, tak wszystko, co mówił, było jakoś bezkrwiste, ślamazarne, nieistotne. Siedzieli razem przeszło godzinę, a nawet na krótki moment nie umiał jej zainteresować. I to powracanie do wspomnień! Lubował się w rozpamiętywaniu błahych zdarzeń, które minęły, a o których nie pamiętała nigdy.

Przyglądała się Murkowi i z całą wyrazistością zdawała sobie sprawę z niepodobieństwa posłużenia się tym człowiekiem, jako narzędziem zemsty. Rzeczywiście, tylko w chwili zamroczenia mogło jej przyjść na myśl rzucenie go na Junoszyca. Koki, chociaż fizycznie może słabszy, rozprawiłby się z nim bez trudu. Górował nad nim, jak Europejczyk nad dzikusiem, albo jak drapieżne zwierzę nad domowem, pocziwem bydlęciami...

Ta właśnie pocziwość Murka najbardziej denerwowała Nirę. Zdawało się jej, że każdym słowem, każdym poglądem, każdym wypowiedzeniem się o ludziach, o niej, o sobie, przechwalał się swoją dobrocią, miękkością, uczciwością, tem wszystkim, co wywoływało w niej gniew, pogardę, ironję. Zupełnie tak, jakby chciał wyzyskać lada sposobność do dydaktycznego pouczenia, do przeciwstawienia swej idyotycznej, naiwnej, prostaczkowej zacności światopoglądowi Niry.

Jakąż miałyby ochotę roześmiać się mu w oczy i bez ogródek powiedzieć, co sądzi o nim i o jego cielących cnotach! Zdemaskować się przed nim, oślepić go jaskrawym światłem swojej prawdziwej rzeczywistości. Podeptać przed nim ten płaszczyk niewinnej dziewczyczki, w którą on ją otula, jak kochająca niania! Bryznąć mu w twarz śmiechem, obezwładnić swoim bezwstydem, bezwstydem bezlitośnie zgniecionego, pokrytego sińcami, do reszty nasyconego ciała.

Patrzyła nań z wysokości świadomej woli swego grzechu, jak człowiek, pozbawiony skrupułów, a ukrywający w zanadrzu nóż, gotowy do pchnięcia; rozkoszowała się myślą, że w każdej chwili może unicestwić świat złudzeń tego człowieka, świat, który jest jedynym jego światem...

— I cóżby zostało wtedy z pana doktora Franciszka Murka — lubowała się swoją władzą.

A on nic nie rozumiał i szeptał przez stolik w zachwycie:

— Pani oczy są dziś, jak za wuałem...

Nie mogła dłużej znieść.

— Chodźmy — wstała. — Czekają na mnie, już późno.

Zerwał się i podszedł do drugiego stolika, by tam zapłacić kelnerowi. Zawsze rachunek w cukierni — te kilka groszy — regulował z taką pseudodżentelmeńską, prowincjonalną dyskrecją. Buty jego miały wydeptane obcasy.

Szła obok niego szybko. Uparł się ją odprowadzić, narażając przez to na niebezpieczeństwo spotkania z kimś z Towarzystwa Asekuracyjnego. W pierwszej chwili chciała wziąć taksówkę, lecz perspektywa znalezienia się w niej sam na sam z Murkiem była najgorsza. Napewno próbowaliby ją pocałować, a doprawdy tego by już nie zniosła.

Żegnając się z nim w bramie, obiecywała sobie, że nie prędko da się namówić do nowego spotkania. Zresztą już teraz zapowiedziała:

— Jako agentka ubezpieczeniowa, bo zmieniłam miejsce w biurze na agenturę, jestem okropnie zajęta. Czasami przez cały dzień, a później tak zmęczona, że niczego mi się nie chce.

— Jako agentka? — szeroko otworzył oczy. — Przecież nie chodzi pani po mieszkaniach?...

— Dlaczego? — wzruszyła ramionami. — A cóż w tem złego?

— Przecie to... to nie wypada!

— Co?

— No, żeby młoda panna... takie rzeczy!... Pani przecie musi być u różnych... Nawet u mężczyzn...

Skrzywiła się niecierpliwie:

— Boi się pan, by mnie kto nie uwiódł?...

Murek oburzył się:

— Cóż znowu! Jakże! Nigdy w świecie! Pani takie rzeczy mówi. Wcale mi w głowie nie powstało. Prostu sądzę, że to nieludzko i... po svińsku ze strony dyrekcji Towarzystwa narażać pannę z przyzwoitej rodziny na różne zaczepki...

— Nikt mnie nie zaczepia — wzruszyła ramionami, nie bez żalu wspomniawszy o kamiennej obojętności prezesa Holbeina z Zakładów „Rono”.

— Chociażby nie zaczepiał — upierał się Murek. — Jednak rodzaj tej pracy może popsuć młodej panie opinię.

Nira spojrzała na zegarek.

— Nie mam już czasu. Ale niech pana uspokoi to, że jeżeli taki chodzący kodeks dobrego tonu, jak ciotka Stefa, nie widzi w tem nic uwłaczającego mojej... czci dziewiczej, to napewno i pan nie ma powodów do objekcyj. Dobranoc.

W rzeczywistości ciotka Stefa nie miała nic przeciw nowej pracy siostrzenicy. Przeciwnie. Cieszyła się z jej większych zarobków i na ich conto podwyższyła Nirze komorne. Pozatem w relacjach siostrzenicy z wizyt u różnych klientów miała zysk moralny: informacje o tem, kto się asekuruje i na czyją korzyść. Gdyby nie Nira, nie mogłaby pani Bożyńska zaimponować przyjaciółkom wiadomością, że hrabia Dorczycki ubezpiecza się na rzecz siostry, z pominięciem żony i dzieci, lub, że wiceminister Legota płaci asekurację za auto wdowy po Messingu, zwanej „wesołą krówką”.

Nirze jednak nie zawsze udawało się wracać do domu z sensacyjnymi historyjkami. Wbrew różowym nadziejom Junoszyca, tylko niewiele osób dawało się nakłonić do podpisania deklaracji. Niektórzy mieli już polisy z innych Towarzystw, inni nie dbali o przyszłość swojej rodziny i śmieli się z najczarniejszych perspektyw, jakich nie skąpiła im Nira. Inni wreszcie chętnie ją przyjmowali, częstowali czekoladkami lub winem, umawiali się z nią do kawiarni, czy na raki do Wilanowa, lecz o interesie nie mówili.

Jeden z młodych przemysłowców, bardzo rzutki i ustosunkowany, nawet przystojny, inżynier Czubarkiewicz, sprawę postawił aż nazbyt jasno:

— Czy to pani własność ten „Mercedes”? — zapytał Nirę pod koniec jej drugiej wizyty.

— Nie. To moich krewnych — skłamała bez namysłu.

— Tak przypuszczałem. Gdyby pani najlepiej z tem łażeniem po ludziach szło, nie mogłaby pani sobie pozwolić na taki wóz. Zresztą poco pani taki luksus?... Ile pani zarabia?...

— Niedużo. Niestety, zbyt często klienci są tak oporni, jak pan. Gdyby jednak pan dał się namówić...

— Dajmy temu spokój — przerwał. — Ponieważ mój czas jest bardzo ograniczony, a jestem nie salonowcem, lecz businessmanem powiem poprostu: Proponuję pani ładne pięciopokojowe mieszkanie, kupię pani porządnego „Chryslera” i proponuję dwa tysiące miesięcznie na pani osobiste wydatki. Pani mi się bardzo podoba. Żona moja jest chora i rzadko przyjeżdża z sanatorium. Pozatem dodam, że nie jestem zbyt dokuczliwy, gdyż — jak zaznaczyłem — pochłaniają mnie interesy.

Nira obrzuciła go zaciekawionem spojrzeniem, lecz odpowiedziała niemal wyniośle:

— Nie zrozumiałam jednego: jakiego rodzaju posadę pan mi proponuje?

— Nie bądźmy naiwni — zaśmiał się Czubarkiewicz, pokrywając śmiechem lekkie zmieszanie.

— Pan daruje... — Nira wstała. — Zdaje się, że pomyliliśmy się oboje.

— Co do czego?

— Ja co do pańskiego wychowania, a pan co do mojego.

— Ależ ja wiem o tem, że jestem źle wychowany — odzyskał swobodę Czubarkiewicz.

— I wiem, że pani jest wychowana na wielką damę. Będąc dzieckiem, znałem nawet pani rodziców. Pani jest napewno córką państwa Horzeńskich z Czołnów?

— Tak.

— No, właśnie. A mój ojciec w Czołnach był gorzelanym. I proszę nie myśleć, że chciałem panią obrazić. Poprostu nie sędzę, by panience z takiej niegdyś bogatej rodziny odpowiadała praca agentki. A że mnie stać na to by... ułatwić pani egzystencję...

— Żegnam pana — powiedziała i wyszła.

Czubarkiewicz wyjrzał za nią do poczekalni i zawołał:

— W każdym razie proszę panią pamiętać o tej propozycji.

Nic nie odpowiedziała. W pierwszej chwili zawstydzona, gdyż zdawało się jej, że kilkanaście osób, oczekujących w tym pokoju, domyśli się z łatwością, o co chodzi. Ruszając jednak samochodem z przed bramy, zerknęła w górę, by przekonać się, czy ten agresywny

prostak nie wygląda za nią przez okno. I nawet ucieszyło ją, gdy ujrzała jego sylwetkę. Nie czuła się obrażona. Bądź co bądź świadczyło to o jej powodzeniu, a pozatem, poza swoim nieokrzesaniem, Czubarkiewicz to jednak „ktoś” i wcale niebrzydki.

Wizyta u Czubarkiewicza napelniła ją otuchą. Koki jej nie docenia, skoro domaga się utrzymania narzeczeństwa z Murkiem, widząc w nim jedyną ostoję na wszelki wypadek. Jeżeli znalazł się Czubarkiewicz, znajdują się i inni. Gdyby nie ta chora żona (chore żony prędko umierają), gdyby nie to gminne nazwisko... No, i bezczelność: syn gorzelanego z Czolnów! Co za wstyd!... Oto do czego doprowadziła ojcowska gospodarka i hulanki...

Tegoż dnia Nira z prawdziwą przyjemnością napisała do matki:

„...załujecie mi pieniędzy, a właśnie poznałam niejakiego Czubarkiewicza, którego ojciec był gorzelanym w Czolnach. Syn chce mnie wziąć „na stajenkę”. Taki jest los córek tych panów, którzy stracili majątek na utrzymywanie córek oficjalistów. Niezła zmiana ról. Powinszuj tego papie i zapytaj, czy nie zna jakiego zbogaconego ekonomy, z którym mogłabym odrobić rodzicielskie pieniądze w taki sposób, w jaki czcigodny papo je stracił”.

Wiedziała doskonale, jak boleśnie list ten dotknie rodziców. Nie cierpiała ich z całej duszy. Uważała, że roztrwonili jej majątek i zwłaszcza ojcu nie umiała tego przebaczyć. Dręczenie jego sumienia i dumy uważała za jedną z największych swoich przyjemności.

Po tem wszystkim była w doskonałym humorze. Jednak wieczorem na dancingu nie odkloniła się Czubarkiewiczowi, co przypawiło o wściekłość Junoszyca. Przy stoliku nie mógł zrobić jej awantury. Byli w większym towarzystwie. Zaprosił ją więc do tanga i podczas tańca szeptem zwymyślał od ostatnich. Broniąc się, próbowała kłamać, że Czubarkiewicza i jego ukłonu nie dostrzegła, lecz Koki „umiał ją na pamięć” i wobec niego kłamstwa były bezsilne.

— Jak on mnie zna — myślała z zachwytem i z tym rozkosznym strachem, z którym zawsze słuchała jego brutalnych grózb.

Tym razem burza nie rozpetęła się nadobre: siedzieli na dancingu do późna, a wczesnym rankiem Junoszyca wyjechał do Gdańska. Często jednak drobne scysje między nimi nabrzmiewały do rozmiarów groźnych. Dochodziło do gwałtownych scen, do spięć i wyładowań, po których świat był, jak las po przejściu nawałnicy, wilgotny od łez deszczu, pełen drobnych spustoszeń i pokaleczonych gałęzi, lecz bogatszy świeżością, jaskrawszy słońcem i zielenią, nalany sokami nowego życia, bujnego i nasilonego.

Dlatego Nira, chociaż bała się tych huraganów, nie starała się nigdy uciekać przed nimi. Może pożałowała ich nawet. Nie tylko w świadomości szczęścia, które po nich nastąpi, lecz i dla nich samych. Lubiała niebezpieczeństwo. Podniecało ją, napinało jej nerwy, dawało intensywny smak gwałtownej powszedniości codziennej. A właśnie taki mężczyzna, jak Junoszyca, był nieustającym niebezpieczeństwem. Milczał, a zdawało się, że głos jego odezwie się groźnym pomrukiem, uśmiechał się, a spod uśmiechu w każdej chwili mógł błysnąć gniew, głaskał, a nigdy nie było wiadome, czy jego palce nie zacisną się gwałtownym skurczem.

Gdy wyjeżdżał i nie widywała go po kilka dni, nieraz leżąc w swoim pokoju, przywoływała wyobraźnią jego nastroje, słowa, mimikę. Przecież „znała go”, a jednak była w tem jakaś zasadnicza luka, bo nigdy przewidzieć nie mogła, jak w tym, czy innym wypadku postąpi.

W domu pani Bożyńskiej bywał teraz częściej. Ciotka Stefa pogodziła się z jego „nie-wyraźną” pozycją społeczną. Grywał w bridża, bawił panie. Na Nirę z reguły jak najmniej zwracał uwagi, ograniczając się do kilku głośnych szarmanckich komplementów, które mi umiejętnie podkreślał, że taki starszy pan, jak on, nie może niestety liczyć na żaden przychylniejszy sąd w oczach takiej cudownej istoty, jak ona. Wyznaczał sobie wyraźną rolę niefortunnego i zrezygnowanego adoratora, surowo karcąc wszelkie próby Niry, która bodaj czemkolwiek, wbrew rozsądkowi chciałaby jednak pochwalić się przed ludźmi tem, że należy do niej.

W środku sierpnia Junoszyca musiał wyjechać na dłużej do Moskwy. Przeprowadzał jakąś kombinację z futrami i wiele sobie po niej obiecywał. Jego nieobecność wytworzyła w dniu Niry wielką próżnię. Spoczątku wypełniała ją wysiadywaniem w kawiarniach z panią Lechowską. Zawsze kilka osób przysiadło się do nich i Nira w ten sposób poznała paru interesujących panów. Wkrótce jednak i Lechowska wyjechała na urlop. Trzeba było długie godziny spędzać w domu. Jak na złość nawet Wojtka nie było, miał manew-

ry, czy coś w tym rodzaju. Ciotka wyjechała do krewnych na Pomorze. Meble w salonie zaciągnięto białymi pokrowcami i wyglądało to, jak w poczekalni u dentysty.

Z nudów Nira zbliżyła się do kuzynki. Mika miała swoje dobre strony. Była doskonale wychowana, czy też takie miała usposobienie, dość, że nie starała się nigdy wtrącać do spraw ciotecznej siostry, jak zresztą i do czyichkolwiek, nie wyłączając matki i domu. Natomiast i o sobie mówić nie lubiła. Nawet o takich sprawach, jak suknie, kapelusze, czy drobiazgi toaletowe. Z konieczności rozmawiały o rzeczach obojętnych. O malarstwie, o stylach, o znajomych, o technice ubezpieczeń. Dla wszystkiego Mika miała grzeczne i umiarkowane zainteresowanie, gdy jednak temat zbyt zbliżał się do jej osobistego życia, umiała zręcznie się wycofać. Nira naprawdę nie wiedziała, co o niej sądzić. Naogół wolą uważać ją za niewinną gąskę, zdarzało się jednak, że nabierała najgorszych podejrzeń. Wówczas dopatrywała się w kuzynce wyrafinowanej obłudnicy, świętoszki, sprytnie ukrywającej swoje grzechy. W gruncie rzeczy, skąd można było wiedzieć, co Mika robiła całymi dniami na mieście, wychodząc z kasetą lub ze szkicownikiem?... Wprawdzie wciąż rosły stopy jej obrazków, ale ich treść świadczyła o zupełnie dziwnych upodobaniach autorki. Przeważały tu widoczki z ubogich dzielnic, wykrzywione płoty, brudne kramiki, grupki uliczników, stragany zawałone rupieciami, chabety w zniszczonych drożkach, sylwetki wszelkich obdartusów, słowem całe to świństwo, do którego Nira czuła wrodzony wstręt, to śmietnisko życia, o którym nie chciałaby wogóle nic wiedzieć.

Któregoś dnia Mika powiedziała przy obiedzie:

— Widziałam dziś kogoś, łudząco podobnego do twego narzeczonego.

— Ach — poruszyła kącikami ust Nira. — Nie odznacza się on zbyt oryginalną powierzchownością.

— Nie zupełną masz rację. Zresztą tylko w pierwszej chwili odniosłam takie wrażenie, a pana Murka widziałam tylko raz.

— I któż to był?

— Nie wiem. Jakiś tragarz. Ładował worki z mąką na ciężarowy samochód.

Nira wzruszyła ramionami:

— W każdym razie dziękuję ci za komplement.

— Za co? — zdziwiła się Mika.

— No, za porównanie mego narzeczonego do tragarza.

Mika nic nie odpowiedziała, tylko jej różowe, niemal przeźroczyste palce poruszyły się leciutkim gestem zniecierpliwienia. Nira spojrzała na jej ręce. Nigdy i u nikogo tak pięknych nie widziała. Ich linja, karnacja, wyraz miały w sobie coś urzekającego. Zazdrościła jej tych rąk.

— Zresztą — powiedziała — dziwię się, że ty, artystka, dopatrujesz się w nim urody. Niestety, jest aż nadto pospolity... Co nie koliduje z jego stroną wewnętrzną... Ani z nazwiskiem.

Mika zapytała obojętnie:

— Jednak musi reprezentować pewne wartości, skoro postanowiła zostać jego żoną?

— Och, moja złota, to raczej dowód, że w sobie nie widzę żadnych wartości, uprawniających do podwyższenia skali wymagań.

W jej głosie zabrzmiało rozdrażnienie, i Mika natychmiast to spostrzegła, bo powiedziała:

— Bardzo cię przepraszam, Niro. Nie chciej mego pytania rozumieć, jako zamiaru zagładania do twoich spraw intymnych.

Nira jednak nie skorzystała ze sposobności do odwrotu. Rozgniewana, zaśmiała się:

— Cóż w tem intymnego?

— Nie mówmy już o tem. Jakże, czy babcia nie pisała?

— Owszem, mówmy — uparła się Nira. — Chcę wiedzieć, co w tem widzisz intymnego?

— No, uczucia...

— Jakie uczucia?

Mika zaróżowiła się i wydobyła z siebie:

— Sądzę, że... miłość.

Nira spojrzała na nią z politowaniem:

— Jesteś bardzo naiwna, moja złota. Czy ty serjo wyobrażasz sobie, że ja, właśnie ja, mogłabym się kochać w takiej... cielőćcinie! Jesteś pyszna. Tyś chyba sama nigdy się nie kochała?...

— Mam inne zainteresowania — powiedziała cicho.

— Więć jeszcze kiedyś zrozumiesz, że zaręcżyny nie obowiązują do miłośćci, ani miłość do zaręcżyn.

Po tej rozmowie znowu unikały się wzajemnie. Nira nie starała się nawiązać kontaktu, gdyż drażniła ją ta przesadna subtelność i wrażliwość kuzynki, jej — jak kiedyś powiedziała Junoszycowi — starannie pielęgnowana anielskość, jej równie starannie ukrywane życie wewnętrzne i te jasne „dziewicze” oczy i blade policzki.

Junoszc, który Mikę dwa, czy trzy razy widział, twierdził, że to „smaczny kawalek, chociaź pewno mdły”. On jednak w kaźdej kobiecie, nawet najbrzydszej musiał znaleźć coś, co go interesowało. Jeden miał wielki plus: przy żadnej nie zatrzymywał się dłużej.

Oczywiście, Nira nie wiedziała i nie mogła wiedzieć, co robił podczas swoich wyjazdów. W Warszawie jednak była pewna jego wierności. Wracał zresztą zawsze stęskniony, namiętny, niemal żarłocżny.

I tym razem chociaź w Moskwie zabawił o dzieśięć dni dłużej, niź zapowiedział, przyjechał młody, wesoły, nawet serdecżny. Okazało się, że dobił futrzanego interesu, że nie tylko zarobił moc pieniędzy, lecz udało mu się „zlikwidować” pewnego konkurenta, niejakiego Pycza. Zlikwidowanie polegało na wsadzeniu jegomościa do paki, na conajmniej pięć lat.

— Umieć płacić swoje rachunki? — mrużył do Niry oko i z rozmachem zakładał nogę na nogę. — Ten facet już mię dwa razy wystrychnął na dudka. Gdy tylko nawiązywałem co z bolszewikami, wlaźił mi w paradę i sprzątał sprzed nosa wszystko. Miał djabelny węch. Albo raczej stosunki w tamtejszem poselstwie. Wyobraź sobie moją minę. Przyjeźdźam w Moskwie do hotelu, a on tu już od dwóch dni!

— No, i jakżeś z tem załatwił?

— Ach, poprostu. Znaleźli u niego w numerze kompromitujące dokumenty.

— I toś ty?...

Junoszc zaśmiał się:

— O, nie! On nie taki głupi! Ale pewna bardzo zgrabna dziewczynka załatwiła to bez trudu. Ja oddawna wiedziałem, że tego durnia dziewczki zgubią. To istny królik. Piekielnie leci na baby. No nic, teraz mu w ciupie wychłodnie!

— A ty... bardzo mnie zdradzałeś?

— Cóż ci z tego przyjdzie, gdy zaprzeczę?... Albo, gdy powiem, że codziennie?... Widzisz. Nie należy stawiać takich głupich pytań. Ja nie pytam, czy się tu nie puszczała?

— Bo to ciebie nie obchodzi — zasępiła się Nira.

— Nie to — podniósł wskazujący palec do góry. — Nie to, panienczko! Poprostu i bez twoich zwierzeń wiem, żeś była mi wierna.

— Tak, tak, tak — rzuciła mu się na szyję.

— A za to spotka cię nagroda!

— Jaka? — zaciekawiła się.

— Za tydzień wyjeźdźamy razem.

— Dokąd? — zbladła Nira.

Junoszc zrobił dłuższą pauzę i wydeklamował:

— Na Riwjerę! Do Paryża! Do Włoch!

— Koki!

— Słowem, dokąd oczy, a raczej „Mercedes” poniesie.

— Samochodem! — ucieszyła się.

— I bez szofera. To teraz jest dobrze widziane. Sportowo i modnie. W razie gwoździa będziesz musiała pompować kichy.

— Ależ z rozkoszą!

— Nie napracujesz się — pocieszył ją. — Zagranicą wszędzie co kilka kilometrów są stacje obsługi samochodowej.

Nira cieszyła się, jak dziecko:

— Ty jesteś niezrównany, Koki! Boski, oszołamiający.

— Oczywiście, będziesz musiała wziąć urlop z biura. Płatnego nie dostaniesz, ale mniejsza o to.

— A na jak długo? — tuliła się doń Nira.

— Ba, tego ja sam nie potrafię określić. Dwa, trzy miesiące! Na jak długo starczy forsy. Mam jej sporo, ale nie myślę sobie oszczędzać. Pieniądze są od tego, by je puszczać.

— I będziemy hulać?

— Niczem miljonerzy.

— To pysznie! I pozwolisz mi na ruletkę?

— O, to w pewnych granicach. Ruletka wymaga zimnej krwi.

— Ale będziemy wszędzie mieszkać razem. Będę uchodziła za twoją żonę, dobrze?

— Na ten hazard mogę ci pozwolić.

Rozgorączkowana nadmiarem planów, nie mogła usiedzieć spokojnie.

— Tak, tak — powtarzała. — Spędzić po ludzku takich kilka miesięcy, a potem... Potem niech się dzieje, co chce.

Nagle zasępiła się.

— Ale ja przecie nie mam ani sukien, ani kapeluszy, ani nic. To, co mi zostało, to straszne, już dawno wyszło z mody.

— Głupstwo! — machnął ręką. — Wyekwipujesz się zagranicą. W Wiedniu, w Paryżu.

— Koki! Jaka ja jestem szczęśliwa!

— No, doskonale — ziewnął — ale teraz idź już do domu. Jestem zmęczony, a w ślepingu brzęczało coś przy oknie i nie mogłem zasnąć.

Wracała do domu w cudownym usposobieniu. Obiecana podróż, projekty i nadzieje prosto ją rozsadały. W mieszkaniu nie zastała nikogo. Zmartwiła się tem, bo już chciałyby się swoim wyjazdem pochwalić. Zajrzała do kuchni. Stara Marcinowa oświadczyła, że musiało się coś stać, bo panienska Mika wysłała Józefa na pocztę z depeszą do pani, żeby przyjeżdżała natychmiast, a sama panienska dzwoniła do jakiegoś szpitala i wyszła, nic nie jedząc, a spiesząc się bardzo.

— A jak Marcinowa myśli, co się stało?

— Czy ja wiem, panienko?... Może co z panem Wojciechem?

— Może — obojętnie odpowiedziała Nira. — A wie Marcinowa, że ja wyjeżdżam zagranicę?

— Skądże mam wiedzieć — kobiecina zerknęła na nią i odwróciła się do kuchni.

— Jadę na kilka miesięcy. Do Francji, do Włoch... Po całej Europie.

— A poco, panienko?

— Tak, dla przyjemności...

Kucharka zaśmiała się:

— Co też panienska mówi. Już tam dla przyjemności to nikt nie jeździ na koniec świata. Ja raz jechałam koleją żelazną do Lwowa... Pamiętam jak dziś. To i strach człowiekowi i tłok i tym samym wagonem rzuca. Trzy dni później chorowałam. Już przyjemności to tam niewiele. Chciałabym pojechać, ot, do Ziemi Świętej... A panienska pewno i tam będzie?

— Oczywiście, będę — skłamała Nira. Chciała czemś zaimponować Marcinowej.

Zatelefonowała do pani Lechowskiej, lecz okazało się, że nie wróciła jeszcze z urlopu. Niezadowolona zabrała się do przeglądania swej garderoby. Było jeszcze bardzo wcześnie i nie miała nic do roboty. To też ucieszyła się, gdy zadzwonił Murek.

— Niech pan przyjdzie do mnie — powiedziała mu odrazu. — Jestem sama. Byle prędko.

— Za pięć minut będę — uradował się.

— Proszę śpieszyć.

Sama otworzyła mu drzwi i umyślnie przeprowadziła do swego pokoju, gdzie były porozkładane suknie, narzutki bielizna.

— Tak tu wygląda, jakby się pani pakowała? — spytał z niepokojem.

— Zgadł pan, panie Franku.

— Pani wyjeżdża? — głos jego zabrzmiał prawie tragicznie.

Zaśmiała się:

— Cóż pan taki przerażony?
— Nie spodziewałem się.
— Wyjeżdżam za kilka dni.
— Do rodziców?
— O, nie! Jadę zagranicę.
— Zagranicę? — zdziwił się. — A posada?... Przecie urlop pani wypada dopiero w grudniu.

— Ach, urlop — wzruszyła ramionami. — Dadzą mi wcześniej, albo zupełnie zrezygnuję z posady.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem:

— Jakto sama pani zrezygnuje?

— No, pewno. Cóż wielkiego taka posada?

— To lekkomyślnie — odezwał się po pauzie łagodnym tonem. — Dziś czasy są bardzo ciężkie. O posadę trudno. Gdy się ma coś w ręku, nie należy tego wypuszczać.

— Pan zdaje się nie rozumieć, że jedna podróż zagranicę daje człowiekowi więcej, niż sto posad. Czy pan naprawdę sądzi, że ja jestem stworzona do pracy?...

Murek nic nie odpowiedział.

— Pan nie rozumie: — Wiedeń, Neapol, Paryż, Nicea... Luksusowe hotele, wytworne otoczenie...

— Owszem — zgodził się. — Zapewne, że to daje pewną satysfakcję. Może nawet dużą. Ależ też i kosztuje.

Niedbale poruszyła ręką:

— Ach, to już mnie nie obchodzi.

— Jakto?

— No... Jadę na koszt ciotki Stefy. Ciotka chce, bym coś zobaczyła. Miewa czasem takie hojne wybryki.

— I... i sama pani jedzie, panno Niro?

— Ja?... Nie, cóż znowu. Jadę z ciotką i z Miką.

— Z kim?

— No, z moją cioteczną siostrą. Poznał pan ją przecie tutaj.

Murek zastanowił się:

— Wie pani, że nie przypominam. Owszem, jakaś panienka bardzo młodziutka, taka szatynka?...

Wręcz miał talent wyprowadzania Niry z równowagi.

— Nie taka znów młodziutka. Tylko o dwa lata młodsza odemnie. A powtóre, nie szatynka, tylko blondynka. Pan ma kurzą pamięć. Widzieć kogoś i nie pamiętać!

— Niech się pani nie gniewa — uśmiechnął się. — Ale czyż ja mogę kogoś widzieć naprawdę dobrze, jeżeli przytem jest pani!?

— Dziękuję za uprzejmość.

— To nie uprzejmość, to prawda — powiedział z naciskiem.

— Panie Franciszku. Drzewa są zielone. To też prawda, ale jeżeli pan ją będzie tysiąc razy powtarzać, obrzydnie do ostateczności.

— Dawniej nie drażniło to pani — spochmurniał.

— Ale, nudziło się zawsze — odcięła się ostro.

Teraz już zła była na siebie, że sprowadziła go tutaj. Ten człowiek, pomimo swojej miłości, o której ciągle gadał, nie umiał ucieszyć się jej szczęściem, przejąć się jej radością. Gdyby liczyła się bardziej z jego nastrojami, zepsułby jej połowę satysfakcji wyjazdu.

W przedpokoju niecierpliwie zaterkotał dzwonek. Po chwili do Niry zapukała Marcinowa:

— Proszę panienki, przyjechał pan Wojciech i prosi panienkę na chwilę.

Przeprosiła Murka i wyszła.

— Gdzie jest pan Wojciech?

— W przedpokoju. Nawet płaszcz nie chce zdjąć.

Rzeczywiście, stał w płaszczu i z walizką w ręku.

— Jak z ojcem? — zapytał, nie witając się.

— Co z ojcem? — szeroko otworzyła oczy.

— No, czy żyje?

— Nic nie rozumiem! — przeraziła się.
— Jakto? Nie wiesz? Mika zatelefonowała do mnie, że strzelał do siebie.
— Jezus! Marja! — krzyknęła za plecami Niry służąca.
— Wojtek! Co ty mówisz! Ja o niczem nie wiem! Wróciłam do domu i nikogo nie zastałam. Czy to możliwe?

— Trzeba telefonować do Mierzejewa do matki. Zajmij się tem, Niro. Ja jadę na Wspólną.

— Do cioci już podobno Mika wysłała depeszę.

— Tak, tak, paniczu, Józef polecił na telegraf. Będzie za dwie godziny! Boże, Jezusieńku — lamentowała Marcinowa.

— No, to dowidzenia — pośpiesznie rzucił Wojciech i wybiegł.

Nira oparła się o ścianę:

— A to miła historja.

Jej myśl z niepokojem krążyła koło jednego: czy zamach samobójczy wuja Bożyńskiego nie pokrzyżuje planów jej wyjazdu?...

— Też stary warjat! — powiedziała z irytacją

Zajęła się przedewszystkiem wyprawieniem Murka. Nie wspomniała mu, ma się rozumieć, o wypadku. Zbyła pierwszym lepszym pretekstem i zamknęła za nim drzwi. Ponieważ nie chciała więcej z nim się widzieć przed wyjazdem, zrobiła mu małe ustępstwo, pozwalając pocałować się w policzek.

Zaczął dzwonić telefon. Różni znajomi, dalsi krewni, przyjaciółki ciotki już wiedzieli o wypadku. Dzwonili po bliższe informacje. Od nich Nira dowiedziała się kilku szczegółów. Wuj Bożyński stracił wiele na jakiejś tranzakcji. Musiał oddawna nosić się z zamiarem samobójstwa, bo wymówił pracownikom swego biura, uregulował drobne rachunki i wszystko zostawił w idealnym porządku. Widziano go dziś na śniadaniu u Simona i Steckiego w towarzystwie kilku panów. Stamtąd wrócił do domu i palnął sobie w łeb.

Do późna Nira nie kładła się spać. Przed północą wróciła Mika. Wyglądała sama, jak śmierć angielska. Oczy miała czerwone od płaczu. Wojciech nie przyszedł wcale. Został na Wspólnej z Krysią, która raz po raz mdlała. Około dziewiątej pan Bożyński skonał w szpitalu podczas próby wyjęcia kuli z czaszki. Strzał był oddany w skroń i początkowo ludzono się nadzieją uratowania mu życia.

Mika nie kładła się spać. Nira musiała dotrzymać jej towarzystwa, co było tem przykrzejsze, że Mika na wszystkie pytania odpowiadała monosylabami. Nad ranem przyjechała ciotka Stefa. Nadspodziewanie spokojnie przyjęła wiadomość o śmierci męża. Przebrała się natychmiast w czarną suknię i pojechała do kostnicy, a później na Wspólną, zabierając z sobą Mikę.

Nira przespała się do ich powrotu. Przed obiadem cała rodzina zebrała się na Królewskiej. Wojtek zdawał sucho sprawę z formalności pogrzebowych, które pozalał wiać. Mika milczała, Krysią nie przestawała płakać. Pani Bożyńska przez lorgnon rzeczowo przeglądała karty wizytowe osób, które złożyły kondolencje.

— Jedno jest zupełnie pewne — odezwała się spokojnie. — Wasz ojciec zostawił nas w zupełnej nędzy. Nie będę teraz roztrząsała, czy postąpił uczciwie. Bóg go osądzi. W każdym razie nie zostało po nim nic, oprócz długów, a wiecie dobrze, że jedynym źródłem naszego utrzymania była renta, którą mi wypłacał.

— Nie zarabiam dużo — odezwał się Wojtek — ale... ale musi to dla nas wszystkich wystarczyć.

Pani Bożyńska uśmiechnęła się z politowaniem:

— Dziękuję ci za jałmużnę.

— To mój obowiązek — odpowiedział twardo.

— To absurd, mój drogi.

— Nie myślę. Oczywiście, mama i wy będziecie musiały zmienić sposób swego życia, bardzo poważnie skurczyć wydatki. Mam kolegów, którzy utrzymują z takich poborów, jak moje, większe rodziny.

— Więc życie w małym miasteczku z oficerskiej pensyjki? — zapytała pani Bożyńska.
— Nie, mój drogi! Sam nie zdajesz sobie sprawy z sensu swojej rodzinnej... filantropji.

— Owszem. Wiem, co proponuję.

— Ale nie wiesz, że to do reszty zwiąże tobie życie.

— Godzę się z tem.
— Ale ja się nie godzę. Ani twoje siostry.
— To już wasza rzecz — zniecierpliwiał się. — W każdym razie nie cofam tego, co powiedziałem.

Pani Bożyńska westchnęła:

— Cenię twój charakter.

Mika wstała i serdecznie ucałowała brata:

— Dziękuję ci, Wojtku. Rzeczywiście, powinieneś wziąć do siebie mamę. Ja sobie dam radę. Będę pracować.

— Sprzedawać może te obrazki? — zapytała pani Bożyńska.

— A chociażby.

— Nie łudź się, że z tego wyżyjesz.

— Więc wezmę jakąś posadę.

Krysia dodała:

— Naturalnie. Ja też poszukam posady. Nie święci garnki lepią. Nira pracuje i zarabia.

Nira przysłuchiwała się tej rozmowie w milczeniu. Nie mogła znaleźć stosownej chwili, by ich zawiadomić o swoim rychłym wyjeździe zagranicę, ani pretekstu do opuszczenia tej żalobnej narady rodzinnej.

Na szczęście zadzwonił Junoszyca z pytaniem, czy może przyjść z wizytą kondolencyjną. W imieniu ciotki podziękowała mu i skorzystała ze sposobności, by wyjść z domu.

Spotkali się przed kawiarnią i pojechali na spacer. Junoszyca mówił o samobójstwie Bożyńskiego z irytacją:

— Masz oto klasycznego idjotę. Facet zdrowy, jak byk, mógłby jeszcze żyć ze dwadzieścia lat. I o co palnął sobie w łeb?... Że cudze pieniądze wpakował w majątek, który poszedł na licytację. Więc cóż z tego. Nikt nie mógłby mu udowodnić złej woli. Zresztą wogóle wątpię, by ten cymbał miał jakąś złą wolę. Sam na tem grosza nie zarobił. Taki masz los fujary. I żeby chociaż przedtem użył sobie. Rozumiałbym. Miał przecie kolosalny kredyt. Każdy bank dałby na jego weksle kilkadziesiąt tysięcy. Widział kłapę?... No, to trzeba było już zrobić kłapę na całego. Forsę w kieszeń, i jazda w świat. A na kulkę zawsze miałby czas, jakby go nakryli. Ja przynajmniej tak rozumiem życie.

Nira cieszyła się z wyjazdu. W tej atmosferze, jaka panowała na Królewskiej, nie mogłaby wytrzymać. O dalszym wynajmowaniu pokoju u ciotki też myślała z niechęcią. Po powrocie z podróży trzeba będzie postarać się o inny.

Tymczasem okazało się, iż jeszcze przed pogrzebem rodzina Bożyńskich powzięła postanowienie likwidacji luksusowego mieszkania. Ciotka Stefa miała narazie znaleźć przytułek u krewnych na Pomorzu, Krysę zabierał do siebie Wojtek. Mika zaś miała zamieszkać u swojej przyjaciółki, Marjetki Kosickiej, i szukać posady.

— Cóż począć?... — mówiła pani Bożyńska. — Deklasujemy się. Nie my pierwsi, nie my ostatni.

Jej rzekome pogodzenie się z losem wyglądało na chęć usprawiedliwienia się przed samą sobą z jakiejś dziwnej i dla Niry niezrozumiałej rezygnacji, niechęci do walki, do utrzymania się w dotychczasowej pozycji, jeżeli nie materialnej, to przynajmniej towarzyskiej.

Po pogrzebie mieszkanie napełniło się rejuwchem: sprzedawano całe urządzenie. Szły za bezcen stare meble, dywany, porcelana, brzozy, obrazy. Pulchni, dokarmieni panowie i wybrylantowane damy o grubych, krótkich palcach, zakończonych bardzo czerwonymi paznokciami, obmacywali i ważyli w ręku srebra z herbami Bożyńskich, Mirskich, Sułkowskich, Horzeńskich, Wściekliców, Dowmuntów, z koronami i mirtami, nad których wykonaniem ślęczeli miesiącami mistrzowie Florencji i Wenecji, Gandawy i Królewca, Moskwy i Nowogrodu. Dawne stulecia, przebrzmiałe tytuły wojewodów i kasztelanów, koniuszych i szambelanów, minione stulecia ulegały przerachowaniu na niedbale rzucone, choć starannie odliczane papierki. Dom wyglądał, jak bazar. Robotnicy pakowali i wynosili meble, niektórzy kupujący chodzili po pokojach, nie zdejmując kapeluszy.

Wkrótce zostało sprzedane wszystko. Nowonabywcy zostawili na pewien czas tylko najniezbędniejsze rzeczy. W ten sposób ocalał pokój Niry, co ucieszyło ją bardzo, gdyż paszport zagraniczny miała otrzymać dopiero za kilka dni.

Gdy na pytanie ciotki, co ze sobą robi, oświadczyła, że wyjeżdża zagranicę, przyjęto to dość obojętnie. Tylko Mika zapytała:

— Sama jedziesz?

— Nie — odpowiedziała Nira — skądże. Jadę z prezesem naszego Towarzystwa, jako jego sekretarka.

— Tak?... — wieloznacznie zauważyła pani Bożyńska.

— O, niech ciocia się nie boi. Prezes Nikolski jedzie z żoną i z córką.

Więcej nie było o tem mowy. Tegoż dnia Wojtek wyjechał wraz z Krysią, a Mika przeniosła się do Marjetki Kosickiej na Żolibórz. Pani Bożyńska miała zapakowane kufrы i składała pożegnalne wizyty.

W niedzielę wieczorem, wracając od Junoszyca, Nira spotkała tuż przed domem Murka.

— Telefonowałem kilka razy — powiedział — lecz nikt się nie odzywa. Więc właśnie szedłem, by się dowiedzieć, czy pani już wyjechała?

— Jutro wyjeżdżam — przywitała się z nim Nira — tak się złożyło, że nie mogłam wcześniej.

— Ja się tylko tem cieszę — zaśmiał się.

— Dlaczego? — zdziwiła się.

— No, bo jeszcze panią raz zobaczyłem.

— Ach — machnęła ręką — pan zawsze jest czułościowy. Nie zaproszę pana nagórę, bo tam wszystko do góry nogami. Przejdziemy się trochę.

Skręcili w Marszałkowską.

— Czy pozwoli pani, że przyjdę jutro odprowadzić panią na dworzec? — zapytał, zaglądając jej w oczy.

— Och, nie. To zbyteczne. Stanowczo zbyteczne.

— Jednakże bardzo prosiłbym.

Nie mogła mu przecie powiedzieć, że jedzie samochodem, nie koleją. Miała z walizkami wsiąść w taksówkę, by ciotka nie wiedziała, dokąd się udaje. Ponieważ już i ciotce oświadczyła, że jej pociąg odchodzi do Wiednia o pierwszej dwadzieścia z Głównego dworca, powtórzyła to teraz Murkowi. O tej porze będzie już o sto kilometrów za Warszawą.

— Więc przyjdę na dworzec. Można?

— Proszę, jeżeli pan chce, ale to niepotrzebne. Nie lubię pożegnań.

Wieczór był upalny i Nirze przyszło na myśl, że jutro w samochodzie może być gorąco. Że też wcześniej nie pomyślała o kupieniu jakichś owoców. Koki lubi banany i świeże figi. Wogóle słodczy. Po drodze nie dostaną dobrych. Mijali właśnie dużą owocarnię.

— Wejdźmy na chwilę — powiedziała. — Muszę sobie na drogę kupić trochę owoców.

Wzięła banany, gruszki, świeże figi, wspaniałe, soczyste śliwki, morele i kilka tabliczek czekolady.

— Razem dwadzieścia złotych trzydzieści pięć groszy — powiedziała sklepowa. — Czy państwo każą odesłać? To będzie duża paczka.

— Nie, nie. Zabierzemy sami — odpowiedziała Nira. — Chyba pan to udźwignie, panie Franciszku?

— O, drobiazg — zaśmiał się.

Nira zbliżyła się do kasy i otworzyła torebkę: — Nie miała tam ani grosza. Widocznie portmonetkę zapomniała w domu.

— Co za rozartgnienie — zawołała. — Nie zabrałam pieniędzy. Jeżeli panu nie zrobi to różnicy...

Murek zaczerwienił się:

— Ależ z przyjemnością... Żadnej różnicy!

— Aha! — Nira zwróciła się do sklepowej. — Zapomniałam jeszcze o daktylach.

— Na wagę pani każe, czy takie pudełko?

— Tak, pudełko.

— Trzy pięćdziesiąt, proszę pani.

Murek zabawnie macał się po kieszeniach i układał na marmurowej tafli przy kasie kupki niklowych monet:

— Zdaje się, że dobrze — zapytał kasjerki — dwadzieścia trzy złote osiemdziesiąt pięć groszy.

— Zgadza się.

— Ale może pani jeszcze sprawdzi.

Nira zaśmiała się:

— Pozbawiłam pana wszystkich drobnych. No, chodźmy.

— Dziękujemy państwu — skłoniła się kasjerka.

— Proszę bardzo — kiwnął jej głową Murek.

Na ulicy dopędził w tłumie Nirę i zabiegł tak, by mieć ją po prawej stronie. W lewym ręku niósł dużą paczkę, którą co chwila uderzał po kolanach przechodniów.

— I cóż pan porabia? — pytała Nira — poprawiły się pańskie sprawy?

— O tak. Wprawdzie nie mam jeszcze stałej posady, ale zarabiam dobrze.

— Cóż pan robi?

— Ach, eksploatuję swoje prawnicze wykształcenie. Pozatem biorę się do handlu.

— To bardzo dobrze. Na handlu ludzie robią majątki. W każdym razie lepsze to, niż jakaś posada.

— No, to rzecz względna — odpowiedział z wahaniem.

— Chyba nie żałuje pan swojej dawniejszej posady? Tu nie ciasna prowincja. Szerokie możliwości.

— Zapewne.

— A przy pańskim zamiłowaniu do oszczędności — ciągnęła — zbije pan wkrótce grube pieniądze. Mądrze pan robi. Tylko jedno...

— Co, panno Niro?

— Pan jest zanadto... W dzisiejszych czasach nie można być tak przesadnie uczciwym. Niech pan mnie źle nie zrozumie. Cenię uczciwość, ale tylu jest ludzi, którzy czyhają na cudzy grosz.

Przypomniała sobie słowa Junoszyca:

— Trzeba wybrać: albo się jest wilkiem, albo baranem. Najsilniejszego barana wilki w końcu zjedzą. Czyż nie mam racji?

— Poczęści — przyznał niechętnie.

— Nie poczęści, a całkowicie. Naprzykład pan zajął się teraz handlem, interesami. Jeżeli pan sam nie będzie wygrywał, to wygrają ci ludzie, którzy zawsze znajdą sposobność, by pana oszukać. Tu trzeba pozbyć się przesadnych skrupułów. Lepiej być wilkiem, niż baranem.

— Jest coś ważniejszego od tej kalkulacji, panno Niro — powiedział poważnie — to sumienie.

— Owszem — przyznała niecierpliwie. — Niech pan to wpaja w swoich konkurentów, agentów, hurtowników, w dostawców i odbiorców. Ale chyba rozumie pan, że nadmiar sumienia, przewrażliwienie na tym punkcie, wręcz uniemożliwia życie.

Murek milczał.

— Tak się pan do mnie odnosi — zirytowała się — jakbym nie mówiła tego jedynie przez życzliwość dla pana.

— O, ja to rozumiem — zapewnił pośpiesznie — i bardzo pani jestem wdzięczny za to.

— Nie zauważyłam.

— Ależ tak. Mnie doprawdy wrusza to, że pani myśli o mnie, chociaż przezemnie musi pani ciężko pracować...

— Jako przez pana?

— No, bo gdybym już mógł stworzyć to, co jest moim obowiązkiem, stworzyć dom dla pani, zapewniony byt... To moja wina. Tylko, że czasy są tak ciężkie. Wszędzie redukcje, kryzys... Jednak moja wina.

— Co też pan mówi — zaśmiała się szczerze.

— To i tak wielka dobroć pani, Niro, że chce pani tak długo czekać na mnie. Życie na wielką próbę wystawia nasze uczucia. Ale ja do śmierci będę pani wdzięczny za tę dobroć, za to zaufanie. Ilekroć panią widzę, palę się ze wstydu, że jeszcze nie mogę powiedzieć: — Najdroższa. Już możesz nie przemęczać się pracą. Wywalczyłem naszą przyszłość. Bierzemy ślub i zaczynamy nowe życie!

— Panie Franku — spuściła oczy, by nie zobaczył w nich ironji.

On jednak był zanadto zajęty tem, co mówił:

— Tak, tak, panno Niro, moja wina. Wstydzilem się dlatego narzucać się pani prośbami o zbyt częste spotkania, a przy każdej rozmowie przygniatał mnie ten kamień. I strach, że oto od pani usłyszę: — Dłużej czekać na pana nie mogę, zwracam panu słowo... Zimny pot mnie oblewał na myśl o tem. O, jakże błogosławiłem i błogosławię panią za jej delikatność, za jej dobroć. Oddawna chciałem to pani powiedzieć, tylko nie chciało mi przejść przez gardło. Dlatego skłamałem, że chciałem panią pożegnać. To nieprawda. Od kilku godzin krążyłem dziś pod bramą pani domu, by jeszcze przed pani wyjazdem zrzucić ten ciężar z serca i błagać panią o jeszcze trochę cierpliwości.

Nira uczuła coś jakby litość dla tego dziwaczego człowieka. Cóż mu mogła odpowiedzieć?... Patrzyła na nią od tyłu miesiący, mówił z nią, nie starała się przecie go okłamać. Tyle razy gotowa była ukazać mu siebie w prawdziwym świetle, a on wciąż ją idealizował, wciąż dopatrywał się w niej jakichś nadzwyczajnych zalet. Obarczał ją tem wszystkim, jak jakimś pontyfikalnym strojem, zapewne pięknym, zapewne godnym podziwu, ale nieznośnie sztywnym, obcym, drażniącym. Zapatrzone w urojoną wizję jakiegoś niezmiernego ideału, wręcz nie dawał się ściągnąć do rzeczywistości.

Szli przed bramą. Miał słodko uśmiechniętą minę, wzruszenie w oczach. Spodnie, widocznie od dawna nie prasowane, zaznaczały się kulistemi wypukłościami na kolanach. Sznurek od paczki głęboko wrzynał się w rękę.

— Przecenia pan mnie, panie Franku — powiedziała. — Jestem stokroć gorsza, niż pan sądzi. Jestem zła i nie zasługuję na pańską miłość.

— O, nie — potrząsnął głową.

— I nic panu nie mam do zarzucenia. Zapewniam pana. Wcale ciężko nie pracuję. Nie zależy mi na przyśpieszeniu małżeństwa. Jestem jeszcze bardzo młoda.

W jego oczach zakręciły się łzy.

— Co pan wyprawia! — zauważyła strofującym tonem.

— Niro, moja jedyna, najukochańsza, Niro. Ja wiem, że nie jestem pani wart. I... i muszę jeszcze coś pani wyznać. To jest bardzo ciężko. Ale nie mam prawa oszukiwać pani. Tylko błagam i proszę o trochę litości. Może pani potrafi mi to wybaczyć. To naprawdę stało się jakoś wbrew mojej wiedzy... To jest, nie wiedzy, lecz woli. Chwila słabości, zapomnienia, czy ja wiem...

Nira zdziwiła się:

— O czym pan mówi?

— Tak, muszę powiedzieć pani całą prawdę, całą prawdę — powtarzał prędko, aż słowa zlewały się. — Całą prawdę o tem co zrobiłem, co obciąża moje sumienie i nawet całą moją przyszłość. Ale przysięgam pani, że przeklinałem siebie za to. Czy pani mi uwierzy?... Czy pani będzie zdolna mi przebaczyć?...

— Nie zamordował pan chyba nikogo? — zdumienie Niry wzrastało.

— Nie, może nawet gorzej — mówił rozgorączkowany. — Popelniłem podłość wobec pani i wobec jednej kobiety. Nikczemność. Tak, trzeba to nazwać po imieniu, nikczemność.

Zniecierpliwiła się:

— Niechże pan nareszcie wykrztusi!

Murek opuścił głowę i po dłuższej pauzie szepnął:

— Ja mam dziecko.

— Co?

— Tak. Mam dziecko. Przed dwoma tygodniami przyszło na świat... Jedna chwila zapomnienia i...

Nira obrzuciła spojrzeniem jego nagle zgarbioną postać, tragiczny wyraz twarzy, nieco wymięty kapelusz i nie mogła wytrzymać: wybuchła długim, beztróskim śmiechem. Było coś tak zabawnego w tej sytuacji, w tem wyrażeniu i w znaczeniu, jakie on do tego przywiązywał, że dopiero po dłuższej chwili zdobyła się na pytanie:

— I któż jest szczęśliwą matką?

— Ach — machnęła ręką. — Zwykła dziewczyna z ludu... Służąca...

— A to wspaniała historia! Nie posądzałam pana o taką... przedsiębiorczość. Pyszne! Cóż?... Winszuję.

Musiła zużyć sporo argumentów, by go przekonać, że nie czuje doń żalu ani o sam grzech, ani o jego skutki. Murek rozczulił się i dziękował jej ze łzami w oczach za przebaczenie.

— O ile mi teraz będzie lżej — powtarzał.

Było już jednak późno. Na pożegnanie wycalował jej ręce. Potem przy świetle latarni zanotował raz jeszcze swój adres, pod który Nira z zagranicy obiecała napisać. Na szczęście nie wspomniął już więcej o przyjeździe na dworzec.

Wchodząc na schody Nira śmiała się szczerze i wesoło. Bawiła się myślą, jak całą tę kapitalną historję opowie jutro Junoszycom i jaką oboje będą mieli z tego zabawę.

ROZDZIAŁ IV

Murek oparł się o latarnię i czekał aż w oknach na pierwszym piętrze zapalily się światła. Nalozyl kapelusza i z wolna ruszył w stronę Placu Teatralnego. Na zegarze ratuszowym bylo już w pół do jedenastej. Należało przyspieszyć kroku, by zdążyć przed zamknięciem bramy. Nie usłyszałby wprawdzie od starego Niecki żadnego złego słowa, ale nie lubił korzystać z cudzej grzeczności nad miarę. Do Leszna zaś był kawał drogi.

Pan Niecka z żoną i zięciem siedzieli na ławeczce przed swoją bramą. Przy nich, jak zwykle w święto, przystanęło kilka osób pogadać. Młodsza córka Niecki gziła się i chichotała ze swoim kawalerem, czeladnikiem ślusarskim z naprzeciwka. Jego szeroko wyłożony à la Słowacki kołnierz koszuli i połyskujący brylantyną przedziałek Murek rozpoznał już zdaleka.

— Dobry wieczór — powiedział uchylając kapelusza. — A upał jakby zelżał.

— A jakby — odpowiedział Niecka.

— Może pan lodów zafundujesz — odezwał się elegant — pannę Julcię trochę podstudzić?

— Nie bądź taki mądry — zażartował zięć dozorczy — sam ją przygrzewasz, to i sam podstudź.

— I owszem — nie dał się stropić kawaler — dlaczego nie. Ja się mogę dołożyć do tych lodów...

Zrobił efektowną pauzę i dodał:

— ...z gębą.

Wszyscy zaśmieli się, a Murek zapytał dozorcę:

— A do mieszkania można?

— A można.

— Co pan taki nierozmowny przy niedzieli? — zaczął go jeszcze czeladnik ślusarski.

— Dyc bez ten gorąc! O, przystał do człowieka — ofuknęła go dozorczytni.

— Ledwie się dycha — pojednawczo dorzucił Murek i przesunął się bokiem obok Julki, od której grzało, jak od pieca.

W stróżówce dzieci już spały. Helenka, starsza córka Niecki, nie krępując się tem, głośno wybijała poduszki, szykując posłanie dla męża i rodziców. Ciasno tu było i duszniej, niż na dworze, ale czysto i porządnie.

— Już z konkurów? — przywitała go Helka, nie przerywając roboty.

— A już... Tylko skąd pani wie, że z konkurów?

— Bo nieszpory już dawno się skończyli. A pan Franciszek to chyba nie myśli, że m głupia.

— Skądże — zaśmiał się.

— Ja na chłopów jestem znająca — powiedziała tonem podziwu dla samej siebie.

— Niech pani Helena nie patrzy, to się szybko przebiorę — powiedział po namyśle.

— A przebieraj się pan. Ja tam nieciekawa. A odzienie pańskie tam, w sionce.

Zacerwienił się i bąknął „dziękuję”. Wiedział dlaczego wyrzucono je do sionki. Helena bała się, by robactwo nie rozlazło się po izbie. Przyniósł je zwinięte w tobolek i związane rękawami koszuli, prędko rozebrał się za firanką do naga, bieliznę złożył, zawinął razem z krawatem w gazetę i umieścił na półce przy komodzie, poczem wciągnął na siebie swoje codzienne ubranie, postrzępione i gdzieniegdzie wylatane niezdarnie. Święteczne wyniósł do bramy, starannie wytrzepał i wyczyścił szczotką, by powiesić je w szafie. Święteczne buty obtarł z kurzu, zawinął w ściereczkę i wsunął na zwykłe miejsce pod komodę.

Chociaż spieszył się z tem wszystkim, nie zdążył do zamknięcia bramy i musiał poczekać jeszcze dobry kwadrans, aż pan Niecka poszedł ją otwierać zapóźnionemu lokatorowi.

— Dobranoc państwu — powiedział całej rodzinie, która już zebrała się do snu w izbie — i bardzo przepraszam za kłopot.

— Niech tam już będzie — odpowiedziała stara — dobranoc.

Na ulicy było pusto, jak wymiółł. Murek skręcił przez plac Kercelego w Towarową. Do domu noclegowego na Ochocie miał dobre pół godziny drogi, a jeszcze nie był pewien, czy znajdzie się wolne miejsce. Zastanowił się nawet przez chwilę, czy nie lepiej pójść na Dziką, do „cyrku”, gdzie nocleg jest tańszy o dwa grosze, bo tylko piątaka się płaci, ale zdecydował się wkońcu na Ochotę, a to w nadziei spotkania „Generała”, który tam najczęściej nocował, a który obiecał Murkowi protekcję do jednego co trzymał karuzelę na Sielcach. Przy karuzeli zarobek miał być niezły, a fatyga niewielka. Przytem Murek odpowiadał głównemu warunkowi: był frajerem, czyli nie robił nalewo.

Schronisko na Ochocie nazywało się niewiadomo daczego Berlinem, i w gwarze swoich przygodnych mieszkańców, w gwarze ulicznej, było pod tą nazwą znane równie dobrze, jak Cyrk na Dzikiej, jak Bristol na Pradze, albo Kamczatka w Mokotowie. Cieszyło się jednak lepszą opinią. Popierwsze zrana dostawało się tam za pięć groszy osłodzoną kawę i przyzwoitą pajdę chleba, podrugie policja rzadziej tu zaglądała.

Odkąd zięć Niecki stracił pracę w fabryce w Pruszkowie i zamieszkał nastale u teścia, Murek musiał wynieść się z wygodnej stróżówki i tułał się po domach noclegowych. Tyle tylko, że u Niecków na Lesznie pozwalano mu zostawić rzeczy, a raczej tę ich resztę, która mu pozostała, a której nawet w dniach najgorszej głodówki nie sprzedał, gdyż stanowiła jego paradny strój do widywania się z Nirą. Wprawdzie można było w każdym schronisku oddać zarządzającej na przechowanie te rzeczy, jednak wiedzianoby wówczas o ich istnieniu i współtowarzysze nie daliby spokoju, pókiiby tego nie sprzedał na wódkę.

Berlin był utrzymywany i prowadzony przez jakąś amerykańską sektę religijną, czem się nikt z jego lokatorów nie interesował. Znali tylko zarządzającą, przezwaną od lat Hrabina i stróża tęgiego chłopa z czarną brodą „Rasputina”, który w razie potrzeby umiał sobie poradzić nawet z największymi zabijakami i jednej tylko Hrabiny bał się, jak ognia.

Codziennie o ósmej Rasputin otwierał drzwi Berlina i wpuszczał gości. W kantorku za okienkiem siedziała Hrabina, odbierając od każdego należne siedem groszy za nocleg i przyjmując na przechowanie, jeżeli kto miał coś do przechowania, pieniądze, dokumenty, zegarki, towar, słowem wszystko to, z czego współmieszkańcy w ciągu nocy doszczętnieby posiadacza okradli, a co zrana odbierało się w całości i nienaruszone z rąk tejsze Hrabiny.

W porze ciepłej, jak zwykle, w Berlinie bywało dość pusto. Przychodzili tylko ci, co na lato nie wywędrowali z miasta, ci co dla uniknięcia zatargu w komisariacie nie dekowali się do spania pod mostami czy na ławkach w alejach.

Oczywiście, świeże powietrze miało swoje zalety. Murek nieraz już spędził noc pod gołym niebem. Do tego celu nadawały się niektóre ustronnejsze uliczki, rzadziej odwiedzane przez patrole policyjne, wszelkie rury kanalizacyjne, place, na których zaczęto budowę i gdzie wśród stosów nagromadzonych materiałów budowlanych zawsze można było nawet bez zgody stróżów znaleźć kryjówkę, wybrzeża Wisły, no i bezpieczne od deszczu zakamarki pod wiaduktem mostu Poniatowskiego. Tam „gliny” bały się zapuszczać pojedynczo i zjawiały się tylko w wypadku większej oblawy.

Wtedy jednak wszystkich hurtem zabierano do komisariatu, badano papiery, rewidowano kieszenie, poczem podejrzanych lub poszukiwanych odsyłano do urzędu śledczego, wprost do „mamra”, albo do sądu. Wszakże i najniewinniejszy musiał przesiedzieć do południa, a nieraz i do wieczora. Dla nikogo taka rzecz przyjemna nie była. Raz, że glinom i tajniakom po kilku wypadkach zatrzymania człowiek w oko wpadał na zawsze, a podrugie każdy przecie miał jakieś zajęcie, do którego było mu spieszno.

Murka zagarnięto kiedyś w przystani na Wiśle, innym znowu razem na Placu Nędzy. Odtąd unikał noclegów na lufcie. Zdarzały się wprawdzie oblawy i w schroniskach, lecz stąd nie zabierano tych, co mieli dokumenty w porządku. A przytem nie narażał się człowiek na pobicie, ani na dostanie majchrem po żebrach, o co na lufcie z lada powodu było łatwo. Wystarczyło podejrzenie, że się jest kapusiem, lub że się ma kilka złotych. W domu noclegowym też czasem wynikały bójkki, ale rzadziej. Panowała tu dyscyplina, wprowa-

dzona przez autochtonów, przez stałych bywalców, obowiązująca ściślej i przestrzegana surowiej, niż miejscowy regulamin.

Kto raz jeden z tych rygorów się wylał, był wyrzucony bez pardonu i apelacji „na zbitą mordę” i nie mógł marzyć o tem, by wpuszczono go kiedykolwiek do Berlina. Rasputin miał oko nieomyślne, że i na Daniłowiczowskiej takiego nie było, a łapę ciężką, jak cholera.

Murka jednak znalazł i wpuścił bez przeszkód. Na dobry wieczór nic nie odpowiedział. Na pytanie, czy miejsce się znajdzie, odburknął „hu”, co oznaczało potwierdzenie. Czytał jakąś książkę, poruszając bezgłośnie wargami, wskutek czego jego wąsy i łopaciasta broda trzęsła się zabawnie.

Broda Rasputina bywała na sali tematem częstych żarcików, zdarzał się i dowcipniś, co go pytał:

— A jak pan śpisz, to jak brodę trzymasz, pod kołdrą, czy też na niej samej?

Poprawdzie nikt jednak nie widział, by Rasputin spał kiedykolwiek. Nocami czytał, zrana przez godzinę i dłużej wielką szczotką czesał swoją łopatę, a przez dzień obrządział, naprawiał i doprowadzał do porządku cały dom noclegowy. Kitował rozbite szyby, zamiatł ogródek, robił w nim grządki pod nasturcje i pelargonje, sztukował połamane deski w narach, cementował dziury, powybijane w podłodze, naprawiał krany w ubikacji. Roboty mu nie brakowało, a nieraz wzywano go jeszcze do komisariatu, czy do śledczego, by wypytać o tego, czy innego pensjonariusza.

Tego wieczora Murek nic nie zostawił w okienku u Hrabiny. Ze zbieranych przez trzy tygodnie pieniędzy, które miał wkrótce wysłać Żurkom na utrzymanie Karolki, zostało całej parady siedemdziesiąt dwa grosze. Niespodziewany, a tak olbrzymi wydatek na owoce i słodycze dla Niry, zniszczył jego budżet. Nie żałował jednak tego ani przez mgnienie oka. Narazie wołał nie zastanawiać się nad zagadnieniem, skąd weźmie dla Karolki. Po trochu liczył na szczęśliwy los. Przecie wtedy, gdy otrzymał od pana Żurki list o zbliżającym się rozwiązaniu i o połączonych z tem kosztach, też nie miał co posłać, ale Opatrzność widać czuwała nad nim, gdyż przez protekcję Niecki dostał uporządkowanie książek meldunkowych u jednej żydówki na Młynarskiej. Jej mąż, właściciel kamienicy, umarł, a ona po polsku ani czytać, ani pisać nie umiała, meldunki zaś były zapuszczone, za co groziła gruba grzywna. W cztery dni wówczas, pracując po piętnaście godzin na dobę, zarobił siedemdziesiąt złotych.

Jednak praca tego rodzaju zdarzała się niezmiernie rzadko. Na pisanie, na rachunki, na jakąkolwiek robotę kancelaryjną czyhało tylu kandydatów, że można było umrzeć z głodu, nim się wywęszyło jaki zarobek.

Po przyjeździe do Warszawy, po dwóch miesiącach bezowocnego dobijania się o posadę w setkach urzędów i biur, u tysiąca osób prywatnych, w biurach pośrednictwa pracy i w różnych komitetach, trafem wpadł na niezły proceder. Przed gmachami urzędów skarbowych i sądów zawsze można było upolować jakiegoś mało piśmiennego lub nieobezanego z procedurą urzędową interesanta, który chętnie płacił za napisanie podania złotówkę, albo i dwie. Wystarczyło pokręcić się na podwórzu, lub w sieni, by takiego odnaleźć, zaczepić i złapać. Murek widział wielu młodych i starszych ludzi uprawiających ten proceder osobiście, lub też spełniających rolę naganiaczy dla biur podań i pomniejszych adwokatów. Nie przypuszczał tylko, że wszyscy oni są zorganizowani i że nie jest bezpiecznie robić im konkurencję.

Gdy po dwóch tygodniach zapoznał się jako tako z nowym fachem i w geografii urzędów zorientował się niezłe, postanowił porzucić punkty mniej rentowne i zainstalował się przy Sądzie Okręgowym na Miodowej. Szło niezłe. Dzienny zysk po odliczeniu kosztów papieru, dochodził do pięciu złotych, a klientela rosła, gdyż brał mniej, niż inni. Zyskał nawet sprzymierzeńca w osobie odźwiernego, który chętnie kierował doń interesantów. Pewnego jednak dnia zbliżyli się do Murka dwaj konkurenci.

— Panie ładny — powiedział jeden z nich krótko. — Zjazd stąd, bo zęby będą w robocie.

— A cóż to wasz monopol?

— A nasz.

— Takiego prawa niema i odczepcie się panowie — odpowiedział bez obawy, obliczając, że z łatwością obroni się przed takimi chudziakami.

— Mówię panu: fora ze dwora! Żeby jutro tu pańskiego śladu nie było. Ani tu, ani na placu Krasieńskich, ani nigdzie.

— To wy się wynoście!

— Nie tacy tu już zęby zbierali! — groźnie dorzucił drugi.

— To i wy pozbieracie — zaśmiał się Murek.

— Zobaczymy!

— A zobaczymy! — krzyknął za nimi.

Nazajutrz do południa, mimo, że załatwił dwóch interesantów, a wczorajsi przeciwnicy kręcili się, jak zwykle, w pobliżu, nie zaczepiali go wcale. Koło pierwszej podszedł do Murka jakiś jegomość, z wyglądu sklepikarz podwarszawski i zapytał:

— To pan pisze podania?

— Ja, a o co panu chodzi?

— Trzeba mi napisać o wstrzymanie egzekucji, a jak, to już pan będziesz wiedział. Sprawa długa, pójdziem, to po kufelku piwa wypijem i akuratnie opowiem.

Murek zgodził się. Najczęściej na pisanie wchodził z klientami do pobliskiej cukierni, lub do kawiarenki na Podwalu. Tam też poszedł z tym sklepikarzem. W pierwszej salce siedziało pięciu, czy sześciu mężczyzn, w drugim zaś pokoiku, od podwórza, nie było nikogo. Siedli, panienska przyniosła butelkę jasnego i szklanki. Zanim jednak Murek zdążył dopić swojej, a sklepikarz zaczął opowiadać, owi ludzie z pierwszej salki weszli i zamknęli za sobą drzwi.

Murek zapóźno zorientował się, że został wciągnięty w zasadzkę. Wysoko położone okienko w grubym murze i tak nie przydałoby się na nic, bo było zakratowane.

— Cóż to szanowna osoba chce pisać? — zagadnął prowokacyjnie jeden z drabów, wskazując rozłożony papier.

Dwaj inni zachodzili z boku. Murek cofnął się za stolik.

— Ten pan — odpowiedział grzecznie, chociaż nie przewidywał pokojowego finału najścia — ten pan życzy sobie, bym mu napisał podanie.

— A w publicznym szalecie na ścianie palcem pisać nie łaska?...

— Fasuj go w kantorek! — krzyknął czwarty spod drzwi.

W tejże chwili rzekomy klient trzasnął Murka po głowie butelką. Zahurgotały krzesła i stoliki. Następny cios pięścią między oczy i niemal jednoczesny kastetem w głowę oszołomiły Murka. Bił się naślepo, lecz zawzięcie. Nie brakowało mu siły, jednak przekonał się, że nie ma w tem wprawy. Uderzenia w dołek i kopnięcia w golenie podcięły mu nogi. Uczępił się jednego z napastników i runął wraz z nim. Tem osłonił się przed ponownym ciosem butelki, lecz jednocześnie otrzymał straszliwe kopnięcie obok krzyża. Skręcił się z bólu i zawył.

— Jeszcze go w nyrkę! — doradzał czyjś spokojny głos.

Uderzenia pięści i obcasów spadały jedno po drugim. Wreszcie siły opuściły go zupełnie, nie bronił się, nie zasłaniał, leżał nieruchomo.

— Niech tylko szanowna osoba kity nie odwala, bo za przeproszeniem niema o co, pies ci twoją zabagduloną mordę lizał — przemówił jeden z napastników łagodnie.

Inny pochylił się nad Murkiem:

— Widzisz, bracie, i masz nieprzyjemność. A trzeba to było komu w parasolkie włożyć?

Wychodzili, nie śpiesząc się, obciągając marynarki i poprawiając czapki na głowie. Ostatni zatrzymał się w drzwiach:

— A jeżeli szanownej osobie mało, to następną razą spuścimy ci takie manto, że szanowną osobę przez lejek do trumny stroskana rodzina wlewać będzie. Pisaciel, zataczona jego kancelarja!

Minęła dobra godzina, nim mógł podnieść się o własnych siłach i dowlec na Leszno. Przeleżał wtedy cztery dni, a choć go wściekłość brała, rozsądek przeważał: więcej pod Sąd nie poszedł. Próbował jeszcze szczęścia przed gmachem województwa, lecz tu policja wyłapywała takich amatorów. Wywijał się, jak umiał, lecz wkońcu go złapano. Przenocował w komisarjacie, nazajutrz zaś stanął przed sądem starościńskim.

Urzędnik, pełniący tu funkcję sędziego administracyjnego, przejrzał protokół, papiery i przyjrzał się mu z ostentacyjnym zgorszeniem:

— I pan jest doktorem praw?

— Tak jest.

— Niesłychane.

— Od szeregu miesięcy jestem bez posady — zaczął Murek. — Nie mam z czego żyć. Z nędzy chwyciłem się takiego zajęcia.

Urzędnik przerwał z oburzeniem:

— I to mówi wykształcony prawnik! Niesłychane! Czego zatem można wymagać od analfabetów?! Czy pan tego nie rozumie? Jeżeli ktoś chce zarobkować pisaniem podań, powinien uzyskać koncesję, pozwolenie, opłacić świadectwo przemysłowe. Pan uprawia nieuczciwą konkurencję w stosunku do tych, co zmuszeni są utrzymywać biura, czy kancelarie adwokackie.

— Kiedy mnie nie stać na obiad, cóż dopiero na biuro. Mieszkam kątem u stróża. A jako prawnik, jako były urzędnik państwowy i komunalny znam się o tyle na...

— Wybacz pan — urzędnik podciągnął nerwowym ruchem mankiety. — Ale to jest bardzo smutny objaw. Bardzo smutny. Żeby prawnik, który powinien świecić przykładem społeczeństwu, stanowić wzór poszanowania prawa, uprawiał kłusownictwo? Czemuż pan nie zostanie adwokatem?

— Pan starosta żartuje sobie. Musiałbym odbyć aplikanturę, a za co?...

— Hm... Tak... No, ale to już pańska rzecz. Ja musiałbym dać panu conajmniej trzy dni aresztu. Jeżeli jednak da mi pan słowo, że nie wróci do tego proceduru... Na miły Bóg, przecie może pan poszukać innego, uczciwego zajęcia!?

— Niczego bardziejbym nie pragnął...

— No... dobrze. Zwolnię pana, ale nie sprawi mi pan zawodu?

— Obiecałem, więc dotrzymam. Sam przyznaję panu staroście rację, ale cóż?... Nędza. Urzędnik stuknął ołówkiem po papierach.

— Widzę, że jest pan zarejestrowany w Państwowym Urzędzie Pośrednictwa Pracy.

— Od dawna.

— No i cóż?...

— Dwa razy na tydzień chodzę tam napróżno.

— Bo może pan jest zbyt wybredny?

Murek roześmiał się:

— Każdą posadę przyjąłbym. Tylko, że kandydatów jest ponad dwadzieścia tysięcy, a posada zdarzy się jedna na miesiąc.

— Dam panu kartkę do dyrektora — zdecydował się urzędnik.

Po kilku dniach daremnego dobijania się, udało się wreszcie Murkowi złożyć u sekretarza tę kartkę. Nikłe nadzieje, jakie z nią wiązał, rozwiały się jednak odrazu. Sekretarz odesłał go do jednej z urzędniczek, pulchnej szatynki, zajętej właśnie nieznacznymi poprawkami przy własnych paznokciach. Kazała mu czekać. Po upływie godziny wywołała go przed okienko:

— Pan Murek?

— Tak.

— Doktor praw, Franciszek Murek, lat 31?

— Tak.

— Pan przecie jest już u nas zarejestrowany!

— Tak jest.

— Więc cóż pan nam głowę zawraca?! I to jeszcze inteligentny człowiek.

Zatrzasnęła okienko i na tem się skończyło. W innych biurach też nic nie wskórał. Ponieważ jednak zrobił się jakiś ruch w pośrednictwie pracy dla pracowników fizycznych, zaczął starać się o jakąkolwiek robotę przy kolei, przy brukach, przy kanalizacji. Tu jednak przyjmowano wyłącznie poleconych przez pośrednictwo, a w pośrednictwie wydawano polecenia tylko pracownikom zarejestrowanym w dziale fizycznym i to według kolejności. Gdyby nawet ukrył swoje wykształcenie i zarejestrował się, jako prosty robotnik, nie dostałby zajęcia wcześniej, jak za pół roku, a narażał się na wykrycie podwójnego zapisu, co pociągnęłoby za sobą wykreślenie z obu kartotek.

Nie pozostawało nic innego, jak czekać, kontentując się dorywczezi zarobkami. Czasem, gdy nic lepszego do roboty nie miał, przystawał pod administracjami dzienników i notował ogłoszenia pracy zaofiarowanej. Później pisał podania i składał je, niestety,

zawsze bez skutku. Raz jeden zdarzyło się, że był o włos od posady u rejenta, lecz rejentowi wystarczyło to, że kandydat mieszkał kątem u stróża, by zrezygnować z takiego pracownika.

Pozostawały zajęcia przygodne. Tu przy ładowaniu węgla, tam przy rozbieraniu jakiejś szopy, rozdawanie ulotek na ulicach, wyręczanie straganiarza na Kercelaku, lub zieleniarki w halach. Kręcąc się w handlowych dzielnicach i bacznie śledząc obładowane furgony, można było zarobić kilkadziesiąt groszy dźwiganiem worków, pak, lub beczulek, ale i tu należało strzec się zawodowych tragarzy, którzy z konkurentami nie wdawali się w dyskusję. Tolerowali tylko związkowych, oba zaś istniejące na terenie Warszawy związki, nowych członków nie przyjmowały.

Najłatwiej było dostać coś przez protekcję. Stare, wytrawne obibruki warszawskie, nocujące w domach noclegowych, znały miasto, niczem kieszenie. Wystarczyło pozyskać sympatię któregoś z nich, a zawsze coś się znalazło. Jeden wiedział, kiedy i gdzie będą rozdawać darmowe ubrania, inny był w stosunkach ze straganiarzami na Koszykach na Grójeckiej, na Ordynackiem, czy na samym Placu Mirowskim, jeszcze inny miał dostęp do dzierżawców kortów tenisowych, bud w Lunaparku, czy „drewnianych sal”. Arystokracją byli ci, co znali takie miejsca, skąd można było za małą kaucją dostać do rozprzedaży szmuglowane zapalniczki, niełamiące się grzebienie, plany miasta, pocztówki pornograficzne, metalowe centymetry, spinki, kalendarze, osetki do gilettek, szelki gumowe, „okazyjne zegarki”, szczenięta prawie rasowe, maszynki do wiązania krawatów, do wiecznej ondulacji, do podpinania nogawek, porcelanowe figurki, mydełko „pachniące”, podwiązki, kwiaty, ramiączka do ubrań, słowem wszystko to, co się sprzedaje w błyskawicznym tempie na ulicach „za jedne dziesięć groszy”. W sezonie wyprzedaży owoców równie intratne było wożenie po mieście z ręcznym wózkiem pomarańczę, „świeżych malinowych”, jabłek nieco nadtluczonych, węgierskich śliwek, truskawek, czy wiśni. Tu jednak trzeba było mieć czujność żórawia i wywachać glinę na końcu ulicy, ucieczka bowiem z wózkiem stanowiła nielada sztukę, a niewprawny właściciel narażał się na bankructwo. Towar konfiskowano bez pardonu.

Do lepszych zarobków należało chodzenie po mieście środkiem jezdni z plakatem reklamowym w ręku lub na plecach.

Takie obnoszenie wieści, że Greta Garbo oczaruje stolicę w filmie „Miłość królowej”, lub, że Radjon sam pierze, a Flit tępi mole, dawało jednak niewiele, a najgorsze dla Murka było to, że z reklamami musiało się chodzić po głównych ulicach śródmieścia, gdzie mogło się zdarzyć, że zobaczyłaby go Nira. Na takie ryzyko nie mógł sobie pozwolić.

Przez protekcję szlafkameradów z „Berlina” udawało się czasem dostać coś całkiem extra, jak na przykład mycie okien, lub trzepanie dywanów, Wprawdzie z zarobku oddawało się połowę ciciowi, czyli dozorczy domu, który robotę nastreczył, ale najczęściej otrzymywało się napiwek, lub obiad w kuchni. Zawiązanie zaś bliższych stosunków z kucharką było zawsze wysoce pożyteczne i dobijali się o to najwytrawniejsi lokatorzy Berlina, Cyrku, czy Kamczatki.

— Kuchta, czyli garkotłuk ona czułam serdeczność ma — mówił doświadczony „berlińczyk” zwany Cipakiem — nie bez tego, żeby na swoje państwo nie uważała, jak mąż rodzinom żonę względem małżeńskiego przysposobienia użytkuje. A o wiele, jeżeli swojom potrzebie poczuje, bo jej także samo i kuchnia przygrzewa, tak i usiedzieć nie może, tylko patrzy za chłopem którenby odpowiedzialny w tejże samej funkcji był, podstawny i fason znający. Takim prawem i opchnąć zawsze będzie miał co i ankohelem się podszprycować, i wiadomo fizykalnej miłości zazna. A jeśli karkulasję pojmie, to oświadczy się tejto damie serca i takim sposobem może z kufierka albo i z P. K. O. co ruszyć, albo i garniturek dwurzędowy i lakiery w charakterze prezentu otrzymać.

— Ono to jest prawda — zastrzegal się sąsiad z nary, specjalista od zapalniczek — faktycznie tenże sam parzygnat sumienie ma miętkie, ale więcej do wojskowych ciągnie, czyli całkiem do funkcjonariuszy straży ogniowej, że to bliszczące guziki, kazonny mundur i na mieście jej, cholera, aligancko się z takim de pachie pokazać. Sama, że się tak wyrażę, kocmołuch z dziobatym pyskiem, jakby na niej groch młócili, a tamberję odstawia i na cywilnego mężczyznę nosem kręci. Dlatego ja ich nie tureluje, tychże samych kuchtów.

Odzywały się różne głosy aprobaty i protestu, lecz wszystkich zagłuszał stentorowy bas Cipaka:

— Bo pan, panie kochany, co się dotyczy tej danej sprawy, lajek jesteś, czyli kapi-stran, bez nijakiego obrotu ani wyznania się we płci. Kobieta każda jedna swoje życzenie ma względem mężczyzny z frajerem i z odsadą, co nie tylko na kotlety gały wywała, ale poczęści i do pieścizotów sens rozumie. Zatrójlować babe trzeba, przyśpiewkę, albo i podobnie ma się rozumieć podśmieszki jakie zaiwanić, to choćby i na kaprała od szwo-leżerów się nie zlakomi, że tamuj, we wojsku to czasowe ludzie, swoje odsłużył i opiać do domu, a co wsunął, to jego. Natomiast cywil na ten przykład nie wróbel, swoje przyro-dzenie do miejscowości ma i chyba co do więźnia go na fajerant zamkną, a stale jest do ewidencji.

Ktoś znowu Cipakowi przyznawał rację, ktoś opowiadał przygody z taką jedną, która do tego stopnia była inteligentna, że dorożką do kościoła jeździła, inni przysłuchiwali się, wtrącając od czasu do czasu żarciki lub przekleństwa w zależności od usposobienia i nastroju. Nieraz gadanie przeciągało się do późnej nocy.

Tym jednak razem niewielu było „swoich”, o czym Murek przekonał się, przeszedłszy raz i drugi między narami, o ile światło słabej żarówki, zwisającej od sufitu i oplecionej gęsto drutem, na to pozwalało. Wogóle było dużo wolnych miejsc, zwłaszcza nagórze. Wszyscy już spali. Jakiś młody blondynek podniósł głowę, gdy Murek gramolił się nagórę obok niego, przezornie pomacał się po kieszeniach i zasnął znowu. Wyślizgane deski przy-cz połyskiwały jak od politory. Murek zdjął buty, zawinął je w spodnie i podłożył pod głowę, nakrywając się marynarką.

Nie wiele tego dnia miał czasu do spania. Dochodziła północ, a o piątej, jak zwykle, zjawiał się Rasputin z dzwonkiem. Trzeba było wstawać. Ubierali się milcząc, lub klnąc. Pierwszą czynnością było sprawdzenie, czy współtowarzysze w nocy nie wyciągnęli pa-pierosów, jeśli je kto miał, drobnych, łyżki, służącej do jedzenia, sprężynowego noża, mającego wiele przeznaczeń, szczypty tytoniu i bibułki, kawałka kielbasy i podobnych drobiazgów. Później niektórzy myli się w ubikacji, inni golili się, ustawiwszy na oknach odłamki lusterek, inni doprowadzali do porządku garderobę, przy pomocy igieł i nici, zaś „frajerów” zapędzano do sprzątania. Podłogę, nary, okna, drzwi, wszystko trzeba było zlać kubłami wody i wyszorować ryżowemi szczotkami na krótkich kijach. W ubikacji i w umywalni był w robocie karbol, od którego śmierdziało jak nieszczęście.

Z dobrych znajomych Murek spotkał jedynie staruszkę, zwanego Popem, lwowiaka Tacoka, awanturnika Kędziolkę i Cipaka. Od niego dowiedział się, że Generał wczoraj grasował na Bielanach i wybierał się na jakiś fach do Zielonki.

— Szkoda — westchnął Murek.

Cipak nic nie odpowiedział, bo właśnie wyleniałym pendzelkiem mydlił sobie twarz. Ten był zawsze elegantem. Aż dziwiono się, jak mógł pomieścić w kieszeniach tyle tego świństwa. Do toalety rozkładał przed sobą całą aptekę: mydło, puder, maść do włosów, fiksatur do wąsów, grzebyk, szmatkę, przybory do golenia, buteleczkę z wodą kolońską, siatkę na głowę, bindę na wąsy. Pozatem miał zawsze w zapasie kilka jaskrawych krawatów, pastę do butów i flanelkę. A że umiał, jak mawiał „krawieckim sposobem” podkładać na noc ubranie, rano wyglądał tak szykownie i świeżo, jakby nocował nie w schronisku, lecz w hotelu.

Z tej racji, jak również dlatego, że był „chłopak oblatany”, spryciarz, cwaniak i kombinator, któremu gębą nikt nie dał rady, a w razie bijatyki niewielu, należał do ferajny, czyli do miejscowej arystokracji. Do tej nader ekskluzywnej i uprzywilejowanej klasy zaliczali się tylko wytrawni łazędzy, których przewiska znane były po całym kraju i otoczone estymą, zawodowi przestępcy, renomowani nożowcy, no i w drodze łaski, różni „byw-sze ludzie”, jak carscy oficerowie, zbankrutowani kupcy, defraudanci, którzy z więzienia mieli tylko jedno wyjście — na ulicę, bezrobotni urzędnicy, bezdomni inteligenci.

Tych ferajna chętnie brała w opiekę, dopuszczała do towarzystwa, a nawet do szta-my, a co za tem szło, do przygodnych zarobków. Zwykły nowicjusz, czyli dzwonec, albo gruczoł, nie mógł o tem marzyć. Jeżeli zaś próbował się stawiać, wyłamywać się z pod roz-kazów arystokracji, wymigiwać się od posług, lub ukrywać posiadane hopy, spuszczano mu manto, żeby nie był taki rozparzony. Pokorniejsi, zanim zaczęto ich tolerować, ulegali mniej bolesnym zabiegom. Do tych przedewszystkiem należał ulubiony „rower”. Zabawa ta polegała na wciśnięciu między palce u nóg śpiącego zwitka gazety. Gdy się zwitek pod-palało, delikwent przez sen machał nogami, co do złudzenia przypominało ruchy jadącego

na rowerze. Tylko zwyczajny wiejski hamulec, ćwok, czy lebiega nie umiał poznać się na takim niewinnym żarcie i podnosił alarm, za co oczywiście dostawał po klawiaturze, albo kopniaka w denko. Morowszy knajak ograniczył się do paru słówek i kimał dalej.

Murkowi zaraz przy pierwszym noclegu w Kamczatce założono rower. Wtedy to właśnie Generał stanął w jego obronie i zaprzyjaźnili się. Ponieważ zaś Generał odsiedział już w mamrze w różnych terminach i w rozmaitych dozach razem lat przeszło dwanaście, a do szpitala wyprawił więcej pacjentów, niż sama Kasa Chorych, był autorytetem i powagą. Niemniejszą, chociaż nieco w innym rodzaju, cieszył się Cipak, młodszy od Generała, bo liczył sobie tyle lat, co Murek, ale słynący z obrotności, której zawdzięczał renome nieuchwytnego. I rzeczywiście miał zupełne prawo przy zatrzymaniu przez policję podkreślać z dumą „Sądownie nie karany”, co zdawało się wprowadzać w podziw nietylko policjantów, lecz i jego samego.

— Nigdy dłużej, jak siedem dni w areszcie nie siedziałem — mawiał chępliwie — a życzę pańskiej cici, żeby tyle razy ją fotografowali i z anfasem i z profilem, co mają osobę. Dlatego zmartwienia nie mam, iż w narodzie pamięć o mnie zaginie... Także samo więcej tuszu tym oto danym palcem pokazującym spotrzebowałem na odcisnięcia daktyloskopijne, niż farby idzie nad odnowienie mostu Kierbedzia. Każda glina, czyli podobnież komisarz, mnie zna i jak z rodzonym bratem się wita, a nakryć nie da rady.

— Ech, ty Cipak — kręcił nad nim głową były sztabkapitan Irmakow, zwany Pieczonką. — Tobieby obrazowanie mieć, szkołę skończyć i w bomondzie zakręcić się! Tyby samego Stawiskiego przechytrzył i teraz swoim awtomobilem po ulicach się rozbijał. Łeb u ciebie taki! Tylko wot kształcenia niema, parlefransu brak.

Cipak na to spluwał cienką, ostrą strzałą śliny, celując w muchę, siedzącą na tłomoczku, i odpowiadał:

— Przez matkę to wszystko, bo uważania na rodzone dziecko nie miała, zadając się z chałujami, zamiast za właściciela składu węgla na Widok ulicy wyjść, którego był facet bogaty i miał życzenie wziąć ją za ślubną żonę. Ale i tak ja swoje pojęcie mam, a jeszcze nie było takiego dnia, żebym z głodu s... czem nie miał.

Dla tej swady i dzięki nie opuszczającemu go powodzeniu, Cipak cieszył się wielką popularnością nawet wśród takich ryb, obieżyświatów, co to tylko przelotem do Warszawy wpadali, a spędzali całe życie na dalekich podróżach znali Paryż i Londyn, New Jork i Szanghaj, Rio de Janeiro i różne wyspy, o których nawet Pieczonka nie słyszał. Każdy z nich wypytywał o Cipaka, a cóż dopiero miejscowi, drobni włóczędzy i kanciarze, niedouczone złodziejaszki, niezręczni lipkarze, potokarze, pajęczarze, którzy żadnego fachu dobrze nie umieli i często po dwa i trzy dni nie mieli co do gęby włożyć. Dla tych Cipak, był niedościgłym ideałem.

Tembardziej, że byle kogo do sztamy nie dopuszczał i jeżeli organizował jakąś zbiorową robotę, a pomysłów miał zawsze poddostatkiem, wybierał jedynie doświadczonych, szemranych chłopaków, co szli za nim jak przyczepka za tramwajem, bo wyspy nie było nigdy.

Wolał jednak działać na własną rękę. Do większych kantów, przy których nie mógł obejść się bez pomocy, zabierał się jedynie przed bardziej uroczystymi świętami, jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki, albo Boże Ciało. Poważniejszy zarobek dawał możliwość beztroskiego używania i świętowania przez kilka dni, czy tygodni.

Do mniejszych kombinacji nikogo nie dopuszczał. Na cały dzień znikał, wsiąkał, przepadał i polował własnym przemysłem, a bez zdobyczy nie wracał. Gdy w razie obławy wywiadowca wyłowił z jego kieszeni kilkadziesiąt złotych i pytał:

— Skąd to masz?

Cipak, ani okiem mrugnawszy, odpowiadał:

— Babunia mi w Ameryce wykitowała i na pamiątkę po telegrafie przysłała, abym za jej duszę na mszę śpiewaną dał.

Robił przytem beczelną minę, bo wiedział, że mu niczego nie udowodnią.

Do Murka poczuł nie wiadomo dlaczego sympatję, która wzmocniła się od pewnego dnia, gdy go spotkał na ulicy w odświętnym ubraniu w towarzystwie eleganckiej kobiety. Murek właśnie odprowadzał Nirę. Oczywiście, Cipak nie zapytał go ani słówkiem o nią. W domach noclegowych panował szanowany przez wszystkich zwyczaj niewtrąca-

nia się do cudzych spraw, ani do cudzej przeszłości. Nie obchodziła tu przeszłość nikogo, z wyjątkiem szpiclów, konfidentów, lub wręcz samych tajniaków, którzy udając włóczęgów, nocowali w Cyrku, w Berlinie, czy w Kamczatce, by wywachać ukrywających się przestępców. Zwłaszcza po jakiejś większej robocie, po śmielszym włamaniu, po grubszej kradzieży, czy oszustwie, gdy policaje mieli nakaz spod ziemi wydobyć winnych, w domach noclegowych zjawiał się jeden z drugim szpicel, udawał swojego, brata łącę, zwierzał się ze zmyślonych zbrodni i starał się wypytać innych. Dlatego zarówno wylewność, jak i ciekawość była wysoce podejrzana i często-gęsto kończyła się „kocem”, czyli okręceniem delikwentowi głowy pierwszym lepszym łachem i stłuczeniem go „na miętko”.

Jednak instynkt tych ludzi, instynkt wyrobiony latami włóczęgi, zmysł szybkiej orientacji, niezbędny w życiu opartem na znajomości człowieka, samorodna empiryczna wiedza psychologiczna, stanowiąca warunek niezbędny we wszelkich kantach, z łatwością klasyfikowały każdego nowego przybysza. I o Murku współtowarzysze wiedzieli więcej niż sam sądził, chociaż nikomu się nie zwierzał, ani opowiadał o sobie. Chciał dostosować się do otoczenia i nie drażnić ich swoim wysławianiem się, usiłował używać ich gwary, co nie szło mu łatwo, zważywszy, że i tu była istna wieża Babel różnych żargonów i dialektów, poczynając od chłopskiego mazurzenia i andziorskiego operowania niemal wyłącznie najordynarniejszymi słowami, aż do wytwornego sposobu wyrażania się takiego naprzykład Cipaka, który tylko w chwilach gniewu zionął wielopiętrowymi przekleństwami i wówczas jednak nie zapominając o misternej, długookresowej i wyszukanej formie zdań.

Tak przemawiał do szerszego audytorjum. Natomiast w rozmowie z poszczególnymi interlokutorami wyrażał się mniej kwiecistie.

I teraz, skończywszy toaletę i otrzymawszy z rąk Rasputina kubek z kawą, a z rąk Hrabiny pajdę razowca, przysiadł obok Murka na wilgotnej jeszcze pryczy i wydobył z kieszeni kawałek kielbasy. Przeciął ją na pół i podsunął Murkowi:

— Masz, Mecenas. Bez kielbasy chleb swego ślizgu nie ma.

— Dziękuję, ale cóż ja tobie będę zabierać...

— Wtranżalaj, nie pytaj — wielkodusznie machnął ręką Cipak.

Jedli w milczeniu, poczem Cipak wydobył z za wstążki kapelusza dwa papierosy i znów poczęstował Murka. Natychmiast otoczyło ich kilku kandydatów do „sztachnięcia się”.

— Mecenas, daj raz pociągnąć!...

Przezwiśko Mecenasu przyczepiło się do Murka stąd, że niektórzy „berlińscy” widywali go dawniej przed Sądem na Miodowej. Nazywano go też Trzewikiem. O prawdziwe nazwisko nikt tu nie pytał i nikt nie dbał. Byli i tacy, jak Pop, naprzykład, którzy wogóle swego własnego nazwiska zapomnieli. I nie dziwne to było, gdyż przez kilkadziesiąt lat go nie używał. Do każdego zato niewiadomo jak i kiedy przylepiały się jakieś przezwiska. Sztabskapitan zyskał swoje z przymówki, którą posługiwał się stale: — Ja ciebie w pieczonkę sielezionkę!... Pop dostał swoje za brodę i długie włosy, spadające siwymi kosmykami aż na plecy. Tacok od galicyjskiego „ta co?”, a Cipak stąd, że mówił często:

— Na kogo się cipasz, lebiego?

Była co do jego przezwiska i inna wersja, wywodząca ten pseudonim od wprawy Cipaka w łapaniu kur po przedmieściach, lub też odwrotnie, od jego zamilowania do płci pięknej, co w ulicznej gwarze miało swoje dobitne uzasadnienie. Zresztą poza Murkiem i pewnym byłym nauczycielem szkoły powszechnej, nikt się genealogią tą nie zajmował. Ów nauczyciel, po odbyciu wyroku za uświadamianie swoich uczenic, od dawna był lokatorem schronisk i zapewniał Murka, że opracowuje słownik warszawskiej gwary brukowej, którym zadziwi naukę, w istocie trudnił się grą w trzy karty na Placu Żelaznej Bramy, lub chodził po domach udając uciekiniera, który zwiął z wysp Solowieckich.

O nim właśnie poinformował kolegów Cipak:

— Wczoraj w Saskim Ogrodzie przyskrzynili Majeranka.

Warszawa jest wielkim miastem. Mieszkańcy śródmieścia nigdy nie bywają w odległych dzielnicach peryferij, tamci, z przedmieść rzadko zapuszczają się w okolice centrum. Jedni nie znają i nie widują drugich, a już żadnego kontaktu niema między tymi co żyją na Powązkach, na Woli, w Targówku, w Sielcach, czy Czerniakowie, na Wierzbnie, czy Pelcowiznie. Ich życie, praca, zakupy, znajomi i krewni — wszystko koncentruje się we

własnej dzielnicy, a mieszkańiec z Żoliborza, tylko z gazet dowiaduje się o tem, co stało się na Okęciu, jednocześnie z wieściami o zdarzeniach we Francji, czy Anglii. Natomiast niezadomowione, koczujące plemię „cyrkowców”, „berlińczyków”, czy „kamczatków” jest zawsze i to natychmiast poinformowane o wszystkim przez niewidzialną samoczynną pocztę która w przeciągu godziny przebywa Wielką Warszawę z krańca po kraniec, alarmując domy noclegowe, targowiska, szynki, spelunki i meliny. Odrazu wiadomo, kogo aresztowali, kto zwał, kogo poszukują. Niewidzialna poczta idzie ulicami od rogu do rogu, od jednej dzielnicy do drugiej, rozwidła się, rozgałęzia i zawsze dotrze do zainteresowanych wiadomością, wskazówką, ostrzeżeniem. Wszystko jest ważne. Na Siekierkach powódź, i ludzie ratując w pośpiechu dobytek potracili głowy, na Franciszkańskiej pożar w fabryce trykotaży, na Szóstym Posterunku wykoleił się pociąg towarowy. Człowiek nie w ciemną bitą przy każdej okazji może się obłowić. Pożywi się także, gdy wie, w której knajpie odchodzi okolicznościowa zabawa „na cały regulator” z racji wesela, chrzcina, czy wyjścia z więzienia. To znowuż baczne oko dostrzeże charakterystyczny ruch przed rezerwą policyjną, albo odsłonięte ciężarówki przed komisarjatem — nieomylną zapowiedź obławy. Albo rozchodzi się wiadomość o wsadzeniu do paki tego czy innego kamrata.

Informacje, podawane z ust do ust, nie tylko przechodzą przez środowiska włóczęgów i zawodowych przestępców. Na pomoc im, zepchniętym pod powierzchnię życia, przychodzą wszyscy ci, którzy z trudem utrzymując się na powierzchni, pochodzeniem, sercem i biedą solidaryzują się z tamtymi. Tragarze, drobni rzemieślnicy, półbezrobotni roboczarze, szoferzy taksówek, dorożkarze, przekupnie, kelnerzy w podejrzanych knajpach. A oprócz nich wielka armia dziewcząt ulicznych, słowem wszystko to, co ustrój ekonomiczny i społeczny wgniół w suteryny i baraki, w ciemne zaułki i nory, to, co skazał na piwniczną, zatęchłą egzystencję, od czego się odgradził zasiekami z paragrafów kodeksu karnego, z przepisów policyjnych, z kanonów prawa własności, by nie wdzierało się do schludnego życia warstw dostatnich, nie zakażało swemi wyziewami powietrza ludzi zadowolonych ze swej duchowej i fizycznej higieny, posłusznych prawu, moralności, i obyczajowi, zrodzonym z religii, ustaw i tradycji.

Sam doktor praw, Franciszek Murek, niegdyś innemi oczyma patrzył na ten podział, który wydawał mu się równie koniecznym, jak podział biologiczny na ludzi, zwierzęta i rośliny. Spoglądając wdół, oczywiście, odczuwał potrzebę humanitarnego, w granicach obywatelskiego rozsądku, leczenia tych ran społecznych, ale czasami poza świadomością rodziło się w nim przeświadczenie, że źródłem najodpowiedniejszym byłoby rozpalone żelazo: sprawnie działająca szubienica, pilnie strzeżone więzienia, domy poprawcze i przymusowe roboty.

Nie wiele pozostało mu wspomnień z wczesnego dzieciństwa, z owej wprawdzie gospodarskiej, lecz nędznej i głodem wymiecionej chałupy, którą raczej wolał zapomnieć, by swym, bądź co bądź ciepłym refleksem nie psuła racjonalnej symetrii w rozkładzie światła i cienia w obrazie socjalnej rzeczywistości, której on sam, dr. Murek, był może niezbyt ważną, lecz potrzebną i świadomą podporą.

I teraz, chociaż zepchnięty pod nurt, chociaż wyrzucony poza zasięgi, nie zrezygnował bynajmniej z dawnych poglądów na rację norm struktury społecznej. Przekonał się tylko, że poniżej granicy, są ludzie, różni od tamtych nie tyle treścią, ile formą życia, nie tyle wyzuci z moralności i pozbawieni ideałów, ile stosujący inną miarę, równie stałą i niewzruszoną, lecz inną — do wszelkich imponderabiliów, jak uczciwość, honor, sumienie, przyjaźń, lojalność, poczucie obowiązku i sprawiedliwości.

Świat pojęć tych ludzi zdołu niemniej konsekwentny i całkowity od tamtego, w jednym był do niego podobny: groził sankcjami i karami każdemu, kto spod panujących tu praw się wyłamał. Społeczeństwo to stworzyło własne instytucje sądowe, rozporządzało siłą wykonawczą do realizacji wyroków, stosowało różne kary, poczynając od grzywny i konfiskaty, czy zakazu zarobkowania, a do kary śmierci włącznie. W niektórych zawodach praktykowano areszt domowy lub zesłanie, przyczem naruszenie wyroku dintojry, groziło śmiałkowi kulą w tył czaszki, lub nożem w serce.

Murek bynajmniej nie pogodził się z panującymi zasadami bytowania. Nie czuł się członkiem tego społeczeństwa, lecz przypadkowym rozbitkiem, wyrzuconym przez fale na obcy brzeg. Dość jednak miał zmysłu rzeczywistości i poczucia własnej słabości, by

próbować apostołstwa. Starał się raczej upodobnić do otoczenia, na które los go skazał, chciał przetrwać. Nie rezygnując z własnego światopoglądu, skorygował jedynie niektóre dawne swe, zbyt powierzchowne sądy o tych ludziach. Nie mógł ich usprawiedliwić. Nawet wtedy, gdy brał pod uwagę tysiące fatalnych okoliczności, które ich zmarnowały. Głód, nędza, alkoholizm rodziców, bagno wychowania, atmosfera rynsztoków, ekskluzywizm warstw wyższych i często tępy rygoryzm władz publicznych.

Nie mógł im przebaczyć braku aspiracji, braku woli i pragnienia przejścia do wyższego poziomu. To była cała ich wina.

I właśnie może dlatego dla takiego oczajduszy, do takiego draba spod ciemnej gwiazdy, do takiego cwaniaka, jak Cipak, żywił rodzaj prawdziwej sympatii. Cipak lubił marzyć, a jego marzenia zawsze sięgały poza sprawy powszednie życia bieżącego. Czasem, po paru kieliszkach, zaczynał opowiadać jakimby to był innym człowiekiem, gdyby się ożenił, miał dzieci, posyłał je do szkół, a sam „fachem przyzwoitem” się zajmował. Naprzykład, być motorniczym w tramwajach, albo inkasentem w elektrowni. Był spokojny, ludzie z szacunkiem. Przyjdzie święto, w mieszkaniu czyściutko, gramofon, albo i radio gra, goście przychodzą, koledzy z pracy.

A już coś innego, gdyby został sędzią. O, wtedy wiedziałby, co w kim siedzi. I nikogo na uwięzienie nie skazałby. Bo i co więzienie? Tam nikt się jeszcze nie poprawił, a każdy złego się nauczył. Dlatego za pierwszą winę nie byłoby żadnej kary. Ot, pogadać z facetem, wytłumaczyć, dla przykładu, dać dwa, trzy razy w mordę i do zajęcia, do zarobku skierować. Żeby głód na pokusy go nie zmiękczył.

— A to co pomoże taka rzecz, jak to w sądach idzie. Złapią takiego szczeniaka na dolinie, coś tam sędzia pomruczy i do mamra frajera, którego jest alfabetą i tu tudy, ni siudy nie kapiruje. A z tego samego więźnia wyjdzie obkuty na wszystkie kanty, niczem jakby uniwersytet zakończył. I co za pożytek?... A skądże, zapytuję się, ów dany młodziak swoje pojęcie mógł posiadać, skoro jeżeli nikt go względem karalnego kodeksu nie obświadczył?... Od maleńkości po tretuarach szlaje się, nijakiego powszechnego nauczania domowego nie otrzymał, i takim prawem niewinowaty. Dzieci trzeba w narodzie kształtować, przy niedzieli jem wytłumaczenie dać, o wiele chcesz, żeby twój syn kreminalisto nie został, a córka, czyli insza na ten przykład siostrzenica, do świętego Łazarza na emeryturę nie poszła.

Wprawdzie były to tylko marzenia, i Cipak nigdy konkretnych projektów zmiany trybu życia nie robił. Ale i to było rzadkością w tym środowisku, gdzie troska o najbliższą noc, o najbliższy posiłek doszczętnie absorbowowała wszystkie myśli i pragnienia. Murek też był głęboko przekonany, że kiedyś, wróciwszy do normalnego życia, znajdzie możliwość wydobyć i Cipaka na powierzchnię. To ułatwiło mu przyjmowanie odeń czy to poczęstunku, czy pomocy, chociaż o swoich projektach Cipakowi oczywiście nie wspominał ani słowem.

Po śniadaniu wyszli razem i Cipak powiedział:

— O wiele się nie myślę, masz chęć, żeby ci jakie zajęcie nadać?

— Właśnie — potwierdził Murek — przydałoby się. A możesz?

Cipak niedbale wpakował rękę w kieszenie:

— Ja tylko „zerem” dookoła Warszawy jeździć nie mogę, bo mi się we łbie kręci i całe pożywienie z mgłości zrucam, a reszta to wszystko mogię.

Murek zaśmiał się z dowcipu przymilnie.

— Uważaj, Trzewik (Murka przezywano Trzewikiem od czasu, gdy mu buty w nocy skradziono, a on skarżył się, że zginęły mu trzewiki). Uważaj. Trzewik. Dla ciebie ja mam fajną robotę, bo ty, jako jenteligent, z babamy sobie poradzisz. Sam takie ecie-mecie wykombinowałem i swoim fachem z tobą się podzielę.

— Porządny z ciebie chłop — ucieszył się Murek.

— Ty mnie nie masz co bajerować — splunął Cipak. — Przez miętkie serce to robię. Tylko pod jednym warunkiem: gębę masz na cuhaltowy kluczyk przymknąć, bo jakby się każdy łachudra dowiedział, nie strzymalibyśmy konkurencji. Zapyta cię który, co nie-sisz?... To ty mu cykl!... Że niby z wizyty. Panimajesz?... A nie to: — Wont, lebiego, na zatraconą twoją metrykę!... I ju... A jeżeli glina się przylepi, swoje tłumaczenie masz i nijakim sposobem zmartwienia nie zaznasz.

— Cóż to za robota?

Cipak uśmiechnął się:

— Faktycznie uczony ty jesteś, Trzewik, i swoje zrozumienie posiadasz, ale do jeneresu musowo smikałkę trza mieć. Choćbym cię samem słupem telegraficznym pięć dni tam i nazad przez most Kierbedzia pędzał, to i tak nie odgadniesz.

— Nie odgadnę — przyznał Murek.

— Domowem doradcem trzeba się zahipotekować.

— Jakto domowym doradcą?

— W znaczeniu przyjaciela domu, czyli mieszkania. Panimajesz?

Murek jeszcze nie mógł się zorjentować i Cipak musiał rzecz wytłumaczyć dokładnie:

— Kuchty u bogatszych państw, one rozparzone są i tyłkoby do kina chodzili, albo z frajerami na ksiuty. Robota jeim nie w głowie. Szczególniej zwłaszcza tym, co to na powyższych piątrach mieszkają. Dla takiego tłomoka wielkie nieszczęście jest z kubłem ze śmieciamy na podwyrko pyrgać i bez fasonu zapaćkaną kiecką przed inszemy koleżankami pokazywać się. To taka cholera śmiecie albo w nocy wynosi, albo w kubelku ubija na cement przez trzy dni, że śmierdzi w całej kuchni, jak zaraza. Przez co i od państwa wygawory dostaje i w razie kawaler przyjdzie, nosem kręci i gotów wyobrażenie mieć, że owa dana panienska osobiście śmierdzi. I to ci powiem, Trzewik, że właśnie z takiego śmierdzenia moja kombinacja wyszła. Tylko trzeba takie mieszkania wybierać, gdzie państwa jest kupa, które wypić lubieją. Bo śpyrt jest w butelkach. Im więcej chlają ciściochy, czyli też wina, albo piwa, tym więcej butelek próżnych zostaje.

— Aha! — domyślił się Murek.

— Tak owe butelki kuchta żydom za mizerne parę groszy opyla. Ale żyd z kubelkiem na podwyrko latać nie będzie, bo jego fach więcej handlowy. Dla parzygnata zaś te groszaki byli nie byli. Ona woli jeich nie widzieć, byle swój honor przed innemy kuchtamy trzymać. Sama forsy nie dałaby, ale głupiom z natury czyli z przyrodzenia będąc, póki teyto forsy namacalnie się nie dotknie, w towarzę, znaczy się, we tychto butelkach, jej nie widzi. Dlatego jej karkulacja żeby kto śmieci wydygował, a za to jemu butelki odda i jeszcze na opchnięcie czego nie pożałuje. Bywają dni, że głównie przed świętamy człowiek i miejsca we wnętrzościach na tyle żarcia nie ma. A co się tyczy butelek, to na Smoczej ulicy pod numerem siedemnastym jest jeden pudel, do którego cię zaprowadzę, co cały towar bierze, byle nadtluków nie było, bo wtedy szmelc.

— A ile można zarobić? — zaciekawił się Murek.

— Przy większej harówce, na wypadek potrzeby, dociągnie i do piątaka w jednym dniu. Ten pudel, jak go za mordę trzymać, to gotówkę regularnie płaci: za monopolowe szkło od litrówki siedem groszy, za połówki cztery, od wina sześć, a od piwa, co rzadziej się przytrafi, bo pod zastaw buteleczkie wydają, dwadzieścia. We dwa, trzy obroty jak nic trzy złotówki opędzisz. Tylko u kuchty trzeba zadufanie mieć, że kubelka nie odfasujesz i takim prawem bez mojej rekomendacji do żadnej się nie wtrądzolisz. Jednakowoż o wiele już w tej kamienicy przy jednym tłomoku się zaczepisz, to takie rozliczenie masz, że inne przez zazdrość same cię zawołają, że to żadna z owem kubelkiem demonstrować siebie niechętna.

Murek wprawdzie trochę rozczarował się tą propozycją, gdyż wolałby znaleźć coś dającego perspektywy otrzymania posady, lecz i za to musiał być wdzięczny, gdyż zarobek był tu spokojniejszy, niż gdzieindziej, a trzeba było w ciągu kilku dni zebrać przynajmniej dziesięć złotych, by posłać panu Żurko na utrzymanie Karolki i dziecka.

Z wrodzonym sobie zamiłowaniem do ścisłości, wypytywał Cipaka o szczegóły nowego zajęcia, o najlepsze metody załatwiania butelkowych transakcyj, o sposoby zjednywania nowych klientek. Przeszli Grójecką i przy starej rogatce skręcili przez wiadukt nad torami kolejowymi w stronę placu Kercelego, gdzie przedewszystkiem należało kupić worek do butelek. Po drodze dowiedział się wielu rzeczy. Jak wywiadywać się, w którym mieszkaniu używa się większych ilości napojów, w jakich dzielnicach szukać klientek, od czego zaczynać rozmowę, jak pozyskiwać względy służących i wkradać się w dalsze ich łaski. Cipak bowiem wyraźnie zaznaczył, że proceder butelkowy, jakkolwiek dostatecznie rentowny, wymaga dużo pracy, latania po schodach, dźwigania cuchnących odpadków i latania z ciężkim workiem szkła na Smoczą. Dlatego należy zajęcie to uprawiać, jako rzecz wstępną do czasu, póki nie wejdiesz z trzema czy czterema kucharkami w stosunki bliższe.

Bliskość ich nie miała koniecznie polegać na romansie. Tęgo raczej należało unikać. Wygodniejsza jest przyjaźń. Każda z tych dziewczyn, czy kobiet ma jakąś mniej lub bardziej nieszczęśliwą miłość. I tu dla człowieka, rozsądnego i znającego życie, otwiera się szerokie pole działania w roli przyjacielskiego doradcy. Ocena postępów niemoralnego amanta, kwalifikowanie powieżeń i zachowania się starającego się kawalera, wywiedzenie się, kto to naprawdę jest, gdzie mieszka i czy, Boże broń, nie jest już żonaty, pisanie listów do ukochanego, albo do rywalki — oto w głównych zarysach repertuar obowiązków doradcy. Taki facet jest przez służące ceniony i poważany, a przez wdzięczność nie jedna z nich może i swoim państwu polecić przyjaciela, „któren jest człowiekiem solidnym”. A w mieszkaniu, jak to w mieszkaniu — zawsze jest coś do zrobienia: kran cieknie, czy dzwonek nie działa; trzeba coś zapakować, czy odnieść, czy podłogę wyfroterować, albo okna na zimę opatrzyć. A u państwa, jak to u państwa — zawsze znajdzie się jakieś przenoszone ubranie, bielizna, czy buty, a czasem nawet zimowe palto, za jakie na Ker-celaku trzeba dać najmniej dwie dychy, a wzięwszy skąd samemu dostać najmniej dwa miesiące.

Pierwszym domem, do którego Cipak Murka wprowadził, była wielka czerwona kamienica na Bielańskiej, pierwszą klientką, którą z Murkiem zapoznał, kucharka u adwokata Goldmana, panna Wikcia, niewiasta otyła, „sercowa” i cierpiąca na lekką zadyszkę. Kuchnia była obszerna i dość zapuszczona. Spod zlewu sterczał czubaty kubel śmieci, na którego wierzchołku z trudem się trzymały liczne lupiny od jajek.

Panna Wikcia, licząca sobie pod pięćdziesiątkę i widocznie z usposobienia popędliwa, przyjęła Cipaka dość ostro:

— Cóż to pan Feliks sobie myślisz! Cztery dni czekam od obiecanego piątku!

Wystarczyło jednak pięć minut zręcznie przeprowadzonej konwersacji, a kucharka zmiękła i nawet rozczuliła się losem przygodnie przez Cipaka stworzonej siostry, którą porzucił wiarołomny sierżant wojsk łączności. Panna Wikcia, którą podobny los spotkał ze strony pewnego listonosza, zajęła się rozważaniem ułomności natury męskiej, w trakcie czego Murek zdążył odtransportować śmiecie do podwórzowego zsympiska i wrócił z wypłókanym kubłem. Tem właśnie wypłókanym zwrócił na siebie szczególniejszą życzliwą uwagę panny Wikci, jako „osoba porządek czująca”, w następstwie czego do worka powędrowało za jednym zamachem aż osiem butelek.

Zanim worek zapełnił się do wierzchu i nabrał takiej wagi, że plecy Murka wyginały się pod nim, odwiedzili coś z piętnaście kuchen. Cipak, oczywiście, sam palcem nie ruszył, ograniczając się do roli protektora i mistrza ceremonji. Najgorsze, według Murka, było to, że butelki dostawało się nie zawsze, natomiast kubel albo i dwa trzeba było wydygować i tak. Pozatem niecierpliwiło go mitręzenie czasu na rozmowy z kucharkami. Każda z nich, o ile tylko jej pani nie zajrzała do kuchni, była gotowa godzinami gadać. Niestety, na to nie było sposobu. Doświadczony specjalista, Cipak, zapewniał, że niczem tak łatwo nie zraża się klientek, jak niechęcią do trajlowania. Musiał i Murek w to się wprawić. Przysłuchiwał się i uczył.

Skrupulatnie zapisawszy sobie kilkadziesiąt adresów, pożegnał się przed wieczorem z Cipakiem. Pierwszy dzień ma się rozumieć nie dał żadnego zysku. Wypłacone przez żyda na Smoczej pieniądze, poszły w lwiej części do kieszeni mentora, za swoją część Murek musiał kupić butelkę czystej i chleba, co wraz z otrzymanymi od klientek dwoma kotletami wieprzowymi i kawałkiem podeschłego sera, złożyło się na ucztę, czyli na oblanie interesu. Przypominało to nawet poniekąd majówkę, gdy usadowili się na trawie na obszernych niezabudowanych i nieoparkowanych placach przy zbiegu ulicy Karolkowej z Dworską, w pobliżu Szpitala Żydowskiego. Pod koniec uczyty, gdy już po wódce śladu nie zostało, Cipak na uprzejme zaproszenie jednej z licznych biwakujących grup, przesiadł się do znajomych. Murek zaś, podłóżywszy pusty worek pod głowę, przespał się do zmroku.

Od tego dnia Cipaka nie widział prawie przez tydzień. Opowiadano, że nocuje w Kamczatce, to znów w Cyrku.

Tymczasem interesy Murka szły nienajgorzej. Wprawdzie o wyrobienie piątki dziennie było trudno, do tego trzeba było mieć zdolności Cipaka, ale i na to, co zarabiał, nie narzekał. Pomny instrukcji nauczyciela, zmyślonemi historyjkami o własnych przeżyciach sercowych, wzruszał serca kucharek, które to wzruszenie często znajdowało smakowity wyraz w obfitym talerzu zupy, czy kawałku mięsa. W ten sposób na utrzymanie nic, lub

prawie nic się nie wydawało, ale samo zmyślanie romantycznych bajek o sobie kosztowało Murka sporo trudu. Tembardziej, że dla każdej kategorii słuchaczek należało inną bujędę wykombinować. Czego też im nie naopowiadał! Starsze, siwiejące kuchty rozczulał zwierzeniami o matce, którą bolszewicy „żywem palili”, albo o siostrze, którą jeden stary hrabia porwał i w swoim zamku więzi, a przekupiona przezeń policja żadnej wiary dać nie chce. Młodszym mówił o żonie, która go zdradziła, z oficerem nad morze uciekła, o kochanej dziewczynie, przemocą przez bogatych rodziców wydanej za znienawidzonego, ale zamożnego naczelnika stacji, o tem, że jest wdowcem i ma we Lwowie troje drobnych dzieci, nad którymi znęca się zła rodzina. Dla tercjarek, członkiń bractw różańcowych, słowem dla wszelkich dewotek, których pośród kucht nie brakowało, zachowywał historję najefektowniejszą: dzieje grzesznika, pijaka i rozpustnika, który nawet krew ludzką miał na sumieniu, lecz na łożu śmierci ślub uczyniwszy, nie tylko zdrowie odzyskał, lecz z drogi występku zawrócił i teraz pokutę czyni. Opowiadanie takie było nader intratne, w skutkach dalszych jednak mogło się okazać zbyt ryzykowne z dwóch przyczyn. Popierwsze, zainteresował się Murkiem jakiś ksiądz misjonarz, który szerszemu gronu wyznawczyń chciał przedstawić żywy przykład cudownego nawrócenia; podругie, niemniej zaciekał się pokutnikiem dzielnicowy przodownik policji, mniej może dbający o dobrowolną pokutę grzesznika, a uważający za swój obowiązek sprawdzenie, czy straszliwe grzechy Murka figurują w odpowiednich rejestrach ludzkich naszego padolu, czyli w kartotece policyjnej.

Wiele kłopotu kosztowało Murka uwolnienie się od zainteresowań, wykazanych przez władze duchowne i świeckie. Na szczęście skończyło się tylko rezygnacją z wygodnego rewiru czterech kamienic przy ul. Zielnej.

Mijały tygodnie. Dni spędzał na wynoszeniu odpadków kuchennych i zbieraniu butelek, noce w Berlinie, w Cyrku, lub w Kamczatce. Mozolnie uciulane pieniądze dzielił zawsze na dwie połowy: jedną opędzał własne potrzeby, starając się odłożyć bodaj cokolwiek u Hrabiny, drugą sumiennie wysyłał państwu Żurkom dla Karolki i dziecka. Listy, nadchodzące od nich na adres Niecki, wciąż jednak pełne były nowych żądań. A to Karolka zaniemogła, to trzeba na tran dla małego Stefanka, a to chrzciny kosztowały czternaście złotych, a to Stefankowi stolarz zrobił kołyskę. Czasami pisała swemi koszlonymi Karolka, częściej jednak pani Żurkowa, wprawniej władająca piórem.

Murek nie buntował się przeciw temu haraczowi, który sam na siebie nałożył. Była to prawdziwa i zasłużona pokuta, a Bóg wiedział, jak ciężko było mu ją wypełniać. Ręce popuchły od dźwigania kubłów, nogi obolały w zdartych butach, na grzbiecie od ucisku worka z butelkami porobiły się sińce.

Najgorsze wszakże było samo wyrzucanie odpadków do zięjących cuchnącym oparem śmietników. Nie pomagało wstrzymywanie oddechu, czy nawet żucie czosnku. Ohydna słodkawa woń śmietniska, woń rozkładających się brudów, zapełniała płuca wstrętnym rozparzonym wyziewem, aż żołądek kurczył się w spaźmie obrzydzenia, krew uciekała z twarzy i w głowie zaczynało kołować.

Spoczątku sądził, że szcasiem przyzwyczai się do tego. Było jednak odwrotnie. Już samo zbliżenie się do śmietnika, wywoływało mdłości, a w wyniku, gdy kubel trzeba było dłużej wytrząsać, dochodziło do torsji. Cipak, któremu o tem kiedyś mimochodem wspomniał w nadziei, że usłyszy jakąś radę, uśmieł się tylko z Murka:

— Coś taki delikatny, jak dziewczica po trzecim bachorze!...

A Murek nie był wcale wydelikacony. Przeciwnie. Coraz łatwiej znosił to życie nędzarza, tylko tego jednego nie umiał w sobie zwalczyć. W każdym razie to zajęcie dawało mu więcej, niż inne, a pozatem było jednostajne, systematyczne, prawie stałe, niczem posada. Nie był tak lekkomyślny, by zaryzykować powrót do tragarstwa, czy do obnoszenia plakatów. Tembardziej, że ani na jeden dzień nie zaprzestał starań o posadę. Podawnemu pisał oferty na wszystkie ogłoszenia, upominał się w biurach pośrednictwa pracy, wysyłał listy do uniwersyteckich przyjaciół i kolegów.

Żaden z nich z reguły nie odpisywał. Jeden tylko, obecnie adwokat i radca prawny jakiejś firmy w Katowicach, nadesłał odpowiedź: posady żadnej niema, niestety, ale bądź tak dobry (skoro już siedzisz w stolicy), wyszukać w archiwach Hipoteki akty, dotyczące i t. d. Murek akty wyszukał, tracąc na to pół dnia, ponieważ jednak uwierzytelnienie odpisów kosztowało kilkanaście złotych, odpisał adwokatowi, że czeka na pieniądze. Za-

miast pieniędzy adwokat przysłał cierpki list zaznaczając, że nie spodziewał się takiego braku zaufania, w dodatku na tak drobną kwotę, i to od człowieka, który, powołując się na koleżeństwo, prosi o protekcję. „Dla takich ludzi nic się nie robi”.

Drugi wypadek, kiedy zaświtała Murkowi nadzieja, zdarzył się przy konkursie na posadę w Biurze Kodyfikacji Ustaw Samorządowych. Niespodziewanie wezwano go w miesiąc po złożeniu podania. Przebrał się w swoje galowe ubranie i poszedł półprzytomny z radości.

— Panie doktorze — przyjął go szpakowaty dygnitarz — pańskie kwalifikacje na stanowisko naczelnika wydziału prawnego są doskonałe. Z kilkuset kandydatów wybrałem pana.

— Niezmiernie jestem wdzięczny panu prezesowi — z trudem wydobył z siebie Murek.

— Jak pan wie, znajdujemy się w stadjum organizacji. Będzie doktor miał szerokie pole do popisu. Ale i dużo pracy.

— Niczego bardziej nie pragnę.

— To cudownie. Zechce pan zatem złożyć oryginał swoich papierów... A i jeszcze jedno: do jakich związków, czy stowarzyszeń pan należy?... Tylko proszę o absolutną szczerłość.

Murek uśmiechnął się:

— Do żadnych, panie prezesie.

— Jakto?... Więc może do jakiegoś stronnictwa?...

— Nie.

Dygnitarz spojrział na Murka z nieukrywanym zdumieniem:

— Zatem w życiu publicznym, w społecznym nie bierze pan żadnego udziału?

Murek rozłożył ręce:

— Panie prezesie, od bardzo dawna jestem bez pracy. Z największym wysiłkiem zarobkuję doraźnie, by nie umrzeć z głodu.

Prezes niecierpliwie poprawił krawat:

— No tak, rozumiem, rozumiem... Ale widzi pan, doktorze, ja nie mogę kierowniczego bądź co bądź stanowiska powierzyć komuś, kogo nie poleca żadna organizacja, czy instytucja. Hm...

Murek obu rękami kurczowo uczeplił się brzegu biurka:

— Jeżeli pan prezes życzy — zaczął — będę się starał wstąpić do jakiejś organizacji...

— Nie o jakąś chodzi! — przerwał prezes. — Pan przecie orjentuje się, że nie chodzi tu o byle jaką organizację, tylko o taką, której polecenie... No, i teraz wstąpić... Nie, to niemożliwe. A może pan może powołać się na jakieś wybitne osobistości?... Kto mógłby udzielić o panu referencji?

Murek spuścił głowę. Kogóż mógł wymienić?!... Z dawniejszych lat znał kilku dygnitarzy, lecz wiedział, że żaden z nich nie może go pamiętać. A z ostatnich czasów — prezydent Niewiarowicz, wojewoda Łęk-Dornicki, dyrektor Departamentu Gąsowski?... Ci nie wydaliby o Murku przychylnych opinii.

— Przecież musi pan kogoś znać! — powiedział z naciskiem prezes.

— Niestety... Urodziłem się i kształciłem w Małopolsce — bąknął Murek.

— Dziwne. No, szkoda. Szkoda, powtarzam, bo chciałbym doktora mieć u siebie. A każdy z kandydatów powołuje się na rekomendacje wpływowych osobistości. Angażując pana, naraziłbym się na liczne ataki. Pan rozumie?... I nie mógłbym żadnemu z tych protektorów powiedzieć, że taka to i taka figura żądała przyjęcia doktora Murka. Stanowisko jest zbyt poważne, by dało się obsadzić je pocichu. Szkoda.

— Panie prezesie, czy naprawdę...

— Doktorze. Prima charitas ab ego. Ja i tak mam dość wrogów. Niech pan jeszcze poszuka w pamięci...

Murkowi przyszła genialna myśl:

— Więc może, panie prezesie, przyjmie mnie pan prezes na jakąbądź posadę. Jakąbądź. Niech pensja będzie najmniejsza, a każdą pracę wykonam sumiennie...

Dygnitarz namyślił się i kiwnął głową:

— Dobrze. To jest możliwe. Niech się pan zgłosi za tydzień.

Murek wychodził rozpromieniony. Wstąpił nawet do państwa Gubińskich na Pivnej, by zapytać, czy pokoik, który kiedyś oglądał, jest nadal do wynajęcia. Pokoik był wolny i pan Gubiński obiecał jeszcze tydzień z nim poczekać. Okazało się jednak, że Murkowi nie było sądzone tam zamieszkać.

Gdy w wyznaczonym dniu zgłosił się w B. K. U. S., prezes zwrócił mu jego podanie:

— Żałuję bardzo — powiedział — ale nie mogę pana zaangażować do wydziału prawnego wbrew woli naczelnika tego wydziału. Nie prowadziłoby to do niczego, a pan Rządowski stanowczo oparł się zaangażowaniu pana. Pan rozumie, że nie mogę narzucać mu nikogo.

— Ale dlaczego ten pan?...

Prezes przerwał machnięciem ręki:

— Uważa za kłopotliwe dla siebie posiadanie podwładnego z tytułem doktorskim. I rzeczywiście, tam potrzebny jest zwykły kancelista. Żałuję bardzo i dowidzenia.

Murek tego dnia do wieczora błąkał się po mieście beczynnym. Nie czuł nawet głodu. Uśpiona w nim dotychczas i narkotyzowana codziennymi nadziejami rozpacz wybuchła z całą siłą.

— To już koniec — powtarzał głośno — już koniec.

Dotychczas starał się nie myśleć o swoim dojutrkowaniu. Tygodnie i miesiące poniżenia, brudu, ciężkiej fizycznej pracy, były, zdawały się być czemś chwilowym, przemijającym, nieważnym. Dopóki istniała nadzieja. Swoją obecną tryb życia Murek uważał za krzywdę, za niesprawiedliwość, za nonsens wreszcie. A przecie wierzył niezachwianie, że wszelka niesprawiedliwość zdarzyć się może, lecz nie może trwać.

I teraz nie zwątpił o tem. Opanowała go tylko obawa, że w nim samym tkwi jakieś fatum, jakieś złe przeznaczenie, czy grzech, który mści się na nim i najcięższą pokutą nie daje się przekreślić.

Bo jakże mogło być inaczej? Przecież życiem rządzą niewzruszalne prawa, przecie świat jest uporządkowany, zbudowany według zasad mądrych i słuszych, oparty na wielu tysiącach lat doświadczenia, na konstrukcji, wypracowanej przez setki pokoleń. Kieruje nim nieznużona myśl uczonych, reformatorów, kierowników życia zbiorowego. Nad usuwaniem usterek tego życia pracują rządy i parlamenty. Byt społeczeństwa, ludzkości i każdej jednostki jest mądrze unormowany, obliczony sprawiedliwie równowagą uprawnień i obowiązków, zorganizowany do najdrobniejszych szczegółów. Mechanicznie ustrojem państwa, ustrojem społecznym i ekonomicznym, duchowo dogmatami moralności i obyczaju.

Oto przychodzi godzina i miasto rozbłyska milionami świateł. Zamykają się sklepy. Tłumy ludzi mijają się w pośpiechu. Jedni śpieszą do zajęć, inni do odpoczynku, inni do kin, teatrów. Środkiem ulicy, w szalonym tempie pędzą samochody, autobusy, motocykle. Na rogach czuwają policjanci. Wszystko jest dokładnie rozmieszczone w przestrzeni i w czasie. Nad wszystkim panuje duch ładu, porządku, regulaminu. Cokolwiek śmiałyby ten ład zakłócić, zepsuć — ulegnie natychmiastowej likwidacji dzięki czujnym organom społecznym. Wszystko ma swoją godzinę, swoje miejsce, swoje prawo i swoją rację istnienia. Zamiatacze ulic, tragarze, robotnicy fizyczni, których umysł i wykształcenie nie sięga wyżej, spełniają swój obowiązek pracą mięśni, na następnym szczeblu drabiny inteligencja zawodowa, lekarze, inżynierowie, prawnicy, a obok kupcy, finansiści, przemysłowcy. Każdy zajmuje pozycję wyznaczoną mu przez zdolności, wykształcenie, urodzenie, czy energię, wolę i charakter.

A oto on, Franciszek Murek, znajduje się poza tem wszystkim. Jest niepotrzebny.

Byłoby absurdem szukać przyczyny tego w wielkiej maszynie świata. To raczej on, Franciszek Murek, jest niczem. W sobie należy szukać, w sobie znaleźć ten błąd, czy przeznaczenie. Olbrzymia machina świata, wielka centryfuga życia wiruje w niezmaconym tempie. W niej wszystko działa sprawnie. Wokół placu pędzą samochody prawą stroną, wsiąkają w korytarze ulic. Chodnikami płyną tłumy, jedni znikają w bramach domów, inni wychodzą z kamienic, świecących prostokątami okien. Jak plastry wosku są domy, jak pszczoły są ludzie. Zaraz porywa ich życie, szybki wir godzin i minut, pracy, zabawy, zajęć, terminów, rotacyjna machina dnia powszedniego i powszedniego życia, o którego dobrodziejstwo trzeba się modlić, jak o chleb powszedni...

Z rozmyślań obudziły Murka pierwsze krople deszczu. Spadały grube i ciężkie, wsiąkając w materiał ubrania. Po zmoczeniu ubranie będzie wyglądało fatalnie, ubranie, które przecie jest jego jedynym paszportem do dawnego życia. Rzeczywistość przemówiła, zagłuszając wszystkie refleksje. Ukrył się w bramie, a gdy deszcz ustał, poszedł na Leszno i przebrał się w stróżówce Niecki w swoje robocze lachmany. Rodzina Niecków siedziała przy kolacji. Z talerzy, nałożonych kopiasto sypką jęczmienną kaszą, parowało zapachem przyskwarczonej słoniny.

— Smacznego apetytu — powiedział Murek.

— Dziękuję — odpowiedział chłodno dozorca, a jego żona dla przyzwoitości dodała:

— A może i panby z nami?... Prosimy.

— Nie głodnym, dziękuję — przełknął ślinę Murek.

Już się był przebrał i wtem brudnym ubraniu nijako mu było siadać z nimi do stołu.

— Chorego pytają, zdrowemu dają — gościnnie przygadał zięć Niecków, podsuwając Murkowi stołek.

Obie córki dozorczy też dorzuciły kilka uprzejmych słów, pomimo to jednak Murek odczuł w powietrzu coś niechętnego i wymówił się:

— Bardzo państwu dziękuję, ale śpieszę się. Dobrej nocy.

— A no, jak pan Franciszek śpieszysz, to i zatrzymywać nie mogę — odezwał się stary, nie podnosząc głowy z nad talerza — to już i o tamtem pogadamy inną razą.

Murek zatrzymał się przy drzwiach:

— A o czym takim, panie Niecka?...

— Tak — machnął dozorca ręką — nic pilnego.

Jego żona jednak postanowiła sprawę od razu postawić jasno:

— A po prawdzie mówiąc — powiedziała, wstając po czajnik — to pan Franciszek sam jest rozumiejący, że tak nie idzie. Niby z tem robactwem. My, owszem, dlaczego nie, sami widzimy, położenie bezrobotne. Ale myślelim miesiąc — dwa.

— Wczoraj ojcu całą marnarkę obleźli — wtrąciła młodsza córka.

Murek zorientował się o co chodzi i poczerwieniał:

— Dobrze — bąknął — i tak od państwa dosyć miałem grzeczności. Tylko... tylko, że dziś nie mam gdzie zabrać swoich rzeczy.

Dozorczyńni zerknęła nań ze współczuciem:

— Nie o dziś się rozchodzi. Pożaru niema. A ot, siadaj pan z nami i tak kaszy zostanie.

— Nie, nie, bardzo dziękuję i przepraszam za kłopot — zwrócił się do drzwi — jak tylko będę mógł, to zabiorę... Dobranoc.

Wyszedł czempredziej w obawie, by mu nie kazano od razu wziąć rzeczy. Coby z niemi poczał? Zostawić w domu noclegowym na przechowanie, toby się wygniotło, jak z psiego gardła. Miałby jeszcze jeden sposób: zostawić to u którejś z kucharek, choćby u takiej Wikci, albo u panny Maryśki z Niecałej. Ale przecie już teraz wiedział, że nie wróci, że za żadne skarby nie wróci do tego obrzydliwego zajęcia. Wczoraj wysłał Karolce dwadzieścia osiem złotych, na cały miesiąc ma spokój. A sam jakoś przeżyje. Byle nie nosić tych ohydnych, cuchnących śmieci. Setki i tysiące ludzi w Warszawie nie umiera z głodu, chociaż nie ma żadnego stałego zarobku. A do takiego zarobku łatwo się przyzwyczaić. Przyzwyczajenie zaś gorzej podcina siły człowieka, chęć ratowania się, niż najgorsza bieda.

Idąc rozmyślał nad tem, dlaczego właściwie tak drży o to swoje paradne ubranie. Niech je Nieckowie nawet wyrzucą. Co mu po tem!...

Drobny kapuśniaczek przeszedł znowu w ulewny deszcz. Ludzie chowali się do bram. Murek stanął pod szklanym daszkiem jakichś drzwi i oparł się o ścianę, dokąd nie dolatywały krople deszczu. Stała tam już jakaś panienska w granatowym kostjumiku, spod którego wyglądał kołnierzyk białej, zapiętej pod szyję, bluzki. Mały, szary kapelusik i wyzierające spod niego mokremi kosmykami jasnobłond włosy, wyglądały żałośnie. W niebieskich oczach i w dziecinnie zadartym zlekka nosku było coś bezradnego. Z papierowej rozmokłej torebki, która rozlażyła się na kantach, wystawał brzuszec rumianej kajzerki.

Panienska kilka razy spojrzała na Murka, jak mu się wydało zaczepnie. Zdziwił się tem. Nie robiła wrażenia ulicznej dziewczyny, raczej przypominała hafciarkę, czy ekspedjentkę, a może urzędniczkę w jakimś biurze. Obrzucił spojrzeniem jej skromny, lecz schludny wygląd, później swoje połatanie i brudne ubranie i przypuszczenie o zaczepnych zamiarach przygodnej towarzyszkii wydało mu się zupełnie niedorzeczne. Przyszło mu do głowy,

że ta panienczka napewno boi się stać tu obok włóczęgi, od którego musi zalatywać stęchłym i kwaśnym odorem jego łachów, że w każdym razie odczuwa doń wstręt. Dlatego przemknęła mu myśl, czyby nie poszukać schronienia w najbliższej bramie, i odsunął się od panienki jaknajdalej, o ile pozwalał na to zasięg wąskiego daszka. Odwrócił głowę i patrzył w chlupiące gęsto po chodniku i jezdni lejki deszczu.

— Jeśli brzydzi się mnie — myśli, nie bez irytacji — to niech ona idzie gdzieindziej.

Chciał jej to nawet w niegrzeczny sposób powiedzieć, i zastanawiał się właśnie nad tem, gdy panienka odezwała się:

— Panu pryska na plecy.

— Nie szkodzi, niech pryska — odmruknął obojętnie.

— Ale może się pan przysunąć, tu jest dość miejsca.

Obejrzał się: patrzyła nań jakby z litością. To go rozgniewało.

— Mnie dobrze i tu — wzruszył ramieniem.

Poryw wiatru uderzył w strugi deszczu i Murek odruchowo cofnął się pod daszek.

Dziewczyna powiedziała:

— Niech pan tu stanie na stopniach, koło mnie.

— Co pani na tem zależy — odezwał się opryskliwie. — Chce pani, żeby ją moje wszy oblażyły?

Widocznie stropiła się, lecz już po chwili uśmiechnęła się przyjaźnie:

— To nie jest najgorsze nieszczęście.

— Co tam pani rozumie! — uciął lekceważąco.

— Pan nie jest, widzę, rozmowny — nie ustępowała.

— Zato pani jest zanadto rozmowna — powiedział strofującym tonem. — Czy pani tak z każdym spotkanym obdartusem zaczyna gadanie?

— Nie z każdym.

— No, to i chwała Bogu. Bo jeszcze pani kiedy tak wpadnie, że proszę siadać.

Zaśmiała się:

— Kiedy ja się wcale nie boję.

— Bo pani jest naiwna. Rodzice nie powinni wypuszczać pani na ulicę bez niańki.

— Na to trzeba być bogatą — zauważyła.

Murek nic nie odpowiedział, wobec czego ciągnęła dalej:

— Jestem już wcale nie taka młoda. I zupełnie samodzielna. Pracuję na siebie. Dlatego mam szacunek dla ludzi pracy... I wcale mnie nie przestrasza, że ktoś ciężko pracujący ma zniszczone ubranie. Przeciwnie, ile razy...

— Jeżeli to ma odnosić się do mnie, panienczko — przerwał — to bardzo się panienczka myli. Jestem włóczęgą, obibrukiem, elementem podejrzanym. Z tego gatunku, co to nigdzie nie meldowani. Rozumie pani? Wyrzutek społeczeństwa, odpadek...

— Nieprawda — potrząsnęła głową.

— Co? — zdziwił się.

— To nie jest prawda. Pan nie jest człowiekiem złym. Pan jest tylko nieszczęśliwy.

Zaśmiał się krótko i niecierpliwym ruchem podniósł kołnierz marynarki.

— Czego ta dziewczyna chce odemnie? — zaniepokoił się i postanowił urwać rozmowę.

Jednak panienka po kilku chwilach odezwała się znowu:

— Mówi pan, że potrzebna mi jest niańka. A proszę sobie wyobrazić, że codziennie o zmierzchu wracam na Żolibórz zupełnie sama. Najgorszymi dzielnicami. Spoczątku się bałam, ale cóż mam robić. Nie stać mnie na tramwaj.

Murek milczał.

— Czy pan, jak deszcz ustanie, też idzie na Żolibórz? — zapytała.

— Nie.

— Ale bywa pan tam często?

— Poco?... Wcale nie bywam.

— Myślałam... Pan tam nie ma krewnych?

Spojrzał na nią zdumiony:

— A cóż to panią, do cholery, obchodzi?... Wogóle nie mam żadnych krewnych. Jestem sam, jak palec.

— To dziwne.

— A skąd to pani przyszło do głowy?

— Tak — zawahała się. — Może mi się zdawało, że widziałam pana w tamtych stronach... Czy pan nie ma siostry?

Potrząsnął przecząco głową.

Tak szeroko otworzyła oczy, jakby zakomunikował jej jakąś niezwykłą, rewelacyjną wiadomość.

— Nie ma pan siostry zamężnej za majorem?

Wybuchnął śmiechem:

— Nie, panienczko. Teraz to widzę, że mnie pani bierze za kogoś innego.

Wydawała się bardzo speszona. Milczała czas dłuższy, wreszcie powiedziała tonem sentencji bez żadnego związku z tematem:

— Najohydniejszą rzeczą na świecie jest kłamstwo.

Rozśmieszyło to Murka jeszcze bardziej:

— Niby z tym majorem i z tą siostrą? Przysięgam Bogu, że nie łżę. Czy zdaje się pani, że każdy włóczęga i oberwaniec musi być szwagrem majora?...

— Wcale nie — odpowiedziała w zamyśleniu. — Ale pan nie jest zwykłym włóczęgą.

— Tylko czym? — zapytał ironicznie. — Na maskaradę idę?

— Nie koniecznie na maskaradę. Harun al Raszyd nie dla zabawy przebierał się za nędzarza.

— Harun al Raszyd szukał wśród nędzarzy prawdy, a nie chleba.

Panienka przymrużyła oczy i uśmiechnęła się filuternie:

— A widzi pan. Wiedziałałam, że pan nie jest zwykłym włóczęgą!

— Bo co?

— Bo tylko człowiek inteligentny może wiedzieć o Harunie al Raszydzie, co wie pan. Teraz Murek szczerze się zdziwił jej sprytowi. Odrazu wydała mu się ciekawsza:

— Można też być byłym inteligentem — powiedział. — Myli się pani, sądząc, że wśród włóczęgów i wszelkich wyrzutków społeczeństwa niema takich exinteligentów. Ciekaw tylko jestem, z czego pani wywnioskowała, że kiedyś tam czegoś się uczyłem? Bo chyba nie z mojej nieogolonej twarzy, ani z tych łachów.

— Ach — odpowiedziała lekko. — Nie sądzi się ludzi z powierzchowności.

— Tylko jak?

— Trzeba patrzeć głębiej.

— Znaczy, być jasnowiedzem? — zadrwił.

— A jakby jasnowiedzem — przytaknęła.

— Bajeczki, droga pani! No, deszcz już prawie nie pada. Dowidzenia. Na mnie czas.

— Chwilę! — zatrzymała go. — Czy pan naprawdę śpieszy? Bo jeżeli... Jeżeli nie, to niech mnie pan odprowadzi na Żolibórz.

— Poco?

— Będę się czuła bezpieczniej.

— Chce mnie pani na niańkę?

— Tak — potwierdziła poważnie.

Murek w zakłopotaniu przestępował z nogi na nogę:

— Śmieszna z pani dziewczyna. I bardzo lekkomyślna. Idąc prosto, trzeba przechodzić przez plac Nędzy i przez puste tereny pod Cytadelą. Wybierać sobie na niańkę przygodnie spotkanego oberwusa, to chyba dość naiwne.

— Dlaczego?

— Tego już pani nie będę mówić.

— A pójdzie pan?

— Mogę pójść — zgodził się obojętnie.

— To cudownie. Bardzo panu dziękuję, bardzo.

— Przecież mówiła pani, że zawsze chodzi sama i nigdy nie odczuwa obawy?

— Ale wolę iść z panem.

— Jeszcze spotka pani kogoś znajomego i trzeba będzie wstydzić się takiego towarzysza — dodał tonem perswazji.

— O, to mnie nie obchodzi — zapewniła prędko.

Szli w milczeniu przez kilka minut. Gdy mijali latarnie, Murek zukosa przyglądał się profilowi swej towarzyszki. Przypominała jakiś bardzo egzotyczny kwiat. Była nawet dość ładna, chociaż zupełnie nie w typie Murka. A najdziwniejsze, że nie wyglądała na agresywną, ani nawet odważną.

— Jakie to dzisiaj panny — rozmyślał. — Taka młodziutka i daje sobie radę. Ba, nie wieje od pierwszego lepszego, ale jeszcze się mu narzuca.

Minęli zabudowane dzielnice i szli tu prawie pociemku. Pod nogami chłupotały kałuże.

— Powiedział pan, że nie ma pan krewnych — odezwała się panienka. — Więc jest pan zupełnie samotny?

— Zupełnie.

— To musi być bardzo przyjemnie.

— Jak dla kogo.

— I niema nikogo, o kimby pan myślał, za kimby tęsknił?

— O, to inna rzecz — powiedział po chwili wahania.

Dziewczyna westchnęła:

— Rozumiem. Pan się kocha?

— Czy to też jasnowidzenie? — zaśmiał się nieszczerze, zaskoczony.

— Tak. Kocha się pan nieszczęśliwie.

— O?

— Tak, nieszczęśliwie.

— Niby dlaczego nieszczęśliwie?...

Zatrzymała się i powiedziała z namysłem:

— Bo... nie może pan ożenić się z kobietą, którą pan kocha. To jedno...

— Jest i drugie?

— Tak. Drugie jest to, że ona nie jest pana warta.

W jej głosie zadźwięczała jakaś ostra, zła nuta. Murek wzruszył ramionami:

— Głupstwa pani plecie — odpowiedział, nie ukrywając gniewu.

Panienkę to zreflektowało:

— Ja bardzo pana przepraszam. Zresztą cóż ja mogę o tem wszystkim wiedzieć?...

— To i nie trzeba pleść tego, co ślina na język przyniesie.

— Przepraszam — powiedziała bardzo ciepłym tonem. — Moje „jasnowidzenie” tu zawiodło. Zato powiem panu, że pan od niedawna jest w Warszawie. Pochodzi pan z Małopolski.

— To żadna sztuka. Poznała pani po akcencie.

— Więc dodam panu jeszcze, że jest pan człowiekiem wykształconym. Skończył pan uniwersytet. Chyba prawo. Co?

— Przypuśćmy — starał się ukryć zdziwienie.

— Może ma pan nawet tytuł doktorski...

— Skąd pani wie!...

— Zajmował pan jakieś poważne stanowisko — mówiła dalej. — Ale na prowincji. I musiał pan ustąpić z tego stanowiska z powodu jakichś spraw politycznych. Czy tak?

Murek stanął i chwycił ją za rękę:

— Skąd pani to może wiedzieć!

— A widzi pan — uśmiechnęła się — że skoro to, co mówię zgadza się z rzeczywistością, to mój system patrzenia nie na powierzchowność człowieka, lecz w głąb jego istoty, jest dobrym systemem.

Murek zdjął kapelusz i przetarł czoło:

— Wie pani, to jest nadzwyczajne.

— A pozatem jest pan człowiekiem dobrym, uczciwym, zacnym. I bardzo łatwowieernym. Proszę tego nie brać za przyganę. Pańska łatwowieerność wypływa z dobroci. Sądzi pan ludzkie pobudki według własnych. I dlatego dokoła widzi pan ludzi szlachetnych, kobiety uczciwe...

— Pani jest dziwną dziewczyną... Doprawdy. Gdybym nie wiedział, że pani mnie nie zna i znać nie może, tobym był przekonany, że... No, może mi pani coś jeszcze o mnie powie?

— Cóż? — zastanowiła się. — Pracuje pan ciężko. Bardzo ciężko. Nieraz dźwiga pan ogromne worki i paki z towarami... Ale jest pan bezrobotny.

Murek przytaknął:

— A o mojej przyszłości też może pani coś powiedzieć?

— Tak, zdaje mi się, że tak.

— Więc?

— Nie należy rozpaczać. Nie wolno tracić nadziei. Wszystko się panu poprawi. Zajmie pan odpowiednie stanowisko, bo pan jest tego wart.

— A... kiedy?

— Tego nie wiem. Ale niech się pan nie poddaje losowi. Musi pan walczyć, iść śmiało naprzód! Koniecznie. Trzeba wierzyć we własne siły i swoje prawo do życia. Walczyć! Jestem pewna, że taki człowiek, jak pan, zginąć nie może!

Jej głos lekko drżał, był melodyjny i ciepły. Murek słuchał tego, jak jakiegoś prorocstwa.

— A, czy kobieta, którą... którą kocham, zostanie moją? — zapytał cicho.

Paniuszka jakby się ocknęła:

— Nie wiem. Nie wiem — powiedziała prędko. — Zawiele pan odemnie wymaga.

Zatrzymała się przed dużą nową kamienicą:

— O, widzi pan, tu mieszkam. To jest ulica Skośna, numer siódmy. Mieszkam u swojej przyjaciółki na piątym piętrze. Mieszkanie dwadzieścia osiem. Będzie pan pamiętał?

— Chyba nie zaprosi mnie pani na bal?

— Nie na bal, ale zaproszę. W niedzielę zawsze jestem w domu. Niech pan wstąpi.

Murek zrobił wymowny gest, wskazując na swój wygląd.

— Ach, to nic nie szkodzi. A pozatem, jeżeli pan zechce mnie spotkać, nie jest to trudne. Pracuję w pobliżu Placu Teatralnego i codziennie o siódmej wracam do domu tą samą drogą. Za każdym razem będę od dziś spoglądała pod ten szklany daszek, który nas chronił od deszczu. Ale będę bardzo, bardzo będę panu wdzięczna, jeżeli pan przyjdzie do mnie do domu.

— A o kogo miałby spytać?

Zawahala się:

— Nazywam się Mika. To wystarczy.

— Mika?... Słyszałem już kiedyś takie imię. Jeżeli będę mógł, to przyjdę.

— Proszę bardzo.

— I dziękuję, panno Miko, za przepowiednie. Jeśli mam być szczerzy, to... przydały mi się dziś szczególnie. Jak to się mówi, dodały mi ducha.

— Tak? — zapytała z radością. — Naprawdę?

— Naprawdę. Miałem dziś przykry zawód... A pani musi być wyjątkowo dobra. Dziękuję. I dowidzenia.

— Dowidzenia — wyciągnęła doń rękę bez rękawiczki.

Zdjął kapelusz i uściśnął lekko jej dłoń bardzo delikatną i nienaturalnie białą w jego ciemnej dłoni.

Skinęła mu głową i znikła w bramie. Powoli wracał ku miastu.

Ulica Skośna siedem, mieszkanie dwadzieścia osiem, piąte piętro — powtórzył sobie.

Nie, nie miał zamiaru tam pójść. Adres chciał zapamiętać na wszelki wypadek. Tak samo, jak i to imię: Mika. Imię dziwnego spotkania i dziwnej rozmowy. W tem wszystkim było coś niezrozumiałego, może ponadzmysłowego. Czy jeden człowiek może sięgnąć tak głęboko do życia drugiego?... Czytał kiedyś jakąś okultystyczną książkę o jasnowidzeniu, telepatji i medjumizmie. Uważał to za szarlatanizm, chociaż nie odrzucał mglistych przeczuć istnienia niepoznanych jeszcze tajemnic ludzkiej duszy.

— Niezwykła przygoda — uśmiechał się do siebie i natychmiast przyłapał się na tym uśmiechu.

Tak, to go jakby odmieniło. Nie była to radość, ani wesołość. Tylko ta pogoda, której nie zaznał od tak dawna. Pogoda, wypływająca z uśmierzenia bólu, ze świadomości, że musi się odmienić. Ale ta blondyneczka ma rację: trzeba walczyć. Nie wolno kapitulować. Śmiało naprzód!

— Do licha! Mam dopiero trzydzieści jeden lat!

Gwiżdżąc, szedł ulicami i śmiało spoglądał dokoła na lśniący po deszczu asfalt, na jaskrawe pręgi neonowych reklam, w okna samochodów, w witryny sklepów i nawet w oczy przechodniów. Gdy na rogu zauważył jegomościa o ostentacyjnie obojętnej minie i czujnych, taksujących oczach, umyślnie przeszedł tuż, niemal ocierając się o niego i śmiało wytrzymując jego spojrzenie. Wiedział, że to „łapacz”, któremu może przyjść do głowy fantazja zatrzymania obdartusa, ale chciał wyegzaminować własną nie odwagę, lecz śmiałość. I wyszedł zwycięsko.

— Aż dziw — pomyślał. — Co może z człowiekiem zrobić taka sobie zwykła blondyneczka!

Nasunęło mu to refleksje o kobietach wogóle i o roli, jaką często odgrywały w historii przez swój wpływ na mężczyzn. Tylko dawniej wyobrażał sobie, że musiały one być podobne do Nirry, musiały być piękne, wyniosłe, pełne żywiołowych sił, władcze. Najchętniej i najskwapliwiej czytał biografie takich właśnie kobiet. Królowa Saba, Kleopatra, Joanna d'Arc, Katarzyna Medici, a nawet Katarzyna Wielka, czy angielska Elżbieta, wywoływały w nim podziw i pietyzm. Z literatury polskiej wybierał ulubione postacie Grażyny, przełożonej z „Emancypantek”, Oleńki Billewiczówny, a także kniahyń Kurcewiczowej. Jeszcze będąc sztubakiem, wykupił od jednego z kolegów za kilkanaście stałówek i dwa znaczki pocztowe Republiki Panamskiej pocztówkę z podobizną Emilji Plater, wydającej z siodła rozkazy oddziałowi powstańców. Nigdy nie zapomniał jej twarzy pięknej i dumnej, ani oczu roziskrzonych, ani władczo podniesionej głowy.

Podobały mu się czasem i kobiety w innym typie, lecz nie wywierały trwalszego wrażenia. Do takiej na przykład pastelowej blondyneczki, jak dzisiejsza znajoma, czuł wiele sympatii, ale odnosił się do niej w duchu, jak do dziecka. Może dlatego myślał o niej z rozczuleniem i wesoło.

W „Berlinie” panowało niezwykle ożywienie i Murka powitano wieloma okrzykami, co świadczyło, że była już w robocie wódka. I rzeczywiście na ostatniej narze funkcjonował cały bufet. Kilka już wypróżnionych i kilka jeszcze pełnych butelek czystej, chleb, kielbasa, a nawet kwaszone ogórki świadczyły o wystawności popijawy. Stawiali dwaj najwięksi z tutejszych szmirusów: sztabskapitan Pieczonka-Sielezionka i drugi moskal, zwany Grafem, gdyż podawał się za byłego szambelana carskiego i za arystokratę. Czem był naprawdę, trudno było ustalić. Byli i tacy, którzy posądzali go o sowieckie szpiegostwo. Wiadomo natomiast było, że władał biegle kilkoma językami, że wyspecjalizował się w brylanciarstwie, czyli w sprzedawaniu naiwnym rosyjskich klejnotów koronnych, i że w związku z tem kilkakrotnie już zwiedził Pawiak i Mokotów. Pieczonka mówił o nim, że to „dusza-człowiek”, a inni podobnego byli zdania, gdyż wszystkie wyludzone od frajerów pieniądze Graf sumiennie i doszczętnie przepijał w „swojej kompanji”, czyli w którymś domu noclegowym. Tak samo zresztą postępował i Pieczonka, chociaż rzadziej miał po temu sposobność, bo nie cieszył się takim szczęściem w intresach, jak Graf.

Tym jednak razem obaj na spółkę wykiwali jakiegoś gościa i obaj ledwie trzymali się na nogach, gdyż zaczęli „kutip” wcześniej, podrodze. Reszta towarzystwa trzymała się mocno. Wokół zastawionej ucztą nary zasiedli najpoważniejsi: Cipak, Generał, Jasięk-Cybula, mistrz od „czarna przegrywa — czerwona wygrywa”, Krzywy Leonek, były restaurator z Powiśla Bandzioch, gruby jak beczka, i chudy, cienki z kozią bródką Niżynier, podobno inżynier autentyczny, który za jakieś zabójstwo spędził kilka lat w kryminale i w domu obłąkanych, a na bruku był już oddawna.

Do tego ściślejzego grona przyciągnięto i Murka. Patałachy i różne łachudry dostały po szklance wódki i kawałku kielbasy i wylegiwały się teraz na pryzkach, rozmawiając półgłosem, reparując garderobę, wylapując insekty lub przysłuchując się opowiadaniom „kampanji”, z których to opowiadań wielu pożytecznych rzeczy można się było nauczyć, a przynajmniej dowiedzieć się ciekawych historij o żyjących i zmarłych lokatorach Cyrku, Berlina, Bristolu czy Kamczatki.

Na górnej pryczy jakiś młodziak grał na organkach rzewne tango, przy którego dźwiękach sztabskapitan Pieczonka-Sielezionka zataczał się w prysiadach między dwoma rzędami nar, usiłując wpaść w rytm kozaka. Pokrzykiwał uha! klepiąc się z fantazją po udach, po cholewach i po karku i z rozpędu zrzucając z brzegu prycz suszące się tam po błotnistym dniu onucze. Ich właściciele bez urazy zbierali z ziemi i rozwieszali je spowrotem.

Graf, stojąc rozparty w przejściu, przytupywał i klaskał w dłonie do taktu, wrzeszcząc od czasu do czasu ochryplym basem:

— Mesje a gosz nalewo, medam a gosz naprawo!

To znowu:

— An nawan! Rą! Orkiestr gromcze! Awek le fo!... Ta-ram-tam-tam. A-wanse!!!...

Trochę to brzmiało, jak kawaleryjska komenda, trochę, jak wołanie tonącego o ratunek. Wreszcie Graf zrezygnował z wodzirejstwa i zaśpiewał, aż szyby zadrżały:

— Ach ty, sukinsyn kamarinskij mużik! Zadrał nogu, da pa gorodu biežit!...

Jasiek-Cybula nie wytrzymał i, pchnąwszy pod żebra stojącego w pobliżu ospowatego dryblasza Bichacza, puścił się z nim w wir polki.

Gęsty dym papierosów unosił się nad pryzkami, parowały w ciepłe przemoczone na deszczu ubrania, dobroczynny alkohol łagodnym balsamem rozplątał się w krwi, usypiał zmartwienia i troski, roztopiał w zapomnieniu przeszłość, zmarnowane nadzieje, przegrane życie, lzy i nędzę, wilczy głód i wilczą nienawiść. Dobroczynny alkohol zamieniał wyslizgane deski prycz w miękkie posłanie, duszną izbę noclegowego przytułku w szeroki, jasny świat, zapędzone i marne zwierzęta w ludzi. Dobroczynny alkohol rozluźniał naprężone ustawiczną czujnością nerwy i roztopiał stężałe rysy ponurych twarzy w bezpiecznym uśmiechu.

Temi kilkoma łykami przezroczystego, cudownego płynu, temi kilkoma chwilami człowieczeństwa, tym interwalem między beznadziejną rzeczywistością, a ciężkim, cuchnącym snem opłacał świat, rządzony przez wielkich i przewidujących drapieżników, ochronę swoich przywilejów przed szaleństwem i ostateczną rozpaczą drobnych, wynędzniałych z głodu szakali. Tu była ta kłapa bezpieczeństwa, furtka otwarta do teatru złudzeń, namiastka władzy, dobrobytu i szczęścia.

Chudy i łysy włóczęga, zwany Niżynierem, pochylił się do Murka i, robiąc okrągły gest ręką, mówił cienkim, drażniącym głosem:

— Widzisz ich?... I czy nie przychodzi ci do głowy, że ze względu na bezpieczeństwo publiczne należałoby wódkę darmo rozdawać ludowi, tak, jak chleb rozdawano plebsowi rzymskiemu? Na kartki, psia jego mać, na kartki. Każde bydłę otrzymuje gratis czterdziestkę gorzały.

— Dlaczego gratis? — zdziwił się Murek.

— Przeprowadź kalkulację — podniósł w górę brudny, cienki palec Niżynier. — Przeprowadź kalkulację. Co się lepiej opłaca? Czy utrzymywanie tysięcy policjantów, więzień, sądów, czy, powiedzmy, nawet pół litra sznapsa na mordę? O co chodzi? O asekurację prywatnej własności, mienia i życia sytych członków społeczeństwa! Prawda, czy nie prawda?

— Prawda — przyznał Murek, starając się odsunąć głowę jaknajdalej od obrośniętych siwiejącą szczeciną ust Niżyniera, w których bezzębnej czeluści sterczały brązowe żółte pieńki.

— A widzisz, Trzewik, tyś nie taki głupi! Powiedzże tedy, po jaką cholere my żyjemy? POCO jeszcze dźwigamy na szkieletach nasze ścierwo? Czemu zamiast skoczyć do królowej rzek polskich i wypuścić kilka bombelków na pożegnanie, od świtu do nocy żerujemy po rynsztokach i śmietnikach, czatujemy na ochłapy, które spadną ze stołu, a gdy niema innej rady, rzucamy się odbitemu od stada tłustemu cielakowi do gardła? Czemu?... Oto, uważasz, dlatego, że chcemy, że musimy złapać łyk szczęścia, a nasze szczęście, nasze zas... szczęście może być tylko poza naszą świadomością, poza rzeczywistością. Marzenie, fata morgana, miraż, psia jego, zapaskudzona mamusia. To znaczy fiut w krainę ufudy!... Fiut!... A fiut może być tylko przez szyjkę butelczyny! Prawda, czy nieprawda?

Na narze przy wypróżnionych flaszkiach zrobiło się pusto. Reszta towarzystwa rozlaża się po kątach. Nagórze niektórzy już chrapali, inni różnili w „oko” i dolatywał stamtąd tylko tłusty odgłos przybijanych kart, przy drzwiach do umywalni awanturniczy Leonek wywołał bójkę. Przy resztkach uczyty został tylko Murek, Niżynier i Cipak, z uwagą przysłuchujący się rozmowie, chociaż zajęty obcinaniem paznokci u nóg przy pomocy wielkiego sprężynowego noża.

— Faktycznie — odezwał się z przekonaniem. — Niżynier ma recht. Jak człowiek sobie podkizi i chodzi, czyli też znachodzi się w pjanem widzie, weselej mu na duszy,

bez żadnej przyczyny. Bo alkohol swoją działalność posiada, w znaczeniu, ma się rozumieć, na systemę nerwową, a i na oczy, że się na ten przykład innem wszystko wydaje. Jakem się zeszłej niedzieli ufronił na ament, to patrzę rodzonym wzrokiem na Pietrka, tego sklepikarza z Grójeckiej ulicy, a oni mi w dubelt idzie, niby dwie osoby z jednej. I najgorsze, że nie wiem, który z nich me wali w morde. A ja co się w jednego zamachnę, to on powietrze, co w drugiego — powietrze. I tak widzę, że rady nie dam. Trzeba, myślę, odłożyć pierdzielkę i dopiero go wczoraj przykaraulilem. A co było? Miraż, fakta tego samego morgana, czyli apteczne złudzenie ludzkiego okna.

Niżynier kręcił kozią bródką i w zamyśleniu mrugał obrzękłymi powiekami.

— Powinni na kartki wydawać — zaczął znowu. — Żłobki z wódką dla bezrobotnych, włóczęgów i wszelkiej hołoty. Mniejsza o żarcie. Kiedy zapuszczasz grabę do obcej kieszeni, to robisz to poco?... Żeby zdobyć mues na wódkę, na to ersatzszczęście w butelce. To cię trzyma. Poto żyjesz, jak beapański pies, że masz nadzieję wieczorem się ubzdryngolić i nacieszyć się tym najpiękniejszym ze światów, póki się nie wyrzygasz, nie usniesz, albo nie dostaniesz w pijackiej sprzeczce majchra pod żebro. Patrzcie, już tam się walą. I w porządku. Dać im jeszcze spirytusu! Niech się wymordują! Oto przewidująca polityka populacyjna. Planowa likwidacja mętów społecznych i nadkontyngentu narodowego. To bezpłatna dystrybucja szczęśliwości i paszport do niebios. W jednym okienku ponadkontyngentowy obywatel otrzymuje wódkę, w drugim nóż, albo spluwę. Potem zamknąć ich w dobrze izolowanym lokalu. I pensja kata zaoszczędzona, a własność prywatna ma sto procent bezpieczeństwa. Oczywiście, drobna własność. Bo gruba, co innego. Grubych sum i wielkich majątków nie kradną doliniarze, ani cyrkowcy, ani berlińczycy, czy kamczatniki. Od tego są porządni ludzie, szanowne osobistości, czcigodni obywatele.

Cipak z trzaskiem złożył nóż i wyrzucił przez zęby długie przekleństwo.

— Dystrybucja szczęścia i śmierci dla dołów! Tanio, szybko, dokładnie! — zapalał się Niżynier. — Stworzyć urząd asekuracji drobnego mienia. U. A. D. M. i P. L. E. N. i planowej likwidacji elementów niepożądanych! Państwowy Zakład Oczyszczania Społecznego, Powszechny Instytut Spalania Ludzkich Śmieci. Dajcie ludowi wody! Wody i noży!

— Nie zgadzam się — potrząsnął głową Murek. — Przecie wódka nie poto jest sprzedawana, ani nawet poto, by nędzarzom dać namiastkę szczęścia.

— I nie kaźden jeden jest taki — dorzucił Cipak — żeby zaraz popijanemu z nożem na innego. Po większej części albo płakać zacnie, albo chojraka odstawia, a podobnież spać się uwali.

Niżynier poklepał go po kolanie:

— Ci niech sobie wegetują. Tacy są nieszkodliwi.

— Jak który jest ze słabem żołądkiem, to faktycznie nieszkodliwy po ankochołu. Czuczut' wleje i zaraz zwegetuje. A potem już tego fajeru nie ma, bo cała siła z niego wyjdzie. Ale zato jest nieszkodliwy, bo i co mu może zaszkodzić ten sznaps, jak go w try miga zwegetuje. Tylko, że to więcej z nieprzyzwyczajenia, a i wódki szkoda. Marnotrajstwo.

Murek, usiadłszy wygodnie w kącie, gdzie go nie mógł dosięgnąć wydech Niżyniera, ani bryzgi śliny, wylatujące z jego jamy ustnej powiedział:

— Ja wogóle nie zgadzam się z temi poglądami. I nie wierzę, byś żył tylko po to, by od czasu do czasu urżnąć się.

— Nie wierzysz? — łapczywie podchwycił Niżynier który „pod gazem” zawsze chciał dysputy.

— Nie.

— Więc może mi wyjaśnisz, jaka zafajdana flanelka trzyma mnie przy życiu?

— To bardzo proste — odpowiedział Murek. — Twoje człowieczeństwo.

— Co takiego? — udał zdumienie Niżynier.

— Człowieczeństwo.

— Ho, ho... Bardzo piękny truizm. Tylko, że to nic nie znaczy. Ty, Trzewik, lubisz podpuszczać takie okrągłe słówka. Bardzo patetyczne, o wyszlifowanej łupince, a w środku g...!

— Niby dlaczego? — przysunął się Cipak.

— Bo sensu tam niema! Pojęcie sztuczne. To nic nie wyraża. Pod to da się podłożyć wszystko. Człowieczeństwo! Mieści się tu i maczuga Kaina, i krzyż Chrystusa. I spalona ręka Mucjusza Scevoli, i sztylet Brutusa. I pompka do transfuzji krwi, i bomba z trującym gazem. I sobolowe futro, i moja zawszona koszula. Wszystko to jest człowieczeństwo!

Murek zniecierpliwił się:

— Jak tak mamy gadać, to szkoda czasu.

— Więc, proszę cię, jak? — pośpiesznie zgodził się Niżynier.

— Bez łapania za słówka, bez talmudyzmu. Wiesz doskonale, co rozumiem pod wyrazem człowieczeństwo. To, co znaczy ono potocznie. Więc poczucie własnej godności, sumienie, dążność do ulepszania się, a pozatem, poza stroną indywidualną, strona druga, społeczna. Żyje się wśród ludzi, ma się świadomość więzi społecznej, jest się członkiem narodu, obywatelem państwa!

Niżynier przytakiwał spokojnie:

— Zgoda, zgoda. Możemy i tak to człowieczeństwo definjować. Stoję na wskazanej przez ciebie płaszczyźnie. Więc pięknie, ale widzisz, ja mam gdzieś całe to swoje człowieczeństwo. Kpię z niego! Jeżeli je kiedyś miałem, to zostawiłem je na przechowaniu w więzieniu Mokotowskim przed czternastu laty, gdy tam mi wyznaczono mieszkanie. Człowieczeństwa, jak i żadnych rzeczy prywatnych, nie można zabierać do celi...

— To prawda — przyznał Cipak. — Wszystko zabierają, a oddają, jak się wychodzi na wolność.

— Otóż to. I mnie oddali teczkę, zegarek, portfel, szelki, cywilne ubranie. Tylko człowieczeństwa mi nie zwrócili. Gdzieś się zapodziało. Wyparowało. Może je kto zużytkował i poszło Wisłą do Polskiego Morza. Nie wiem. I powiem ci jeszcze, że się o nie nie upominałem.

— Nieszczere pochwały — skrzywił się Murek. — Nieszczere i niepotrzebne.

— Poczekaj — upierał się Niżynier. — Mówiłeś: godność, mówiłeś: sumienie, dążność do ulepszania się. Spójrzże na mnie i puknij się w czoło. Gdzieś ty w tem mojem ścierwie umiejscowił ową aptekę?...

— Właśnie nie w ścierwie, lecz w duszy!

Niżynier błysnął niedobrem spojrzeniem:

— Musiałbyś wprzód udowodnić, że ją mam. Ja jej nie czuję. Wydymała ze mnie. I do ciężkiej cholery, cieszę się z tego. Pies z nią tańczył. Amen. Cóż ty myślisz, młodociana ofiario, że dusza będzie w tobie siedziała, póki ci nie przyjdzie ochota na odwalenie kity? Że już będziesz kupą gnijącego mięsa i spróchniałych kości, że już ci klepki rozmiękną, zidjociejesz i paraliż cię trafi, a dusza wciąż będzie w tobie?... Otóż nie, osłodo mojej starości, nie, skurczysynku! To jest wielka pani! Panimajesz? Jak się sam staniesz takim gnojnikiem, jak ja, takim prewetem na dwóch nogach, to przekonasz się, że z ciebie ucieknie. I nie znajdziesz w sobie bezczelności, by ją przytrzymywać! Tak, kwiatuszku! Zacznie dymić z ciebie, jak z pękniętego garnka, aż wydymi do cna. Zobaczysz...

Czoło Murka zmarszczyło się posępnie:

— Nie zobaczę.

— Tere-ferę!

— Nie zobaczę, bo nie chcę tego! — prawie krzyknął. — Rozumiesz?

— Każdy z nas w twoim wieku tak mówił.

— Widocznie nie miał woli.

Niżynier z przesadną powagą zapytał:

— A ty ją masz?...

— Tak — z przekonaniem odpowiedział Murek. — Mam wolę i poczucie godności, i sumienie, i chęć ulepszania się, chociaż żyję w takich warunkach, jak ty.

— Pożyjesz dłużej, wtedy zobaczysz.

— Nie.

— A ja ci powiadam, cherubinku. Cóż ty do wielkiej Anielki wyobrażasz, że twoja wola to stal? A jeżeli i stal, to takie życie jest ostrzejsze od karborundowych pilników, mocniejsze od żrących kwasów, zawziętsze od rdzy. Przeżre cię nawylot.

Cipak pokiwał głową:

— Co gadać, życie sobacze.

— A pozatem wszystkim — po namyśle powiedział Murek — są jeszcze inne siły, które podtrzymują człowieka w jego wartości.

— Naprzykład?

— Naprzykład, miłość.

Niżynier wybuchnął śmiechem:

— Miłość?...

— Tak — nie zmieszał się Murek — pragnienie szczęścia kochanej kobiety i otrzymywanie od niej takiego samego uczucia.

— Młodociany entuzjasto! Kochana kobieta! A czy ty wiesz wogóle, co to jest kobieta?... Najnędniejsze bydlę, najgorsza samica! Najwstrętniejsza suka! Bo i suka parzy się tylko dwa razy do roku, tylko wtedy, gdy ją przyroda do tego zmusza, a kobieta to wcielenie grzechu, uosobienie rozpusty nieustającej, to przekleństwo ludzkości!...

Zerwał się z pryczy i trząsał się cały, z rozdygotanych warg posypały się najordynarniejsze wyzwiska, najwulgarniejsze epitety. Na mokrem czole wystąpiły żylaste pręgi, czerwone galki oczne wyszły nawierzch, zaciśnięte pięści trzęsły się, jak w febrze.

Zwabieni jego krzykiem, zbliżyli się obaj rosjanie i jeszcze kilku mniej pijanych. Niżynier wreszcie zakrztusił się i zsiniały opadł na narę, charcząc i kaszląc.

Cipak zrobił oko do Murka:

— Już musiała mu jakaś zdzira dogodzić!...

Ale Murek był nieustępliwy:

— Obelgi mnie nie przekonają. Przyznaję, że są zapewne kobiety złe, tak samo jak są i źli mężczyźni...

— Nieprawda! — ochryple zawarczał Niżynier, łapiąc oddech.

— Nie trajluj już o babach — pojednawczo odezwał się Cipak — bo go szlag trafi i jeszcze nam tu zimnem trupem padnie.

— Dobrze — zgodził się Murek, w którym pod wpływem wypitego alkoholu wezbrało pragnienie, nie tyle może przekonania Niżyniera, ile sprecyzowania dla samego siebie własnych poglądów, utwierdzenia się w przeświadczeniu, że nie dojdzie do takiej ruiny, jak Niżynier. — Dobrze. Miłość jest wielką dźwignią, ale nie jest jedynym motorem. Weźmy choćby taką rzecz, jak obowiązek.

— Jaki obowiązek? — odzyskiwał równowagę Niżynier.

— Powiedzmy, rodzinny. Obowiązek utrzymywania rodziny, albo dziecka. Wychować je, wykształcić, przygotować do życia...

— Żeby później wyparło się ojca?... Albo żeby zeszło jego śladem na psy?

— A pozatem — ciągnął Murek — szereg innych obowiązków. Wobec państwa, wobec społeczeństwa, wobec narodu. Nie uwierzę, byś przynajmniej w podświadomości nie czuł tych obowiązków.

Niżynier kiwnął głową:

— Owszem, czuję je w odpowiednim miejscu. Aż tu od nich siedzieć niewygodnie.

— To nie argument — pobłaźliwie uśmiechnął się Murek.

— Nie argument? Pętaku! Czy ty myślisz, że argumentów mi brak? Patrz, pętaku! — jednym szarpnięciem odsłonił chudą, owłosioną pierś. Pod prawym obojczykiem widniała duża, głęboka blizna. — Widzisz?... To od kuli. Z frontu. Za państwo, za naród, za ojczyznę. A zobacz, tam, na plecach. Widzisz?... To gummy. Od państwa, od narodu, od ojczyzny!...

Zaśmiał się i splunął:

— Państwo? A cóż mi to państwo daje?...

— Co ty jemu dajesz? — zmarszczył brwi Murek.

— Ja? Służę. Służę chętnie tem, co posiadam, całym moim żywym inwentarzem. Będzie tego, ze trzy kopy. Ale państwo moich wszy nie chce. I cóż mnie po państwie? Że mnie obroni od Niemców, czy Rosjan?... Ależ mnie naplewać na to, czy będzie mnie zamykał w areszcie przodownik, czy krasnyj komisarz, czy niemiecki szupo!

— I pewno! Jaka różnica? — odezwały się liczne głosy.

— Jedna cholera! — przytwierdził Cipak.

— A naród?... Czy będę przeklinał po polsku, czy po angielsku, to mi też chyba wszystko jedno. Tak samo z tym obowiązkiem wobec społeczeństwa. Za cóż to mamy być mu obowiązani? Za te nary, za te łachmany? A może za to, że tropią nas, jak dzikie

zwierzęta, że niszczą, jak pluskwy? Co nas z tem twojem społeczeństwem łączy? Nic, oprócz tych ochłapów, które czasami możemy im od pyska wyrwać, żeby nie zdechnąć z głodu. Idźże, pętaku, do tego społeczeństwa! Niech ci ono choć jeden palec poda!...

Cipak wtrącił słówko i audytorjum zaśmiało się głośno.

— Frajer jeszcze z ciebie — mówił Niżynier. — Dęty frajer. I co to wogóle jest to twoje społeczeństwo?... Też puste słowo. Niby kto?... Kamieniczniki, spasiona ich mać, co nic nie robią, tylko forszę z lokatorów ściągają, czy kupcy i bankierzy, co mają w głowie jedno czere-mere, jakby tu więcej teje forszy wydusić, czy obszarnicy, co żyją z ukradzonej przez przodków ziemi i z chłopskiej pracy?... Pytam: kto, do cholery, jest tem społeczeństwem?... Fabrykanci, ziemianie, kupcy?... Kto?

— Oni wszyscy — spokojnie powiedział Murek. — Oni wszyscy, i chłopi, i robotnicy, i urzędnicy, i księża, i my....

— Stop! Stop! — przerwał Niżynier. — Nie rozpędzaj się, Trzewik, bo nosem w ścianę uderzysz. Popierwsze, nie mieszaj tu urzędników. Urzędnicy, to — państwo, a po drugie, nie wsadzaj tu księży. Księża, to urzędnicy państwa watykańskiego. I jedni i drudzy robią to, co im ich państwo każe. A społeczeństwo, jak myślę, pochodzi od słowa społec, pospołu. Tak, czy nie? Otóż, co może zespolić robotnika i chłopa z burżujem?... Chyba tyle, co policjanta ze mną, albo z tobą, czy też psa z gnatem. Gdy zobaczysz, że pies obrabia gnata, nie powiesz chyba, że to jest psio-gnatowe społeczeństwo? Co?... A tychże burżujów, co między sobą łączy?... Nie to przecie, że każdy z nich tylko się czai, by drugiemu forszę zahapić?

— Łączy ich wiele — nie poddawał się Murek. — Wspólne zwyczaje, kultura, obyczajowość, poglądy na moralność. I to jest właśnie społeczeństwo.

— No, to wsadźże je sobie — wybuchnął Niżynier. — Wspólne obyczaje, moralność! Chyba dlatego wspólne, że każdy z nich chciałby okraść drugiego i każdy ma gębę, pełną pięknych słówek. Znam ja ich! Znam! Oni to robią opinię publiczną, tę siatkę, w którą omotają każdego słabszego, jeżeli mu się tylko jakie nieszczęście przytrafi. Omotają i trach o ziemię. Zadepczą w imię moralności, w imię prawa, a później na wyścigi biegną, żeby rozdrapać to, co po tamtym zostało, by zająć jego miejsce, zabrać jego dorobek, jego sławę, jego samice! Znam ja ich! A w obronie zdeptanego, myślisz, że stanie kto? Nie, bracie, nikt! Żaden wzniosły bałwan, żaden najserdeczniejszy przyjaciel, ani kobieta, choćbyś ją przedtem złotem obsypywał, choćbyś jej, jak pies, służył, pójdzie do innego, do silniejszego, do większego samca, do bogatszego, bo ją jej sucza natura niesie, roznosi, tę najgorszą ścierkę, tę fałszywą gadzinę, tę...

Znowu zapienił się i wśród kaszlu wyrzucał z siebie wściekły bełkot najobelżywszych słów, aż stracił oddech i upadł nieprzytomny na pryczę.

— Jazda, Pieczonka, — zakomenderował zawsze rzeczowy Cipak. — Bierz go za gicaly i do obikacji pod kran. Zemglał.

Towarzystwo rozlało się po narach. Wkrótce powrócił i ocucony Niżynier. Do dyskusji nikt już nie miał ochoty. Murek ułożył się na górze, podsunął pod głowę buty, owinięte w spodnie, przykrył się marynarką, lecz zasnąć nie mógł. W kącie cichutko grał na organach dziobaty Stasiak. Pod lampą jeszcze kilku namiętniejszych graczy kłóciło się o rzekomo znaczony karty, z różnych stron dolatywało chrapanie. W rogu, w sąsiedztwie krzywej pryczy, w najciemniejszym zakamarku sali kotłowało się wśród sapania, nagłych ruchów i stłumionych szeptów. Tam sypiał zwykle młody chłopak, dezertter Jasiak, nazywany tutaj, jak i wszyscy jemu podobni „ciotą”. Murek przypomniał sobie jego długie płowe włosy, różową twarz i grube bardzo wydatne wargi. Zaklął pod nosem i przewrócił się na drugi bok. Nie wiadomo, dlaczego przyszło mu na myśl, że tę blondyneczkę z Żoliborza widział już kiedyś dawniej. Nawet jej imię, Mika, wydało mu się znajome. Musi to być dobra dziewczyna...

Pod zamkniętymi powiekami zaczął się rysować jej delikatny, dziewczęcy profil, lecz oto zmienił się szybko w rysy Niry. Ach, z jaką dokładnością, gdyby był malarzem, mógłby z pamięci odtworzyć ją w najdrobniejszych szczegółach. Jak precyzyjnie wypieściłby kształt jej nosa, i dumnych ust, i te cienie koło oczu... I to spojrzenie takie władne, lub inne, roziskrzzone gniewem, lub tamte, leniwe i ciężkie...

Wydało mu się wprost rzeczą nie do wiary, że ta świetna panna godzi się pracować, godzi się znosić niedostatek i tak długo czekać na narzeczonego. I ta ufność, z jaką cze-

ka. Przecie napewno inna zniecierpliwilaby się od dawna. Zerwałaby i wyszła za jednego z adoratorów, a niepodobna pomyśleć, by taka dziewczyna, jak panna Nira Horzeńska nie spotykała mężczyzn, którzyby mogli zapewnić jej wygodne i bogate gniazdko rodzinne.

I cóż plecie taki Niżynier! Widocznie stykał się w życiu tylko z najgorszymi kobietami, a jeszcze prawdopodobniejsze, że sam był nic nie wart i dlatego na świat i na ludzi patrzył tak czarno.

Murek do późnej nocy nie mógł otrząsnąć się z przykrego wrażenia tej dyskusji. A chociaż w najmniejszym stopniu nie podzielał pesymizmu Niżyniera, czuł się nieco przestraszony jego zapewnieniami, że i on, Murek, dojdzie do takiego światopoglądu, że i on skazany jest na dożywotnie gnienie w rynsztokach i domach noclegowych. Ogarnął go strach przed tem, że z czasem stępieje na tę ohydę, że stopniowo pogodzi się z tą nędzną wegetacją, że przyzwyczai się do tej nędznej sytuacji.

— Za nic! — przysięgał sobie w duchu. — Za nic! Wszystko, byle nie to! Trzeba walczyć. Ta blondyneczka miała rację. Walczyć!

Szukał w myśli najradykałniejszych sposobów tej walki. Zastanawiał się, czyby nie pójść do której redakcji i nie ogłosić drukiem historii swojej dymisji i upadku, aż do pracy śmieciarza. To może wstrząsnęłoby opinią publiczną. Może otworzyłoby ludziom oczy na krzywdę, wyrządzoną jednemu z niewinnych członków społeczeństwa. Ale taką rzecz należałoby podpisać pełnym imieniem i nazwiskiem. Inaczej nie miałaby żadnej wagi. Wówczas zaś dostałaby się do rąk rodziny Horzeńskich i Nira dowiedziałaby się, że jej narzeczony posługiwał kucharkom, tułał się po noclegowych barłogach, a niewiadomo, czy rozgłoszenie tego nie zniechęciłoby jej do małżeństwa z człowiekiem, o którym każdy wiedziałby tyle nieprzyjemnych, bądź co bądź, rzeczy.

W każdym razie postanowił zdecydować się bodaj na głośny skandal, niż na kontynuowanie takiego życia. Zwłaszcza z temi ohydnyemi śmieciami należy skończyć.

Tu przypomniał sobie, że będzie jednak musiał wstąpić do Antośki na Mazowiecką, gdzie zostawił kiedyś okazjnie kupiony za trzydzieści groszy sweter do zacerowania. Wieczory i ranki bywały już mocno chłodne. Za to zacerowanie znieśie jej ostatni raz kubek z odpadkami i na tem szlus! Niech sama dyguje, albo pokojówka Frania. Że służy u ministra, to jeszcze nie racja, by miały na posyłki doktora praw. Gdyby tak pójść i temu ministrowi powiedzieć?... Napewno zdębiałby.

I nagle myśl ta wydała mu się całkiem niezła. Aż przysiadł na pryczy, by dokładniej zastanowić się nad niespodziewanym pomysłem, który już po chwili wydał mu się genialny. O ministrze Skupińskim słyszał wiele, czytywał w gazetach jego mowy, słyszał go przemawiającego przez radio jeszcze, jako premiera. Obecnie miał tękę sprawiedliwości. Tem lepiej dla Murka, jako prawnika.

— Tylko prosto w dym! — zachęcał siebie. — Niczego się nie bać!

Bo i co ostatecznie miał do stracenia?... Nic. A do wygrania wszystko.

Nad obmyśleniem planów działania spędził resztę nocy. O świcie, pijąc kawę, zerknął z uśmiechem na Niżyniera, jakby mu chciał powiedzieć:

— Myliłeś się, brudny cyniku. Ja nie pójdę w twoje ślady.

O ósmej był już na Mazowieckiej. Antosia jednak ani słyszeć nie chciała o ułatwieniu mu dostępu do swego pana. Nie skutkowały żadne argumenty. Posada w domu ministra była zbyt wygodna, by dla jakichkolwiek względów chciała wystawić się na ryzyko. Natomiast oświadczyła Murkowi, że najlepiej zaczepić ministra przed bramą i to nie zrana, gdy jedzie do ministerstwa, bo wówczas jest zły, lecz o trzeciej, gdy przyjeżdża na obiad i bywa w lepszym humorze.

I ta rada była coś warta. Przez dwa dni Murek napróżno usiłował przypilnować ministra. Albo przebiegał zbyt prędko, albo był w towarzystwie jeszcze paru osób. Dopiero na trzeci dzień udało się. Murek czekał na schodach. Na dole trzasnęły drzwi. Minister wolno wchodził nagórę. Gdy Murek niespodziewanie zagroził mu drogę, aż odskoczył.

— Co to jest! — krzyknął — czego pan!...

Murek odstał i zdjął kapelusz:

— Pan minister wybaczy, mam prośbę do pana ministra.

— Kto pan jest? — już spokojniej zapytał, choć jeszcze trzymał teczkę tak, jakby chciał zasłonić się nią od napastnika.

— Jestem człowiekiem, który wynosi śmiecie z mieszkania pana ministra.

— Co? Co pan robi?

— Wynoszę śmiecie z mieszkania pana ministra.

Twarz starszego, wygolonego pana nagle poczerwieniała, — oczy zwęziły się:

— Aha! — powiedział. — Rozumiem. Cóż, proszę za mną.

Ruszył naprzód, bez słowa otworzył drzwi, zdjął palto, i wprowadził Murka do obszernego gabinetu. Murek zdumiony tem, nie ruszał się od progu. Minister zapalił spokojnie papierosa i zapytał:

— I cóż pan znalazł w tych śmieciach?

Pod wpływem ostrego spojrzenia i tych słów Murek stracił kontenans. Nie miał pojęcia, o co chodzi.

— No, — odezwał się po chwili minister. — Śmielej, młody szantażysto, śmielej! Jakie tam papierki wyzbieraliście i posklejali?

— Nie jestem żadnym szantażystą...

— Naturalnie, naturalnie, nie jesteście. Jesteście ideowcem, pracującym dla swojej partji i szperającym w cudzych śmieciach, w śmieciach politycznego przeciwnika. Ale ponieważ znaleźliście się w chwilowych trudnościach materialnych, a wasze sumienie przemówiło, gotowi jesteście oddać mi pewne podarte szpargały? Czy tak?

Murek teraz dopiero zrozumiał o co go podejrzewają i uśmiechnął się:

— Nie, panie ministrze. Jestem człowiekiem uczciwym. Śmiecie zaś nosiłem do zsy-piska nie poto, by wyszukiwać w nich jakieś papiery, lecz, by zarobić kilka groszy na chleb.

— I znaleźliście tak sobie, przypadkowo?

— Nic nie znalazłem, panie ministrze, i niczego nie szukałem.

Minister nie ukrywał zdumienia:

— Więc czegoż u licha odemnie chcecie?

— Chcę pracy.

— Pracy? — minister spojrział nań, jak na warjata. — Pracy? Przecie sami mówicie, że pracujecie. Wynosicie śmiecie.

— Tak, panie ministrze, ale ja jestem doktorem praw. Nie! Niech pan minister nie sądzi, że ma do czynienia z obłąkanym. Mój wygląd to skutek wielu miesięcy najcięższej nędzy. Nazywam się Franciszek Murek. Mam oto wszystkie dokumenty...

Wydobył paczkę papierów i położył na brzegu biurka, lecz minister zdecydowanym ruchem odsunął je od siebie:

— Nie potrzeba. Wierzę wam... Wierzę panu.

— Nie chcę panu ministrowi zabierać wiele czasu. Będę się streszczał. Ukończyłem prawo, uzyskałem doktorat, zajmowałem kolejno szereg posad w instytucjach prywatnych, społecznych, państwowych i komunalnych. Teraz, od roku jestem zredukowany.

Minister rozłożył ręce:

— Cóż, takich jest więcej! Różne bywają przyczyny...

— Zapewne, panie ministrze. Ale u mnie żadnych, literalnie żadnych, przyczyn nie było. Niema najmniejszej plamki na mojej przeszłości. Jeżeli zaś pan minister raczy przejrzeć moje świadectwa, przekona się pan minister, że z mojej pracy zwierzchnicy byli zawsze zadowoleni. Awansowałem szybko w każdej instytucji, a jeżeli przechodziłem z jednej do drugiej, to tylko dlatego, że w drugiej dawano mi wyższe stanowisko i szersze pole pracy.

— Wierzę chętnie.

— I proszę być pewnym, panie ministrze, że w ciągu tego roku nie zaniedbałem niczego, by zdobyć jakąkolwiek posadę bodaj najdrobniejszą. Robiłem wszystkie wysiłki.

Minister uśmiechnął się i poczęstował Murka papierosem.

— Nie wątpię, skoro potrafił pan tak obcesowo mnie zaatakować.

— Przyznaję, że to bezczelność z mojej strony. Ale musiałem wyczerpać wszelkie środki.

— A dlaczego wybrał pan właśnie mnie?

Murek nie opuścił oczu i powiedział śmiało:

— Bo znam pana ministra z jego przemówień, działalności, rozporządzeń. I uważam pana ministra za mądrego człowieka.

— Bardzo mi przyjemnie, że zasłużyłem sobie na taką opinię. Naogół... Ale niechże pan usiądzie.

— Dziękuję — potrząsnął głową Murek — moje ubranie bardziej nadaje się do dezynfekcji, niż do zetknięcia z tym fotelem. Nocuję pośród najgorszych mętów społecznych, pod mostami lub w domach noclegowych. Od pół roku nie wiem, co to jest pościel, co to jest wanna, co to jest czysta bielizna.

— Bardzo panu współczuję.

— Ale ja nie przyszedłem, by wzruszać pana ministra moją nędzą. Nawet nie narzekam na nią. Powiedziałem sobie: Trudno, ale przecierpię. Chodzi tylko o to, że nie widać końca tej nędzy. Jestem młody i zdrowy. Od najcięższej fizycznej pracy nie umrę, nie spadnie mi korona z głowy od wynoszenia śmieci, od posługiwania pańskiej kucharce, panie ministrze. Ale przyszedłem do pana, jako do człowieka rozumnego z pytaniem: Czy społeczeństwo, czy państwo nie może lepiej zużytkować kwalifikacji wykształconego, uczciwego i chętnego do pracy obywatela?

Minister poruszył się na fotelu:

— Zapewne. Ale dlaczego pan właśnie do mnie z tem pytaniem się zwraca?

— A do kogo mam się z niem zwrócić? Pan minister chyba bardziej, niż ktokolwiek, powołany jest do ocenienia, czego państwo chce, a czego nie chce, czy tak ma być zorganizowane społeczeństwo, czy inaczej. Pan reprezentuje to państwo i społeczeństwo. Pan jest uprawniony do tego z tytułu swego stanowiska i z tytułu własnej woli do kierowania jego sprawami.

Murek zrobił pauzę i mówił dalej:

— Zawdzięczam społeczeństwu i państwu wiele. Dały mi bezpłatnie wykształcenie. Więcej, bo przez szereg lat w gimnazjum i na uniwersytecie otrzymywałem stypendjum. Wydano na mnie dużo, bardzo dużo pieniędzy, bo przecie poza stypendjum utrzymywanie szkół powszechnych, gimnazjów i uniwersytetów kosztuje miliony. I czy poto to wszystko, by teraz doktor praw nosił śmiecie?...

— Ma pan zupełną rację! — przyznał minister. — Zupełną rację. To jest marnotrawstwo grosza publicznego. Zawsze byłem tego zdania, że nadprodukcja inteligencji grozi nam wielkimi trudnościami. Zawiele szkół ogólnie kształcących, zamało zawodowych, rzemieślniczych, technicznych. Zupełna racja. Najwyższy czas zmienić kurs polityki oświatowej.

Podsunał sobie blok i szybko zanotował kilka zdań.

— A pański przykład jest klasyczny — powiedział odkładając ołówek — klasyczny. Gdyby był pan wykwalifikowanym rzemieślnikiem, to nawet w takim kryzysie, jaki przeżywamy obecnie, mógłby się pan utrzymać ze swej pracy zawodowej. Prawda?... Z trudem, ale, jako tako. Tymczasem obdarzono pana doktoratem i kazano nosić śmiecie i tulać się po przytułkach dla włóczęgów. Przepraszam pana na chwilę...

Wziął słuchawkę telefonu, nakręcił numer i wydał komuś dyspozycję, by na godzinę szóstą przysłało mu do mieszkania stenografkę.

— Widzi pan — zwrócił się do Murka — jesteśmy młodem państwem. Wiele rzeczy nie funkcjonuje sprawnie. Ciągłe trzeba różne braki zastępować, to zmieniać, tamto naprawiać. Zresztą sam pan to rozumie, jako człowiek inteligentny. — Mamy niestety właśnie nadmiar inteligencji. Z czasem to się wyreguluje.

— Ale, panie ministrze, co się zrobi z tymi, co już są, a którzy nie mają pracy. Co państwo zrobi ze mną?

— Z panem....

— Czy każe mi nadal wynosić śmiecie?

Brwi ministra zmarszczyły się niecierpliwie:

— To już inne zagadnienie. Zagadnienie konjunkturalnego bezrobocia, zastoju, kryzysu. Na to ja panu żadnej rady dać nie mogę.

— Ale pan minister mógłby dać mi posadę. I z tą prośbą właśnie przyszedłem.

— Nie, panie — minister wstał. — Mogę panu tylko to dać, co mam. A posadę nie mam. Oczywiście, mógłbym któremuś z moich podwładnych odebrać posadę i ofiarować ją panu, ale wówczas on byłby skazany na nędzę. Dlaczego tedy mam robić to przesunięcie?...

Murek zagryzł wargi i milczał.

— A zresztą kwestja, kto ma zdychać, a kto żyć wygodnie, nie jest, nie była i nie będzie nigdy rozstrzygnięta innym prawem, jak odwiecznym prawem walki o byt. Zwycięża silniejszy, przegrywa słabszy. I koniec. Tej reguły nie zmieni najlepszy ustrój państwowy, najwspanialsza organizacja społeczeństwa. Bo to jest prawo przyrody. Naturalna selekcja gatunku... Tak... Wie pan to równie dobrze, jak ja. No, cóż. Muszę pana już pożegnać. Aha...

Sięgnął do kieszeni po portfel i wydobyl jakiś banknot:

— Ja, osobiście, czem mogę, tem panu służę

Murek jednak cofnął się:

— Dziękuję, panie ministrze, wsparcia nie chcę.

— Niechże pan traktuje to, jak pożyczkę.

— Nie, dziękuję.

Minister z niezadowoleniem schował banknot spowrotem i powiedział:

— Więc cóż... Mogę wydać u siebie w ministerstwie polecenie, by przyjęto pana, gdy tylko coś się zwolni. Niech pan jutro zgłosi się do szefa biura personalnego. Pan się nazywa doktor Murek?

— Murek. Franciszek Murek.

— Dobrze. Nie zapomnę o panu i życzę powodzenia.

Podał Murkowi rękę i otworzył drzwi. W przedpokoju pokojówka aż usta otworzyła, gdy zobaczyła przez jakiego to interesanta obiad się spóźnia.

Murek nacisnął kapelusz na czoło i wyszedł. Nie miał wielkich nadziei co do skutków tej wizyty, nazajutrz jednak złożył w ministerstwie podanie, na którym w jego obecności urzędnik napisał: „osobiste polecenie Pana Ministra”.

W trzy dni później w witrynie jednego z dzienników Murek przeczytał wielki artykuł, podpisany przez ministra, z opisem doli zdeklasowanych inteligentów, którzy muszą zarobkować, jako śmieciarze, i z konkluzjami na temat konieczności przeciwdziałania nadprodukcji inteligencji.

Artykuł był piękny, rzeczowy i musiał wywrzeć silne wrażenie i znacznie podnieść powagę autora.

Do wynoszenia kubelków z odpadkami Murek nie wrócił. Uparł się. Na kilka dni zresztą znalazł pracę przy przeladunku towarów w wielkich składach przy ulicy Ciasnej, które to składy groziły zawaleniem się i z rozporządzenia władz należało je opróżnić.

Któregoś dnia, przechodząc Królewską, ze zdziwieniem ujrzał, że w oknach na pierwszym piętrze, w mieszkaniu ciotki Niry wywieszono reklamy jakiegoś biura.

Zainterpelował w tej sprawie dozorcę domu i dowiedział się, że pani Bożyńska już od bardzo dawna tu nie mieszka. Wyprowadziła się z całą rodziną. Sama na wieś, na prowincję, a gdzie reszta, niewiadomo.

Zdziwiło to bardzo Murka. Zestawiwszy daty wyjazdu Niry zagranicę i wyjazdu na wieś jej ciotki, doszedł do przekonania, że tkwi w tem jakieś nieporozumienie, lub tajemnica. Niestety, gburowaty dozorca domu nie chciał wdawać się w rozmowę. Po dłuższym namyśle postanowił zatelefonować do biura towarzystwa asekuracyjnego. Tam dowiedział się, że panna Horzeńska już nie pracuje. Otrzymała miesięczny urlop bezpłatny, ponieważ jednak nie dała w terminie znać o sobie, a do pracy nie stawiała się, skreślono ją z listy akwizytorów.

W najwyższym stopniu zaniepokojony tem wszystkim, nazajutrz poszedł znowu na Królewską. Udało mu się przypilnować dozorczynię, bardziej rozmowną, niż jej mąż. Ta zakomunikowała mu, że listy do pani Bożyńskiej przedadresowuje się do majątku jej krewnych na Pomorzu. Pozatem, że ta panienska, siostrzenica pani Bożyńskiej, wcale nie pojechała z ciotką, tylko całkiem innego dnia i to sama, a wymeldowana jest zagranicę, do „Francji”.

Pod adresem Niecków, do których pobiegł natychmiast, nie przyszła od Niry najmniejsza kartka.

Murek sam nie wiedział, co myśleć o tej sprawie. Czuł, że musiało się stać coś złego, że Nira nie powiedziała mu całej prawdy. Dlaczego?... Co ją zmusiło do zatajenia czegoś niewątpliwie ważnego i niewątpliwie groźnego?... Najdziwniejsze domysły przychodziły mu do głowy, każdy jednak wydawał się wkońcu nonsensem.

Po tygodniu daremnych rozmyślań, po wielu niedorzecznych wystawianach przed domem na Królewskiej i powtarzaniu telefonów do dyrekcji towarzystwa ubezpieczeniowego, rozstrojony nerwowo, bliski rozpacz, zdecydował się na napisanie bardzo obszernego listu do starej babki Horzeńskiej. Przewidywał, że list ten może pokrzyżować jakieś plany Niry, że Nira mogła i przed najbliższą rodziną zataić swoje zamiary. Wołał jednak narazić się na każde przykrości, niż żyć dłużej w takim stanie rozstroju nerwów. Dosłownie nie był zdolny do żadnej pracy, nie sypiał nocami, chodził ponury, nie jedząc nieraz przez cały dzień.

W liście opisał dokładnie i szczerze wszystko. Prosił o wyjaśnienia, o radę, wreszcie o adres Niry.

Od wysłania listu codziennie teraz chodził do Niecków dowiadywać się, czy nie nadeszła odpowiedź. Odpowiedzi jednak nie było. Działo to na Murka tak przygnębiająco, że obojętnie znosił już całkiem wyraźne dopominanie się Niecków, by zabrał swoje rzeczy.

W tym czasie zbliżył się bardziej do często nocującego w „cyrku” na Dzikiej, młodego włóczęgi, zwanego Amerykańcem. Amerykaniec uchodził za jednego z najdoświadczeńszych trampów. Zjeździł na gapę cały świat, całymi latami obijał się w Ameryce, w Anglii, w Niemczech, a nawet w Chinach i w Australji. Cwaniak był pierwszorzędny i lubił o swoich przygodach opowiadać. Murek prowadził z nim długie rozmowy, wypytując o sposoby podróżowania, o sztukę obchodzenia się bez dokumentów, o umiejętność porozumiewania się z ludźmi, których języka się nie zna, o zdobywanie jedzenia i papierosów. W relacjach Amerykańca wszystko wydawało się proste i łatwe. Oczywiście, tu i owdzie przyłapią, pobiją, wsadzą do paki, odstawią ciupasem do granicy. Oczywiście trzeba być wytrzymałym na chłód i upał, na pragnienie i głód. Ale zato co za rozkosz dopiąć swego i przyglądać się obcym krajom, miastom, ludziom, znać świat, jak własną kieszeń.

Murek był gotów na wszelkie trudy, nie chodziło mu jednak o przyjemność podróżowania, ani o satysfakcję poznania świata, który w gruncie rzeczy nie obchodził go wcale. Chodziło mu o Nirę. Odszukać ją, stanąć przed nią i zapytać:

— Dlaczegoś mi kłamała?... Co ukrywasz przedemną?... Jak możesz przez tak długi czas nie dawać znaku życia człowiekowi, który tak cię kocha?... Widzisz, odnalazłem cię za dziesięć granicami, by zażądać od ciebie prawdy.

Byłoby to bardzo piękne, ale trudno było ludzić się możliwością doprowadzenia do realizacji takich marzeń. Przedewszystkiem Murek nie wiedział, czy Nira rzeczywiście jest we Francji, po drugie Francja też jest ogromnym krajem, w którym odnalezienie jednego człowieka i to na własną rękę, bez pieniędzy, bez znajomości języka, byłoby niepodobieństwem.

Dlatego projekty swojej wyprawy zostawiał na wieczorne godziny półsennych rojeń, na jawie zaś podawnemu starał się jako tako zarobić na niezbędne alimenty dla Karolki i na mniej konieczny kawałek chleba i nocleg dla siebie. O zarobek zaś teraz było stosunkowo łatwiej, bo spadły duże śniegi i codzień magistrat potrzebował wielu rąk do pracy. Po zainkasowaniu dniówki Murek szedł zwykle na Leszno dowiedzieć się o listy.

Pewnego wieczora, wracając stamtąd, przechodził obok owego daszku, pod którym poznał kiedyś ową panienkę z Zoliborza. Ku swemu zdumieniu, zobaczył, że stała na tem samym miejscu i rozglądała się wokoło.

— Wiedziałaś, że pana tu dziś spotkam — przywitała go uśmiechem.

— Skądże pani wiedziała? Czy to też jasnowidzenie?

— Zwykle przecucie. A to ładnie tak niedotrzymywać obietnicy. Miał mnie pan odwiedzić!

— Poco miałem narzucać się pani — wymijająco odpowiedział Murek. — Każdy ma swoje towarzystwo.

— Ależ ja pana prosiłam!

— Bardzo pani dziękuję.

— Widocznie zależało mi na tem! — w jej głosie zabrzmiał ton irytacji. — No, teraz musi pan koniecznie iść ze mną.

— Odprowadzę panią.

— Nie, nie. Wstąpi pan do mnie. Jestem dziś sama. Moja przyjaciółka pracuje w telefonach międzymiastowych i ma teraz nocne dyżury.

Murek zaśmiał się:

— A to szykownego kawalera pani sobie przy tej okazji wybrała.

— Jak pan mówi! — oburzyła się.

— Ja przecie nic złego... Tak tylko, na mój wygląd.

Panienska skinęła głową:

— Pański wygląd obchodzi mię o tyle, że pan bardzo zmizerniał. Czy może pan chorował?

— Całe moje życie jest chorobą.

— I ma pan smutne myśli. Wie pan, co?... Zjemy razem kolację. To będzie cudowne. Tylko niech pan nie liczy na żadne frykasy. Bułki, masło i herbata z mlekiem. To, niestety, wszystko.

— Dla mnie to już są frykasy. Ale cóż ja będę panią objadał!

Próbował się wykręcić, chociaż w gruncie rzeczy miał wielką ochotę pójść do niej. Nie dla jedzenia. Tylko, ot, posiedzieć i porozmawiać z inteligentną dziewczyną, odetchnąć raz od wielu miesięcy innym powietrzem. Poprawdnie poszedłby tam i dawniej, gdyby nie przypuszczał, że ówczesne zaprosiny były tylko chwilowym kaprysem.

Po drodze opowiadał o swoim trybie życia, o warunkach pracy, o sposobach wyszukiwania zarobku, o noclegach na pryczy, o różnych ludziach, z którymi się styka.

Panienska żywo interesowała się wszystkim. Nie miała dotychczas najmniejszego pojęcia, że tak można egzystować i że tylu biedaków spędza w ten sposób całe życie.

W dużej, nowej kamienicy, winda jeszcze nie była czynna i panna Mika uważała za stosowne przeprosić Murka, że muszą wchodzić własnymi nogami aż na piąte piętro, co ubawiło go bardzo:

— Owszem, nie jestem przyzwyczajony wlaźć tak wysoko... z pustymi rękami — powiedział wesoło.

Mieszkanie było malutkie: dwa pokoiki i łazienka. Kuchnia mieściła się w niszy, a składała się z dwóch gazowych palników, zlewu i serji garnków. Przekonał się o tem zaraz na wstępie, bo Mika przedewszystkiem przystąpiła do nastawiania wody na herbatę.

W obu pokojkach stało niewiele mebli, było jasno i tak czysto, że Murek krępował się usiąść, by swem ubraniem nie zawalać obicia krzesła.

— Nie mamy ani gramofonu, ani radja — powiedziała Mika. — Zatem musimy rozmawiać. Jak się tu panu podoba?

— Bardzo ładnie i tak zacisznie, że się zapomina o reszcie kamienicy i o istnieniu paru setek ludzi, którzy obok mieszkają.

— Pan tak nie lubi ludzi?

— Kiedyś ich nie znałem — odpowiedział enigmatycznie.

— No, a lubić można tylko tych — zakonkludowała, — których się zna.

— Bardzo mi przykro wobec tego — zażartował Murek — że pani mnie nie lubi.

Potrząsnęła głową:

— Nie udał się panu dowcip, bo przecie pana znam.

— O ile można znać kogoś, widząc go drugi raz w życiu.

— Nawet nie widząc wcale.

— A to w jaki sposób? — zdziwił się.

— Ze słyszenia. Czy nie zdarzyło się panu nigdy słyszeć o sobie wiadomości, powtarzanych przez ludzi, których pan w życiu nie widział?

Murkowi przypomniały się plotki pani Rzepeckiej i przyznał:

— Owszem, ale pani nie zadaje się z takimi, z którymi ja się stykam. Zresztą choćby nawet tak było, to najwyżej dowiedziałyby się pani, że przezywają mnie wśród nich Trzewikiem.

— Jak?

— Trzewikiem.

— Bardzo niemądre przezwisko — skrzywiła się. — Skądże takie powstało?

— Ot, przygodnie. W tych sferach nikt nie posługuje się nazwiskiem, bo i niebezpiecznie.

— Dlaczego niebezpiecznie?

— Zostawia się policji wyraźny ślad.

— A większość pańskich towarzyszy niedoli pragnie uniknąć zetknięcia się z policją.

— Nie większość. Wszyscy.

— I pan też? — zapytała z przestachem.

— I ja też.

Zamilkła i dopiero po dłuższej chwili zapytała:

— A... a czy... pan popełnił... coś takiego?

Wzruszył ramionami:

— Och, nic „takiego”. Jestem bezdomny, bezrobotny, jestem nędzarzem. To wystarczy.

Tyle goryczy było w jego słowach, że Mika, mimowolnym ruchem, oparła mu rękę na ramieniu i zarumieniła się, gdy to spostrzegła.

— Więc wszystko kwestja pieniędzy?... Nie, nie wierzę, by pan tak na świat patrzył!

— Nie ja, ludzie tak patrzą. Niechże pani sama powie, czy pieniądze nie klasyfikują ludzi. Naprzykład, człowiek zamożny jest na ulicy przechodniem, a obdartus gapiem. Ktoś, kto podróżuje z pełnym portfelem nazywany jest turystą. Niech jednak nie ma pieniędzy, już staje się włóczęgą. Żyjący w dostatku ma tytuł „osoby”, a bogacz „osobistości”, lecz nędzarz jest tytko „osobnikiem”. Pieniądze uprawniają do nieprzestrzegania form towarzyskich. Zyskuje się opinię oryginała, biedak za to samo będzie nazwany chamelem. Bogaty, gdy bije po pysku, broni swego honoru, hołysz jest poprostu opryskiem. Nawet w kryminale rozróżnia się takie rzeczy stanowe. Gość, co świśnie miljon, jest defraudantem, a żebrak, co wyciągnie bliźniemu z kieszeni złotówkę, to złodziej.

— Tak może jest, niestety — przyznała Mika, — ale pan napewno nie w ten sposób patrzy na świat.

— Ja... Ja, proszę pani... Ja staram się jeszcze patrzeć na świat inaczej.

— I powinien pan w tem wytrwać!

— Czy ja wiem — odpowiedział po namyśle.

— Ja wierzę panu.

Murek dość lekceważąco machnął ręką:

— Co tam pani wie... Pani jest jeszcze bardzo młoda, gdyby pani przeszła to, co ja...

Pani jest naiwna.

Mika zaczerwieniła się.

— Czy dlatego pan to mówi, że wierzę w pańską uczciwość i pański charakter?

W jej głosie zabrzmiała nutka urazy, lecz Murek nie zwrócił na to uwagi.

— Taka wiara jest gołosłowna.

— A właśnie, że nie!

— I bardzo... bardzo ryzykowna.

— Dlaczego?

— Niechże się pani zastanowi! Uroiła pani sobie, że spotkany na ulicy włóczęga jest ideałem uczciwości i szlachetności...

— Przypuśćmy, że uroiłam, i cóż z tego?

— A to z tego, że sprowadza go pani do swego mieszkania. I zostaje pani z nim we dwójkę, z obcym drabem, który może być najgorszym bandytą!

Zaśmiała się:

— Jestem zbyt biedna, bym miała się bać rabunku.

Murek zniecierpliwiał się:

— Ale nie chodzi o rabunek!

— Tylko o co?

— O co, o co? O to, że mógłby taki drab rzucić się na panią i zrobić z nią wszystko, coby się mu podobało. Rozumie teraz pani?

— Tak.

— No, więc, co to jest, jeżeli nie naiwność?

— Znajomość ludzi.

— Pani jest paradna! — prawie rozgniewał się. — I nie radzę robić takich eksperymentów. Może pani tego jeszcze gorzko żałować. Taka młodziutka i ładna panienczka to łakomy kąsek, zwłaszcza, gdy sama w ręce idzie, gdy wprost zawężmie się, by facetowi wszystko ułatwić. Tak nie wolno! Jeszcze narwie się pani z filantropią na drania, a wtedy już będzie poniewczasie. Nie można ufać tak każdemu...

— Ja też nie każdemu, tylko panu ufam.

— I niemądrze!

— A właśnie, że mądrze!

Śmiało patrzyła mu w oczy. Murkowi przysła gwałtowna ochota zastraszenia tej gęsi, która najwidoczniej uważała go za jakieś niewinne jagnię.

— Ech, pokazałbym ja pani, gdzie raki zimują — powiedział wstając i odtrącając nogą krzeselko. — Ale już niech tam... No, miała pani dać tę herbatkę?... Będzie, czy nie?

Umyślnie przybrał ton opryskliwy, lecz na Mice nie zrobiło to żadnego wrażenia. Przeciwnie. Zaśmiała się i zawołała:

— Jest pan bardzo grzeczny i dlatego już dostanie pan herbaty.

— Grzeczny, grzeczny — wzruszył ramionami. — Ja monopolki napiłbym się, nie herbaty. Może mi pani jeszcze da cukierka!

W żaden sposób nie dawała się zastraszyć ani zgorszyć. Nakryła do stołu i wesoło gawędząc, smarowała Murkowi bułki masłem.

— Nie — powiedziała wreszcie z przekonaniem. — Pan nie potrafi być groźnym.

— Jakto? I nic się pani nie boi?

— Ani trochę.

— Chyba dlatego, że Bóg podobno czuwa nad niewiniątkami.

— Nie tylko.

— A cóż jeszcze?

— A to, że pan nie może być niebezpieczny dla mnie, bo... pan się kocha w innej.

— Niech pani nie wyobraża sobie, że dla mężczyzn to jest równoznaczne z nienawiścią do reszty kobiet.

— Dla ogółu mężczyzn zapewne. Ale pan jest wyjątkiem.

— Słowem, uważa mnie pani za fujarę ostatniego rzędu?

Nic nie odpowiedziała, tylko zaśmiała się wesoło.

— I niechże mi pani wobec tego wyjaśni, po kiego licha zaprosiła mnie pani do siebie.

— Och, mój Boże, poprostu chciałam mieć towarzystwo przy kolacji.

— Akurat moje?

— Tak.

— Lepszego już w Warszawie nie było?

— Pojęcie „lepszosci” jest względne.

— Nie, proszę pani — nie ustępował Murek. — Niech pani nie wykręca się sianem. Mówiąc szczerze, to pani mnie wtedy pierwsza na ulicy zaczepiła. Pod tym daszkiem, podczas deszczu....

— I cóż z tego?

— Więc poco? Korzyści pani żadnej odemnie mieć nie może. Bo nawet węgla do pieców tu nosić nie trzeba: centralne ogrzewanie. Z nudów też pani tego nie zrobiła, bo kto od świtu do zmroku pracuje, nie ma czasu na wybryki z nudów. Podobać się też pani nie mogę, więc o cóż chodzi?

— Nie wie pan, że kobiety miewają kaprysy?

— Zawracanie głowy. W każdym najkapryśniejszym kaprysie musi być jakaś przyczyna.

— No, więc proszę: — Pan mi się podoba:

Murek spojrział na nią ponuro. Zdawało mu się, że ta panienczka kpi sobie z niego. Uczuł się tem boleśnie dotknięty.

— A ja pani powiem — odezwał się po pauzie — że to jest i nie subtelne i nawet okrutne drwić z kogoś, dlatego, że jest oberwusem i nędzarzem.

— Ależ proszę pana — krzyknęła Mika. — Ja mówię szczerze, mówię prawdę. To pan jest bardzo płytki jeżeli pan przypuszcza, że podobać się można tylko dzięki elegancji, czy tam ogolonej twarzy! Wstydzilby się pan doprawdy!

Była podniecona i rozgniewana. Murek przyglądał się jej ze zdumieniem.

— Tak! — mówiła wzburzona. — I trzeba być bardzo gruboskórnym, żeby nie wiedzieć, że się podoba kobiecie, a w dodatku podejrzewać ją o kpiny!

— Na miły Bóg! A cóż się pani we mnie podoba?... Czy ten brud i łachmany, czy to, że jestem fujarą i gruboskórnym?...

— Już teraz nic się nie podoba! — powiedziała z gniewem i zaczęła szybko sprzątać ze stołu.

Zabrała szklanki i Murek słyszał, jak głośno myła je nad zlewem. Nagle stanęła na progu i gestykulując mokremi rękami zawołała:

— I żeby pan nie wyobrażał sobie, że mam jakiekolwiek wyrachowanie.

— Wcale sobie nie mogę wyobrazić, gdybym nawet chciał.

— Bo ja wiem, że się panu ja właśnie nie podobam! Wiem z całą pewnością. Bo gdybym się panu podobała, toby pan nie zapomniał, jak wyglądam i poznałby mnie pan!

— Jakto poznałbym?

— Najprościej w świecie. Choćby tak, jak się poznaje każdego człowieka, czy choćby przedmiot, jeżeli wywarł na nas wrażenie dość silne, by zapamiętać jego wygląd.

— A wie pani! — zainteresował się Murek. — Że i mnie się wydawało, że już gdzieś panią widziałem...

— Otóż to! Nie raczył pan zwrócić na mnie uwagi.

— Ja bardzo przepraszam...

— Niema za co. To nie pańska wina, tylko moja. Trochę mi przykro, ale to nawet i lepiej.

— Więc niech mi pani przypomni!

— Nic nie przypomnę.

— Proszę mi chociaż powiedzieć, czy spotkałem panią tu, w Warszawie, czy gdzieś na prowincji, czy może kiedy w pociągu?...

— W sa-mo-lo-cie!! — wysylabizowała.

— To niemożliwe. Ja nigdy nie latałem.

— O? Serjo? To wielka szkoda — zaczęła umyślnie mówić szybko. — Podróż lotnicza to bardzo przyjemna rzecz. Daje dużo emocji, no i widoki, co za widoki! Pozatem szybkość i czystość takiej podróży. Ani odrobiny kurzu. Bo i skądby. Taki pęd powietrza wszystko wydmucha.

Napróżno próbował jej przerwać i prosił, by powiedziała, gdzie i kiedy się spotkali?

— Nic z tego — powtarzała. — Mówmy o lotnictwie.

Wreszcie zawyrokowała.

— Za to, że pan mnie sobie nie przypomina, musi pan być ukarany. Zgoda?

— Zgoda.

— Przyjmuje pan pokornie karę?

— Najpokorniej.

— Więc trzymam pana za słowo! Otóż za karę pańska ciekawość musi odcierpieć. Owszem, powiem panu gdzieśmy się widzieli i kiedy to było, ale powiem dopiero wtedy, gdy uznam to za stosowne.

— Ale jeszcze przed moją śmiercią? — zrobił płacziwą minę.

— Napewno — skinęła głową. — I przekonam się, czy pan ma męski charakter, czy będzie pan mnie nudził pytaniami, albo starał się dowiedzieć od kogoś innego, czy lojalnie zaczeka pan na moje osobiste rewelacje.

Pomimo solennej obietnicy Murek nie mógł przestać o tem myśleć i napróżno łamał sobie głowę.

Mika umiejętnie skierowała rozmowę na inne tematy: Murek ani się spostrzegł, jak zaczął jej opowiadać o swojej przeszłości, o ohydnej intrydze, przez którą został zredukowany w magistracie, o stopniowym staczaniu się w coraz gorszą nędzę, o beznadziejnej miłości do narzeczonej, której nie może zapewnić nawet najskromniejszego domu, o bezowocnych wysiłkach w celu znalezienia jakiegokolwiek posady.

Panienska słuchała z nieukrywanym przejęciem, wypytywała o szczegóły i często jej głos stawał się drżący, a oczy wilgotniały.

— To nie może tak być, nie może! Jest sposób. Napisać do Prezydenta.

— Co napisać?...

— Wszystko! Wszystko tak, jak pan mi to przed chwilą opowiedział. I prosić o rehabilitację, o sprawiedliwość, o powrót na dawne stanowisko, albo o nowe. To jest niepodobieństwo, by głowa państwa, by zwierzchnik najwyższy pozostawił to bez rozpatrzenia! Jestem przekonana, że to pomoże.

Murek zastanowił się i westchnął:

— A no, może i ma pani rację. Spróbuję.

— Niech pan to napisze, ale obszernie, z nazwiskami, z datami. Wszystko. A ja poproszę Marjetkę, by przepisała to na maszynie.

— Jaką Marjetkę?

— Kosicką, moją przyjaciółkę, u której tu mieszkam. Bardzo dobra i bardzo uczynna dziewczyna. Tylko nie wiem, czy...

Zawahala się i umilkła. Murek powiedział:

— Cóż ja będę ją swojemi sprawami trudził...

— Ach, nie, nie to. Tylko widzi pan, ona... może nie zechce pisać tej skargi, bo to do Prezydenta, a ona nie uznaje naszych władz.

— Jakto nie uznaje?

— Marjetka jest komunistką. Tylko — przestraszyła się — niech pan tego nikomu nie mówi! Broń Boże! Mogliby ją aresztować.

Murek wzruszył ramionami:

— Powinni.

— Ale ona nic złego nie robi — broniła przyjaciółki Mika. — A każdemu wolno mieć takie przekonania, jakie uważa za najlepsze. Złota dziewczyna. Napewno zgodzi się, już dla mnie to zrobi.

Umówili się, że za dwa dni spotkają się pod znanym daszkiem, dokąd Murek miał przynieść rękopis skargi.

Najgorzej było z pisaniem. Znał wprawdzie w mieście kilka takich klatek schodowych, gdzie bezpiecznie można było usadowić się na parapecie okna, przynajmniej póty, póki dozorca nie spędzał. Jeszcze wygodniej byłoby w Urzędzie pocztowym, lecz czatujący tam wywiadowcy lubili zbyt często zapraszać podejrzanie ubranych na przesłuchiwanie do komisarjatu. O pisaniu na świeżem powietrzu nie mogło być mowy. Nastaly silne mrozy, od których grabiały nietylko palce, lecz i całe ciało stawało się sztywne i obolałe. Przez marynarkę, sweter i dwie koszule chłód przenikał z taką łatwością, jakby człowiek wcale na sobie nic nie miał. Na Kercelaku w związku z tem ceny palt poszły w górę. Za najlichszą jesionkę, porządnie już przetartą żądano najmniej piętnastu złotych. Co sprytniejsi współlokatorzy z noclegów zaopatrzili się od dawna w watowane palta, lub nawet w kozuchy. Lecz Murek ani umiał, ani chciał posługiwać się ich sposobami.

Dlatego nie wykończył swego obiecanego elaboratu na czas i nie stawił się w umówionym dniu pod daszek. Przypilnował Mikę dopiero pod koniec tygodnia i wręczył jej plikę arkusików różnego formatu, zapisanych gęsto ołówkiem.

Kazała mu zgłosić się na Żoliborz, ale po niedzieli, gdyż Marjetka obiecała przepisać, gdy skończy nocne dyżury w telefonach.

W wyznaczonym terminie robota rzeczywiście była skończona. Mika wręczając to Murkowi, powiedziała:

— Marjetka koniecznie chce pana poznać.

Murek zrobił niechętny gest ręką.

— Och — zgorszyła się Mika. — Nie odmówi jej pan tego. Była przecie dla pana tak życzliwa.

— Ale poco?

— Twierdzi, że musi z panem pomówić. Coś tam gadała, że jest pan na błędnej drodze i że szkoda takiego człowieka. Obiecałam jej, że was poznam. Tembardziej, że wspomniała o możliwości pracy dla pana.

To zainteresowało i Murka, niestety, Mika nic bliższego powiedzieć nie umiała. Natomiast wygadała się, że sama na swoją rękę robiła starania, by znaleźć dlań jakieś zajęcie w firmie, w której pracuje. Na nieszczęście wszystko speliło na niczem, gdyż i tam redukują personel biurowy.

— I mnie taki los spotkał — zakończyła, rozkładając ręce.

— Co pani mówi?...

— Och — uspokoiła go. — Z biura musiałam ustąpić, ale dano mi inną pracę. W laboratorjum.

— A cóż to za firma? Chemiczna?

— Tak. Fabrykacja różnych lekarstw, preparatów, specyfików. Bardzo duża firma. Napewno zna ją pan, chociażby z reklam. „A. Zleist i Spółka”.

— Oczywiście, wiem — potwierdził. — A co pani w tem laboratorium robi?

Mika zlekka zarumieniła się:

— Ach, bardzo nieprzyjemne rzeczy. Nawet obrzydliwe... Bo widzi pan, ja pracuję teraz w wydziale preparatów hormonowych. Tam wycina się różnym biednym zwierzątkom pewne gruczoły, których wydzielina idzie na wzmocnienie... temperamentu rozmaitych pań i panów. Brr... Gdyby ci pacjenci wiedzieli, jak dla nich cierpią biedne koguty, kury i króliki!... Ja, po tem wszystkim, za żadne skarby nie wzięłabym do ust tych pastylek, aniby pozwoliła zastrzyknąć sobie tych hormonów. Człowiek jest najbardziej egoistycznym i bezlitosnym stworzeniem na ziemi. Najpierw odbiera biednym zwierzętom ich radość życia, a później je całe zjada...

— Jakto zjada?... To wy tam jecie te swoje ofiary?

— Gdzież tam. Nie my. Ale przecież w każdej restauracji można dostać porcję kapłona, czy pulardy.

Murek z niedowierzaniem patrzył na delikatne, wątłe, niemal przezroczyste ręce Miki. I temi właśnie ślicznymi rękami wykonywała ona owe obrzydliwe operacje.

— I może pani to robić? — zapytał z niedowierzaniem.

— Muszę — uśmiechnęła się smutnie. — W biurze nie było pracy, zaproponowano mi to zajęcie, cóż miałam począć? I za to powinnam być wdzięczna.

— Ależ to są świny — oburzył się. — Żeby młodej panience dawać tak bezwstydną robotę! To nie mogli znaleźć w całej firmie innego miejsca, a tam postawić mężczyźnę?

— Zapewne. Ale mężczyznom więcej trzeba płacić. A my dostajemy po sto czterdzieści złotych miesięcznie. Niech pan nie myśli, że pracuję tak sama. Jest nas przeszło dwadzieścia kobiet. Przeważnie młode panienki. Są dwie studentki medycyny i te przynajmniej niejako są w swoim fachu, ale inne nic z tem wspólnego nie mają. Jedna na przykład studjuje inżynierję lądową, druga jest w Konserwatorium, a ja mam koleżankę, rzeźbiarkę, z którą kiedyś uczyłyśmy się w Szkole Sztuk Pięknych. Cóż począć. Trzeba. Spoczątku brzydziłam się okropnie i wstydziłam się, ale do wszystkiego widocznie można się przyzwyczaić. Może i nie zdecydowałabym się na te hormony, ale Marjetka zakrzyczała mnie, że żadna praca nie przynosi ujmę i że trzeba gwizdać na przesady.

— O, przepraszam — zaoponował Murek. — Praca wprawdzie nie przynosi ujmę, ale gwizdanie na to, co pannie Marjocie podoba się nazywać przesadami, to całkiem inna para kaloszy. To wcale nie przesąd. Mężczyźni są właśnie do tego, by brać na siebie wszelką nieprzyjemną i brutalną pracę. Bo chcą w kobiecie widzieć coś lepszego i czystsze od siebie. I muszą starać się, by osłonić ją przed wszystkimi brudami życia. Gdybym ja był dyktatorem, czy tam innym królem, wydałbym ustawy, zabraniające zatrudniania młodych dziewcząt przy podobnych świństwach. Kobieta powinna być upiększeniem, ozdobą, piękniejszą stroną naszego życia. Należy pielęgnować w niej dobroć, szlachetność, subtelność uczuć, żeby mężczyzna, wracając do domu, mógł przy niej i dzięki niej, zapomnieć o wszystkim, co w walce o byt jest złe i brudne, by miał obok siebie żywe źródło wiary w inne wartości, niż chleb i władza, w wartości duchowe. Dlatego wogóle jestem przeciwnikiem pozadomowej pracy kobiet.

— Więc lepiej niech umierają z głodu?

— No, nie — zawahał się Murek. — Obecne czasy nie są normalne. Ale należy dążyć do zupełnego uwolnienia kobiet od zajęć zarobkowych, od walki o byt, od babrania się w tem, co mocniejsze męskie nerwy zniosą, przed czem twardszy charakter męski nie ugnie się, a co kobietę najczęściej złamie i zaszarga.

Mika zapytała bez przekonania:

— Więc według pana kobieta ma być lalką do zabawy?

— Wcale nie lalką — zaprotestował. — Powinna być łącznikiem między duszą męża, a tym światem piękna i radości, o którym gotów zapomnieć grzęznąc po uszy w trosce o byt. Czyż to nie szczytne i nie wielkie zadanie?... W uboższych warstwach społecznych kobiety pracują narówni z mężczyznami. A skutek? Oboje zmieniają się w otępieła zwierzęta pociągowe, dla których poza trudem i jedzeniem nic już niema.

Zamyślił się i po chwili dodał:

— Kobieta, którą kocham, mogłaby mi dać pełnię szczęścia, ową całą piękną stroną życia. Niestety, ja nie mogę zapewnić jej takich warunków egzystencji materialnej, bez jakich najcudowniejszy kwiat uwiędnie.

Mika lekko przybladła:

— A nie boi się pan zawodu?

— Jakiego zawodu?

— No, przypuśćmy, że zdobył pan już owe warunki materialne. Czy jest pan pewien, iż pańska ukochana potrafi dać z siebie to, czego się pan po niej spodziewa?

— Oczywiście — bez wahania odpowiedział Murek, lecz nagle ścisnęło mu się coś w sercu i dorzucił: — O ile na świecie wogóle istnieją rzeczy pewne, całkowicie pewne.

Mika nalala dwie szklanki herbaty i smarując masłem bułkę powiedziała z namysłem:

— Owszem. Są rzeczy pewne. Jeżeli się kogoś zna bardzo blisko, jeżeli nie są przed nami skryte żadne myśli danej osoby, jeżeli wiemy o każdym jej kroku...

Murek nagle spochmurniał...

— Znam takie wypadki — wolno ciągnęła Mika — gdy wierzono komuś, absolutnie nie zasługującemu na zaufanie. Miłość zaślepia. Czy na przykład pan... Ja przepraszam, że wtrącam się do tych rzeczy, ale mówię tylko dla przykładu. Czy na przykład pan nie ma żadnych wątpliwości co do postępowania kobiety, którą kocha? Czy niektóre rzeczy nie wydają się panu tajemnicze, niezrozumiałe?...

— Skąd... skąd pani wie?... — zapytał ochryplym głosem.

— Nic nie wiem — wzruszyła ramionami.

Murek uśmiechnął się z przymusem:

— Dziwna z pani dziewczyna. Ja takich obaw nie mam, chociaż...

— Chociaż byłyby do nich podstawy? — podchwyciła.

— Tak... Ale zewnętrzne. Pozory.

Po chwili dodał:

— Rzeczywiście mało ją znam. Zamało. Złożyło się na to wiele przeszkód. Nieuniknionych. Widzi pani, ja sam przed nią musiałem zataić moje bezrobocie, bezdomność i nędzę. Może było to z mojej strony tchórzostwo. Nie chciałem jej tem przerazić, jej, która napewno wogóle nie wyobraża sobie, by można było żyć tak nędznie.

— Więc ona pochodzi z warstwy zamożnej?

— Tak, chociaż teraz jest też zmuszona do pracy.

— Ach, więc o to chodzi. Zakochał się pan w niej, gdy jeszcze była aniołem, który nie skalał swych stóp dotknięciem ziemi. I dlatego właśnie zakochał się pan w dziewczynie z warstwy próżnującej... Dla zapewnienia sobie w domu istoty czarodziejskiej i niezemskiej. A ona jest taką snobką, że wstydziliby się pana, dźwigającego ciężary i sypiającego w domach noclegowych?... Czy tak?...

W spokojnym i ciepłym głosie Miki zadźwięczały ostre tony, niemal szyderstwa.

— A czy nie przypuszcza pan, że ten anioł upiększa życie komuś innemu?... Czy nie rozumie pan, że ten anioł nigdy, słyży pan, nigdy nie potrafi ocenić pańskiego ciężkiego trudu i pańskich zgrubiałych rąk i żadnej pracy?... Czy ten anioł, po rozebraniu się z kosztownych piórek, nie okaże się zwykłym pasorzytem?!...

Na twarz Miki wystąpiły czerwone plamy, oczy straciły swój łagodny wyraz i uderzały gniewnymi spojrzeniami, ręce kurczowo ścisnęły serwetkę.

On siedział ponury i najgorsze podejrzenia zaczęły go dręczyć. Nie umiał się zdobyć na obronę. Chociaż od wczesnego ranka nie miał nic w ustach, zapomniał o głodzie.

— Pójdę już — zerwał się z krzesła.

Mika opamiętała się:

— Ależ pan nic nie jadł!

— Nie mogę — powiedział szczerze. — Pani powinna to zrozumieć. Nie mogę.

— Co ja narobiłam! — załamała ręce. — Proszę pana! Niech pan tego na serjo nie bierze. Ja bardzo przepraszam. Proszę mi wierzyć, że ja tylko przez życzliwość dla pana...

— Wierzę — mruknął i sięgnął po czapkę.

Mika zastąpiła mu drogę:

— Nie gniewa się pan na mnie?

— Skądże...

— Napewno nie?

— Nie, bo i za co? Mówiła pani od serca... A ja... Ja wolałbym już, żeby było bodaj i to prawdą, byłem nareszcie wiedział... Ach, żeby coś pewnego wiedział...

Chwyciła go za rękę:

— Pan szczerze to mówi? Chce pan?...

Wpatrzył się w nią z przerażeniem:

— Co pani wie?...

— Mniejsza o to. Ale dam panu coś bardzo ważnego. Niech pan jutro czeka na mnie pod daszkiem. Przyjdzie pan?

— Przyjdę. Ale niech mi pani zaraz powie...

— Nie — przerwała stanowczo. — Nic panu dziś powiedzieć nie mogę, a potrzebnych rzeczy nie mam w ręku. Przyniosę je panu jutro. Dowidzenia.

— Dowidzenia — automatycznie odpowiedział Murek i półprzytomny zbiegł ze schodów.

Cięty mróz szybko przywrócił mu przytomność. Biegł kilkadziesiąt kroków, później zwalniał i z całej siły rozcierał uszy, nos i policzki, by znowu przejść w klusa. Ostre powietrze rozpierało płuca i aż hamowało oddech. Z Żoliborza na Leszno dobrych kilka kilometrów przebył Murek w niespełna półgodziny. Brama jeszcze była otwarta, a stary Niecka w olbrzymim kożuchu i bezgłośnych wojłokowych stęporach czekał przy furtce na przepisową godzinę

Murka przywitał krótko:

— Tam listy do pana Franciszka są.

— Skąd?

— Dyc z poczty. Skąd mają być?

Wpadłszy do cieplej izby, miał wrażenie, jakby go wyjęto z ukropu. Nieckowa podała mu dwa listy. Z trudem otworzył zgrabiałymi palcami pierwszy: była to odmowna odpowiedź na prośbę o posadę w Poznańskiej Fabryce Karoserji. Drugi: poznał charakter pisma babci Horzeńskiej. Na białej ćwiartce papieru widniało kilka zdań:

„Jestem poważnie chora i dopiero dziś czuję się o tyle lepiej, że mogę Panu odpisać. Zresztą nie było z czem się śpieszyć. Dowiedział się Pan już dawno wszystkiego z prasy. Jest to podła dziewczyna i niech jej Bóg przebaczy naszą hańbę i wstyd, a Pańską krzywdę, bo ja nawet teraz, w przeddzień śmierci, przebaczyć nie umiem. Dla Pana to szczęście, że jeszcze nie była Pańską żoną”.

Murek nie słyszał ani zaproszeń do ogrzania się przy piecu, ani pytań, ani rozmowy rodziny Niecków.

Raz po raz czytał list, stojąc nieruchomo wpatrzony w litery, które zaczęły mu skakać przed oczyma i zlewać się w niezrozumiałe wykrętasy. W głowie zakręciło się i zatoczył się pod ścianę, przy której byłby upadł, gdyby nie podchwyciła go Julcia.

W izbie zrobił się rwetes. Murka przemocą usadzono na krześle, a zięć Niecków wmusił w niego spory kubek wódki. Na półgłośnie protesty żony, odpowiedział z pasją:

— Chcesz, żeby człowiek kopyta wyciągnął?!... Nie widzisz, że jakieś nieszczęście na niego spadło?... Wódki będzie żałować!

Murek słyszał to, jak przez sen. Po kwadransie jednak stopniowo odzyskał świadomość. Alkohol rozgrzał stężoną od mrozu krew, serce zaczęło bić mocno i równo.

Wzrok trafił na zaciśnięty w garści arkusik papieru. Przetarł oczy i przeczytał jeszcze raz.

— Cóż ona zrobiła?! — zapytał głośno, aż wszyscy spojrzeli nań z zaciekawieniem.

Spostrzegł się i wstał. Zdawkowymi słowami przeprosił, podziękował i wyszedł. Wódka wypita na czczy żołądek działała zbyt silnie. Zataczając się, dobrnął na Dziką do Cyrku i zwałił się na pryczę, jak kłoda. Dopiero zrana ból dał mu znać o odmrożeniu, którego musiał się nabawić, idąc z Leszna. W kieszeni znalazł zmięty list babci Horzeńskiej.

Próżno głowił się nad nim przez cały dzień, próżno chodził po administracjach dzienników, szukając w kompletach pism jakichkolwiek wyjaśnień.

Wieczorem o umówionej porze czekał pod daszkiem. Mika przyszła punktualnie. Była zdyszana i podniecona.

— Dam panu to — zaczęła — ale pod jednym warunkiem. Musi mi pan dać słowo honoru, że żadnego głupstwa pan nie zrobi.

— To są gazety? — zapytał wskazując rulon, który trzymała w ręku.

— Tak — potwierdziła. — Ale nie dam ich panu, póki nie otrzymam przyrzeczenia, że nie zrobi pan żadnego głupstwa.

Wzruszył ramionami i wyciągnął rękę, Mika jednak cofnęła paczkę.

— I jeszcze jedno musi mi pan obiecać: spełni pan moją prośbę, którą napisałam tam na karteczce. Dobrze?

— Dobrze — odpowiedział obojętnie.

— Więc proszę. I niech pan... niech pan z jednego przykładu nie sądzi wszystkich.

Podawała mu paczkę, skinęła głową i szybkim krokiem zawróciła w boczną ulicę.

Murek wszedł do pobliskiej mleczarenki, namacał w kieszeni kilka niklowych monet i poprosił o szklankę herbaty.

Spokojnie i ostrożnie rozwiązał sznurek i odwinął żółty papier. Wewnątrz było kilka-naście wycinków z gazet i karteczka na samym wierzchu. Podpis na niej uderzył Murka w oczy i wyjaśnił wiele: Mika Bożyńska! Więc to ta kuzynka Niry, ta sama milcząca panienska, którą raz czy dwa razy widział na Królewskiej... Jakże mógł jej nie poznać!... Chyba dlatego, że wtedy nosiła włosy inaczej. Miała na głowie wielką jasną strzechę, a teraz czesała się gładko...

Zaczął rozwijać gazety. Niestety były to wycinki, lub całe strony z pism francuskich, a Murek prawie nie znał tego języka. Tyle co z gimnazjum. Przedewszystkiem jednak w oczy rzuciły się fotografie. Poznał ich odrazu: Nira i Junoszcyc.

Krew mu uderzyła do głowy. Jakże był naiwny, że nie pomyślał o tym łajdaku odrazu!

Z trudem przypominając znaczenie poszczególnych słów starał się odcyfrować sens wzmianek i artykułów. Wielkie nagłówki i podpisy pod fotografiami były dość zrozumiałe: „Para międzynarodowych oszustów”, „Aresztowanie polskiego aferzysty i jego kochanki”, „Piękna kurtyzana w roli księżniczki” „Miljonowe oszustwa w Nicei i w Paryżu”, „Hrabina Bontoppuli i amerykański milioner Realy ofiarami sprytnej aferzystki”, „Gościnne występy cudzoziemskich złodziei”. „Jak się wyludza pieniądze od naiwnych”. „Panna Nira Horzeńska wyludziła w ciągu nocy trzysta tysięcy od zakochanego Amerykanina” i t. d., i t. d.

Z treści Murek zdołał wyciągnąć masę często sprzecznych wiadomości. Pisma podawały, że w Paryżu i w eleganckich miejscowościach Riwiery, już od szeregu miesięcy grasowała para podejrzanych cudzoziemców, podających się za księcia i księżnę Junoszcyców. Mieszkali w najdroższych hotelach, posiadali luksusowe auto i kamerdynera, który okazał się oddawna poszukiwanym specjalistą od fałszywych czeków, słynnym Georgem Bourton.

Postępując się akcjami fikcyjnych przedsięwzięć, oszuści umieli oplątać wiele możnych osób, naciągając je na poważne sumy. Pozatem rzekoma księżna nawiązywała flirty z różnymi żonatymi panami i aranżowała schadзки, podczas których zjawiał się jej kochanek i, grając rolę zdradzonego męża, groził skandalem i kompromitacją. Świadkiem przyłapania „księżny” in flagranti był z reguły „kamerdynier”, występujący w roli prywatnego detektywa. „Książę” najpierw groził rewolwerem, lecz gdy „niewierna” rzuciła się mu do nóg z płaczem, dawał się ubłagać i rezygnował ze skandalu pod warunkiem, że rozwiedzie się z nią natychmiast, a winowajca ją poślubi. Żonaty winowajca oczywiście był w rozpaczy i skwapliwie godził się, raczej na „zapewnienie bytu” przyszłej rozwódce, czyli na odszkodowanie, wyrażające się w kwotach od 20 do 30 tysięcy franków.

Po każdej takiej aferze oskubany jegomość czempredziej wyjeżdżał, a „księstwo” przenosili się do innej miejscowości. Olbrzymie zyski z tego procederu szły na hulaszczę życie i na ruletkę. Przedsiębiorstwo prosperowało świetnie, póki jedna z ofiar, angielski parlamentarzysta, sir B. M., zorientowawszy się w całej machinacji, nie zawiadomił policji.

Przy rewizji w wytwornym apartamencie oszustów znaleziono fałszywe akcje, paszporty, czeki i cały arsenał pieczęci i stempli oraz podrobionych blankietów różnych firm, banków i przedstawicielstw dyplomatycznych. W arystokratycznych sferach Paryża, gdzie powszechnie przyjmowano polskiego „księcia” i jego „żonę”, aresztowanie wywarło wielką sensację.

Z dalszych wycinków, gdzie szczegółowo i obszernie opisane były poszczególne oszustwa, wynikało, że „kamerdynier”, Bourton zdołał zbiec przed wejściem policji, że „książę” Junoszcyc został osadzony w więzieniu, zaś „m-lle Horzeńska” została wypuszczona za grubą kaucją, którą złożył za nią jeden z jej wielbicieli brazylijski plantator, R. C. Maljo. Co najciekawsze, brazylijczyk sam był niedawną ofiarą pięknej Polki, lecz widocznie nie

mógł o niej zapomnieć, gdyż sam zgłosił się do sędziego śledczego z propozycją uwolnienia oszustki.

Następował drobiazgowy opis uwolnienia Niry Horzeńskiej i odjazdu jej wraz z panem Maljo, jego samochodem w niewiadomym kierunku.

Murek podniósł głowę i w lustrze na ścianie zobaczył swoją twarz kredowo błądą i głupio uśmiechniętą.

Paru łykami wypił herbatę, która tymczasem zupełnie wystygła, złożył gazety i wsadził je w kieszeń. Potem obojętnie przeczytał kartkę Miki Bożyńskiej. Prosiła, by nie brał do serca utraty istoty złej i niegodnej, by wierzył, że są inne, uczciwe i wierne kobiety. Prosiła jeszcze, by koniecznie nie zapomniął o niej, prawdziwej swojej przyjaciółce...

Zaśmiał się półgłosem i wepchnął list Miki do kieszeni, między wycinki.

— Wszystkieście jednakie — pomyślał z nienawiścią. — Wszystkie.

Sam dziwił się swemu spokojowi. Wszystko widział, wszystko rozumiał, na wszystko patrzył trzeźwo. Tylko w piersiach, w płucach, czy w sercu coś boleśnie darło. Wyjął nikielową złotówkę i zastukał w obciążony starą ceratą blat stolika.

— Co płacę?

Zbliżyła się pulchna, młoda brunetka, ekspedjentka i kelnerka w jednej osobie. Miała oczy filuterne, dołki w policzkach. Uśmiechała się do Murka.

— Tak patrzyłam, jak panu herbata ostygła — odezwała się zalotnie. — Może dać gorącej?

— Nie — odburknął niegrzecznie i pomyślał, że ta też przymila się, jak Nira, jak one wszystkie. Z przyjemnością powiedziałby tej dziewczynie właściwe słówko. Spojrzył jednak na jej ręce odbierające miedziaki. Ręce były grube, spracowane, czerwono-sine. I przypomniał sobie nagle, że jego ręce są takie same, że są jednakowo biedakami, ciężko zarabiającymi na swój chleb i swój nocleg, w brudzie i w chłódzie, w szarem, głodnym, bezbarwnym życiu. A cóż robią ci, których stać na białe ręce, na auta i luksusy?... Jeszcze im tego mało. Gotowi utarzać się w najgorszym błocie, byle zdobyć więcej.

— Nie trzeba reszty, panienko — powiedział wstając. — Niech panienka sobie trzyma.

Kiwnął jej głową i wyszedł. Wiatr uderzył go w plecy i popychał ostremi podmuchami. Dopiero w pobliżu Wisły zmienił kierunek i dał teraz wprost w twarz, wściekle, zajadle, nieustępliwie. Murek stanął na moście, wyciągnął z kieszeni plikę wycinków, rwał je na strzępy, które wiatr wyrывał mu z rąk i niósł w ciemność nad zmarzniętą rzekę. Gdy już nic nie zostało, splunął i zawrócił do miasta.

Na Krakowskim Przedmieściu musiał się zatrzymać. Nie było przejścia. Pomimo mrozu stał tłum gapiów przed wielkim i rześcicie oświetlonym gmachem, z którego za każdym otwarciem drzwi dobiegały urywki melodii. Wewnątrz był bal. Przed wejście jedna po drugiej zajeżdżały lśniące limuzyny. Portjer w czerwonej liberji podbiegał, polyskując złotymi galonami, i otwierał drzwiczki. Z miękkich, wyściełanych, zacisznych wnętrz wysiadali panowie w cylindrach i panie w kosztownych futrach. Ich stopy migaly spod długich sukien ażurowymi pantofelkami, złotymi i srebrnymi. W nozdrza uderzał silny zapach perfum i oto przed pojazdem wsuwał się nowy samochód, majestatyczny, bezgłośny, lśniący, a wewnątrz uśmiechnięci panowie, pachnące panie, błyski brylantów i szelest drogich jedwabów.

Dwaj policjanci, zziębnięci i przytupujący nogami torowali drogę autom i ich właścicielom, raz po raz pokrzykując groźnie na cisnących się gapiów:

— Rozejść się! Proszę się rozejść!...

I oto Franciszek Murek poraz pierwszy w życiu zadał sobie pytanie: Dlaczego?

Dlaczego on i jemu podobni mają rozchodzić się i ustępować miejsca tamtym, wyfutrzonemu, sytem, bogatemu? Z jakiego tytułu, na podstawie jakich praw ludzi tak podzielono, że tamci właśnie mają wszystko, a on, Franciszek Murek, nic niema? Dlaczego?...

Aż zdumiał się nad własnym pytaniem. Przez całe dotychczasowe życie nie przyszło mu na myśl zastanawiać się nad tem. Czy wierzył w to, że tak być musi, czy wiedział, że niczego w tym porządku zmienić nie potrafi. Czy był przekonany o słuszności tego porządku?... A przecie niczem od tych ludzi się nie różnił. I cóżby się zmieniło, gdyby on, Franciszek Murek, wyrzucił z tego auta wyfraczego bogacza, gdyby zajął jego miejsce, do syta napełnił swój żołądek, do pęknięcia wypchał pieniędzmi kieszenie, zawładnął jego

własnością, odebrał mu władzę? Nic. Nicby się nie zmieniło. Nawet te dziwki w jedwabiach i w złoconych pantofelkach tak samo opierałyby się o ramię Franciszka Murka, bo im przecie tylko o użycie chodzi, nawet ci sami policjanci rozpędziliby tłum przed jego autem i krzyczeli, jak posłuszne automaty:

— Rozejść się! Proszę się rozejść!

Jakież śmieszne wydało się teraz Murkowi przeświadczenie, że władza i bogactwo przypada ludziom słusznie z urodzenia, z zasługi, z ich wysokiej wartości wewnętrznej. Prawie połowa ludzi to Junoszyce i Horzeńscy, a reszta matoly, dziedziczące po przodkach majątki, kiedyś przez tych przodków, dawniejszych Junoszców uzbierane, lub też spryciarze i karjerowicze polityczni, co na cielej naiwności tłumu Murków wyjechali w górę.

A teraz wyniośle i obojętnie przemierzają swojemi lakierowanymi pantoflami te kilka metrów szorstkiego zamrożonego asfaltu od wyścielanego miękko samochodu do drzwi, za którymi odbywa się bal. Nawet nie widzą, nie dostrzegają tłoczących się gapiów. Jakby mijali martwe przedmioty, nie zaś podobnych sobie ludzi. A może dlatego są ostentacyjnie uśmiechnięci i zajęci swoim towarzystwem, że wielkodusznie chcą pozwolić biedakom podziwiać mały ulameczek swego beztróskiego życia?...

Murek obejrzał się na stojących obok niego. Zastygłe od chłodu twarze były martwe i bez wyrazu, ale oczy patrzyły źle i nienawistnie.

Jedna po drugiej zajeżdżały lśniące limuzyny. Groźnie, natarczywie krzyczały klaksony, jakby zdumione tem, że ktoś tam ośmiela się ich panom tarasować drogę. Nowa fala perfum uderzyła w nozdrza.

I Murek powiedział głośno:

— Pasorzyty, psia ich mać... Burzuje!...

A policjanci wołali:

— Rozejść się! Proszę się rozejść!

ROZDZIAŁ V

Silna była zima tego roku. Po mroźnym grudniu i styczniu przyszedł luty niebywale śnieżny. Od południa nadciągnęły ciężkie grube chmury i rozwiesiły się na niebie nieruchome, a z nich dniami i nocami bezustanku sypał śnieg.

Na dachach kamienic powyrastały kopiaiste papachy, drzewa w skwerach i ogródkach przysiadły w śniegu aż po gałęzie. Wzdłuż ulic wznosiły się z dniem każdym wyższe białe piramidy, przez jezdnie rankiem brnęło się niemal po kolana w suchym śniegu. Miasto wyglądało czysto, zacisznie i wesoło. Ale rósł w niem niepokój. Wielki brzuch miasta zaczął odczuwać próżnię. Brzuch, który pochłania dziennie setki tysięcy tonn chleba i mięsa, mleka i masła, węgla i drzewa, całe pociągi najrozmaitszych towarów, całe tabory żywności, nie mógł już otrzymywać regularnie swoich porcyj. Cały organizm stolicy począł odczuwać brak pokarmu. Z okien sklepów znikwały produkty, a na tych, które jeszcze zostały, ceny rosły i rosły.

Terkotały niecierpliwie aparaty telegrafu, po drutach telefonicznych biegly rozkazy za rozkazami, stacja radjowa wysyłała depesze:

— Oczyszczyć arterje dowozowe.

Ale niewiele to pomagało. Drogi, trakty i szosy zawiąło tak, że o przekopaniu się przez potężne zaspę, przez garbate kurhany nie mogły marzyć nawet najsilniejsze ciężarówki. Koleje zasypało tak, że gdyby nie szpalery słupów telegraficznych, nie wiedziałbyś nawet, że pod tą białą falistą przestrzenią jest grunt twardy, a na nim tory i szyny. Grzęzły w zaspach pociągi, potężne lokomotywy napróżno wyteżały swe stalowe ścięgna i wpierały się gorącą pierśią w nieustępliwy puch, złożony z drobnych kropelek zamrożonej wody, puch tak nikły, że rozpływał się w palcach, a przecie nie do pokonania. Ze świstem i warkotem pracowały pługi śnieżne, mozolnie zdobywając metr po metrze wolny teren. Wgryzały się w wysokie sypkie pagórki, żłobiąc w nich korytarze i po kilku minutach swobodnego biegu wbijały się w następny kurhan. Aż ustawały zziajane.

Z okolicznych wiosek, położonych o pięć, dziesięć i więcej kilometrów od toru, werbowano chłopów. Szli gromadnie i chętnie, radzi niespodziewanej okazji zarobku, dzięki któremu będzie na naftę, na sól do strawy, na zapałki, słowem na te zbytki, których od

paru lat już nie znali. Stawali rzędami, człowiek przy człowieku i aż furczały łopaty a ludzie spoceni, zgrzani i weseli przerzucali się żartobliwymi okrzykami, pokpiwając sobie z zarozumiałych potężnych maszyn, które ugrzęzłyby tu na amen, gdyby nie chłopskie ręce i zwykłe łopaty.

A w żartach tych, w tych pośmieszkach nie było ani złośliwości, ani nienawiści, ani złości. Ot, zwyczajna chłopska wesołość, jednakowoż rodząca się w gromadzie, czy to przy pracy, czy przy zabawie, pogodna i świeża, jak wszystko to, co z ziemi wyrasta i jej sokami żyje.

Na wszystkich liniach kolejowych, promieniście zbiegających się w stolicy, rażno szła robota i szybko, a przecież dla Warszawy zawolno. Niecierpliwiło się miasto, wyglądając z godziny na godzinę dopływu swojej paszy. A tymczasem na odległych o setki kilometrów stacjach wyczekiwały długie czerwone gąsienice pociągów, ciężkie ładunkiem i same grzęznące w śniegu.

Niecierpliwa Warszawa zaczęła masowo wysyłać kopaczy na odsiecz tamtym. Setki i tysiące bezrobotnych tłoczyły się do wagonów. Na kolei większy był zarobek i jeść dawano, bo skądżeby w czystym polu strawę dostać, gdyby jej nie podwieszono drezyną w wielkich parujących kotłach. Więc błogosławili w duchu śnieżycę, więc obliczali, ile to czasu znośnie dzięki niej przebytuja, a tylko cieszyć się nie umieli.

Bo i z czego?... Przyjdzie odwilż, albo wiatr chmury spędzi i nie będzie śniegu. Skończy się praca, skończą się zarobki. Ot, na jakiś czas polepszy się trochę stara bida, a i to nie wiadomo, poco, skoro i tak zdechną z głodu przyjdzie nie wcześniej, to później.

Niechętnie i płytko zanurzały się łopaty w śniegu. Gdy nadbiegał brygadzysta i przynaglał swoim sroczym skrzeczącym głosem, nikt na to nie zwracał uwagi. Od czasu do czasu zjawiały się i ważniejsze figury: wyżsi urzędnicy kolejowi i jakiś gruby inżynier, który obliczał dniówki. Dochodziło do awantur. Któregoś dnia pobito grubego inżyniera i wtłoczono go w śnieg tak głęboko, że omal się nie zatchnął. Po tem zajściu aż do obiadu nikt nie wziął łopaty do ręki. Przy jedzeniu zjawił się jakiś facet w strzeleckim mundurze i zaczął przemawiać do kopaczy w podniosłych i energicznych zwrotach tłumacząc im, że spełniają ważną i odpowiedzialną robotę, że powinni wyteńczyć wszystkie siły, że ratują prawidłowe funkcjonowanie kolei, system aprowizacji kraju, że państwo na przerwie w transporcie traci miliony, że prywatni kupcy i przemysłowcy tracą tyleż, że każda godzina ma tu wagę złota. Apelował do uczuć obywatelskich, do patriotyzmu, do poczucia odpowiedzialności i obowiązku, do zrozumienia powszechnego interesu i wogóle mówił z przekonaniem i zapalem.

Zdawał się nie wiedzieć, że jego wezwania i argumenty trafiają w próżnię. Ludzie słuchali uśmiechnięci i obojętni.

Murek rozglądał się i ze zdumieniem konstatował, że on sam, który doniedawna gotów był z wiarą we własne słowa przemawiać tak, jak ten „strzelec”, dziś jest całkowicie po stronie tłumu. Tęgo tłumu, który nazwałby ciemnym i nie uświadomionym, nie umiejącym docenić szczęścia niepodległości, zaszczytu budowania wspólnej przyszłości państwowej i t. d. Dziś wiedział dobrze, że wychudzonych nędzarzy, do których sam należy, nic nie obchodzi interes państwa, czy tych bogaczy, których towary ugrzęzły w zasypanych śniegiem pociągach.

Przecie zrana, gdy bito grubasa, Murek nie znalazł w sobie nietylko ochoty do stanięcia w jego obronie, lecz nie znalazł nawet współczucia. Wzrastała w nim i kamieniła głucha nienawiść do wszystkiego, co czcił i szanował przez tyle lat. To, co dawniej było dlań dogmatem, prawo hierarchji społecznej, owa piramida władzy, dziś wywoływało jedynie wciąż wzmagające się przeświadczenie, że wszystko oparte jest na fałszu, na niesprawiedliwości, na krzywdzie, że zaszczyty opanowali spryciarze i złodzieje, że hasła patriotyczne służą wyłącznie do otumaniania naiwnych biedaków, że prawa, dające nielicznym wszystko, a milionom ludzi nędzę, są łajdactwem.

Nie zostało w nim miejsca na żadne wątpliwości, na żadne obiekcje. Tak, jak przedtem wierzył nieugięcie w słusność i rację istnienia ustroju, w którym zajmował niewielką, lecz należną mu pozycję, tak obecnie bez wyjątku potępiał wszystko. Świat, do którego należał i chciał należeć, odrzucił go, jak niepotrzebną szmatę, odsłaniając jednocześnie takie bagno, jak prawda o Nirze.

Właściwie mówiąc, pragnął teraz tylko jednego: zemsty. Zemsty na tem wszystkim, co było oszustwem, blichtrzem, kłamstwem i wyzyskiem.

Gdyby mógł pod tę piramidę podłożyć ładunek dynamitu, wysadziłby ją w powietrze bodaj za cenę własnego życia...

Ludzie zaczęli przerywać mówcy drwiącymi okrzykami. Z dalszych szeregów rozległ się ochryply głos, doradzający wykąpanie w śniegu „tego frajera”. Wówczas mówca mimochodem wspomniął o zajściu z inżynierem i zagroził aresztowaniem prowodyrów i podżegaczy, którzy mącą wodę i zacnych obywateli buntują, wyzyskując ich nieświadomienie.

Na to ozwały się liczne protesty, a Murek, stojący w pobliżu, nie wytrzymał i krzyknął:

— Sam jesteś głupiec i nieświadomiony! Znalazł się nauczyciel! Nie damy obniżyć dniówki i już!

— Obywatele! — mówca usiłował przekrzyczeć gwar, lecz Murek zawołał znowu:

— My tam nie obywatele, my bezrobotni.

— Zjeżdżaj, frajerze! — wrzasnął ktoś z boku.

— Towarzysze! Towarzysze! Precz z burżujami!... — wołał jakiś głos, a szeroko potwórzony „precz” rozpałiło w Murku jakiś nieznany mu zapal.

Wskoczył na ubitą kupę śniegu i mówił coś, i krzyczał, groził, i wymachiwał pięściami. Grupka urzędników kolejowych i inżynierów, stojących za strzelcem, zaczęła się naradzać, lecz nagle posypały się na nią grudki śniegu. Ktoś bliżej stojący zawiązał łopatą i uderzył odwróconego tyłem kolejarza. Świsnęła w powietrzu druga łopata, zakotłowało się. Niemal setka ludzi napierała ze wszystkich stron. Osaczeni wyjęli rewolwery. Tłum jednak nie cofał się. Huknął jeden strzał, drugi, jeszcze kilka. Pomimo zmroku i gęsto padającego śniegu widać było, że strzelano w powietrze.

— Rozbroić ich! — wrzeszczano z tylnych szeregów.

— Towarzysze! Nie dajmy się zabijać!

— Precz z burżujskimi pacholkami!

Stojący dalej poczęli ciskać łopatami przez głowy bliższych. W wielkim hałasie niepodobna było dosłyszeć nawoływań i ostrzeżeń otoczonych urzędników. Jeden z nich, ugodzony silnym ciosem w głowę, zwałił się z nóg, zalany krwią.

Wówczas tamci zaczęli strzelać w tłum.

Przeraźliwy krzyk rannych otrzeźwił nacierających. Pięciu z nich osunęło się na ziemię. Na śniegu szybko wystąpiły czerwone plamy.

Murek stał opodal i ponuro przyglądał się, jak rzucono się z obu stron do rannych. Tłum powoli rozchodził się. Widok krwi otrzeźwił wszystkich. Zakładano prowizoryczne opatrunki i czterech rannych umieszczono na dreźnie, która odjechała do pobliskiej stacji. Piąty nie żył. Leżał na wznak z rybio otwartymi ustami. Wydawał się mniejszy, niż za życia, szczuplejszy i bledszy. Murek znał go lepiej, niż innych, pracował z nim kilka razy przy wyładunku barek na Wiśle. Był to bezrobotny tokarz, mieszkający w barakach dla bezdomnych za Powązkami wraz z żoną i dwojgiem dzieci. Na imię miał Paweł.

Wraz ze zwierzchnikami odjechali i brygadziści. Pomimo to ludzie bez przymusu zabrali się do roboty. Pracowali w milczeniu aż do chwili, gdy nadjechał po nich pociąg służbowy.

Jak tego spodziewali się wszyscy, z wagonów wyskoczyło kilkunastu policjantów. Rozpoczęło się śledztwo. Brygadziści i urzędnicy wskazywali tych, których uważali za głównych winowajców.

— A gdzie jest ten blondyn w zielonym swetrze? — dopytywał się inżynier.

Stojący obok Murka, krępy i dziobaty znajomy z „Cyrku” szepnął mu:

— Wiej, Trzewik, bo wsiąkniesz. Ciemno już. Nie złapią. Byle do Warszawy, a tam już kamień w wodę.

— On się nazywa Trzewik — wyjaśnił brygadzista przodownikowi policji.

— Który z was Trzewik? — zawołał policjant.

Murek przykucnąwszy za plecami towarzyszy zaczął ostrożnie posuwać się aż do przepokopu w śnieżnym wale. W pięć minut później był już daleko w polu. Tylko iść było ciężko, bo nogi zapadały się powyżej kolan. Na szczęście mógł się nie obawiać, że znajdą go po śladach. Śnieg do rana zasypie wszystko.

Kierował się ku Warszawie, lecz wiedział, że musi zabłądzić już choćby dlatego, że omijając zasy stracił zupełnie orientację. Po dwóch godzinach trafił na zasypane, lecz znaczne dzięki nadbrzeżnym wierzdom łożysko jakiejś niewielkiej rzeczulki i postanowił iść jej korytem w tem przekonaniu, że wcześniej czy później dojdzie do jakiejś wsi.

Nie omylił się. Zaczynało świtać, gdy do jego uszu doleciało pianie kogutów. Ludzie wstawali do obrządku, tu i ówdzie błysnęły małe światełka okien, do połowy oblepionych śniegiem. Od obejścia powiało zapachem krów. Murek zastukał do pierwszej z brzegu chaty i poprosił o nocleg. Stara babina podniosła wysoko lampeczkę z chwiejnym płomykiem i w milczeniu wskazała gościowi ławę z siennikiem.

Obudził się koło południa. Śnieg wciąż padał, w izbie było chłodno, tylko od pieca bił żar. Na węglach stał duży sagan, nad którym bulgotało i unosiła się gęsta para. Przy ogniu krzątała się starowina, w rogu przy stole w zniszczonym kożuchu siedział czterdziestoletni wąsaty chłop i bezmyślnie patrzył przed siebie. Pod drzwiami niemłoda już kobieta karmiła z szaffika dwa białe prosiaki. Od pułapu na wetkniętym za belkę drągu zwisała na czterech postronkach kołyska.

Pusto tu było i biednie i dziwnie swojsko. Murek wprawnym nieznacznym ruchem pomacał się po zapiętej agrafką od spodu kieszeni, gdzie miał trochę pieniędzy, podniósł się i zaczął rozpytywać.

Wioska nazywała się Łupiny. Niewielka, wszystkiego czternaście chałup. Do Warszawy będzie ze czterdzieści kilometrów, do najbliższej stacji dwanaście. Już od wielu dni nikt ze wsi nie wyjeżdżał. Przy takich drogach szkoda koni. Na pytanie czy znalazłaby się gdzie w okolicy jaka robota, gospodarz tylko wzruszył ramionami. Skolei Murek wyjaśnił, że sam idzie z dalekich stron szukać zarobku do Warszawy. Do Łupin zabłądził, ale że mu niespieszno, gotów bezinteresownie pomóc przy gospodarstwie, a za utrzymanie chętnie zapłaci, ile będzie się należało.

Oświadczenie to, ożywiło wszystkich mieszkańców chałupy. Niespodziewany dochód otwierał perspektywy na załatwienie najpilniejszych długów w miasteczku.

Już po kilku dniach pobytu w Łupinach Murek poznał wszystkich mieszkańców wioski i całe ich biedne, proste życie. Najbogatsi gospodarze mieli tu po dziesięć morgów, byli jednak i tacy, co żyli z trzech, jeżeli ich bytowanie wogóle życiem można było nazwać. Ziemia w Łupinach była kiepska, łąki bagniste i kwaśne, grunty wyżej położone sypkie i jałowe, a tyle wymagające pracy, że nawet z liczniejszych rodzin mało kto mógł iść na zarobek do pobliskich majątków. Zresztą i rodzin tu zbyt wielkich nie było, bo dzieci się nie chowały. Rodziło się ich, jak wszędzie sporo. Tylko, że marły, jak muchy od choroby, którą tu gorączką nazywano, a która miała swe źródło w bagnistych rozlewiskach rzeczki.

W odległej o cztery kilometry Pasznicy Wielkiej istniała wprawdzie szkoła, do której i Łupiny należały, ale przez większą część roku dzieci nie mogły do niej chodzić, gdyż w mrozy nie miały w czym, przez śniegi zaś i przez roztopy nie miały jak. Zresztą i starsi rzadko komunikowali się ze światem: nie mieli za co kupować, nie mieli czego sprzedawać, chociaż sami, mięsa ani jajek, ni masła nie jedząc, chyba w wielkie święto, wszystko co udało się uchować i uzbierać wynosili do miasteczka. Nie starczyło jednak tego na rzeczy najniezbędniejsze, na żelazo do kucia, na sól, na naftę, na zapalki, a z przyodziewku na buty i perkal. Chleba u biedniejszych już od marca nie było, ani okrasy. Ot: kartofle, kapusta i daj Boże, groch. Aż do jesieni. Gdy na kogo nieszczęście przyszło, i krowa mu padła, cała wieś rozbierała mięso, wypłacając się, czym kto miał: staremi podkowami, torbą pierza, półkwatkiem oleju, a najczęściej czarną solą bydłą, bo nikt innej nie tylko w Łupinach, lecz i po wszystkich wsiach dokoła nie używał. Wprawdzie od soli tej pieczenie w kiszkałach było, ale ziemniaki bez soli jeszcze gorsze.

Ponure myśli rodziły się w Murku, gdy tak patrzył na tę nędzę. A patrzeć musiał długo. Dopiero z końcem miesiąca śniegi spadać zaczęły gwałtownie. Przywiały wiatry silne i ciepłe. Łožysko rzeczki bulgotało od spienionej nadlodowej wody, słońce przygrzewało z jasnego nieba, a śnieg w oczach tajał, aż tu i ówdzie przeglądać poczęła rozmiękła mazista gleba.

O ile spoczątku Murek nie wiele miał roboty, ot, drzewa nałupać, śnieg odgarnąć, sieczki pociąć, o tyle teraz nie próżnował. Zapobiegliwi gospodarze, których stodołki stały bliżej brzegu, nagwałt je musieli rozbierać w obawie powodzi i wyżej budulec składać.

Murek z własnej ochoty przy tem pomagał. A roboty starczało od świtu do nocy, bo wody wciąż przybywało i trzeba było się śpieszyć.

Wolał to, niż próżnowanie. Przy próżnowaniu gnębiły go ciężkie refleksje, które tu, w wioskowej ciszy, odzywały się głośno i natarczywie. Postokroć pytał siebie, czy winien jest owemu zajściu na kolei, czy przyczynił się do śmierci niewinnego człowieka i do pokaleczenia innych. Pierwszy to raz w życiu wystąpił przeciw porządkowi, przeciw władzy i przeciw prawu. Nie to jednak wywoływało niepokój jego sumienia. Poprosto nie wiedział, dlaczego to zrobił. Nie widział celu swego postępu. Jedyne jego usprawiedliwieniem była nienawiść osobista i chęć zemsty na tem wszystkim, co go haniebnie zawiodło. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że takie negatywne ustosunkowanie się do niczego nie prowadzi. Wprawdzie w krwawym zajściu było jedno pozytywne. Chodziło o niedopuszczenie do zmniejszenia dniówki, ale czyż on sam wówczas o tem myślał?...

Im dłużej zastanawiał się nad tą kwestją, tem usilniej starał się utwierdzić w przekonaniu, że występował w obronie biedaków przeciw interesom bogaczy, przeciw władzy, która na straży tych interesów stoi. Im dłużej przyglądał się nędzy w Łupinach, im gruntowniej w tę nędzę się wzywał, tem częściej sobie powtarzał:

— Oto cel: walczyć o nich, walczyć za siebie i za nich!

Rozumiał to, lecz rozumieć nie znaczyło jeszcze wierzyć. Po zburzonej w duszy dawnej świątyni, nie został kamień na kamieniu. Nienawiść wyzarła i wypaliła ostatni ślad po niej. Do wzniesienia nowej nie brakowało ani ochoty, ani materiału. Brakowało wiary. Brakowało tego, co w dawnym światopoglądzie stanowiło cement: dogmatu. I konstrukcji. Umysł Franciszka Murka zbyt był przyzwyczajony do orjentowania się w skończonym systemacie, do kategoryzowania myśli i zjawisk według wiadomych i niezmiennych reguł, by mógł dojść bez nich na nowym terenie do syntezy.

Błyskające w rozmyślniach jaskrawe słowa jak obrona nieszczęśliwych, jak prawa proletariatu, jak rewolucja, nie wystarczały do rozświetlania wszystkich tych mroków, które się w nim kłębiły. Ponad wszystkim zaś unosiła się dojmująca żądza zemsty za osobistą krzywdę.

Napróżno próbował odnaleźć siebie w rozmowach z chłopami. Napróżno opowiadając im o ich biedzie i o zbytkach bogaczy, o ciężarach podatkowych i o luksusie, w jakim żyją płaceni z tych podatków dygnitarze, wyczekiwał prostej i jasnej odpowiedzi. Mówili wprawdzie, że dobrze byłoby żydów w miasteczku przetrząść, towary i pieniądze im odebrać, że należałoby dworską ziemię podzielić, ale z tego nie wynikało nic.

Mijały tygodnie i Murek coraz bardziej czuł się wśród nich swojsko, lecz należało już pomyśleć o zarobku. Pieniądze topniały, a biedna Karolka z dzieckiem od dawna już musiała wyglądać na obiecaną przesyłkę. To też z pierwszą okazją, gdy jeden z gospodarzy do miasteczka jechał, Murek z nim się zabrał. Z miasteczka do stacji było niespełna trzy kilometry, na stacji zaś, przypomniawszy dawne wskazówki Amerykańca, Murek bez większych trudności ulokował się na lorze i tak towarowym pociągiem dojechał do Warszawy.

Przez ostrożność nie poszedł na nocleg do żadnego ze schronisk. Przespał się w stajni u znajomego dorozkacza, nazajutrz zaś ruszył na miasto, by znaleźć zarobek. W halach Mirowskich niespodziewanie spotkał Cipaka i dowiedział się odeń, że istotnie policja po domach noclegowych szukała człowieka przewiskiem Trzewik, lecz już się uspokoili.

Cipak radził Murkowi wrócić do noszenia śmieci, poinformował go też o robocie na Siekierkach, gdzie sypano wał przeciwpowodziowy i płacono nieźle.

Istotnie Murek znalazł tam zarobek na kilka dni, potem wyszukał sobie coś stalszego w składzie desek na Sielcach, co było o tyle dogodniejsze, że można było sypać w szopie. Już w trzy tygodnie później mógł wysłać Karolce czterdzieści złotych i sprawić sobie na Wołowiec dobre buty na podwójnej podeszwie.

Któregoś dnia świątecznego przypomniał sobie obietnicę daną pannie Mice Bożyńskiej i wybrał się na Żoliborz.

Drzwi otworzyła mu mała, brzydka brunetka, chuda i jakby trochę garbata.

— Miki niema — powiedziała — ale proszę wejść i poczekać. Niedługo wróci.

Powiesił czapkę na szaragach i usiadł przy stole, na którym leżała otwarta książka.

— Niech pani czyta odezwał się. — Nie przeszkadzam.

— Nic pilnego — złożyła książkę. — Pan pewnie jest doktorem Murkiem?

— Tak.
Wyciągnęła doń rękę:
— Nazywam się Kosicka.
— Winienem pani wdzięczność za to, co pani przepisywała dla mnie.
Machnęła ręką.
— Drobiazg. Tylko szkoda było wysiłku. Napewno nic nie pomogło?
— Nic — potwierdził.
— Zgóry wiedziałam. I przyznam się, że nie mogłam zrozumieć pana.
— Pod jakim względem?
— A no, że pan po tylu doświadczeniach, po doznaniu tylu krzywd i niesprawiedliwości od nich, jeszcze patrzy im na ręce. Po nich niczego nie można się spodziewać.
Murek uśmiechnął się złośliwie:
— A po kim?
Panna Kosicka nie odpowiedziała.
— Po kim się mam czego spodziewać? — powtórzył Murek.
— Nie po obcych przecie — spojrzała mu w oczy — nie po wrogach. Tylko po swoich. Pan... pan jest synem chłopca? Tak?
— Tak.
— Zazdroszczę tego panu — westchnęła — moi rodzice żyli z cudzej pracy, a pan nie ma na sobie tej plamy.
— Jakto plamy? — zdziwił się szczerze.
— To przecież jasne. Cóż może być podlejszego, niż pasorzytowanie na cudzym trzecie, na cudzym pocie. Wyzysk! A ktoż ma większe prawo do upomnienia się o należne mu miejsce na świecie niż ten, który przez szereg pokoleń był haniebnie wyzyskiwany! To jest najlepszy dyplom szlachecki!
Murek zastanowił się:
— Powiedzmy. Ale mała stąd satysfakcja. Upoważnia najwyżej do zdychania z głodu.
— W ustroju kapitalistycznym i faszystowskim tak.
— A pani jest komunistką? — zapytał.
Zmarszczyła brwi i odpowiedziała śmiało:
— Jestem i nie myślę zapierać się tego. Zwłaszcza przed panem.
— Dlaczego zwłaszcza?
— Bo już oddawna chciałam pana poznać i pomówić z panem o tych sprawach. Przepisywałam pański życiorys i jestem przekonana, że to karygodna zbrodnia, że pan się marnuje. Syn chłopski, jednostka z wyższym wykształceniem, z charakterem. Potrzeba takich ludzi. Czy pan nigdy nie interesował się ruchem komunistycznym?
Murek zaśmiał się:
— Owszem, ale nie ucieszy to pani, bo o tyle interesowałem się, że czytując sprawozdania z procesów, uważałem, że zbyt małe kary sądy nasze komunistom dają.
Machnęła ręką:
— Ach, nieuświadomienie. To tylko świadczy o tem, że nie znał pan ideologii komunistycznej. Czytał pan Marxa?
— Nie.
— Ani Lenina?... Nawet żadnych broszur?... No widzi pan! Jakże pan mógł ustunkować się mądrze do wielkiej idei, nie znając jej fundamentalnych podstaw. Jednak prawda ich i główny sens jest oczywisty, dla każdego trzeźwo myślącego człowieka.
— Jakaż to prawda? — zapytał poważnie.
— To, że wszystko, co jest na świecie, cały dorobek, wszelkie bogactwa, wszystko to powstało z pracy. Zatem winno należeć do tych, co pracują, nie zaś do pijawek, pasorzytów i darmożądów. Świat jest własnością ludzi pracy, jest ich własnością wspólną. I tylko oni mogą stanowić prawa i obyczaje, tylko oni mogą rządzić, tylko oni mogą korzystać z tego, co wyprodukowali. Oni, to znaczy my. Pan i ja, a pan bardziej, niż ja.

Murek słuchał z natężoną uwagą. Nieraz i dawniej obijały mu się o uszy takie poglądy, lecz wówczas niejako automatycznie umieszczał je w przegródce z napisem: „Frazesy i utopje demagogii wywrotowej”. Teraz zaś każde słowo znajdowało w nim oddźwięk. Kosicka przytem mówiła z zapalem i z mocnym przeświadczeniem. Mówiła o braterstwie

ludzi pracy, o równości, o sprawiedliwości powszechnej. Mówiła o prawie własności, które jest największym bezprawiem. O szczytnych celach walki w imię realizacji ideałów, o poświęceniu najzacieplejszych i najlepszych, którzy w podziemiach pracują nad przygotowaniem nowego ustroju, który ogarnie całą ludzkość, zjednoczy wszystkich, wykluczy wojny i wyzysk i trwać będzie wiecznie. Mówiła o szczęściu budowania jasnej i pięknej przyszłości, o potężnej organizacji ludzi ideowych...

Urwała dopiero wtedy, gdy szcęk klucza w drzwiach wejściowych oznajmił powrót Miki.

Panna Bożyńska stanęła w progu i nie mogła opanować wrażenia, jakie wywarł na niej niespodziewany widok Murka. Zacerwieniła się i powiedziała dość bezsensownie:

— Już poznaliście się?

I nieśmiało wyciągnęła rękę do Murka:

— Więc jednak pan nie gniewa się na mnie?...

— Za coś miałbym się gniewać — spokojnie odpowiedział Murek.

Panna Kosicka zerwała się.

— Przyrządź herbatę.

Mika nie dosłyszała tego i nawet nie spostrzegła dyskretnego wycofania się przyjaciółki.

— I nie ma pan do mnie żalu? — zapytała cicho.

— Skądże? Za co?

— Myślałam... Tak długo pana nie było... Ja wiem, że postąpiłam brzydko, nieojalnie, że panu dałam te wycinki z gazet... I że przedtem ukrywałam przed panem swoje nazwisko. Ale sama nie wiedziałam, co robić. Bo tak: gdybym powiedziała panu, że jestem kuzynką Niry, zapytałby pan o nią, a nie chciałam kłamać. Ja oddawna wiedziałam, że ona wyjechała z tamtym ohydny człowiekiem. Ale gdybym otworzyła panu oczy na tę sprawę, mógłby pan mnie posądzić o to, że ja kłamię, bo mi na tem zależy. Gdy jednak było już w pismach... Pan nie ma pojęcia, jak mnie bolało to, że pan jest haniebnie oszukiwany przez istotę, która nigdy, słyży pan, nigdy nie była warta jednego pańskiego palca. Ale byłam w rozpacz, że pan mi nie daruje...

Mówiła szybko, tak jakby oddawna ułożyła sobie, co mu ma przy pierwszym spotkaniu powiedzieć. Jej oczy wciąż zmieniały wyraz od niepokoju i obawy, aż do czułości i gniewu. Wyglądała jakoś dziecinnie.

— Przeciwnie, winienem pani wdzięczność — bąknął Murek.

Wzięła go za rękę:

— Co tam...

— Ale powinien pan ją wyrzucić całkiem z pamięci. Ona nie zasługuje na to, by o niej myśleć.

— Przejdzie — machnął ręką.

— Tak, tak, przejdzie. I już nie mówmy o tem. Tyle jest na świecie rzeczy dobrych i pięknych. Mój Boże, czy pan wie, że ja codzień, codzień wystawałam tam, pod naszym daszkiem! Tak długo pana nie było!...

— Wogóle nie było mnie w Warszawie.

Mika szeroko otworzyła oczy:

— Wyjeżdżał pan?

— Tak.

— Ale... ale... nie zagranicę?

— Nie.

— Mój Boże! — zaśmiała się. — Co mi do głowy może przyjść. A gdzież pan był?

— Za pracą.

Weszła panna Kosicka. Przyniosła tacę z herbatą. Nakrywając stół, poruszała się dziwnie nerwowo i kanciasto. Wyglądała jakoś nieproporcjonalnie, wąskie ramiona, szeroka i płaska w biodrach, krótkie nogi. Była pomimo niedużego wzrostu ciężka i przysadzista. Miała wąskie, brzydkie usta, czarne, krótko obcięte włosy, rysy niesymetryczne i ostre, tylko oczy piękne, prawie czarne, poważne i wyraziste.

— Przegryziemy trochę — oznajmiła rzeczowo. — Jest po dwie bułki na osobę.

— Wiesz, Marjetko — zwróciła się do niej Mika. — Pana Murka nie było w Warszawie, wyjeżdżał na robotę.

— A dokąd? — zapytała Kosicka.

— Na kolej. Do uprzątnięcia śniegu — odpowiedział Murek.

— Śniegu?... Już chyba od miesiąca niema śniegu.

— Tak, ale ja później musiałem przycupnąć w jednej wiosce, bo szukali mnie.

— Kto?

— Policja.

— Co pan mówi! — przestraszyła się Mika.

— Czegóż od pana chcieli?...

Murek wzruszył ramionami:

— Ach, była tam taka awantura, strzelanina. No, i mnie uważali za jednego z inspiratorów.

— Jakto? — krzyknęła Kosicka. — Przy stacji Majdanowo?

— Tak.

— W końcu lutego?

— Zgadza się — potwierdził Murek.

— I pan w tem brał udział?...

Uroczyście wstała i wyciągnęła doń rękę:

— Niech pan pozwoli, że uścisknę pańską dłoń.

Murek uśmiechnął się:

— Nic takiego nie zrobiłem.

— Jakto nic! Wystąpił pan w obronie wyzyskiwanych ludzi, w obronie bezrobotnych, z których chciano za nędzne dniówki wyciągnąć resztkę sił. Winszuję panu!

Zwróciła się do zdumionej Miki:

— Widzisz? Ja się nigdy nie myślę w sędzie o ludziach. Wiedziałam, że pan Murek odnajdzie w sobie ten instynkt proletariusza. Wystarczył mi jego życiorys i ta charakterystyka, którą słyszałam od ciebie.

Murek zmarszczył brwi:

— Żaden instynkt, proszę pani. Poproście chcieli nam obniżyć dniówkę.

— Tak?... A o tem wcale w gazetach nie pisano. Łajdacy! Zwalono wszystko na agitatorów komunistycznych.

— Żadnych komunistów tam nie było — zapewnił Murek.

— A ja panu mówię, żeście wszyscy byli, jeżeli nie członkami partji, to wyznawcami jej ideologii. Niechże pan nam opowie, jak się to odbyło naprawdę, bo gazetom za grosz wierzyć w tych rzeczach nie można. Więc?...

— Pozwól-że panu zjeść! — żałośnie upominała się Mika.

— Ach, przepraszam.

— Nic, mogę jeść i gadać — uśmiechnął się Murek.

I zaczął opowiadać poporządku, jak to było, jak werbowano w Warszawie na jednych warunkach, a później chciano narzucić zwerbowanym już na miejscu inne. Zmniejszyć dniówkę, albo wprowadzić akord. Praca była rzekomo mało wydajna. A jakże mogła być wydajna, skoro ludzie nie mieli sił... Niektórzy już od dwóch lat głodowali, kawałka uczciwej posilnej strawy nie widzieli! Jakże miała iść robota, kiedy śnieg w dziurawe buty wlaził, a nad człowiekiem wciąż tylko pokrzykiwano, żeby prędzej!

Opowiedział o licznych zatargach, o pobiciu inżyniera, o poobiednim przemówieniu i wreszcie o samej strzelaninie. Opowiedział, jak przyjechała policja i jak zaczęto szukać Trzewika.

— A mnie właśnie przezywano Trzewikiem. Tedy dałem nura. Ciemno było, śnieg padał gęsto, ślady zasypał. Błądziłem przez noc, a rankiem doszedłem do pewnej małej wioski, gdzie i przesiedziałem kawał czasu.

— A w wiosce nie szukali?

— Jakoś nie. Zato tu po domach noclegowych szukali. Dlatego nie mogę tam nocować.

— I gdzież pan sypiał? — ze łzami w oczach zapytała Mika.

— Różnie. Po stajniach, a teraz w szopie przy składzie desek.

— Zaszczują człowieka — potrząsnęła zaciśniętymi pięściami panna Kosicka. — Zaszczują, jak psy!

— I czemuż pan do nas nie przyszedł? — z wyrzutem powiedziała Mika.

Murek skrzywił się:

— Tegoby jeszcze brakowało. Paniom...

— Zaraz, doktorze — przerwała rzeczowo Kosicka. — A czy policja zna pańskie nazwisko?

— Wogóle?

— No nie, czy wie o tem, że Trzewik spod Majdanowa, to pan?

— Skądże może wiedzieć. Tam nazwiska nikomu nie są potrzebne.

— I do listy przy werbunku nie podawał pan swojego?

— Podąłem: Trzewik.

— To doskonale. Zaraz, zaraz. To niepodobieństwo, by pan tułał się, jak pies po stajniach i szopach. Niech pan chociażby kątem gdzie zamieszka.

Murek zaśmiał się:

— Za kąć też trzeba płacić.

Kosicka bębniła palcami po stole:

— A chce pan dostać stałą i godną pana pracę?

— Pewno.

— No, to doskonale. Doskonale. Ja mam do pana zaufanie. Odrazu wprowadzie niepodobna, ale jestem przekonana, że wkrótce rzecz będzie załatwiona.

— Byłbym pani wdzięczny — bez wiary powiedział Murek.

— Zatem musimy się umówić — tonem dyspozycji rzekła Kosicka. — Niech pan zaraz jutro przyjdzie na róg Grzybowskiej i Żelaznej. Wieczór, godzina ósma punkt. Ja tam przyjdę. Zrobione?

— Zrobione.

— No, to cieszę się, a teraz dowidzenia. Muszę już iść i tak pewno się spóźnię.

Kosicka spojrzała na zegarek, podała Murkowi i Mice rękę i wyszła.

— Tak się boję, — odezwała się Mika, — że ona pana wciągnie do tych swoich komunistycznych konspiracji.

— Jestem przekonany, że o to chodzi — kiwnął głową Murek.

— I pan, panie Franciszku, wstąpiłby do komunistów?

— Zobaczę — odpowiedział po chwili namysłu. — Zresztą, dlaczego nie miałbym wstąpić?... Im więcej nabieram doświadczenia, tem lepiej widzę, że tam moje miejsce. Mam być lachem nikomu, ani sobie niepotrzebnym, niechże przydam się do czegoś...

— Ale to niebezpieczne.

— A moje obecne życie?...

Mika oparła łokcie na stole i splotła palce pod podbródkiem. Przypominała małą dziewczynkę w szkole. Dłuższy czas wpatrywała się w Murka, aż powiedziała:

— Ale przyrzeknie mi pan, że nie będzie się narażał?

— Dlaczegoż mam się narażać? — zdziwił się. — I dlaczego pani mam to przyrzekać? Na twarz Miki wystąpiły rumieńce:

— Ach, ja nie śmiem... Ja nie uzurpuję sobie żadnych praw... Mój Boże! Czyż nie wolno mi pana lubić?...

— Nie warto — powiedział szorstko.

— O, nie!

— Nie warto, bo nic już po mnie nie przyjdzie.

— Jak komu...

— Ani pani, ani żadnej kobiecie. Pod tym względem każda znalazłaby we mnie tylko gorycz.

Spojrzał na Mikę i przedewszystkiem uświadomił sobie, że jest ona kuzynką Niry, że pochodzi z tamtego środowiska, że wywodzi się z rodziny, z warstwy, której on całą duszą nienawidzi, której zaprzysiągł zemstę.

Wprowadzie do samej Miki, od pierwszego już spotkania poczuł sympatię, wprowadzie wydawała mu się prosta i dobra, subtelna i szczerą, ale przecie stokroć więcej widział niegdyś w innej zalet... I wszystkie okazały się kłamstwem, obłudą, podłym oszustwem.

Nie! Należy wystrzegać się tych kobiet, wychowanych w zgniłej atmosferze, w hipokryzji i w zakłamanym konwenansach. Od dziecka uczył je udawania, nieszczerości

i fałszu. Jak najdalej od nich, jak najdalej. Może mężczyźni z tego samego, co one środowiska, umieją im zajrzeć do wnętrza, ale on, Franciszek Murek, nie potrafi rozgryźć tych lalek, nie potrafi i nie chce.

— O czym pan tak się zamyślił? — zagadnęła Mika.

— Et, o niczem...

— Nie powie mi pan?...

— Panno Miko — odkaslnął, — choćbyśmy nie wiem jak długo rozmawiali, to i tak nie porozumiemy się...

— Dlaczego? — zaprotestowała.

— A dlatego, że pani myśli innymi kategorjami, a ja innymi. Pani jest z innej gliny, a ja z innej. Oto, co! A kiedy zdarzy się, że tacy dwoje zejdą się, to w końcu okaże się, że i tak nie są dla siebie. Prostu mówię i proszę mi tego za złe nie mieć. Sama pani wie, że inaczej tych rzeczy dzisiaj już sądzić nie mogę.

— To jest nieprawda! — powiedziała z przekonaniem.

— Na własnej skórze ją poznałem, tę nieprawdę — zaśmiał się ironicznie.

— Popierwsze, wszyscy ludzie są z jednej gliny. A podrugie, są źli i dobrzy. Że pan doznał bolesnego zawodu, to jeszcze nie racja, nie racja dla człowieka rozumnego, by wszystkich taką miarą sądzić. Jedno doświadczenie nie mówi o wszystkim.

— Zawiele sił trzebaby mieć na powtórki. A i życia nie starczyłoby. Nie, panno Miko. Otwarcie pani mówię, że lubię i ja panią. Okazała mi pani wiele życzliwości, ale niechże to będzie dosyć. I tak oboje będziemy myśleli o sobie wzajemnie jak najlepiej. Byłoby może inaczej, gdybym ja panią, a pani mnie naprawdę poznała.

— Ja pana tak dobrze znam! — zawołała. — Tak dobrze!

— Bajki — machnął ręką. — Ot, krowę można poznać, bo ona zawsze je to samo, nic się w niej nie zmienia. A człowiek zmienia się, i to tak, że czasem sam siebie nie poznaje.

— Ależ, panie Franciszku — połapała się Mika. — Ja przecież niczego od pana nie żądam. Czy nie wolno mi lubić pana?... Wolno. Więc będę... A chyba w tem też niema nic złego, że chcę od czasu do czasu pana widywać?

— Zapewne — przyznał niezdecydowanie.

Oboje mieli zwarzone humory i rozmowa nie kleiła się. Murek posiedział jeszcze kwadrans i pożegnał się, obiecując sobie nie przychodzić tu więcej.

Do wieczora dnia następnego zajęty był myślą o spotkaniu z Kosicką i snuł na ten temat domysły.

Na rogu Grzybowskiej i Żelaznej stawił się punktualnie o ósmej. Długo rozglądał się, usiłując w tłumie dostrzec sylwetkę panny Kosickiej. Nastaly już ciepłe wieczory i ulice pełne były ludzi, fajerantujących, już przebranych po pracy, choć nie tak elegancko, jak w dni świąteczne. Najwięcej było młodzieży, wałęsającej się grupkami, osobno flanujących dziewcząt, roześmianych i piskliwych. Starsi mężczyźni przemykali się pojedynczo i w milczeniu, mimochodem zaglądając przez otwarte drzwi do narożnej knajpy, gdzie, jak zwykle w poniedziałek, w dzień bezgotówkowy dla całej robotniczej ludności, panowały pustki. Przed jaskrawymi reklamami kina na przeciwnym rogu roily się liczne gromady wyrostków. Środkiem jezdni z ciężkim turkotem sunęły zapóźnione ładowne wozy i gęsto dzwoniąc, sunęły tramwaje pełne żydów.

Murek uczuł czyjeś dotknięcie na łokciu i usłyszał krótkie:

— Chodźcie.

Kosicka nie tracąc czasu na powitanie, ruszyła naprzód w stronę Chłodnej. Po chwili skręcili w Krochmalną, gdzie było prawie pusto, a potem na lewo na Wronią i weszli do bramy niedużej, szarej kamienicy. W drugim podwórzu, gdzie leżały od lat zapewne nagromadzone tu smutne resztki starych samochodów, weszli po zewnętrznych schodach, przylepionych do ściany domu, na drugie piętro. Z niewielkiej i brudnej sionki kilkoro drzwi prowadziło w różnych kierunkach. Kosicka zapukała mocno do środkowych.

— A kto tam? — rozległ się zewnątrz spokojny męski głos.

— Z magła, po koszyk — odpowiedziała Kosicka.

Drzwi otworzyły się i znaleźli się w małej kuchence. Przy płycie wysoka chuda dziewczyna gotowała coś w dużym garnku. Dwoje małych dzieci bawiło się na podłodze. Mężczyzna, który drzwi otworzył, niski, krępy szatyn o małych, przenikliwych oczach, zlu-

strował Murka krótkim spojrzeniem i kiwnął głową, by weszli do sąsiedniego pokoju. Tu wyciągnął do Murka szeroką rękę i powiedział:

— Witajcie, towarzyszu!

Rękę miał twardą, spracowaną, a głos ciężki, niski. Mógł mieć pięćdziesiątkę. Od pierwszego wejrzenia wzbudził w Murku zaufanie i estymę. Wyglądał na człowieka silnej woli, bezwzględnego i nawskroś porządnego.

W pokoju stało szerokie łóżko, szafa, wózek dziecienny i kilka wiedeńskich krzesel. Okna były szczelnie zasłonięte.

— Siadajcie — gospodarz podsunął im krzesła i zwrócił się do Murka: — Towarzyszka Kosicka opowiadała o was. Wyście byli pod Majdanowem?

— Byłem.

— I chcecie z nami pracować?

— Tak myślę — po chwili wahania odpowiedział Murek.

— Tu nie można myśleć. Trzeba wiedzieć. Trzeba czuć potrzebę wejścia do partji. Trzeba rozumieć, że walka ze zgniłą burżuazją, z wyzyskiem kapitalistycznym, z gnębielami proletariatu może być przeprowadzona tylko przez komunistyczną partję. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że jest głupotą nie stanąć do szeregu, skoro się ma świadomość swego klasowego interesu, skoro jasne jest, że jednocząc się w zwartą całość, zyskuje się siłę i moc, a bez partji zostaje się tylko wiórem, którym wiatr pomiata. Trzeba pojmo-
wać swój obowiązek wobec wielkich i biernych mas, trzymany w nędzy i ciemnocie, obowiązek wyrwania ich z wiekowej niewoli. Trzeba te masy ukochać i pragnąć zdobyć dla nich prawa ludzkie, zrabowane przez spasioną burżuazję, przez gangrenę warstw posiadających. Zdobyć te prawa nawet wbrew woli tych mas, żyjących pod nieustannym terrorem, w strachu i upodleniu. Trzeba czuć w piersiach żar tej wielkiej idei i wolę ratowania siebie i swoich braci, budowania dla siebie i przyszłych pokoleń nowego sprawiedliwego ustroju.

Umilkł, lecz nie spuszczał wzroku z oczu Murka, a po dłuższej pauzie zapytał:

— Czy chcecie z nami pracować?

— Chcę — poważnie odpowiedział Murek.

— A wiecie, że w szeregach komunistycznych przestrzegana jest bezwzględna kar-
ność?

— Wiem.

— Literatury nie znacie?

— Nie.

— Dam wam, towarzyszu, adres. Zgłosicie się tam jutro. Do towarzysza Liczki. Po-
wiecie, że skierował was Krótki. To mój pseudonim partyjny. Wy do samej partji od razu nie możecie być przyjęci. Musicie najpierw przejść okres przygotowawczy i zostanieie zaliczeni do sympatyków. Gdzie mieszkać?

— Nigdzie — odpowiedział Murek. — Dawniej po domach noclegowych, teraz, gdzie się da.

— Bez roboty?

— Bez. Już od półtora roku.

Krótki zamyślił się.

— A co umiecie?

— Jestem prawnikiem.

— Wiem — machnął ręką. — Ale z rzemiosła?... Nic?... To gorzej. No, to się jakoś
zrobi. Wszystko wam jedno zatem, do której dzielnicy was przypisać?

— Wszystko jedno.

— Dobra. Przydzielimy was do komitetu Wola 2. Będziecie wobec tego komuni-
kować się nie z Liczką lecz z Podsiadłym. Musicie zapamiętać, bo pisać i notować nie wolno: towarzysz Podsiadły. Znajdziecie go w lokalu Związku Zawodowego Bednarzy przy Mozyrskiej pod czternastym.

— Towarzysz Podsiadły, Mozyrska 14. Związek Zawodowy Bednarzy — powtórzył
Murek.

— Tam potrzeba ludzi — ciągnął Krótki. — Podsiadły będzie już poinformowany
o was.

— Dziękuję.

Z pełnej szacunku miny, z jaką Kosicka wpatrywała się w Krótkiego, Murek domyślił się, że ten z wyglądu rzemieślnik musiał zajmować w partji wybitne stanowisko i był jakąś znakomitością. Mieli widocznie jeszcze coś poufnego do omówienia, gdyż poprosili Murka, by zaczekał w sąsiedniej kuchni. Oprócz kobiety przy płycie i dzieci, siedzieli tu teraz jeszcze trzej mężczyźni i w milczeniu palili papierosy, widocznie oczekując audjencji u gospodarza.

Wyszła Kosicka, przywitała się z owymi trzema i skinąwszy na Murka, otworzyła drzwi do sieni. Przed wyjściem z bramy rozejrzała się na obie strony.

— No i jak? — zapytała. — Jak, nowy towarzyszu?

— Dziwnie jakos — odpowiedział. — Nigdy nie brałem udziału w żadnej konspiracji... Ten Krótki to musi być tęgi działacz?

— O, tak. Trzeba bliżej go poznać, by należycie to ocenić.

Jednakże wbrew nadziejom i wbrew zamiarowi zbliżenia się do Krótkiego, Murkowi przez dłuższy czas nie było sądzone z nim się spotkać.

Nazajutrz zgłosił się pod wskazany adres. Niewielki, kilkupokojowy lokal Związku Zawodowego nie wyróżniał się niczem specjalnym. Szyldzik na drzwiach, nigdy nie myte okna, zabłocone podłogi. W większej salce odbywało się posiedzenie, obok w małym pokoiku stał duży stół, zavalony gazetami. Wejście Murka nie zwróciło niczyjej uwagi. Zaczepił jednego z kilkunastu kręcących się tu i rozmawiających grupkami robotników.

— Czy zastałem towarzysza Podsiadłego?

— W sekretarjacie, tam — wskazał zapytany na zamknięte drzwi.

Zapukał i wszedł.

Przy biurku siedział chudy młodzieniec w jasnym eleganckim ubraniu i segregował pliki papierów. Na wyciągniętych nogach miał tylko skarpetki. Żółte półbuciki stały obok.

— Ja do towarzysza Podsiadłego — niepewnie odezwał się Murek.

— Jestem. A czego? — Spojrzał nań obojętnie młody człowiek.

— Nazywam się Murek. Przysłała mnie Krótki.

Podsiadły ożywił się:

— A! Wiem, wiem. Siadajcie towarzyszu. Za chwilę wam służę. Muszę znaleźć jedną rzecz dla Zarządu. O jest... Zaraz wrócę.

Wybiegł nie nakładając butów, po minucie wrócił:

— Otóż — zaczął — nie będę wam długo zawracać głowy. Musicie przedewszystkiem zaznajomić się z literaturą podstawową. Dam wam wszystko, co mam pod ręką.

Mówiąc to, odsunął szafę, za którą na półkach umieszczonych we wnęcie muru leżały stosy książek. Wybrał kilkanaście broszur i podał Murkowi.

— Macie i uważajcie: nie robić na marginesach żadnych notatek, podpisów, ani znaków. Przez to najłatwiej wpaść. W razie czego trzeba powiedzieć, żeście tę bibułę znaleźli na ulicy.

— Rozumiem.

— A teraz tak: we środy i w piątki tutaj o ósmej wieczór odbywają się zebrania. Pogadanki, dyskusje, referaty. Trzeba na to przychodzić. Policji nie wchodzić w oczy, bo chociaż zebrania te odbywają się pod całkiem legalnym pozorem kółka samokształceniowego przy Związku, trzeba unikać wzbudzenia podejrzeń. Na wszelki wypadek wystawię wam legitymację związkową.

Wyciągnął z szuflady niebieski blankiet, wypisał na nim imię i nazwisko Murka i przyłożył pieczętę.

— I jeszcze jedno — odezwał się po namyśle. — Będę miał z wami, towarzyszu, kłopot. Z tą pracą. Skąd ja dla was wezmę posadę? Wiem, że do Fabryki Tapet w przyszłym tygodniu będą potrzebować robotników placowych. Mamy tam swoich ludzi. Dałoby się was wkręcić, ale skoro jesteście wykształconym człowiekiem, możebyście przeczekali, aż znajdzie się coś odpowiedniejszego?

Murek wzruszył ramionami:

— Mnie tam wszystko jedno. Aby z głodu nie zdechnąć. Roboty się nie boję.

— Tem lepiej, towarzyszu, tem lepiej. Jednak pomyślę o was. No, lecz przedewszystkiem pamiętajcie, że partja nie zostawia swoich na łasce losu, ale też i nie przebacza tym, którzy mają język zadługi. Rozumiecie?

— Ja tam do gadatliwych nie należę.

— To i dobrze.

— Z własnej woli przychodzę — podkreślił Murek, — bo kiedyś zdecydowałem się, nawet nie wiedziałem, że przez partję mogę dostać pracę.

— Wiem, wiem. To też jestem przekonany, że wkrótce zostaniecie przyjęci do partji.

Od tego dnia Murek każdą wolną chwilę poświęcał studjowaniu otrzymanych broszur. Były tam prace popularne, przeznaczone dla półinteligentów, jak: „Dlaczego zostałem komunistą”, „Zbrodnie ustroju kapitalistycznego”, „Rewolucja październikowa”, „Wodzowie proletariatu”, życiorysy Marxa, Lenina i Stalina. Były jednak i studia poważne gruntowne, chociaż synoptycznie ujęte o materialistycznym pojmowaniu dziejów, o historii ruchu robotniczego, o kolektywizmie, o ustroju sowieckim, o konieczności walki klasowej i inne.

Był to dla Murka świat całkiem nowych pojęć. Aż dziwił się, że żadne z nich nie wywoływały w jego umyśle automatycznego sprzeciwu i tłumaczył to sobie dość prosto. Widocznie poglądy te musiały w nim tkwić potencjalnie, a uświadomieniu ich sobie, stała na przeszkodzie gruba warstwa narzuconych przez wychowanie i otoczenie wyobrażeń i przekonań cudzych.

Światopogląd socjalistyczny dziś wydawał mu się tak uderzająco logiczny, tak sprawiedliwy i mądry, że tylko tępym konserwatyzmem mózgów ludzkich mógł objaśnić fakt, że dotychczas nie zatryumfował na całej ziemi. Bo przecie trudno byłoby uwierzyć we wszechmoc nielicznej warstwy kapitalistów i faszystów. Ich władanie we wszystkich krajach jest skutkiem nieświadomości klasowej mas pracowniczych.

Dawniejszy szacunek dla tak zwanych sfer wyższych zamienił się w nim nie tylko w nienawiść, lecz i w pogardę. W pogardę zarówno dla świata Nirry, jak i dla tych wojewodów, ministrów i dygnitarzy, którzy teraz z dystansu nowej orientacji Murka wyglądali, jak puste kukły.

Trawiąc przy lekturze długie godziny na rozmyślaniach, Murek nieraz wracał wspomnieniami do swoich dawnych sądów, ocen i planów życiowych. Właściwie mówiąc, powinien był dziękować losowi za pokrzyżowanie tak niedorzecznych marzeń, jak małżeństwo z Nirą Horzeńską. Ogarniało go obrzydzenie na myśl, że do śmierci byłby związany z istotą do gruntu nędzną. Bo gdyby Nira nawet nie popełniła tych łajdactw, jej natura musiała być do nich zawsze gotowa. Natura płytka, pozbawiona kryterjów etycznych, żadna użycia. I cóż dawało jej tytuł do lekceważenia takiego człowieka, jak on? Człowieka prostego i zwyczajnego, ale wyższego od niej i całego jej środowiska, wykształceniem, uczciwością i pracą. I on, ślepiec, myślał wtedy, że to jemu wielką łaskę robią, oddając mu za żonę istotę bez żadnych wartości.

Bo i kultura tych ludzi była w najlepszym wypadku tylko kulturą towarzyską, co nie przeszkadzało wynikaniu przy okazji najbrutalniejszych awantur.

Zapewne i w tamtej sferze istnieją ludzie prawdziwi, ludzie, którym snobizm i dziecinna wiara w wyższość swego urodzenia nie odebrały poczucia zdrowego sensu. Znał wśród nich mężczyzn obdarzonych wiedzą i umiejętnością myślenia, kobiety uczciwe, ludzi umiejących sięgać swemi zainteresowaniami poza małpi ogródek swego życia towarzyskiego, zajmujących się sprawami społecznymi, ekonomicznymi, pracujących i ceniących pracę. Takich jednak uważał za stosunkowo rzadkie wyjątki, które ani nie rehabilitowały reszty, ani nie mogły usprawiedliwić jej pasorzytniczej egzystencji, którą kiedyś rewolucja zniszczy i zetrze z oblicza ziemi.

Na ten właśnie temat wygłosił Murek pierwszy swój referat na jednym z zebrań w Związku. Miał dość materiału przykładowego, „małpi ogródek” znał z autopsji, a jego gwałtowna nienawiść i wstręt do burżujów, były tak sugestywne, że nietylko zwykli słuchacze, lecz i towarzysz Podsiadły, gratulowali mu wykładu. Jednak instruktor, młody komunista, zwany towarzyszem Piotrem, wysunął dość poważne zastrzeżenia:

— Waszemu ujęciu kwestji — powiedział, — muszę postawić istotny, podstawowy zarzut. Wyście potraktowali rzecz negatywnie. Potępiliście małpi ogródek, ostrzeżliście towarzyszy przed fałszywym blichtrzem burżujskiego życia, udowodniliście, że burżuje żyją w obłudzie, w egoizmie, w ciemnocie gorszej nieraz, niż analfabeci, że należy unikać nietylko małżeństwa, lecz i znajomości z osobnikami z ich świata. Aleście nie dali progra-

mu pozytywnego. I to wasz błąd, towarzyszu. Istotnie, wielu proletarjuszom imponuje burżuazja, jeszcze więcej jest takich proletarjuszek, co w swej głupocie marzą o wyjściu zamąż za hrabiego, czy dyrektora. Takiej gęsi nawet do głowy nie przyjdzie, że wymarzony burżuj jest najczęściej gorszym chamem, niż zwykły robociarz. Otóż należało wskazać wyraźnie, że świadomy człowiek pracy, że czynny komunista wręcz powinien żyć życiem proletarjatu, że jest jego obowiązkiem założenie rodziny wspólnie z kobietą ze swego środowiska i wychowanie dzieci w komunistycznej atmosferze idei i pracy. Czyż nie mam racji, towarzysze?

Wywiązała się ożywiona dyskusja, a chociaż zabierali w niej głos i przeciwnicy poglądu towarzysza Piotra, Murek w duchu podzielał jego zdanie bez zastrzeżeń.

I dlatego właśnie przypominała mu się Karolka...

Takie przeniesienie abstrakcyjnej tezy na konkretny obiekt spoczątku wydało się Murkowi niedorzeczne. Może z tej przyczyny, że kiedyś, gdy spowodu Karolki mężczyły go wyrzuty sumienia, umiał wynaleźć tysiące argumentów, które go usprawiedliwiały i sam w nie uwierzył. Teraz jednak pod wpływem nowych przemyśleń zaczęło się w nim rodzić przeświadczenie, że pierwszym, zdecydowanym krokiem w przyszłość powinno być zadokumentowanie prawdziwej łączności z tą klasą, do której należy i chce należeć, dla której dobra i wydzwignięcia spod burżuazyjnej przemocy pragnie pracować.

Jakże wstąpić w to nowe życie z balastem krzywdy wyrządzonej dobrej, uczciwej dziewczynie, krzywdy dotychczas nie naprawionej dlatego jedynie, że pokrzywdzona jest prostą chłopką, że nie potrafiłaby dochodzić swoich słusznych ludzkich praw? Tych właśnie praw, w których obronie, on, Franciszek Murek, występuje.

Myśl o tem coraz głębiej zapuszczała korzenie, aż wplotła się tak trwale, tak nierozłącznie w rozważania Murka, jak dawniej o Nirze, która miała stanowić integralną część życia doktora praw i urzędnika, posuwającego się planowo i zgodnie z pragmatyką służbową po szczeblach drabiny rang, aż ku dygnitarstwu.

Teraz mógł już regularnie wysyłać Karolce pieniądze na utrzymanie synka. Dostał pracę.

Po kilku tygodniach od rozmowy z Krótkim, przekonał się, że ci ludzie nie rzucają obietnic napróżno. Najpierw dano mu robotę, jako brygadziście placowemu w dużej fabryce na Pradze, gdzie delegatami robotniczymi byli sami komuniści. Praca była lekka, gdyż polegała właściwie tylko na dozorowaniu, ale i zarobek niewielki, i rzecz czasowa, na sześć tygodni.

Natomiast później został przyjęty do warsztatów kolejowych w charakterze pisarza. Tu tygodniówka nie była większa, lecz zajęcie stałe, a przytem nie wyłącznie zarobkowe. Miał już do spełnienia zadanie, nałożone nań przez partję. Mianowicie, w warsztatach kolejowych, stanowiących nader ważną placówkę robotniczą i mogącą w razie strajku odegrać poważną rolę, dotychczas wpływy komunistyczne były bardzo słabe.

Należało umiejętnie i stopniowo prowadzić agitację tak, by nie wzbudzić podejrzliwości zwierzchników. Dla uspienia ich czujności, Murek musiał rygorystycznie wypełniać swe nieskomplikowane zresztą czynności i zdobyć opinię wzorowego pracownika.

Do agitacji w warsztatach nastroczały się codziennie liczne okoliczności. W myśl drukowanych instrukcyj, które Murek przestudjował sumiennie, należało wyzyskiwać każde niezadowolenie poszczególnych robotników. Pretekstów było moc: drożyzna, niesprawiedliwy ton, śruba akordowa, wady Ubezpieczalni, arbitralność zwierzchników, ich dostatni tryb życia i t. d. A z drugiej strony perspektywy ustroju sowieckiego: prawdziwa równość, radosna praca, otwarta droga dla każdego biedaka do sławy i zaszczytów.

Przy łada sposobności, o którą pisarzowi, wciąż mającemu styczność z robotnikami, nie było trudno, w małych dawkach sączyło się tę propagandę z naiwną i pozornie obojętną miną.

W bytowaniu Murka, w związku z wstąpieniem do warsztatów kolejowych, zaszła jeszcze jedna zmiana. Mianowicie musiał przedstawić dowód zameldowania, a zatem zameldować się naprawdę, czyli znaleźć dla siebie jakiś niedrogi kątek. Zresztą sam oddawna tęsknił już do tego.

O wynajęciu najskromniejszego bodaj pokoiku z zarobków pisarza warsztatowego nie było co marzyć. Jedyną możliwością pozostało tak zwane podnajęcie kąta, czyli łóżka

przy jakiejś rodzinie. Po krótkich poszukiwaniach znalazł coś odpowiedniego. Na parkanie przyklepiona była kartka zawiadomieniem, że jest wolne „pomieszczenie dla kawalera, przy familji”. Przy ulicy Solec, w niedużej kamienicy, na drugim piętrze, w dwupokojowym mieszkanku, było czysto i schludnie, chociaż ubogo.

Stara, koścista kobieta, o wielkich czarnych oczach, nieprzyjemnie przenikliwych, obejrzała Murka krytycznie i krzyżując ręce na wypukłym brzuchu, zapytała:

— Szanowny pan względem czego?

— Ogłoszenie przeczytałem. Szukam pomieszczenia.

— A zatrudnienie pan ma?

— Mam.

— A gdzie?... Bo ja tylko wypłacalnym osobom wynająć mogę.

— Pracuję w warsztatach kolejowych.

Stara zamyśliła się i powiedziała gniewnie:

— Zgóry płacić trzeba. Ja tam łatków, ni łachudrów nie potrzebuję. I jak pan chcesz: z pościelą, czyli też bez?

— To zależy, ile będzie kosztować.

— Z pościelą trzydzieści, bez pościeli dwadzieścia i pięć, i szkoda gadać. Targować się idź pan do żydów. U mnie wszyscy tak płacą.

Odstąpiła nabok i ruchem podbródka wskazała żelazne łóżko, stojące w kącie, nieco powyginane, lecz zakryte czystą kolorową kapą z nakrochmalonego kretonu.

— Tutaj — dorzuciła krótko.

Oprócz wskazanego w pokoju stały jeszcze trzy łóżka i ceratowa kanapa. Mniejwięcej przez środek pokoju przeciągnięty był drut, na którym wisiała rozsunięta obecnie kwiecista perkalowa kotara. Drewniana podłoga wyszorowana była do białości i w kierunkach widocznie bardziej uczęszczanych, zasłana rozłożonymi gazetami.

W małej kuchence obok stało duże, meblowe łóżko, komoda i stół, przykryty żółtą ceratą, przeświecającą spod ażurowej, szydełkowej serwety.

— A kto tu jeszcze mieszka? — zapytał Murek.

— Pański interes?... Ludzie mieszkają. Porządne ludzie. Ja z córką w kuchni, a tu suplikatory.

Obtarła usta fartuchem i poufniejszym tonem dodała:

— A jeżeli masz pan jakie lepsze rzeczy, to mogę do siebie, do komórki wziąć pod klucz. Zawsze bezpiecznie na ludzką pokusę.

Murek machnął ręką:

— Na moje tam nikt się nie połakomi.

Stara zaniepokoiła się:

— A płacić trzeba zgóry!

— Dobrze, dobrze. Ma pani tu zadatku trzy złote — uśmiechnął się — a wieczorem zajadą tu wozy meblowe z mojemi rzeczami.

Już chciał wychodzić, lecz gospodyni zatrzymała go oświadczeniem, że dokumenty musi jutro dać do zameldowania i to nie żadne lewe, tylko akuratne, bo ona z policją nijakich spraw mieć nie chce.

Pożegnał ją zapewnieniem, że wszystko będzie w porządku. W bramie zaczął dozorcę domu i dowiedział się, że owa baba jest z lepszej familji, gdyż jej rodzice mieli mydlarnię na Okopowej, ale wyszła zamaż za śmirusa i drania, „któren teraz we więźniu wyrok odsiaduje”. Ale ona sama znaczy się, pani Koziółek, jest porządną lekatorką, a żyje z wrózenia i nijakiej lekramy nie potrzebuje, bo na całym Powiślu każdy wie, że jak pani Koziółek co powie, to sprawdzi się, jak ament w pacierzu.

Co do jej sublokatorów nie umiał udzielić bliższych informacji.

— Spokojne ludzie — kiwnął tylko głową.

Tegoż wieczora Murek poznał prawie wszystkich. Najwygodniejsze łóżko w kącie przy piecu zajmował szpakowaty brunet o zakrzywionym nosie, ruszający się wolno i z namysłem cedzący słowa. Ze swego rodzaju szacunku, z jakim zwracali się doń współlokatorzy, można było wywnioskować, że w tem gronie jest najpoważniejszy. Zresztą, jego ubranie, czysta bielizna i niespracowane ręce zdawały się świadczyć, że żyje sobie niezgorzej. Mówiło się o nim: pan Piekutowski. Jeden tylko z całego towarzystwa nazywał go Felusiem i traktował go poufalej. Tego nazywano poprostu majstrem. Był niski, raczej gruby,

o nadmiernie rozrośniętej klatce piersiowej. W bladej i gąbczastej twarzy, gęsto usypanej śladami po ospie, świeciły mu się małe, niebieskie i złe oczy.

O ile pan Piekutowski nie zwracał uwagi na przybysza, o tyle Majster zainteresował się nim żywo z tak niezdarne udawaniem pocziwego gadulstwa, że Murek odrazu zorjentował się, iż biorą go na spytki.

Miałby wielką ochotę „odstawić” z miejsca Majstra, do którego poczuł niechęć, lecz postanowiwszy uprzednio utrzymywać z współmieszkańcami poprawne stosunki, zbywał natrętne wypytywania zwięzłymi ogólnikowymi odpowiedziami, że pracuje tu i tu, że zarabia mniej, niżby chciał, że długo był bezrobotny, a dawniej mieszkał na prowincji, że jest nietrunkowy, że uchował się w kawalerskim stanie.

Rozmowy tej z pozorną obojętnością słuchali wszyscy, nie wyłączając gospodyni, siedzącej w kuchni przy stole i zajętej cerowaniem bielizny.

Trzeci lokator, pan Wicus, chuderlawy blondyn o koszlawej i pokrytej bliznami szyi, inwalida wojenny, dogadywał wesoło, usiłując do każdego wypowiedzianego słowa doczyć opowiadanko o tem, co mu dzisiaj lub też kiedyś przytrafiło się w jego budce z papierosami na ulicy Dobrej.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na rozbierających się lokatorów, po kuchni i po pokoju krzątała się córka pani Koziółkowej, prawie trzydziestoletnia, rosła i silnie zbudowana kobieta, z tęgimi białymi łydami i dużym, jędrnym biustem. Jej domowa letnia sukienka, sięgająca zaledwie do kolan, była tak obcisła i odsłaniała tyle zdrowego młodego ciała, że robiła wrażenie zupełnej nagości, za którą nieznacznie wędrowały oczy wszystkich mężczyzn. Tylko twarz miała wręcz obrzydliwą, długą, zwisającą ciężko ku przodowi, z ledwie zarysowaną wypukłością nosa, jakby wciągniętego na całej swej długości między policzki. Okrągłe, zamglone oczy i grube, wywinęte wargi przy pełnym niemal zaniku podbródka nadawały tej twarzy wyraz barani, czy kozli.

— Żebym miał taką mordę — mruknął Wacus — tobym na niej nawet siadać nie chciał.

Pomimo tej fatalnej brzydoty Idalka, czy też, jak ją na całym Powiślu nazywano, Ibalka, miała już trzech mężów. Po dwóch pierwszych owdowiała, trzeciego, konduktora z tramwajów, rzuciła, gdyż — jak mówiono — nastarczyć jej nie mógł, a w mieszkaniu na klucz zamykał.

Idalka posprzątała to i owo, rozłożyła pościel na kanapie, zaciągnęła kretonową zasłonę, przez co kanapa znalazła się jakby w osobnym pokoiku i, wyszczerzywszy swoje długie, rzadkie i żółte zęby, powiedziała bardzo niskim, matowym głosem:

— No, to i dobranoc, chlopy.

— Dobranoc — odpowiedział tylko Murek.

Inni nie zareagowali wcale. Idalka przeszła do kuchni, cokolwiek przymknąwszy drzwi za sobą. Po chwili rozległ się stamtąd plusk wody.

Majster podrapał się po plecach i oświadczył szeptem:

— Myje się, ścierwo.

— A kto śpi tam, na kanapie? — zapytał go Murek.

— Tam?... Kobieta jedna.

— To jest dziewucha! — dorzucił Wacus i cmoknął smakowicie.

Pan Piekutowski, rozwiązując tasemki przy długich, białych kalesonach, odezwał się łagodnie:

— Lepiej nie roztkliwiaj się, Wacus. Nie dla psa kielbasa.

Wacus westchnął i machnął ręką:

— Czy ja nie wiem?

— No, to i nie gadaj — ostro uciął Majster.

— A pan, panie szanowny, — zwrócił się Piekutowski do Murka — też musisz być poinformowany, że owa kubita, czyli panna Arletka, to ma swojego narzeczonego, co bardzo nie lubi, jak mu kto w jego sprawy nos wsadza.

— No, to i w porządku.

Kiwnął głową i wyciągnął się pod kołdrą.

— Feluś, gasić? — zapytał Majster.

— Gaś!

Majster wyskoczył z łóżka i poczłapał bosemi nogami do kontaktu, stąpając pięta-
mi i zadzierając do góry palce. Wacús, który zajęty był obliczaniem czegoś w notesie,
z rezygnacją złożył swoje papierki i wepchnął pod poduszkę.

Zaległa cisza. Przez chwilę jeszcze z kuchni dolatywało stękanie starej, układającej się
do snu, później i tam zgasło światło.

Murek, który za przykładem współlokatorów, położył się w kalesonach, teraz je ścią-
gnął pod koldrą. Tak przyjemnie było czuć dotyk prześcieradła do nagiej skóry. Od tak
dawna już nie spał w łóżku. Dotyk zimnej poduszki był poprostu rozkoszny.

Zasnął szybko, lecz wkrótce się obudził. W pokoju było prawie ciemno. Pomimo to
odróżnił wyraźnie jakąś sylwetkę, posuwającą się przez środek pokoju. Podłoga skrzypiała.
Wśród ciszy rozległ się szelest przy łóżku pana Piekutowskiego i ozwał się jego zaspany
szept:

— Poszła do cholery, ty szlajo!...

Jednocześnie łóżko zaskrzypiało. Chwila szamotania się i warknięcie pana Piekutow-
skiego:

— Nie odczepisz się?...

Widocznie jednak adresatka tych wezwań nie myślała się do nich zastosować, gdyż
słychać było tylko jej gardłowe sapanie. Wkrótce szamotanie się ustało, a raczej przeszło
w urywany rytm.

Murek odwrócił się do ściany i naciągnął koldrę na ucho. Spoczątku myślał, że nie
zaśnie, zmęczenie jednak silniejsze było od wyobraźni, która pod pewnymi względami
niemal zanika u ludzi, co od szeregu miesięcy nie najadali się nigdy dosyta.

O świcie, zanim jeszcze odezwały się ranne syreny fabryczne, Murek się obudził.
W pokoju było duszno. Podniósł głowę i ze zdumieniem zobaczył na sąsiednim łóż-
ku leżącą obok Wacusia Idalkę, zupełnie odsłoniętą, z jedną ręką zwisającą do podłogi
i z szeroko otwartymi ustami.

Wzdrygnął się, naciągnął ubranie i poszedł do kuchni umyć się nad zlewem.

Gdy już wychodził, zaczęli się podnosić i inni. Idalkę Wacús nakrył koldrą.

— Śmierci na nią niema — zajęczał żalośliwie.

— Życie z człowieka wyciśnie szantrapa — potwierdził Majster.

Przez szparę w zasłonie Murek zerknął na kanapę. Pościel nie była ruszona. Widocznie
owa Arletka spędziła noc gdzieindziej.

Wychodził właśnie z bramy, gdy zatrzymała się taksówka i wyskoczyła z niej ładna,
śniada panna w długiej czarnej jedwabnej sukni. Murek przez tę chwilę, kiedy płaciła
szoferowi, zdążył zauważyć, że ma bardzo umalowaną twarz i śmiałe spojrzenie.

Poczekał aż weszła do bramy i zapytał dozorczynię:

— Co to za panienka?

— Panienka to ona w łokciu — jowialnie oświadczyła kobiecina — a mieszka u tejtó
wróźki, co i pańska osoba. U pani Koziółek.

— Aha! Arletka — pomyślał Murek.

Tęgoż dnia miał sposobność poznać Arletkę osobiście. Gdy wrócił do domu, nie było
w pokoju nikogo poza nią. W kuchni coś pitrasiała stara Koziółkowa.

Arletka w długim różowym szlafroku siedziała przy oknie i lakierowała paznokcie.
Teraz nie była wcale umalowana i przez to wydała się znacznie młodsza. Napewno nie
miała więcej, jak dwadzieścia lat.

— Dobry wieczór — skłonił się Murek.

— Dobry wieczór — skinęła głową i przyjrzała się mu z zaciekawieniem.

— Jestem tu nowym sąsiadem pani — objaśnił, ponieważ nie spuszczała zeń wzroku.

Była bardzo ładna i gdyby nie wyskubane do cieniutkiej kreski brwi, jej urodzie nie
miałby nic do zarzucenia. Przytem wywierała wrażenie dumne, co Murkowi zawsze się
podobalo.

— A może przeszkadzam pani w ubieraniu? — zapytał.

— Nie — uśmiechnęła się.

— Bo ja mogę wyjść. Mnie wszystko jedno.

— Pan bardzo uprzejmy, ale nie trzeba. Gdybym chciała, zaciągnęłabym kotarę.
Zresztą dziś nigdzie nie idę. Dopiero wieczorem do zajęcia.

— To pani pracuje na nocnej zmianie?
— Jakto na zmianie? — zdziwiła się i nagle wybuchła śmiechem: — ach u nas jest tylko jedna zmiana, właśnie nocna. Ja pracuję na dancingu.

Obejrzała paznokcie pod światło i dodała:

— W takiej budzie na Chmielnej. Pewno pan nieraz tamtędy przechodził. Nazywa się Dancing-Club.

— Owszem — przytaknął.

— No, i tak — powiedziała bez znaczenia, lecz z widoczną chęcią podtrzymania rozmowy.

Murkowi jednak zrobiło się przykro, sam nie wiedział dlaczego. Wolałby sądzić, że dzisiejszego ranka wracała od narzeczonego, niż wyobrazić ją sobie, jako fortancerkę w jednym z tych nocnych hulaszczyczych lokalów.

— Ten narzeczony też musi być ładny numer — pomyślał — jeżeli pozwala jej na to.

I powiedział ogólnikowo:

— Wesoła praca.

— Taka sobie. Lepsza ta, niż żadna.

— Zawsze lekka.

— O nie! — zaprotestowała — niechby pan tak spróbował całą noc przetańczyć z pierwszym lepszym. Najczęściej pijanym w dodatku. No i pić. Nie cierpię pić.

— A musi pani, żeby podbić rachunek gościa?

— Oczywiście. Koleżanki, to co pewien czas wstają od stolika idą do garderoby i palce w usta... Ale ja tego strasznie się brzydzę. Nie umiem. Raz spróbowałam i wtedy tak mnie głowa rozboleła i naprawdę rozchorowałam się. Okropne! I ten zaduch w lokalu. Do nas przyjeżdżają już z innych knajp. Rzadko który, trzeźwy. A ja mam wciąż takie szczęście, że nie dadzą mi spokoju. Siada taki przy stoliku i już pyta, czy Arleta wolna...

— Ładne imię.

— Tak mnie przezywają — wyjaśniła rzeczowo. — Ja wolę swoje, chociaż podobno jest brzydkie.

— A jak pani na imię?

— Zofja, Zośka. Pospolite, to prawda, ale...

Do pokoju weszła pani Koziółek, ostentacyjnie kłapiąc szerokimi pantoflami i niosąc z szacunkiem talerz z parującą jajecznicą.

— Proszę — postawiła przed Arletką — na słonince. Tylko niema co rozgadywać się, bo ostygnie.

— Tem lepiej, ciociu — poklepała starą po ramieniu Arletka — nie lubię przecie gorącego.

Baba jednak ściągnęła brwi i karcąco spojrzała na Murka:

— A pan coś strasznie rozmowny?... Nie wyglądał...

— Ciociu — przerwała Arletka — a chleba dostanę?

— Zaraz — odpowiedziała krótko i już w milczeniu przyniosła w rękę bochenek i nóż.

Gdy wyniosła się spowrotem do kuchni, Arletka zabrała się do jajecznicy i jadła z apetytem.

— Czy pani jest siostrzenicą pani Koziółkowej? — zapytał Murek półgłosem.

— Skądże — odwróciła się doń z pełnymi ustami. — Ona jest ciotką mojego Kazika.

— Narzeczonego?

— Aha. On jest piekielnie zazdrosny i dlatego muszę tu mieszkać pod okiem pani Koziółek.

— No, nie wydaje mi się, by pani Koziółek była zbyt surową strażniczką cnoty.

— Wiem, — zaśmiała się. — Wiem, o czym pan myśli, o Idalce, tak?

— Może...

— Czy i pan już zapoznał się z jej miłością? — zachichotała. — Idalka oporu nie uznaje. Ani wyboru. Każdy dobry.

— Co do mnie, niema obawy...

Arletka nagle spoważniała.

— Wszyscy jednacy — powiedziała z pogardą. — Każdy z was zapiera się, śmieje się z jej brzydoty, spluwa, a gdy mu tylko ta krowa wpakuje się do łóżka... jazda! Zapomina o wszystkim. Samcy!

— Za pozwoleniem — ironicznie zauważył Murek. — Czy to on, czy ona? Kto kogo atakuje?

— Ach, nie w tem rzecz — zniecierpliwiła się. — Skoro wie pan, że to u niej choroba.

— Wcale tego nie wiedziałem.

— Mówię panu, choroba. Ale wy, mężczyźni! Czasami, gdy nie idę do pracy i wieczorem kładę się spać, to przecie słyszę, co oni mówią i jak z nią rozmawiają. A w nocy?... Sam pan wie. Nie mogę zasnąć, tak mnie to złości i śmieszy. Idalka, biedactwo, na nic nie zważa. Jak się, panie, nazywa taka choroba?

— Skądże pani przypuszcza, że ja mam to wiedzieć?

— Bo... bo pan jest — zawahała się — pan jest inteligent.

— I z czego to pani wnioskuje, czy z mojej elegancji, czy z delikatnych rączek?

Zaśmiała się kokieteryjnie:

— Już ja umiem poznać się na takich rzeczach. Pan myśli, że u nas w Dancing-Clubie nie bywają różni?... Oho! Zaczynając od arystokratów i ministrów, a kończąc na właścicielach remiz dorożkarskich. I trzeba odrazu skapować się, jak z takim gadać.

— Z hrabią po salonowemu, a z prostakiem poprostu — domyślnie dopowiedział Murek.

Potrząsnęła głową:

— Właśnie, że nie. Odwrotnie. Taki gość od magli, dość ma w domu cholerowania żony i chce w lokalu siedzieć z damą, a nawet sama stara się udawać wykwintnego, póki nie zaleje się na pestkę. A hrabia lubi żeby mu zawalić ordynarnie, by nie umieć przyzwoicie jeść i przekreślać francuskie słowa. Taki idjota wówczas cieszy się, że jest mądry i wykwintny, śmieje się, podmiguje z przyjaciółmi, a jak mu na każde jego najgłupsze powiedzenie pisać jeszcze „o jej!”, to rozplywa się z zadowolenia. Potem łaskawie oświadcza, że wydobydzie taką dziewczynę z błota i da jej... Jak to się nazywa?... Aha: polor i oprawę. A całe gadanie poto, by nabrać biedną fortancerkę na darmowe przespanie się z nim. A nuż skusi się nadziejami na „wyższy poziom”, to znaczy w praktyce na dostanie się do faceta na stajenkę, no i nie upomni się o doraźną należność.

Westchnęła i dodała zabawnie smutnym tonem:

— Świnie.

— Ale pani ma zdolności obserwacyjne, panno Arleto — powiedział Murek z po-dziwem.

— W życiu wszystko się wyrabia. Dlatego też jestem pewna, że pan nie jest tem, na co zewnętrznie wygląda.

— Tylko czem? — zaciekawiał się szczerze.

— Pan?... Albo pan zbankrutował i z biedy do tego doszedł, albo...

Jej oczy uważnie i badawczo patrzyły zukosa.

— Albo? — podchwycił Murek.

— Albo spełnia pan swój obowiązek służbowy.

Murek zrozumiał, o co go posądza:

— Czyli, że jestem tajniakiem? — zapytał z uśmiechem. — Wyglądam na to?...

Miał jej ochotę powiedzieć, że właśnie przedwczoraj został już członkiem partji komunistycznej, lecz w porę ugryzł się w język.

— Mnie to nic nie obchodzi — odezwała się znudzonym tonem.

— Widzi pani i ja trochę znam się na ludziach. Więc poco, pani mnie buja?...

— Ja? — szeroko otworzyła oczy.

— Właśnie. Czy warto tyle czasu ze mną gadać, skoro chodziło pani tylko o dowiedzenie się, czy nowy współlokator nie jest z policji i nie wprowadził się tu do szpiclowania?

Zarumieniła się i, czując to, wybuchła śmiechem, by zatuszować zmieszanie.

— Ładnie pani się śmieje, ale lepiej było spytać wprost. Wówczas powiedziałbym, że nie, a pani, jeżeli się chociaż trochę zna na ludziach, nie pytałaby się więcej i tem samem oszczędziłaby pani sobie przykrości rozmawiania. Ot co. A tak, to dała mi tylko pani do

zrozumienia, że boi się pani policji, że zatem są jakieś powody tych obaw. I gdybym był agentem, łapaczem, szpiclem, dopiero teraz wpadłbym na myśl posądzania pani.

Powiedział to wszystko z łagodną ironją. Arletka nie próbowała mu przerwać, jednak gdy skończył, zaprzeczyła:

— Nic do ukrywania nie mam. Proszę bardzo. A pana nie posądzam, tylko tak wyszło z rozmowy.

— No, no — pobłaźliwie podniósł rękę Murek.

— Daję panu słowo! Czyż pan jest o sobie tak złego zdania, że rozmowa z panem, to przykreść?

— Jestem takiego zdania.

— Więc bardzo się pan myli.

— Niechże się pani nie wysila — spojrzał na nią z nieukrywanym lekceważeniem. — Tu nie dancing, a ja nie hrabia, ani inny maglarz, tylko zwykły pisarz warsztatowy.

— Głupi pan jest — rzuciła niecierpliwie.

— Dziękuję za szczerłość.

— A właśnie, że szczerłość, bo przyjemnie mi z panem rozmawiać. Ja też, proszę pana pochodzę z inteligencji i wolę gadać z panem, niż z innym.

— Niech pani sobie tem nie zawraca głowy — powiedział obojętnie, chociaż czuł, że rozdrażni ją tem jeszcze bardziej. Zły był na nią.

Chciała mu coś odpowiedzieć, lecz zapukano do drzwi. Murek przekręcił klucz w zamku i odciągnął grubą zasuwę. Był to pan Piekutowski. Rozejrzał się spokojnie, burknął „Dobry wieczór” i poszedł do kuchni umyć ręce.

Murek zauważył, że przyście Piekutowskiego spieszyło Arletkę. Zaczęła nucić jakąś piosenkę i przekładać fatalaszki w swojej walizce.

Wziął czapkę, nasunął na czoło, otworzył drzwi i wolno schodził, gdy usłyszał za sobą trzask klamki i głos przyciszony:

— Panie, chwileczkę!...

Zawrócił. Zamknęła drzwi za sobą i szepnęła:

— Chcę pana przekonać. I opowiedzieć o sobie. Niech pan czeka o dziesiątej na przystanku na Dobrej.

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, że niema na to czasu, weszła spowrotem i przekręciła klucz. Jednocześnie poznał głos Piekutowskiego:

— Czego latałaś za tym frajerem?

— Żeby wrzucił do skrzynki list — odpowiedział głos Arletki.

Mówili coś jeszcze, lecz dalej od wejścia i nie było słyhać.

— Po co ona kłamie? — myślał Murek i jednocześnie zbiegał ze schodów w obawie, że Piekutowski dopędzi go i zażąda pokazania listu.

Za ten pośpiech sam siebie przywołał do porządku. Ta cała Arletka obchodziła go akurat tyle, co i Piekutowski. Był nawet niezadowolony z siebie, że dał się wciągnąć w jakie takie zbliżenie z tą dziewczyną. Opowie o sobie!... Śmiechu warte. Każda taka dziwka ma parę zmyślonych historyjek do opowiadania naiwnym. Oczywiście rosyjska księżniczka, albo córka księdza! Znane rzeczy. I porwał ją zakochany rotmistrz od ułanów!... Uwiódł, by porzucić. Małpy.

Chociaż starał się nastroić siebie jaknajgorzej do Arletki, nim doszedł do Związku na Mozyrską, jego nieżyczliwość stopniała. Bądź co bądź biedna dziewczyna, napewno wolałyby uczciwą pracę, niż mizdrzenie się do grubych burżujów w nocnej knajpie. Zresztą ma narzeczonego i pilnują jej wszyscy. Może i całkiem porządna. W każdym razie nie kłamie, że pochodzi z inteligencji. Niemożliwe, by wyrobiła się tak, czy to wśród lokatorów pani Koziołkowej, czy też po knajpach.

Pomimo wzrastającego zaciekawienia się Arletką, na spotkanie nie poszedł. Miał zresztą ważniejsze sprawy. W Związku czekali dwaj towarzysze, wraz z którymi wybrany był do komitetu propagandowego na miejsce aresztowanych przed tygodniem, starych członków partji.

Wszedł już wcale nieźle w te rzeczy. I cieszył się, widząc wzrastające zaufanie i przychylność wybitniejszych komunistów. Z samym Krótkim widywał się teraz często, a Krótki był w partji figurą, komisarzem „propagitu” na całe państwo. Znał się już też na hie-

rachji partyjnej i wiedział, że ponad Krótkim, Podsiadłym, Piotrem i tymi wszystkimi, których znał, stał wszechmocny Komitet Wykonawczy, a i ten podlegał delegatowi Kominternu.

O ile dawniej dręczyła go mglistość konturów, w jakich wyobrażał sobie organizację partji, o tyle obecnie czuł i rozumiał celowość, a także logikę tej wielkiej przejrzystej konstrukcji, w której każda kondygnacja miała swoje zadania, swoje kompetencje, swój regulamin, a podlegała wyższej, tworząc takąż piramidę, jak ta, rządowa, w której kiedyś był jedną z doskonałych dopasowanych cegiełek.

Uświadomienie sobie własnej przydatności w tej nowej piramidzie przyniosło Murkowi wielką ulgę, wypełniło próżnię, ustabilizowało go w nowym świecie.

Wiedział znowu, czym jest, co ma robić i poco istnieć. A to, chociaż nie dawało wszystkiego, dawało wiele. Dawało spokój i możliwość pogodzenia się z losem.

Nauczył się przytem jednej rzeczy: konspiracji. Była ona czemś w rodzaju dobrze znanej z dawnych czasów — tajemnicy urzędowej. Nauczył się sztuki zupełnego panowania nad swymi odruchami, odliczania słów, odmierzania gestów, usługnych i totumfackich uśmiechów w rozmowie ze zwierzchnikami w warsztatach, operowania mimiką przy agitowaniu robotników, posługiwania się całym arsenałem środków, może niezbyt pięknych, lecz koniecznych. Koniecznych nie tylko w podziemnej pracy partyjnej, lecz — jak wielkocroć się przekonywał — na każdym terenie, w całym życiu.

O ileż teraz czuł się dojrzalszym, o ile bardziej doświadczonym i zręczniejszym od tego Murka, który bezkarnie i niezashużenie został wyrzucony z magistrackiej posady i pozwolił się zepchnąć pod powierzchnię.

Znacznie więcej wiedział teraz o sobie, znacznie lepiej rozumiał siebie i innych. Szkoła materializmu komunistycznego nie poszła na marne. W jej betonowej świątyni nie było miejsca na chwasty przesądów, na kwiatuszki złudzeń. Sceptycyzm, jak kwas siarczany, wypalał do korzeni wszelkie naiwne roślinki, które przesłaniały dawniej matematyczną architekturę prawd ludzkich. W tem wszystkim świecie było może mniej pięknie i chłodniej, surowiej, lecz zato jaśniej i prościej.

Patrząc przez to na swoją przyszłość, patrząc na zmiany w samym sobie i ogromne przeobrażenia w panoramie świata, Murek doszedł do jednego przekonania: oto nie żałował już ani swego biurka urzędniczego, ani oplutych przez Nirę uczuć, ani głodu po Cyrkach, Berlinach i Kamczatkach, ani wygod, ani trudów i nędzy. Nie żałował, gdyż temu właśnie złemu losowi zawdzięczał dotarcie do prawdziwej drogi, prowadzącej do wielkiego celu i drugie: zawdzięczał to, co nazywał swoją dojrzałością wewnętrzną.

Trafniej i pewniej wartościował teraz ludzi, z którymi się stykał. I tak naprzykład już po paru tygodniach mieszkania na Solcu „rozgryzł” swoich współlokatorów. Dowiedział się, że Piekutowski jest z zawodu elektrotechnikiem, a Majster szoferem na taksówce, ale obaj swój fach traktują jako coś dodatkowego i niezbyt ważnego. Murek nie wątpił, że należą oni do jakiejś bandy złodziejskiej, czy bandyckiej, której hersztem musiał być oczywiście ów siostrzeniec Koziołkowej, a narzeczony Arletki. Inwalida Wacusz nie miał nic wspólnego z nimi, a nawet trochę ich się bał, jak i sama Koziołkowa. Jej córka była tępą i obojętną na wszystko oprócz swego nocnego żerowiska.

Murek trzymał się zdaleka. Początkowo próbował i tu agitacji komunistycznej, ale dość szybko zorientował się, że w tem zdemoralizowanym środowisku nie zda się to na nic. Ograniczył się tedy do agitowania Wacusia. Czasami jednak dawał się wciągnąć w ogólną rozmowę i nie krępował się wówczas w wypowiedaniu swoich poglądów socjalnych. Sprawilo to, że uznano go za nieszkodliwego. Kto sam jest komunistą, nie pójdzie „kapować” do policji i można przy nim swobodniej rozmawiać. To też i rozmawiano. Sypały się opowiadania o słynnych przestępcach, o wielkich kradzieżach i rabunkach, o mistrzowskich uciezkach z więzienia, o subtelności Kodeksu Karnego, o tych, którzy się dorobili na kasiarstwie wielkich fortun, a umieli tak pozacierać ślady, że i dziś niczego im udowodnić niepodobna.

Gardził Murek swoimi współlokatorami, ale i współczuł z nimi. Czyż ich winą było to, że nie wychowano w nich poczucia moralności, potrzeby celów wyższych, głodu idei? Oczywiście w społeczeństwie komunistycznym nie będzie dla takich miejsca, bo zresztą nie będzie i pożywki, na której żyją: własności prywatnej. Lecz obecnie nie należy ich zbyt surowo potępiać. Murek przeczytał już kilka autobiografji byłych przestępców, którzy

w Sowietach, w atmosferze powszechnego, radosnego, wysiłku pracy, porzucili swoje nędzne rzemiosło i stali się godni wielkiej przyszłości.

Mówił nawet o tem w dwóch masówkach robotniczych w Pruszkowie i w Rembertowie, dokąd był delegowany przez sekretarjat „Propagitu”. W Rembertowie omal go policja nie złapała przy tej sposobności. Uciekł tylko dzięki temu, że jeden z towarzyszy, felczer miejscowej Kasy Chorych obandażował mu głowę i kazał wynieść na noszach do pociągu. Felczera znano, a chory tak jęczał, że wśród czatujących na dworcu łapaczów „niebezpieczny agitator warszawski” przemknął się łatwo. Trzeba było zawsze być przygotowanym na wyspę, ale tymczasem wiedział, że nie jest śledzony i nawet śmiało przynosił do domu książki komunistyczne, które czytywał wieczorami, a zwłaszcza w święta.

Pewnego dnia Arletka, która od owego zignorowania przez Murka wyznaczonej randki, demonstracyjnie nie zwracała nań uwagi, zapytała go:

— Może mi pan da jaką książkę do czytania?

— Z przyjemnością! Ale ja nie mam takich książek, które panią zajmą.

— A jakież pan ma?

— Poważne, dotyczące różnych zagadnień społecznych. Polityczne, naukowe.

— Tak — przyznała. — Na tem się nie poznam. Za mądre.

— Nie za mądre, tylko nie zainteresuje to pani.

— Tak samo, jak na przykład pana nie zainteresowało moje życie.

— Co znowu — mruknął. — Nigdy tego nie powiedziałem...

— Ale pan dał mi do zrozumienia. Nie przyszedł pan wtedy, i ja wiem dlaczego. Pan ma swoją kobietę i jest pan zakochany.

— Nie, nie mam.

— Żadne zapieranie się, nie pomoże. Ja się nie myślę.

— Czy dlatego, że nie przymilam się do pani?

— A pewno! — powiedziała wyzywająco. — A pozatem, niech pan nie myśli, że nie wiem o tem, że pan już trzy razy wyrzucił Idalkę, która pchała się do pana. Pan ma kochankę.

— Jeżeli pani podoba się tak myśleć — wzruszył ramionami — to proszę bardzo. Jednak całkiem z innych powodów nie czekałem wtedy na panią.

— Z innych?... — zastanowiła się. — I to możliwe. Uważa mnie pan za bydlątko, nie warte zachodu. Za dziwkę?...

— Bynajmniej. Tylko proszę mi wytłumaczyć, poco miałbym zbliżać się do pani?...

— Jakto, poco?

— Ma pani przecie swego narzeczonego.

— I cóż stąd? Czy nie wolno mi nikogo znać poza nim?

— Wolno, ale nie warto. Sądzę, choć jeszcze go nie widziałem, że musi to być chłop młody i morowy, że ma na panią silny wpływ, że, słowem, zaspokaja wszystkie pani potrzeby, fizyczne i duchowe.

— Ach tak... A z czegoż to pan wnioskuje, że ma na mnie aż tak wielki wpływ?

— Z czego? — zaśmiał się. — No, przecież trzyma panią gorzej, niż na uwieży, a pani drży na myśl jego gniewu. A już trzeba mieć kogoś w garści, by go pchnąć na taką... na taką zabłoconą drogę, na jaką on pchnął panią.

Dziewczyna niespokojnie spojrzała w stronę drzwi do kuchni.

— Tak — ciągnął Murek, — wy, kobiety, przepadacie za tymi, którzy was traktują, jak psa-przybłądę i wciągają was w swoje gnojowisko. Szczególniej kobiety wychowane w bezmyślnym zbytku, którym nie wpojono żadnych zasad, żadnej moralności. Jak ćmy lecą na świecidełka, na blichtr. Użyć! za wszelką cenę!

Dziewczyna wysłuchała go uważnie i zapytała na serjo:

— A pan co? Pan kazałby wyrzec się wszystkiego, co może nam sprawić radość, zapelnąć życie, dać szczęście. Wyrzec się: Tak?

— Nie, nie! — podniósł głos — nie wyrzekać się, lecz znaleźć szczęście i radość w czemś innym, w wartościach wyższych!

— I jakież to wartości?

— Jakież? Życie pożyteczne, życie twórcze. Praca dla społeczeństwa, dla ludzkości.

Arletka skrzywiła usta:

— Z jakiej racji? Czy panu ludzkość dużo dobrego wyświadczyła?... Bo mnie same zło.

— To nie ma znaczenia. A zresztą, jeżeli nie stać kogoś na wyższe ideały, może chociażby żyć dla siebie. Przecież pani nie zaprzeczy, że są kobiety, które znajdują szczęście właśnie w swoim kobiecym powołaniu: być dobrą żoną, dobrą matką. Rozumie pani?...

Spojrzał na nią ze złością i odwrócił się. Szkoda było czasu na przekonywanie ślepego o piękności kolorów. Spowrotem rozłożył książkę, lecz przyszła mu nowa myśl i powiedział:

— Są takie kobiety, które w najgorszych warunkach, nawet w nędzy nawet narażone na szykany otoczenia, zdolne są jednak zdecydować się na urodzenie nieślubnego dziecka. I w tem dziecku widzą swoją radość i cel, i szczęście. Ale to są dziewczęta proste, z ludu, zdrowe moralnie, których twarda skóra nie przyjmuje zarazków z burżujskiego, gnijącego świata.

— Bajki, bajki, mój panie — zaśmiała się Arletka — każda z przyjemnością zamieniłaby tę twardą skórę na jedwabną bieliznę.

— Nieprawda.

— Pan nie zna kobiet. Wszystkieśmy jednakie. Chcemy jak najpełniej użyć młodości. A co do męża i dzieci?... Owszem. Bardzo chętnie. Nawet w najgorszą biedę. Ale na to trzeba się zakochać. Albo już znudzić się ostatecznie i zapragnąć spokoju. Albo zbrzydnąć i w ten sposób zapewnić sobie roboczego wołu, któryby tyrał na rodzinę do śmierci. Nic pan nie wie o kobietach.

— To pani nic nie wie o tych innych.

— O jakich innych?

— O tych, co ciężko pracują i nieciekawe są jedwabiów.

Arletka wstała i zbliżyła się do niego:

— Panie Murek, a czy pan uważa za ciężką pracę naprzykład dozоровanie miejskiego szaletu?... Sprzątanie i szorowanie po klientach takiej instytucji?... Oddychanie od rana do nocy przez szereg lat najohydniejszymi wyziewami?...

Na twarz jej wystąpiły rumieńce, oczy iskrzyły się i mówiła coraz głośniej:

— Czy spełnianie takich najniższych posług, w mróz i upał, z rękami popękanymi od cuchnących ścierek, ze strawą przelykaną wraz z oparami wydzielin ludzkich, czy to według pana ciężka praca, panie Murek?

— I to pani?

— A ja! Ja, panie! Ja przez dwa lata to robiłam o temi wypielegnowanemi rączkami, proszę pana! I drżałam na myśl, że mogą ten cuchnący kawałek chleba odebrać, mnie i mojej matce. A przyszłam do szaletu publicznego, trzeba panu wiedzieć, nie z suteryny, lecz z pięknego pałacu, tak, z pałacu, gdzie była pensja, na której się uczyłam, jak się wytwornie dyga i wykwinie obiera owoce, gdzie w parku były fontanny i stały posągi.

— Nic nie rozumiem — ze zdumieniem powiedział Murek.

Podniecenie Arletki nagle opadło. Machnęła ręką i udała, że ziewa:

— Ech, co tam. Przecie pana to nic nie obchodzi.

— Przeciwnie.

— Zresztą, nie mam już ochoty. Dajmy temu spokój.

Murek jednak nalegał i prosił, by opowiedziała mu swoją historję. Upierała się, lecz gdy zaczął ją wyciągać na szczegóły, dała się rozruszać.

Była nieślubnym dzieckiem, córką zwykłej freblanki i dyrektora dużej papierni. Dyrektor miał własną rodzinę, lecz wziął na siebie obowiązek wychowania i wykształcenia dziecka. Małą Zosię umieścił najpierw w drogim internacie, a gdy skończyła lat dziewięć, na pensji w Poznańskim. Była w szóstej klasie, gdy umarł. Jego rodzina o niczem nie wiedziała i wiedzieć nie chciała. Zosia wróciła do matki, której przedtem prawie nie widywała, przedwcześnie postarzałej i chorej. Już wówczas matka utrzymywała się z dozowania szaletu miejskiego. Córka przynosiła jej obiad, a z czasem zaczęła ją zastępować, gdyż poważna choroba nerek robiła wciąż postępy. Dochód z szaletu z biedą wystarczał na utrzymanie się przy życiu. Na rok przed śmiercią matka nie mogła już wstawać z łóżka i wówczas Zośka musiała wysilać swój spryt, by miejskich kontrolerów przekonać, że tylko na chwilkę zastępuje matkę, która właśnie wyszła. Przepisy nie pozwalały, by dozorczynią szaletu była młoda dziewczyna.

— Gdy mama umarła, byłam wolna — zakończyła swe opowiadanie Arletka.

— Tak — przyznał Murek — nie wesołą miała pani pierwszą znajomość z życiem.

— Do słówek łacińskich, francuskich i angielskich, których uczyłam się na pensji, przybyły nowe polskie: te, któremi zapisane są ściany w szaletach.

— I tam... tam pani poznała swego narzeczonego?

Skinęła głową i zagryzła wargi. Po dłuższym milczeniu dodała:

— Przychodził tam kilka razy. Pewnego wieczoru zamknął drzwi od wewnątrz na klucz i zgwałcił mnie na kamiennej posadzce.

— Bydlę — wyrwało się Murkowi, lecz dziewczyna wzruszyła ramionami:

— Miał rację.

— I odtąd go pani pokochała?

Zaśmiała się krótko:

— Nie, panie, odtąd wiedziałam w jaki sposób biedna i młoda dziewczyna może zarabiać na swoją egzystencję. A jak zarabiać nauczyli mnie później inni. Jego spotkałam znowu prawie po roku. Nosiłam już wówczas krepdesziny kombinezki.

— A teraz kocha go pani?

Arletka odeszła do okna, obejrzała się, jej usta skrzywiły się nienaturalnym uśmiechem, a oczy dziwnie przymrużyła.

— POCO panu to wiedzieć? — powiedziała takim tonem, jakby mu mówiła: zapytaj jeszcze raz, a dowiesz się czegoś bardzo ważnego, koniecznie zapytaj.

Murek odczuł to dobrze, lecz nie odezwał się ani słowem. Po tych zwierzeniach, Arletka wydała mu się bliższa i bardziej godna współczucia, sympatyczniejsza i pociągająca. Przecież nie chciał jej wierzyć, przecie wciąż upominał siebie i przestrzegał przed przyjmowaniem za dobrą monetę tej romantycznej historyjki... A jednak wierzył. I chociaż w duchu przyznawał, iż dość nieszczęść zważyło się na tę młodą dziewczynę, by zniszczyć w niej pragnienie dobra i wiarę w wyższe cele życia, lecz wiedział, że się już to nie da odrobić i poprostu bał się sugestywności jej cynizmu. Zdawał sobie sprawę z tego, że zbliżając się do niej poprzez ten cynizm, nie znajdzie argumentów dość bezpośrednich ani dla niej, ani dla siebie, argumentów, któreby utorowały czystą, prostą drogę. A ugrzęznąć nie chciał i — nie miał prawa.

Im dłużej nad tem myślał, tem mocniej żałował, tem wyraźniej widział, że odstepuje od czegoś za czem przyjdzie tęsknota, tęsknota, przed którą trzeba będzie się bronić. Ale postanowienia nie zmieniał.

— Moja droga biegnie w inną stronę — powtarzał sobie.

I wiedział już dobrze w którą stronę. Inwentarz jego życia zamykał się w dwóch pozycjach: walka o zwycięstwo proletariatu i spełnienie obowiązku wobec dwóch istot ludzkich z tegoż proletariatu, własnego syna i Karolki.

Od czerwca już odkładał sobie po kilka złotych miesięcznie. Za trzy miesiące będzie już miał kwotę wystarczającą na podróż i wszystkie formalności. Ożeni się z Karolką, zabierze ją i dziecko, wynajmie gdzieś na przedmieściu jednoizbowe mieszkanie, czas wolny od pracy zawodowej i od roboty partyjnej poświęci kształceniu żony.

Czyż miało to jakiegokolwiek znaczenie, że Karolki nie kochał?... Ceni ją i szanuje. A to więcej znaczy. Jeżeli nie znajdzie szczęścia w tem małżeństwie, będzie to jego wyłączną winą. W każdym razie powinien zrobić wszystko, by to szczęście dać jej.

Od Żurków dość często przychodziły listy. Karolka też dopisywała, dziękując za pieniądze i dodając informacje o tem, jak rośnie i rozwija się mały Stefanek. Niestety, chłopak był chorowity i leczenie pochłaniało dużo pieniędzy. Jak na półtoraroczne dziecko, był zato bardzo rozwinięty. Wymawiał wiele słów i umiał powiedzieć, że tato jest daleko w Warszawie.

Czytając te listy, Murek nie bez rozczerwienia myślał o dniu, w którym weźmie na ręce swoje własne dziecko, stworzenie najbliższe mu na świecie, kiedy przyjrzy się jego rysom, z których — jak pisał pan Żurko — jest uderzająco do ojca podobne.

Murek nie był przesądny. Do snów, zabobonów i wróżb nie przywiązywał żadnej wagi, jednak, gdy Karolka przysłała w liście kosmyk jasnych włosów Stefanka, przyszło mu na myśl, ot, prawie dla żartu, poprosić panią Koziołek, by powróżyła jaka będzie przyszłość tego dziecka.

Nieraz i nie sto razy słyszał, jak wróżyła innym. Zwykle w rannych godzinach, ale często i wieczorem przychodziło do niej wiele osób. Szwaczki, kucharki, żony rzemieślników i sklepikarzy. Rzadziej mężczyźni. Tematami interesującymi dziewczęta była zawsze miłość i nadzieje na małżeństwo, mężatki szukały u wróżki odpowiedzi na pytanie, czy mąż jest wierny, czy też je zdradza i z kim. Mężczyźni rzadko przychodzili w tym celu. Przeważnie byli to tacy, którzy planowali jakąś ryzykowniejszą wyprawę złodziejską i chcieli wiedzieć czego należy się wystrzeżać, czy plan się uda, czy zdołają ująć bezkarnie. Inni zasięgaliby rady, czy warto kupić nastroczony sklepik, kilka morgów, lub taksówkę, sprzedać coś, czy przystąpić z kimś do spółki. Ryzykując cały swój dorobek musieli być ostrożni i bodaj za pośrednictwem kunsztu pani Koziółek, zerknąć w przyszłość. Jeszcze inni byli to bezrobotni, ciekawi, czy dostaną pracę, czy lepiej od razu skoczyć do Wisły.

Nieraz jednak przed odrapaną kamienicą, zatrzymywała się luksusowa limuzyna. Przyjeżdżały bogate panie z miasta, równie naiwne i święcie wierzące we wróżby, jak praczki i majstrowe z Powiśla.

Murek czasami wsłuchując się w przepowiednie pani Koziółek, wciskał twarz w poduszkę, by głośnym śmiechem nie speszyć jej klienteli. Stara była sprytną wróżką. Musiała wielu ludzi znać i wiele życiowych sytuacji widzieć. Bez większego wysiłku dawała sobie radę z interesantkami. W przeciągu kilku minut potrafiła z przejętej kobieciny wyciągnąć moc informacji, zonglując przepowiedniami i pytaniami, zawsze mistrzowsko skonstruowanymi, dającymi możliwość szerszego wejrzenia w życie i stosunki klienta, w końcu mogła każdego oszołomić wysypianiem przed nim tychże wiadomości. W rezultacie, osoba, która przyszła po wróżby, nie dowiadywała się niczego poza potwierdzeniem własnych domysłów, natomiast wróżka wiedziała o niej bardzo wiele. Czasami znacznie więcej niż pozwalało na to bezpieczeństwo mieszkania, biżuterji, czy oszczędności klientki.

Jedno podziwiał Murek w tem wróżbiarstwie pani Koziółkowej: to rady, jakie dawała swym interesantom. Były to zawsze rady trzeźwe, ostrożne, świadczące o wielkim doświadczeniu i znajomości świata. Stosowanie się do tych rad nikomu na złe wyjść nie mogło, a że nie poto się wróżce płaci, by zlekceważyć później jej wróżby, więc też każdy i każda miał na sobie samym namacalny dowód jasnowidztwa pani Koziółek.

Na tem oczywiście wyrosła i ugruntowała się popularność tej rozumnej i przebiegłej kobiety, to gwarantowało jej wcale przyzwoity dochód i o tyle o ile wygodną egzystencję do śmierci.

Już całkiem bezpłatnie z wróżb pani Koziółkowej korzystali jej sublokatorzy, wszyscy bez wyjątku. Trzeba było tylko wyczekać jej dobrego humoru. Murka, jako trzymającego się najbardziej zdaleka, nie obdarzała przesadną sympatją i dopiero na trzecią jego prośbę, odpowiedziała zgodą.

Wróżyła z kart i z ręki. W danym wypadku, gdy chodziło o wróżby dla osoby trzeciej, wystarczyły same karty. Obejrzała uważnie pęczek włosów, związany niebieską, wąską wstążeczką, i rozłożyła kabałę.

Mówiła dużo i szybko, prawie nie spuszczać wzroku z twarzy Murka. Treść jednak była bardzo uboga. Widocznie nie udawało się jej przeniknąć myśli sublokatora, nie udawało się też wywołać zmiany w wyrazie jego oczu, ponieważ zaś pytania zbywał monosylabami i nie dał się wciągnąć w rozmowę, musiała wróżyć poomacku. Tembardziej, że o Murku wiedziała niewiele, tyle, ile sam jej wprowadzając się, powiedział.

Tu jednak mógł podziwiać jej spryt. Dostrzegła, iż włosy wyjmował z koperty, więc domyśliła się, że osoba, do której należą jest daleko. Włosy były bardzo jasne i bardzo miękkie, więc orzekła, że owa osoba jest dzieckiem. A o jakież dziecko można pytać, jeśli nie o własne. Zatem jest to dziecko Murka. Ale Murek według paszportu jest kawalerem, czyli dziecko nieślubne. Któżby włosy dziecka związał wstążeczką, jeżeli nie kobieta, któżby je posyłał ojcu jeżeli nie matka. Zatem pani Koziółek mówi śmiało, zapewnia Murka, iż matka tego dziecka żyje i kocha go bardzo, że tęskni i ma nadzieję, że Murek się z nią ożeni. (Któżby kobieta nie pragnęłaby ślubu z ojcem swego dziecka!). Ponieważ dzieci często chorują, można śmiało powiedzieć, że i to było chore w miesiącu, którego nazwa zaczyna się od litery M, albo M do góry, czyli W. Tedy są do wyboru dwa wiosenne miesiące marzec i maj i jeden jesienny wrzesień. W tych porach roku łatwo się dziecko zaziębia. Pozatem nie trudno odgadnąć, że ojciec, który prosi o wróżbę, kocha swe dziecko

i będzie chciał je zobaczyć, a ponieważ Murek wspomniał kiedyś, że na jesieni dostanie tydzień urlopu, tedy oczywiście zobaczy dziecko na jesieni.

Murek cieszył się tą zabawą śledzenia myśli wróżki i tylko ciekaw był, jak wybrnie z określenia płci dziecka. Tymczasem kuta na wszystkie nogi baba i tu sprytnie wymigała się z kłopotu, bo prosto zapytała:

— Czy to chłopiec, czy dziewczynka?

— Chłopiec — odpowiedział odruchowo, zanim zdążył się spostrzec.

I oto jednym słowem, nieupilnowanem w porę, zepsuł sobie całą grę. Stara wiedziała teraz, że nie omyliła się w niczem. Miała całkowite potwierdzenie i wiedziała odtąd, że jej sublokator, ma na prowincji kochankę i nieślubnego syna. Zły na siebie Murek słuchał już piąte przez dziesiąte przepowiedni dla chłopca. Będzie się dobrze uczył, będzie zdrowy, tylko mając lat siedemnaście, będzie słabował na płuca. Zostanie inżynierem i wszyscy będą szczęśliwi, ale pod warunkiem — tu zaczynały się rady — pod warunkiem, że Murek weźmie matkę syna za ślubną żonę, co nie powinno nastąpić jednak zbyt prędko, a wówczas dopiero, gdy będzie zarabiał więcej, co nastąpi w przyszłym roku. Na zakończenie pani Koziołek dodała, że matka owego dziecka, nie pod każdym względem zasługuje na małżeństwo z Murkiem, ale na jesieni on ją zobaczy, dowie się o niej nowych rzeczy i wtedy postanowi, czy ma być tak, czy siak.

Siedząc tegoż dnia wieczorem na zebraniu egzekutywy dzielnicowej, Murek przypał siebie na śmiesznym zadowoleniu z wróżby pani Koziołkowej. Jakkolwiek doskonale umiał rozsrubować cały mechanizm jej procederu, nie potrafił uwolnić się od wiary w przepowiadaną przyszłość, oczywiście dlatego, że takiej przyszłości chciał. Zabawne jednak było przekonać się na sobie samym o względności logiki ludzkiej, ulegającej wyraźnej grawitacji i niewątpliwym wygięciom, ilekroć wypadnie jej zawadzić o uczucia człowieka, o jego pragnienia, marzenia, czy nadzieje. W sferze emocjonalnej, logika przestaje być sprawdzianem precyzyjnym i godnym zaufania.

Niespodziewanie przyszedł mu do głowy dalszy wniosek: jeżeli uczucia mącą logikę, wyzbycie się wszelkich uczuć, powinno gwarantować jej siłę i wszechwładzę w działaniu jednostki. Dopiero wówczas może się stać nieomylnym narzędziem własnej woli.

Zastanowił się przez chwilę, czy odkrycie to może mu się na coś przydać w jego pracy partyjnej? Doszedł jednak do przekonania, że jest to niepodobieństwo. Przecie do komunizmu popchnęło go wcale nie abstrakcyjne rozumowanie, lecz właśnie uczucia, emocjonalne konsekwencje najbardziej osobistych przeżyć. Nawet to, co w tej decyzji nie miało związku z nim samym, wyrosło z uczuć. Widział nędzę bezrobotnych i bezdomnych, patrzył na ciężką pracę wyzyskiwanych robotników, podczas zimowego pobytu w ubogiej wiosce przyjrzał się strasznej biedzie głodujących chłopów. I najpierw współczuł z nimi, najpierw zrodził się w nim bunt, najpierw zapragnął poprawy ich losu, losu upośledzonych, a stokroć wartościowszych od bogaczy — zanim sformułował to wszystko w mózgu i znalazł miejsce dla swoich pragnień w realnych paragrafach programu rewolucji komunistycznej.

Praca w partji dawała mu wiele satysfakcji. A pracy było dużo. Agitacja, rozpowszechnianie druków, ulotek i komunikatów, organizowanie wieców, kontrola nad prawomyślnością partyjną członków, redagowanie sprawozdań dla C. K. W., wszystko to pochłaniało dużo wysiłków i czasu.

Ponieważ zaś Murek poza zajęciem w warsztatach kolejowych nie miał żadnego życia prywatnego, wkrótce wybił się do pierwszych szeregów najczynniejszych działaczy partyjnych.

W ostatnich dniach lipca, został wezwany przez towarzysza Krótkiego, który mu oświadczył, że Centralny Komitet Wykonawczy, oceniając jego zasługi postanowił mianować go sekretarzem Grupy Aktywnej. Był to awans niebyle jaki, gdyż funkcja sekretarza była niemal równoznaczna z kierownictwem samodzielnym, a Grupa Aktywna stanowiła jedno z najważniejszych ogniw w centralnych władzach partyjnych. Zadaniem Grupy była organizacja demonstracji publicznych, pochodów, strajku i sabotażu, czyli działalność rzadko rozmijająca się z rozlewem krwi.

Murek oczywiście nie brał udziału w bezpośredniej akcji. Jako sekretarz przygotowywał tylko dla komitetu Grupy wnioski i plany akcji w myśl ogólnych rozkazów z C. K. W. Tutaj już panowała ściślejsza konspiracja i nikt z komitetu Grupy nie znał prawdzi-

wego nazwiska Murka, który musiał przybrać pseudonim. Wymyślił go sobie przezornie: Garbaty. Ponieważ był zupełnie prawidłowo zbudowany mógł liczyć, że wywiadowi rządowemu przyjdzie z trudnością zidentyfikowanie go z Garbatym.

Szeregowych członków Grupy, którą kierował, nie widywał wogóle, chociaż decydował o takim czy innym uformowaniu sekcji. Tutaj u góry, inni już byli ludzie, niż w szarych szeregach. Znacznie mniej robotników i znacznie więcej inteligentów, sporo żydów. Wśród nich nie brakło osobistości znanych: lekarzy, adwokatów, dziennikarzy, pisujących w wydawnictwach bynajmniej nie komunistycznych. Ku swemu miłemu zdziwieniu, Murek spotkał tu jednego z inżynierów z warsztatów kolejowych, którego uważał dotychczas za endecka, a nawet za monarchistę.

Centralne biuro było świetnie zamaskowane. Mieściło się mianowicie w lokalu specjalnie w tym celu założonej firmy handlowej, zajmującej się wynajmem filmów. Ma się rozumieć, przedsiębiorstwo to nie dawało zysków, jednak deficyty były minimalne.

Tutaj też, zainteresowawszy się źródłem, z którego owe deficyty pokrywano, Murek dowiedział się po raz pierwszy, że budżet partii zaledwie w pięciu procentach pokrywa się składkami członkowskimi, reszta zaś przychodzi z Moskwy. Był zaskoczony tą wiadomością, która mu się bynajmniej nie podobała. Nie podobała się zaś tembardziej, że dystrybucja tych wielkich funduszy, znajduje się w ręku trzech członków C. K. W., którzy wyliczają się z wydatków tylko delegatowi Kominternu.

Zresztą wszystko tu musiało być dawane i brane „na wiarę”, gdyż pokwitowania wystawiano tylko w bardzo rzadkich, wyjątkowych wypadkach. Przez ręce samego Murka przechodziły obecnie różne kwoty, lecz nie mogąc się pogodzić z systemem bezdowodowym, wypłacał zawsze przy świadku.

Członek C. K. W., adwokat Szeps, noszący w partii pseudonim Zamojski, śmiał się z tej skrupulatności Murka:

— O zbyt wielkie rzeczy tu chodzi, towarzyszu, by zawracać sobie głowę takimi głupstwami.

Nie przekonało to Murka, nie miał zresztą prawa wtrącać się do zwyczajów i dyscypliny w Centralnym Komitecie Wykonawczym, do którego nie należał i którego ściślejszej organizacji, nawet nie znał.

W tym czasie miał jeszcze jeden kłopot: musiał nauczyć się strzelać. Zbyt często miewał przy sobie ważne dokumenty, zbyt łatwo mógł wpaść w oko wywiadowcom, by ryzykować wspę bez próby obrony podczas ucieczki. Otrzymał doskonały i niezawodny „nagan”, a ćwiczył się w strzelaniu na tyłach posesji Jakóbiaka przy ul. Ciemnej za halą fabryczną. W hali sztancownicy pracowały tak głośno, że strzały nie mogły zwrócić niczyjej uwagi.

Ta nauka szła Murkowi niesporo. Już samo noszenie ciężkiego rewolweru w kieszeni nie sprawiało mu przyjemności, a to, że nosi przy sobie broń, musiało ludziom wprawnym rzucić się w oczy, bo na przykład pan Piekutowski, zerknąwszy raz jeden na rozbierającego się Murka, z uśmiechem zapytał:

— A spluwa partyjna?

— Pożyczyłem od kolegi — bąknął Murek.

— Frajer z pana — westchnął Piekutowski. — A mógłby pan do czegoś dojść. Tylko nie przez tych tam...

Nie było to pierwsze nagabnięcie ze strony współlokatorów. To Majster, to pan Piekutowski od czasu do czasu wymawiali dwuznaczne słówka, dając Murkowi do zrozumienia, że wciągnęliby go do towarzystwa. Raz czy dwa razy zapraszali go nawet na „ochlaj” z racji — jak mówili — że się im kryzys poprawił. Domyślił się, co to znaczyło, i dlatego właśnie stronił od nich. Od nich i od Arletki, która niewątpliwie należała do „ferajny”, pozostającej pod komendą jej narzeczonego. Nie wiedział, czy Arletka pomagała im czynnie, ale był przekonany, że jeżeli nawet tak, to działa pod przymusem, pod groźbą i wbrew woli.

Aż nadto wyraźnie dawała to Murkowi do zrozumienia. Wyzyskiwała każdą sposobność, by uśmiechem, spojrzeniem, czy paru zdaniem dać mu poznać, że go bardzo lubi. Ilekroć znajdowali się sami, a zdarzało się to coprawda rzadko, starała się czy to pod pretekstem zajrzenia do czytanej przez Murka książki, czy pod innym byle pozorem, otrzeć się oń, przytulić, dotknąć jego ręki. On ze swej strony nie szukał takich okazji, jednak

skoro się przytrafiły, nie umiał zdobyć się na brutalny gest. A na najchłodniejsze słowa, dziewczyna zdawała się nie zwracać żadnej uwagi. Widocznie intuicja mówiła jej, że w tę oziębłość nie trzeba wierzyć.

Murek coraz częściej łapał siebie na zamyśleniu się na ten temat, na rozważaniu w gruncie niedorzecznego zamiaru wyratowania Arletki. Wyratowania niekoniecznie dla siebie, lecz dla partji. W normalnych czasach nie przyjęłoby jej, niedawno wszakże nadeszła nowa instrukcja Kominternu, by masowo przyjmować, kogo się da. Był dopiero koniec sierpnia. Moskwa jednak zawczasu planowała wielkie manifestacje na dzień 1-go maja i chodziło o zwerbowanie największych mas, szybkie przeszkolenie partyjne, by w dniu święta robotniczego, zademonstrować ogromny wzrost sił K. P. P.

W związku z tem w partji było moc roboty. Murkowi wciąż C. K. W. zabierał najpotrzebniejszych ludzi, wysyłając ich, jako kurjerów na kontakty do miast prowincjonalnych. Nawet zastępcę Murka, towarzysza Dyla, delegowano do Kalisza. Murkowi było to tembardziej nie na rękę, że wreszcie po długich zabiegach w dyrekcji warsztatów kolejowych, uzyskał zgodę na swój urlop na pierwszy tydzień września i dostał kilkadziesiąt złotych pożyczki. Na wyjeździe w tym czasie zależało mu bardzo, gdyż popierwsze chciał czemprowadzej ożenić się z Karolką i wyprowadzić się od pani Koziolkowej, której od piętnastego września wymówił. Chciał być jaknajdalej od Arletki. Pozatem drugiego września musiał poznać wreszcie swego małego Stefanka, drugiego września, w dzień jego imienin.

Dlatego zdecydował się wobec władz partyjnych kwestję swego wyjazdu postawić na ostrzu noża. Spodziewał się sprzeciwu, a nawet wyraźnego zakazu. Tymczasem rzecz poszła nieoczekiwanie łatwo. Gdy towarzyszowi Zamojskiemu i towarzyszowi Bigelsteinowi z C. K. W. otwarcie i szczerze powiedział, dokąd i poco musi jechać, ci nietylko nie okazali niezadowolenia, lecz ucieszyli się. Okazało się, że już od kilku dni zastanawiano się, kogoby pewnego i niepodejrzanego przez policję, tam właśnie wysłać. Sprawa musiała być niesłychanej wagi, gdyż Bigelstein i Zamojski sami tu decydować nie chcieli. Kazali Murkowi nazajutrz wieczorem stawić się w jednym ze znanych mu już konspiracyjnych mieszkań. Tam zastał Bigelsteina i dwóch nieznanym sobie mężczyzn.

— Towarzyszu Garbaty — zwrócił się jeden z nich do Murka, — pójdziecie teraz do towarzysza Kurbskiego, głównego sekretarza partji.

Obrzucił go uważnym spojrzeniem i dodał:

— Miarą zaufania, jakim się cieszyacie, niech będzie to, że was nie zrewidujemy i nie odbierzemy wam broni.

Murek poczerwieniał i powiedział krótko:

— Dziękuję, towarzysze.

Wyszli we dwójkę, skręcili w boczną ulicę i wsiedli do oczekującego ich samochodu. Chociaż wewnątrz było ciemno, konwojent wyjął jakąś gazetę, podał ją Murkowi i powiedział sucho:

— Czytajcie.

Murek zrozumiał: chodziło o to, by nie patrzył, dokąd go wiozą. Ostrożność tę uznał za usprawiedliwioną, spuścił głowę i zamknął oczy. Po kwadransie auto stanęło na podwórzu jakiejś willi. Z jednej strony były sztachety, znad których zwisały gałęzie drzew, z drugiej ciemne okna domu. Kierowca wyskoczył i zadzwonił do małych drzwi. Po chwili weszli do środka. W dużym i elegancko urządzonej gabinecie, czekali dobre pięć minut w milczeniu. Nagle weszli dwaj mężczyźni. Jeden duży i ciężki, o tłustych, obwisłych policzkach, z czarnymi, rzadkimi i szcecinowato sterczącymi wąsami mógł mieć około pięćdziesiątki. Wydatny garbaty nos i grube wargi zdradzały jego semickie pochodzenie. Gdyby nie wielkie, czarne, dziwnie płonące oczy, wyglądałby na kupca, czy zamożnego przemysłowca. Drugi, znacznie niższy, w mundurze majora Wojsk Polskich, co bardzo zaskoczyło Murka, był szczupły i blady. Grube szkła binokli i wąskie, zacięte usta nie harmonizowały z gwałtowną ruchliwością tego człowieka.

Obaj podali oczekującym rękę, poczem blondyn w mundurze zaczął krążyć po pokoju, nerwowo przyglądając się szychom na ścianach, a Kurbski siadł przy biurku i niskim, cichym głosem powiedział:

— Towarzyszu Garbaty. Partja chce wam powierzyć nader ważną misję. Na podstawie wiadomości, jakie mam o was i o waszej krótkiej, lecz pełnej poświęcenia pracy w naszych

szeregach, sędzę, iż nie uchylicie się od niebezpiecznej misji, którą wam powierzę. Jeżeli was nakryją... pójdziecie pod sąd. Dożywocie pewne. Zgadźcie się, czy nie?

— Zgadząm się, towarzyszu — bez namysłu odpowiedział Murek.

Kurbski skinął głową.

— Kiedy chcecie jechać?

— Jutro wieczorem, siódma dwadzieścia.

— Doskonale. Nie obarczę was paczką partyjną. Weźmie ją zwykły kurjer. Władacie dobrze językiem niemieckim?

— Zupełnie biegle.

— Zatem otrzymacie na wszelki wypadek paszport na nazwisko obywatela niemieckiego. Tych nie rewidują tak, łatwo. Otóż po przybyciu na miejsce, udacie się na ulicę Kraszewskiego, numer czternaście.

— Czterdzieści! — poprawił człowiek w mundurze majora.

— Czterdzieści — powtórzył Kurbski. — Jest tam sklep tytoniowy i jednocześnie kolektura loterii Kopelowicza. Wejdziecie i zapytacie: — Czy nie wygrałem pięciu tysięcy?... Na to Kopelowicz zapyta: — A który pański numer?... Musicie odpowiedzieć: — Mam to gdzieś zapisane na pudełku od „Egipskich”. Zapamiętacie?

— Zapamiętam.

— Wtedy Kopelowicz skomunikuje was z towarzyszem Sławomirem. Hasłem dla niego jest: — „Przyjechałem po rachunki za wełnę”... Zapamiętacie?

— Zapamiętam.

— Towarzysz Sławomir wręczy wam paczkę z niesłychanie ważnymi dokumentami, które dla partji przedstawiają wręcz nieocenioną wartość. Paczka będzie zalakowana i nie wolno wam jej otworzyć pod żadnym pozorem i w żadnym wypadku. Czy palicie papierosy lub fajkę?

— Palę papierosy.

— Otóż w razie niebezpieczeństwa, na przykład rewizji w pociągu, macie dotknąć żarzącym się papierosem lontu, który będzie z paczki wystawał, i wyrzucić ją przez okno. Paczka spłonie w ciągu jednej minuty doszczętnie, gdyż papiery będą specjalnie nasyczone.

Kurbski poczęstował Murka papierosem i już tonem nieoficjalnym zaczął mu udzielać rad i instrukcyj szczegółowych.

— Wiem, towarzyszu, że starczy wam odwagi, przezorności, i zimnej krwi — zakończył, — by tę ważną misję spełnić i dostarczyć paczkę do rąk własnych towarzyszowi Bigelsteinowi.

Nazajutrz na dworcu był punktualnie. Gdy już pociąg ruszał, do wagonu wszedł stary znajomy, sekretarz magistratu, Więcek. Obaj zdziwili się tem spotkaniem. Więcek właśnie wracał z Warszawy po załatwieniu różnych spraw magistratu w ministerstwie. Ubogi wygląd Murka sprawił mu widoczną satysfakcję. Natomiast próby wydobycia z Murka zwierzeń, zawiodły. Zato Murek dowiedział się od Więcka, że zaszły wielkie zmiany „na starych śmieciach”. Lassota zastrzelił się, a Jelcza poszedł do kryminału, gdyż popełnił grube nadużycia. Niewiarowicz od trzech miesięcy jest chory, a zastępuje go dawny sekretarz wojewody, Landa, który pewnie zostanie zatwierdzony wkrótce jako prezydent komisaryczny. Spaliła się restauracja Wiechowskiego, Żytniewicz z Izby Skarbowej rozszedł się z żoną, umarła pani Rzepecka, Horzeńskim zlicytowali Fastówkę, a niedługo pójdzie i willa przy ulicy Wielkiej. W cukierni u Tempki był niedawno skandal — generałowa Zagajska publicznie spoliczkowała mecenasa Boczarskiego. O co poszło, niewiadomo. Uchodzi jednak za rzecz pewną, że łączył ich romans...

Murek słuchał tego wszystkiego nie bez zaciekawienia, ale z uczuciem obojętności i pogardy.

— Prowincjonalne bagienko — myślał i cieszył się w duchu, że tak daleko jest teraz od tych drobnych, złych i niskich ludzi, od tego nędznego miasta.

A jednak, gdy przy końcu podróży zaczął poznawać krajobraz, gdy koła wagonów zastukotały na zwrotnicach i przed oknami zaczęły się przesuwać tak dobrze znane kontury domów i ulic — serce uderzyło żywiej.

Pośpiesznie pożegnał się z Więckiem, przebiegł przez peron, przez poczekalnię i oto stanął na dużym placu przed dworcem. Wokół drzewa były jeszcze całkiem zielone. Trzy

rachityczne taksówki i kilka chabet w dorożkach stało sennie koło czerwonych od rdzy sztachet skweru. Dzień był jasny, słoneczny i ciepły.

Szedł ulicami, które wydały mu się dziwnie puste i śpiące. Poznawał stare szyldy i witryny sklepów, te same, a przecież jakby naiwne i zabawne przez to, że dawniej innemi oczyma na nie patrzył.

Zaczęła go niepokoić myśl: jak też wygląda Karolka?... Może zbrzydła i zbiała?... Po dziecku często się to kobietom zdarza. Czy mały Stefanek rzeczywiście jest „wykapany ojciec”?... Jak oni tam żyją, jak ich zastanie?... Ich — swoją rodzinę. Swoich najbliższych. Postanowił najpierw pójść do nich. Muszą mieć więcej czasu na spakowanie się. Jutro rano przecie wyjadą razem z nim do Warszawy. Jeżeli rozkład jazdy nie został zmieniony (jaka szkoda, że nie zapytał o to na dworcu!) jeżeli rozkład jest ten sam, to pociąg odchodzi o siódmej.

Na załatwienie spraw partyjnych starczy czasu popołudniu. Powtórzył sobie w pamięci wyuczone hasła i uśmiechnął się na myśl o zdumieniu starego Kopelowicza, gdy w nim, w Murku, w Wysłanniku Centralnego Komitetu, pozna dawnego dygnitarza magistrackiego.

Wszedł na Dojazdową i przyspieszył kroku. Drewniany domek, gdzie mieszkają Żurkowie... Krzaki w ogródku podrosły pokaźnie... Taki ciepły dzień, dziecko napewno jest w ogródku. Stefanek... Rodzony syn... Wzruszenie leciutko ścisnęło mu gardło, puls walił mocno w skroniach.

Dziecka jednak w ogródku nie było. Po grządkach spacerowało kilka kur. Poomacku przeszedł przez ciemną sionkę, odszukał klamkę drzwi swego dawnego pokoju. Nie były zamknięte. Wszedł i uśmiechnął się: pokój był czystutki, poprzybierany ozdobami z kolorowego papieru, nad komodą w ramach wisiało kilka fotografii Karolki.

— Ach, te kobiety — rozrzewnił się, stwierdziwszy, że Karolka do fotografii wystrajała się w zamaszyste kapelusze, w których zresztą wyglądała wcale ładnie.

Na komodzie poznał kilka swoich starych drobiazgów: przybory do pisania, porcelanową figurkę Chińczyka, a nawet srebrny nóż do rozcinania kartek. Nie musiało im tu być za ciężko, skoro tego nie sprzedali. Obok pod lustrem leżały rurki do fryzowania, pudełko z pudrem i drugie z różem.

— Wybiję jej to z głowy — pomyślał pobłaźliwie i cofnął się do sionki, by przejść do kuchni, gdzie napewno wszyscy musieli być w komplecie, jako w porze obiadowej. Umyślnie nie zawiadomił ich o swoim przyjeździe listownie, chcąc tem większą sprawić im niespodziankę.

Wszedł nie pukając. Musiało już jednak być po obiedzie, bo była tu tylko stara Żurkowa. Pochylona nad rynienką myła właśnie talerze.

— A kto to? — zapytała nie podnosząc głowy.

— Dzień dobry pani, to ja.

Staruszka odwróciła się i nagle krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Jezus, Maryja!

— Nie poznaje mnie pani? — uśmiechnął się Murek.

Lecz Żurkowa blada jak płótno, z przerażeniem w oczach, zaczęła się cofać, zasłaniając się drżącymi rękami i mamrocząc jak nieprzytomna:

— Boże, ratuj, Boże, ratuj... Boże, ratuj...

— Zbikowała na starość — pomyślał Murek i starając się uspokoić Żurkową, powiedział:

— Niechże pani nie boi się, to ja, Murek, dawny wasz lokator. Proszę przyjrzeć się!

Staruszka jednak miała wzrok obłąkany i zdawała się nic nie rozumieć, bo przywarła do ściany, która uniemożliwiała jej dalszy odwrót i zajęczała:

— Panie, litości, litości!...

— Ależ ja jestem Murek, doktor Murek, i nic złego pani nie chcę zrobić. Przyjechałem po Karolkę i po Stefanka. Nie poznaje mnie pani?

— Na mękę Pańską, litości!... — zaskowytała Żurkowa i osunęła się na kolana, składając ręce jak do modlitwy. — Niech pan nie zabija! Nie moja wina! Bóg mnie skarał, nie moja wina. To ta łajdaczka, to ta nieczysta, to ona, my nic... Zlituj się pan nad starą, już i tak niedługo umrę... I on nie winien, to ona opętała nas, ona! Jędza, rozpustnica!... Grzech śmiertelny na nasze dusze...

Biła się piąstkami w piersi i krzyczała cienkim, ochryplym głosem:

— Bóg nas skarał, będziemy gorzeć w ogniu piekielnym, ale zlituj się pan, ja wszystko powiem, całą świętą prawdę, nic nie zataję, jak na spowiedzi!... Ja wiedziałam, o ja wiedziałam, że tak się skończy. Bóg nierychliwy, ale zmiłuj się nad nami!... Wszystko powiem!

Murek z tego chaosu wykrzykników i zaklęć zaczął rozumieć, że Żurkowa niewątpliwie jest przerażona, ale nie straciła zmysłów, że poznała go i że musiało się tu stać coś okropnego.

— Dziecko nie żyje — przemknęło mu przez głowę i zawołał surowo:

— Gdzie Stefek?

— Jezul! Ratuj! — wyciągnęła ręce stara.

— Gdzie dziecko?... — powtórzył groźniej.

— Niema! Boże mój! Niema!

— Umarło?!...

— Nie, nie, jak na świętej spowiedzi powiem: niema!

— Więc skoro nie umarło — spokojił się nieco Murek, — gdzież jest?... Oddaliście komuś?... Do żłobka?...

— Nie, niema, nie było. Nigdy nie było — trzęsła się stara, szlochając i raz po raz wyciągając błagalnie ręce, — wszystko kłamstwo, przez tę nędzę, przez biedę, szatan podkusił, ta ladaczniczka namówiła, Bóg nas skarał... Wszystko kłamstwo!... Na starość w więzieniu przyjdzie nam gnić. Ale to jej wina! Ona, ta djablica nieczysta to wymyśliła, ona nas biednych na pokuszenie przywiodła!... Ona...

— Jaka ona? — krzyknął Murek.

— Ona, Karolka, nasz zły duch!...

Murek przetarł czoło.

— Więc jak? — zapytał cicho. — Wogóle dziecka Karolka nie miała?

— Nie miała.

— A ciążę zepsuła?

— I w ciąży nie była.

— Więc wszystko to poto, byście ze mnie pieniądze mogli ciągnąć?

— Boże zmiłuj się! My starzy, a ta djablica — zaczęła znów jęczeć stara, lecz Murek jej przerwał i kazał opowiadać poporządku. Widząc, że jej bezpośrednie niebezpieczeństwo nie grozi, stara oprzytomniała, podniosła się nawet z podłogi i szybko zaczęła mówić.

Karolka zmyśliła wszystko, a ich, Żurków, namówiła do współudziału w oszustwie. Z listów Murka wiedzieli, że mu ciężko i że jest bez posady, toteż nie spodziewali się, że przyjedzie. Karolka sądziła, że raczej przestanie nadsyłać pieniądze, bo mężczyzna nigdy stały nie jest. Wciąż powtarzała Żurkom, że trzeba brać póki daje. A pieniędzmi dzielili się porównu. Karolka wynajęła pozatem tamten pokój i przyjmowała tam mężczyzn, a że zarabiała tak po trzydzieści i więcej złotych miesięcznie, to i Żurkom musiała więcej płacić, choćby za ten wstyd, że publiczna w ich mieszkaniu żyje. Gdyby nie to, co Murek przysyłał, to przy obciętej emeryturze z głodu umrzećby przyszło. A listy pisali zawsze z namowy Karolki, tej djablicy, tego złego ducha...

Murek siedział nieruchomo i tylko na twarzy wystąpiły mu pod skórą dwa węzły mięśni od kurczowo zaciśniętych szczęk a na czoło krople potu. Stara ośmieliła się i gadała coraz głośniejszym i coraz potoczniejszym głosem, aż warknęła na nią:

— Dość!

Umilkła przestraszona i czekała, co Murek zrobi. On jednak nie ruszał się z miejsca, jakby skamieniał. Minęło może pół godziny, może więcej. Huknęła głośno furka i zaskrzypiały deski w sieni. Murek poznał głosy rozmawiających i podniósł się z krzesła w chwili, gdy drzwi się otworzyły.

Karolka weszła pierwsza. Krzyknęła jakimś przenikliwym, ptasim piskiem i cofnęła się, lecz ucieczkę uniemożliwiło zatarasowanie drzwi przez pana Żurkę. Zresztą Murek jednym susem był już przy progu, wepchnął starego do środka i przekręcił klucz w zamku. Żurko zaczął bełkotać coś niezrozumiałego i trząsł się, jak w febrze. Karolka ponuro, spodełba ogłądała się dokoła, jakby wypatrując drogi do ucieczki.

Murek po dłuższej chwili zapytał przerywanym, głuchym głosem:

— Co ja wam... złego zrobiłem?... Ludzie!...

Zapanowała taka cisza, że słycać było tykanie zegara.

— Wy starzy, których ja jak rodzonych... Żeby wam moja krzywda grób przygniotła, żeby was... A ty, ścierwo — zwrócił się do Karolki, — ty mi za to zapłacisz!

Wolno, bardzo wolno ruszył ku niej. Karolka obejrzała się i nagle wzięła się pod boki.

— Więc co?! — podniosła głowę. — Więc bij! Zabij!

Murek zamierzył się i z całej siły wyrzwał ją pięścią w środek twarzy. Zwaliała się na podłogę z głuchym loskotem. Oboje starzy wcisnęli się w kąt i wczepieni w siebie, jęczeli piskliwie, wzywając wszystkich świętych na pomoc. Murek jednak tego nie słyszał. Porwał krzesło i wymierzył leżącej cios tak silny, że krzesło rozsypało się na kawałki, a Karolka zerwała się z bólu i rzuciła się do drzwi. Nim dobiegła, chwycił ją za włosy, a drugą ręką zaczął wymierzać uderzenia coraz mocniejsze: w twarz, w piersi, w brzuch. Wiała się charcząc i szamocząc się napróżno, aż szarpnął i w garści został mu duży pęk włosów, a Karolka potoczyła się, upadła ciężko grzbietem na kubel z węglem i bluznęła z ust czarną krwią. Zadarta spódnica odsłoniła grube, nagie uda.

Murek zamachnął się i wymierzył jej straszliwe kopnięcie w podbrzusze. Zawyla nieludzkim głosem, zwinęła się w kłębek, znowu rozprężyła, nogi i ręce zatrzepotały w konwulsyjnych drgawkach po podłodze i znieruchomiła.

Nie zastanawiał się w tej chwili, czy umarła, czy tylko zemdlała. Stał pochylony nad nią, dysząc ciężko i wpatrywał się w jej zmasakrowaną, siną i spuchłą twarz, podobną do kawałka surowego mięsa. Potem zaśmiał się, spojrział na własne ręce, pokrwawione i pokaleczone na kostkach. Ostrożnie, by nie poplamić krwią ubrania, wydobyl z kieszeni kopertę, a z niej ów kosmyk jasnych włosów i wepchnął go dużym palcem w półotwarte usta Karolki.

— Żryj, ścierwo — zaśmiał się znowu.

Potem otworzył drzwi, zamknął je za sobą na klucz i wszedł do pokoju Karolki. Najpierw pozdzierał fotografie ze ściany, porwał je i podeptał, powyciągał szuflady, darł w strzępy bieliznę, bluzki, suknie, pościel. Systematycznie niszczył wszystko, aż po kwadransie skończył i wrócił do tamtej izby. Karolka pólśiedziała na ziemi, oparta o ścianę. Podłoga była zalana wodą. Widocznie starzy cucili Karolkę, która pojękiwała mocno.

Murek strącił ze stołu talerze, postawił na nim miednicę, umył twarz i ręce, odepchnął starą, która przydreptała usłużnie z ręcznikiem i wytarł się własną chustką do nosa, poczem nie obejrzawszy się za siebie wyszedł.

Zrobił już spory kawał drogi, zanim oprzytomniał i stwierdził, że niewiadomo poci idzie w kierunku dworca. Skręcił do miejskiego ogrodu i usiadł na ławce. Musiał zastanowić się i zebrać myśli, które nagle zderzyły się z rzeczywistością i stały się śmieszne, głupie, niepotrzebne, nienawistne. Przez szereg miesięcy układały się, wiązały, splatały w nierozzerwalną całość. Jeszcze przed trzema godzinami nie uwierzyłby, że może zajść coś, co zmieni, co zniszczy jego plany, jego przyszłość. Żona, dziecko, rodzina i praca dla partji, dla rewolucji komunistycznej, walka o wolność proletariatu, tych milionów uciemiężonych, pokrzywdzonych prostych ludzi, takich jak on sam, jak Żurkowie, jak Karolka i jak to dziecko, które urodziło się wprawdzie w niewolnictwie, lecz dorosnie w wolności, którą jego ojciec, towarzyszy Franciszek Murek, dłań zdobędzie.

A tymczasem oszukano go. Najhanialeńniej oszukano. Jak zwierzę harował. Wyrzekał się tysiacy razy posiłku, by im nie dać zaznać głodu. Żerował jak pies po śmietniskach, nocował jak bepańskie bydło, byle tylko dla nich te kilka groszy uciulać. A oni... Nieszczęśliwi! Uciemiężeni!... Wyzyskiwali jego ostatni pot, jego najcięższy trud. Bez najmniejszej litości. Gorzej od tych bogaczy, kapitalistów, burżujów...

— Tylko w proletariacie tkwi głęboko etyka i poczucie społeczne, tylko w proletariacie egoizm jednostki nie przesłania wielkich celów ogólnoludzkich!... — Jakże dobrze pamiętał te słowa, swoje własne słowa, któremi rozpoczął swój pierwszy artykuł w „Głosie Proletariatu”.

Jeszcze niedawno czytał ten artykuł Arletce. Wtedy, gdy powiedziała, iż wszyscy ludzie, biedni czy bogaci, to jednakowe świnię. Jak to ona wyraziła się wtedy?...

— Każdy jest świnią na taki kaliber, na jaki go stać!...

Z uczuciem dziwnej obojętności patrzył przed siebie na rzadkie drzewa ogrodu, na powykrzywane sztachety, na przechodniów, snujących się leniwie, na szare domy i kocie

lby jezdni. Ta energia, ta chęć działania, ta wiara w sens swego nowego życia, wszystko to rozlało się, stajało w nim, wyparowało. Pozostała pustka zupełna i lepki osad goryczy.

Sięgnął do kieszeni po papierosy i namacał rewolwer. A gdyby tak?...

Zbiegną się ludzie, policja... W kostnicy oczywiście rozpoznają zwłoki: dużo musi tu jeszcze pamiętać doktora Murka. A w gazetach napiszą zdawkowo: „Nowa ofiara kryzysu”. I nikomu na myśl nie przyjdzie, że kryzys to tylko wykręt, że trzeba byłoby uczciwie powiedzieć: ofiara społeczeństwa, zagryziony przez ludzi... Że w innym ustroju..

Ale myśl, która biegła utartym od szeregu miesięcy torem, zatrzymała się przed refleksją: — w ustroju, stworzonym przez naiwnych zapaleńców dla takich Żurków i Karolek, też dla proletariatu, który póty jest proletariatem, póki nie nadarzy się sposobność do pasorzytowania, do wyzysku, do żerowania na cudzy koszt.

Słońce zniżało się już ku czerwonym wieżom kościoła Marji Panny. Wstał i ruszył przed siebie. Właściwie nic go już nie obchodziła misja partyjna, z którą tu przyjechał, nie miał jednak nic lepszego do roboty. Zawiezie im tę paczkę, odda i wystąpi z partji. Już nie potrafiłby pracować dla nich tak, jak dotychczas.

Przechodząc obok Magistratu, nawet nie spojrzął w tamtą stronę. Nie odpowiedział też na ukłon młodego Kesła, który stał we drzwiach swojej cukierni. Szedł coraz wolniej, zastanawiając się, czy nie zawrócić od razu na dworzec i jechać do Warszawy... Do Warszawy, albo gdzieś.

Jednak nie zawrócił. Minął trafikę Kopelowicza. Wewnątrz był jakiś kupujący. Murek przeczekał i wszedł dopiero, gdy klient wyszedł. Kopelowicz od razu poznał Murka. Gdy ten wymienił hasło, kupiec aż przybladł. Trzeba było jeszcze raz hasło powtórzyć, by przerażony żyd wybąkał odpowiedź. Widocznie obawiał się prowokacji. Uspokoił go dopiero odzew. Wpuścił Murka do swego mieszkania za sklepem, do sklepu wysłał córkę, ładną drobną żydóweczkę, a sam wybiegł na podwórze.

Po kwadransie wrócił z barczystym, elegancko ubranym, młodym żydem, który przedewszystkiem kazał gospodarzowi zasłonić okna i zamknąć na klucz drzwi od sklepu, poczem zapytał:

— Towarzysz Garbaty?...

— Tak — potwierdził Murek, — zawiadomiono was?

— Zawiadomiono, ale powiedzcie, towarzyszu, im tam w centrali, że ja pracować nie mogę. Nam się tu ziemia pod nogami pali, a oni jakby chcieli naszej zguby. Wciąż starym szyfrem depeszują. Tu na telegrafii siedzi teraz specjalny oficer z „dwójki”. I paczki nie dam, bo nie mogę jej otrzymać. Cóż oni sobie myślą, że wszystko darmo?... Wyście nie przywieźli tych trzech tysięcy dolarów?

— Nie!

— Otóż to! Towarzysz Sławomir oświadczył, że papierów nie da bez forsy. Już za poprzednią przesyłkę musiał z własnej kieszeni wybulić. Teraz nie da.

— Więc to nie wy jesteście Sławomirem? — zdziwił się Murek.

— Nie, ja jestem Kobielski, prezes tutejszej egzekutywy. Sławomir wogóle gadać nie chce nie tylko z wami, ale i ze mną. On otrzymał na pokrycie kosztów siedem tysięcy dolarów. On się wprost odgraża, że doniesie do Moskwy, że oni tę forszę rozkradli, a on tu musi płacić z własnej kieszeni. I teraz nie da. Już nie mówię o sobie. Oni są za mądrzy, towarzyszu. Im się zdaje, że gdy zrobili mi zarzut o owe franki szwajcarskie, to już jestem przegrany i muszę pysk stulić. Proszę, niech dowiodą! Ale taki parszywy łobuz, jak Bigelstein, woli mnie nie ruszać. On wie, co ja wiem o nim. Niech lepiej uważa. Powtórzcie to mu proszę. W razie czego ja patyczkować się nie będę i niczego tu do ukrywania przed wami, towarzyszu, nie mam.

Murek dość już miał wprawy, by nie okazać zdumienia wobec tego potoku rewelacji. Słuchał napozór obojętnie długich wywodów Kobielskiego o jakichś czekach, jakimś Piekarskim, który uciekł do Rumunii z całą kasą egzekutywy, o tem, że sekretarz towarzysz Lempke jeździł z donosem do Warszawy przez osobistą zemstę, bo jego żona romanuje z Kobielskim, że Ginsberg wcale nie jest prowokatorem i z polecenia towarzysza Sławomira został konfidentem policji. Wreszcie zakończył z czarującym uśmiechem:

— Towarzyszu Garbaty. Co będziemy sobie zawracać głowy i oszukiwać się wzajemnie? Ja wiem, że oni was tu przysłali nie tylko po papiery, ale i na przespiegi w tutejszej

egzekutywie. No, nie?... Nie?... Poco macie się trudzić i sięgać lewą ręką do prawej kieszeni?... Ja wam i tak otwarcie służę wszelkimi informacjami. No?... Zgoda?

Murek chrząknął.

— Żartujecie, towarzyszu Kobielski. — Jeżelibym nawet miał taką misję, jakże mógłbym wam do tego się przyznać?..

Kobielski mrugnął porozumiewawczo i wyciągnął do Murka rękę:

— Zrobione. Ja wiem, że dużo będzie zależało od waszego raportu i zgóry serdecznie wam dziękuję. A żebyście wiedzieli, że ze mnie szczerzy chłop, to wam powiem coś, czym będziecie mogli Bigelsteina i Szepsa trzymać za mordę. Ręka rękę myje. Czy chcecie pogadać z tym frajerem Lempkiem i z resztą komitetowych?... Proszę bardzo! Ja nic do ukrywania nie mam. Ale myślę, że to zbędne. Lempke oczywiście będzie na mnie psy wieszal, a Glass wylezie ze swemi staremi oszczerstwami. A jednak nic mi nie zrobią. Ani mnie, ani Sławomirowi, ani Wałachowi. Bo Bigelstein i Szeps wiedzą, że byłby koniec. No, więc jak?... Chcecie, by zrobić wam kontakty, czy wystarczy wam moje słowo?

— Wystarczy — przytaknął Murek.

— No, to w porządeczku, dajcie łapę.

Mocno potrząsnął ręką Murka i przysunąwszy się doń z krzesłem nachylił się do jego ucha:

— Bigelsteinowi wystarczy powiedzieć tylko parę słów. Jemu albo Szepsowi. Wystarczy powiedzieć w rozmowie mimochodem: „W Baranowiczach lepiej bywało z angielską walutą”. To sami zobaczycie, że każdy z nich aż przysiądzie.

— A cóż było w Baranowiczach?..

— Oni tam zrobili taką machlojkę, że aż do śmierci nie życzyłbym sobie lepszego interesu. Pamiętajcie, jak przed czternastu laty zastrzelił się w Baranowiczach Frumkin?... A wiecie, czemu się zastrzelił? Bo wioził z Moskwy okrągłe trzydzieści tysięcy funtów żywą gotówką — zaśmiał się głośno i dodał: — Z taką forszą to mu życie zbrzydło! A ja mam dowody w rękę. Rozumiecie, towarzyszu Garbaty?... A niechby spróbowali mnie sprzątnąć tak jak towarzysza Frumkina, to w dwa dni potem Komintern dostanie te dowody: I Bigelstein wie o tem, że nie taki głupi, by trzymać to u siebie. Już mi dwa razy, ach, jakże sprytnie, nasylali złodziei do sklepu, ale takich złodziei, co nic nie ukradli, bo szukali czego innego. Niech oni dla mnie nie będą za wielkie cwaniaki! A między nami, towarzyszu, sztama, sztama!

— Sztama, — powtórzył Murek.

Kobielski był rad z siebie i oświadczył, że zgóry przewidywał to porozumienie i kazał przygotować w domu przekąskę, by przymierze oblać. Dał Murkowi adres i wyprawił go przez sklep, a sam wyszedł przez podwórze. Połączyli się dopiero przy końcu ulicy Poznańskiej. Kobielski mieszkał wcale elegancko, a przekąska okazała się wystawną kolacją. Po kilku kieliszkach gospodarz zaczął wypytywać Murka, czy rzeczywiście nie przywiózł z sobą pieniędzy dla Sławomira. I skwasił się trochę, gdy się dowiedział, że naprawdę nie.

— Myślałem, że tylko tak cyganicie, by spróbować, czy nie uda się załatwić rzeczy bez forsy — powiedział szczerze.

Pod koniec kolacji zatelefonował dokądś, oświadczając Murkowi, że Sławomir zaraz przyjdzie. Po kwadransie istotnie w przedpokoju zaterkotał dzwonek i Kobielski pobiegł otworzyć drzwi.

Murek aż zaniemógł, gdy ujrzał na progu swego dawnego znajomego. Sławomirem był Leon Stawski. I on też nie ukrywał zdumienia na widok Murka. Pomimo wrodzonej swady, którą usiłował pokryć konsternację, robił wrażenie załapanego. Rozmowa o przeszłości nie kleiła się. Stawski więc przeszedł na sprawy aktualne i z właściwym sobie tupetem wręcz zapytał Murka, jakie zajmuje stanowisko we władzach partyjnych?

— Wyższe — odpowiedział Murek — od tego, które mam oficjalnie.

Stawski i Kobielski zamienili szybko spojrzenia, poczem z ożywieniem zaczęli mówić o brakach pieniężnych w lokalnej organizacji, o trudnościach propagandy w miejscowym garnizonie i w sąsiednich wytwórniach wojskowych, o zatargach z trockistami, których namnożyło się w ostatnich czasach. Wreszcie Stawski wy dobył spod kamizelki niewielki pakiet, owinięty w gazetę i wręczył go Murkowi, górnolotnie wyjaśniając, że chce tem zadokumentować swoją wierność, oddanie i karność wobec zwierzchnictwa partyjnego, lecz że zaklina C. K. W., by nie zwlekało z przesyłką pieniędzy, gdyż wszystkie koszty

sam poniósł i bliski jest bankructwa. Murek zapewnił, że użyje całego swego wpływu, by gotówkę wycisnąć.

— Nawet cisnąć nie trzeba — denerwował się Stawski, — przecie oni dostaną tę forszę z rączki do rączki!

Skolei Stawski objaśnił Murka, jak ma się z paczką obejść w razie rewizji w pociągu, ale ostrzegł go, by dopiero w ostatecznym niebezpieczeństwie zniszczył papiery, gdyż są to unikaty niezmiernej wartości, których zdobycie kosztowało moc pieniędzy i ryzyka.

— Zresztą co mam mówić, towarzyszu Franciszku — zakończył poufale, — sami doskonale wiecie.

— Wiem — spokojnie potwierdził Murek, chociaż nie miał pojęcia, co paczka zawiera, i zgóry postanowił sobie, że zbada w odpowiedniej chwili jej zawartość.

Noc spędził u Kobielskiego, a nazajutrz wczesnym rankiem był już na dworcu. Bez trudu znalazł pusty przedział trzeciej klasy, otworzył przedewszystkiem okno, by być gotowym na wszelkie ewentualności, a gdy pociąg ruszył i konduktor sprawdził bilety, ostrożnie rozwinął gazetę. Wewnątrz była zalakowana koperta z szarego, dziwnie szorstkiego papieru, cuchnącego jakimś chemikaljami. Zboku wystawał krótki postrzępiony loncik. O otwarciu koperty bez złamania pieczęci nie mogło być mowy. Wyjął scyzoryk i przeciął ją uważnie wzdłuż grzbietu. Jeszcze wyjrzał na pusty korytarz i wydobył z koperty jej zawartość.

Jeden rzut oka wystarczył mu, by zrozumieć, o co chodzi. Były to precyzyjne plany terenów Wytwórni Wojskowej w Rzeczkach, o kilka kilometrów od miasta. Już dawniej wiedział, że produkują się tam w największej tajemnicy jakieś armaty, czy armatki. Teraz miał przed sobą całą paczkę planów konstrukcyjnych, obliczeń, całe tabele cyfr i ze dwadzieścia malutkich błon fotograficznych, na których pod światło z trudnością rozróżnił miniaturowe sylwetki działek, poszczególnych części i armatek wmontowanych już w czołgi i samoloty. Drobnym maczkiem zapisano na odwrocie planów szczegółowe dane o rozmiarach produkcji, o rodzaju materiałów, o niezwyklej sile ognia armatek „B. Z. 38”.

Miał przed sobą kompletnie zebrane i świetnie opracowane materiały szpiegowskie. Państwo, do którego rąk dostałyby się te rzeczy, nietylko mogłyby produkować taką broń, lecz w razie wojny skutecznie zbombardować fabrykę. Murek nie miał wątpliwości, dla kogo to było przygotowane i kto miał za to zapłacić. Zdawał też sobie sprawę, że wartość tej niewielkiej koperty była ogromna. Może kilkaset tysięcy, a może i milion. Oczywiście, szefem akcji szpiegowskiej na miejscu był Stawski. Posługiwał się zapewne zarówno członkami partji, którzy szpiegowali ze względów ideowych, jak i przekupstwem wśród personelu fabryki. W centralnej egzekutywie warszawskiej zbiegały się nici szpiegowskie z całego kraju. Tam też grzęzły zyski z procederu, bo na prowincję wysyłano mizerne sumki.

Rozmyślając nad tem i nad wszystkim, co wygadali przed nim Stawski i Kobielski, Murek przypomniał sobie własne dawniejsze obiekcje w związku z gospodarowaniem kasą C. K. W. przez Szepsa i inne grube ryby.

— Więc tak wyglądają wierzchołki?! Banda szpiegów, złodziei, szantażystów i zdrajców ruchu robotniczego. Doły pracują z poświęceniem, z zapałem, z wiarą w ideały, a góra zbija forszę i drwi w duchu ze stada baranów. No, nie! Już ja się dłużej bujać nie dam!...

Tysiączne myśli przebiegały mu przez głowę. Może zwrócić się do nieposzlakowanych ideowców, do Krótkiego, do Podsiadłego, do Piotra, do Liczki i zdemaskować draństwo naczelnych władz partyjnych. Wystrzelać łotrów!... Zmusić ich do zameldowania się w Moskwie! Niech idą pod sąd.

— A skąd wiem — przyszła refleksja, — że tam będzie sprawiedliwość?

I odrazu odeszła go ochota działania. Bo i dla kogo?... Dla tłumu, złożonego z takich Żurków i z takich Karolek?... I pogo?... By do władzy w partji doszli inni złodzieje i spryciarze?...

— Niema głupich!

Jednak w kieszeni tkwiła niepokojąca koperta z cenną zawartością. Co z tem zrobić?... Miałby ochotę podpalić lont i zniszczyć wszystko. Uwolniłby się od kłopotu i łamania głowy. Ale zniszczyć coś, co przedstawiało tak wielką wartość?... Nie, do tego poprostu

nie był zdolny, on, Franciszek Murek, który nigdy w życiu grosza jednego bez namysłu nie wydał, który podnosił i chował guzik, znaleziony na ulicy.

Więc może zanieść to do policji?... Przysłużyć się państwu, spełnić obowiązek obywatela i patryjoty?

Roześmiał się na tę myśl. Za to wszystko, czego doznał od państwa, za tyle dobrodziejstw, które obdarowała go ukochana ojczyzna, nie ruszyłby nawet palcem. A zresztą wiedział, czemu się to skończyło: wsadziliby go do więzienia.

— Zatem — zastanowił się, — czym właściwie jestem i dla kogo żyję? I poco żyję?

Czuł nieznośny zamęt w głowie. Nie myśleć, o niczem nie myśleć!... Na pierwszej większej stacji poszedł do bufetu i wypił kilka większych wódek. Zасыpiając w wagonie przypomniał sobie owego inżyniera, z którym kiedyś dysputował w domu noclegowym. Inżynier, wstrętny łach ludzki... Ale miał dużo... dużo racji. I co on przepowiedział Murkowi? Aha, że też będzie żył od jednego łyku wódki do drugiego, że też zeszmacieje... A niechby... niechby!...

Obudził się, bo go ktoś potrząsał za ramię. Zerwał się na równe nogi.

— Już Warszawa — mówił konduktor. — Proszę wysiadać. Zasnął pan.

Peron był już pusty. Pasażerowie musieli dawno wyjść z dworca. Jeżeli czekał tu na Murka ktokolwiek z partji, też zapewne odszedł. W każdym razie trzymanie w kieszeni planów nie byłoby rozsądnie. Murek przypomniał sobie już dawniej znaną kryjówkę na Czerniakowie w składzie drzewa, gdzie kiedyś pracował. Wsiadł w tramwaj i pojechał. Na placu obok składu drzewa stały resztki fundamentów po spalonym domu. Odgar-nawszy gruz w jamie otworzył zardzewiałe drzwiczki od pieca, który kiedyś służył pewno do ogrzewania suteryny. Nieraz przechowywał tu pieniądze i różne drobne przedmioty. Teraz wsunął tam szarą kopertę, piec zamknął i zasypał gruzem spowrotem. W godzinę później stawił się u towarzysza Kudelki i zażądał kontaktu z Bigelsteinem.

Postanowił nie zdradzić się z decyzją porzucenia partji. Naraziłby się na podejrzenia. Bigelsteinowi złożył krótki raport: był na miejscu, widział się z towarzyszami Kobielskim i Sławomirem, paczkę otrzymał, ale w drodze zniszczył ją zgodnie z instrukcją, gdyż groziła rewizja.

Bigelstein okazał się jednak przebieglejszy, niż Murek myślał. Sprytnie uszeregowanymi pytaniami chciał go przyłapać na kłamstwie. Trafił jednak na przygotowanego. W raporcie Murka wszystko trzymało się kupy.

— A co było w paczce? — próbował go zaskoczyć Bigelstein.

— Nie otwierałem, nie wiem.

— To szkoda, psiakrew! No, i cóż zrewidowano was?

— Nie. Gdyby zrewidowano, znalazłoby rewolwer i fałszywy paszport, ale na szczęście wystarczyła im moja legitymacja warsztatowa i dali mi spokój.

Teraz dopiero Bigelstein rozżościł się. Nawymyślał Murkowi od tchórzów, od bubków, i oświadczył, że tacy ludzie nie nadają się do poważnej roboty.

— Wasz brak zimnej krwi, wasze tchórzostwo naraziły partję na stratę wręcz olbrzymią. I zapowiadam wam, że poniesiecie za to karę.

Przez chwilę Murek miał ochotę roześmiać się mu w nos i zapytać, jaką to karę dostałby za zamordowanie Frumkina w Baranowiczach. Opanował się jednak i wysłuchał „rugi” do końca. Nie skończyło się jednak na tem. Kazano mu czekać, a po godzinie zjawił się sam towarzysz Kurbski i jeszcze jacyś dwaj nieznani Murkowi mężczyźni. Wszyscy byli nań wściekli i badali go, jak zbrodniarza, zasypując krzyżowanymi pytaniami. Był już zupełnie wyczerpany, gdy skończyli to śledztwo. Murek dosłyszał, jak wychodząc Kurbski powiedział z pasją do jednego z towarzyszy:

— To tępe bydle. On jest zagłupi, by mógł to zrobić.

— Czekać, dranie! — pomyślał Murek.

Gdy znalazł się na ulicy, musiało już być grubo po północy. Wszystkie restauracje były pozamykane. Czuł głód i chciał się napić. Przyszło mu na myśl, że bufet na dworcu musi być jeszcze otwarty i ruszył w tamtą stronę. Skręcał właśnie w Chmielną, gdy rzucił mu się w oczy neonowy szyld: „Dancing Club”. Miał na sobie nowe ubranie, a w kieszeni zapasik gotówki, uciulaney na zapoczątkowanie rodzinnej egzystencji. Zresztą wiedział, że zobaczy tu Arletkę.

Chociaż nigdy nie był w podobnym lokalu, czuł się zbyt zmęczony śledztwem partyjnym i własnymi myślami, by zwrócić uwagę na nowe dla siebie otoczenie. Kolorowe oświetlenie, miękkie fotele, dyskretne łóżki, wysoki szynkwas z nienaturalnie wysokimi stolkami, a w środku sali krążek wyfroterowanej posadzki. Publiczności niewiele, kilka stolików zajętych i dwa większe pijane towarzystwa w łóżach. Usiadł w narożnej łóżce, gdzie zaprowadził go facet we fraku i kazał sobie podać coś do jedzenia — wszystko jedno co — i czystą wódkę. Kelner spoglądał nań dość nieufnie, rozruszał się dopiero wówczas, gdy gość zażądał zaproszenia panny Arletki.

— Ta się dopiero zdziwi! — myślał Murek.

I rzeczywiście, zdumienie Arletki nie miało granic, ale też i radości nie ukrywała. Wyglądała nader ładnie w jasnej sukni z mieniącego się jedwabiu, z gołymi ramionami i plecami. Usiadła obok Murka i nie spuszczała zeń pytającego wzroku.

— Czy tak wypiękniałem — zapytał z uśmiechem — że pani mi się wciąż przygląda?

— Przeciwnie — potrząsnęła głową — zbrzydł pan. Musiał pan mieć dużo przykrości.

Taki pan mizerny! Spotkało pana coś złego?

— Tak — odpowiedział i rysy ściągnęły mu się jeszcze bardziej.

Arletka przysunęła się bliżej i zaczęła lekko głaskać jego rękę.

— Biedny pan Franek, biedny...

— Bardzo — potwierdził.

— Ktoś panu zrobił zawód?...

— Wszyscy... I wszystko.

Dziewczyna nagle błysnęła zagniewanym spojrzeniem i jakby ze złością ścisnęła rękę Murka:

— Bo to pańska wina! Tylko pańska wina! Pan wszystkim wierzysz! A ludzie są dranie, ostatnie, zimne dranie! Dobrze panu tak! Bardzo się cieszę! Należało się panu.

— Należało się — ponuro skinął głową, lecz to jeszcze bardziej rozjątrzyło Arletkę.

— O, doskonale! Teraz pan na siebie gotów całą winę wziąć. Żeby taki mężczyzna był taką... taką... ciamajdą! Jeszcze gotów rozplakać się nad sobą! Tegoby jeszcze...

Urwała, bo w oczach Murka rzeczywiście zakręciły się łzy.

— No, panie Franku — przytuliła się do niego i mówiła cichym, ciepłym głosem — panie Franku, przepraszam! Bardzo przepraszam. Pan przecie wie, że kogo jak kogo, ale pana ja nie chciałabym urazić.

Głaskała jego rękę i zaglądała mu w oczy.

Kelnerzy przynieśli wódkę i przekąski. Orkiestra zaczęła grać jakieś namiętne tango. Kilka zataczających się par zjawilo się na tanecznym krążku podłogi. Jeden z zawianych gości prosił Arletkę do tańca, lecz wykręciła się. Murek jadł, a dziewczyna dolewała mu wciąż wódki.

Murek był wygłodzony, i alkohol zaczął działać szybko. W żołądku rozgrzało się, krew pulsowała mocniej, myśli biegły szybciej. Arletka pokazywała mu poszczególnych gości i koleżanki, dowcipkowała i starała się go rozchmurzyć, a że się jej nie udawało, co pewien czas wpadała w irytację i nie skąpiła docinków Murkowi, by pochwili znowu go kokietować i przymilać się czule.

— Jeszcze wódki — rzucił Murek kelnerowi.

— Pan się urżnie — ostrzegła Arletka.

— I dobrze. Nic lepszego wymyślić nie mogę. Miała pani rację, panno Arletko: ludzie to świnię. No, pijmy! Strzemiennego!

— Dlaczego? Pan już chce iść?

Spojrzał na nią z ironicznym uśmiechem:

— Tak. To najmądrzejsze wyjście. Do Abrahama na piwo.

Jego żartobliwy ton nie zwiódł dziewczyny:

— Tego pan nie zrobi — powiedziała z przekonaniem.

— Zrobię, zrobię. Widzi pani, nic innego mi nie zostało. Zawsze rozumiałem, że żyję pociąg, dla czegoś, z jakimś celem. I że tylko dlatego żyję. W tem był jakiś sens. Ja nie potrafię żyć tak, jak pani, na przykład, z dnia na dzień. Pani nie rozumie się na tem, ale ja już straciłem wszystko. Prostu nie mam dla kogo żyć! A skoro nie mam dla kogo, to nie mam i pociąg.

Oburącz chwyciła go za ramię i potrząsnęła nim z całej siły:

— Zwarjował pan chyba?!... Już się pan upił, czy co?!

— Dlaczego?

— Bo mówi pan takie bzdury! Przecie pan jest rozsądny człowiek a plecie niedorzeczności. Niechże się pan sam zastanowi!

Mówiła z takim przekonaniem, tonem tak spokojnej perswazji, że spojrział na nią z zaciekawieniem:

— Zastanawiam się i cóż stąd? — zapytał.

— Jakto co? Twierdzi pan, że dla nikogo żyć nie warto. Zgoda. Nie warto. A czy nie przyszło panu do głowy, że warto żyć dla siebie! Poprosto dla siebie!

Murek odstawił kieliszek i zmarszczył czoło:

— A co to znaczy „dla siebie”?

— To znaczy plunąć na wszystkich, wszystkich mieć w nosie, a starać się uprzyjemnić sobie egzystencję, sobie samemu. Bez skrupułów, bez zastanowienia się czyim kosztem się żyje. Pana krzywdzili kto chciał i nie chciał, niechże i pan tego się nauczy. Brać! Brać co się da! Dobrowolnie, czy przemocą, czy podstępem. I nie patyczkować się.

— I pani tak robi?

— A tak!

— I daje to pani zadowolenie?

Wzruszyła ramionami:

— W każdym razie większe niż gdyby mnie wyzyskiwano. Ja wiem, panu nie odpowiada takie życie jak moje. Dobrze, ale pan ma możliwość brania z życia tego co chce. Czy ja wiem: pieniądze, władza, kobiety. Tylko ręce wyciągnąć. Ale trzeba chcieć i nie być mazgajem. Świat przed nim stoi otworem, a on do Abrahama, bo nie ma dla kogo żyć! Ładne rozumowanie. Przecie tem lepiej, że nie ma pan dla kogo. Tem pan jest wolniejszy.

— A sumienie?...

Arletka zaśmiała się pogardliwie:

— Niech pan, panie Franku, da ogłoszenie: jest do wynajęcia sumienie. Założę się, że pies z kulawą nogą nie przyjdzie... Co tu gadać! Dużo pan miał pożytku z tego swego sumienia?

Murek wypił jeden po drugim dwa kieliszki wódki i milczał. Lokal opustoszał już prawie zupełnie. Orkiestra pakowała swe instrumenty. Arletka nie przestawała mówić.

— Zamykamy, proszę państwa, zamykamy — przynaglali zapóźnionych gości kelnerzy.

— Przecie pan ma trzydzieści kilka lat, a nic pan życia nie użył. Nic — nie ustawała Arletka — przez te przesady, przez tę głupią moralność, której każdy ma pełną gębę dla innych. A won z taką moralnością!

— Może i racja... Może i racja — odezwał się Murek.

— Nie może — ucieszyła się — napewno racja!

— Zamykamy — stanął przed lożą kelner z gotowym już rachunkiem.

— Może nie ma pan pieniędzy? — szeptem zapytała Arletka — Bo ja mogę...

— Ależ mam!

Zapłacił i Arletka powiedziała:

— Ja też wychodzę. Niech pan koniecznie na rogu zaczeka. Ale koniecznie! Dobrze?

Nim zdążył odpowiedzieć pobiegła do garderoby. Szumiało mu trochę w głowie i lekko zatoczył się wychodząc z loży. Na ulicy było już prawie zupełnie jasno. Doszedł do rogu i zatrzymał się. Ręce pachniały perfumami Arletki. Nerwy uspokoiły się, myśli płynęły jakoś łagodnie. Kto wie, czy ta Arletka nie ma słuszności!... Sumienie do wynajęcia!... A Karolka... głupie i złe bydlę... Musiała zbliżyć się siódma, bo robotnicy śpieszyli do pracy... Poco ja tu stoję?... Aha...

Nie długo czekał. Zdaleka poznał Arletkę. Jaka ona smukła i jaka zgrabna — zauważył. Wzięła go zdecydowanie pod rękę i powiedziała:

— Chodźmy. Muszę jeszcze z panem pomówić.

Szli chwilę w milczeniu, Murek zastanawiał się, usiłując zebrać myśli. Wreszcie zapytał:

— Panno Arletko, czego pani właściwie chce odemnie?

— Czego?... — spojrziała nań jakby gniewnie i dodała po pauzie: — ja chcę pana.

— Przepraszam — nie zorjentował się — jakto mnie?

— Chcę pana mieć! Mieć pana dla siebie.

Nagle stanęła i pociągnęła go za łokieć:

— To tutaj. Chodźmy.

Weszli do bramy, później na drugie piętro. Na drzwiach wisiał szyldzik: „Hotel Szwedzki”. Murek nie protestował. Na końcu długiego korytarza zaspany numerowy otworzył drzwi oznaczone liczbą 13. Pokój był nieduży lecz czysty. Arletka zapuściła roletę, odrzuciła kołdrę na dużym, szerokim łóżku i zaczęła się rozbierać.

Murek zaśmiał się z zażenowania i rozwiązał krawat.

— A on?... — zapytał — ten narzeczony?

— Nienawidzę go. Zresztą... co to ciebie obchodzi!

— A nie boisz się?...

— Nie — odpowiedziała z zaciśniętymi szczękami — on... nie będzie żył... Ach, co mamy sobie zawracać nim głowę. Najważniejsze jest to, że mam ciebie. Nikogo więcej nie chcę. Nikogo!...

Przytuliła się doń, a raczej przyciągnęła go do siebie i przywarła z całej siły. Pod jej gładką, gorącą skórą drgały jędrne mięśnie.

Murek od bardzo dawna nie miał kobiety, a takiej kobiety nie miał nigdy i pomimo tego, że od alkoholu, jak i od rozkoszy był półprzytomny, uświadomił to sobie jasno. Gdy go w kwadrans później, dotykając wargami jego ucha zapytała szeptem:

— Czy dobrze ci ze mną?

Za całą odpowiedź zasypał pocałunkami jej oczy, usta i szyję.

— Mój, mój, mój — powtarzała ona.

Musiała już być koło południa, gdy zerwała się i zaczęła się ubierać. Był tak senny, że tylko piąte przez dziesiąte rozumiał co do niego mówiła. Mówiła, by przyszedł na Solec do mieszkania przed siódmą. Że szykuje się jakaś wielka robota, stuprocentowa, bo wszystko obmyślane i przygotowane pierwszorzędnie. Że robota nie jest przewidziana „na mokro”, ale może się zdarzyć potrzeba. Że pójdzie Kazik sam, oraz Piekutowski i Majster, a miał iść jeszcze jeden, ale wczoraj zwichnął nogę, Piekutowski i Majster uradzili zaproponować Murkowi, jeżeli wróci, współudział w wyprawie i w zysku, bo we trzech nie dadzą rady, a forsy do podziału będzie więcej niż lodu.

— Wystarczy nam na długo — zakończyła. — Rzucę tę budę i pojedziemy sobie w świat. We dwoje! Pomyśl tylko, jak to będzie cudnie!... Więc co?... Zgadzasz się?...

— Zgadzam się. Raz kozie śmierć.

— Nie, poco śmierć! Będziemy żyć! Ach, jak będziemy żyć! No, a teraz prześpij się, mój ty najdroższy!

Wycalowała go i wybiegła.

— Raz kozie śmierć — powtórzył Murek i zasnął.

Gdy obudził się było już ciemno. Minęło sporo czasu, nim uprzytomnił sobie gdzie jest i co się stało. Poduszka pachniała perfumami Arletki. Ubierając się zajrzał do kieszeni. Zostało mu jeszcze sporo gotówki. Jak zwykle po przepiciu nie czuł się zbyt dobrze.

— Klin klinem — pomyślał i wstąpił do najbliższego baru. Wypił kilka wódek, przegryzł ostrym korniszonem i już w lepszym nastroju ruszył na Powiśle. Przypominał mgliście projekty Arletki, o których mu mówiła tam, w hotelu. Chodziło o jakiś napad bandycki, w którym i on miał wziąć udział.

Musiała już widocznie namawiać Piekutowskiego i Majstra, gdyż obaj powitali Murka z jakby koleżeńską serdecznością, nie ukrywając radości z jego przyjazdu. Arletka witała się z Murkiem tak, jakby go od dawna nie widziała. Piekutowski i Majster bezceremonialnie wyprawili Koziołkową i jej córkę z kuchni i zamknęli się tam z Murkiem, poczem Piekutowski krótkimi zdaniem wyłożył sprawę. Potrzeba im takiego właśnie morowego spółnika jak Murek. Robota jest gruba. Starczy na czterech. Wszystko pójdzie jak po maśle.

— Masz spluwę? — zapytał Majster.

— Mam — sięgnął do kieszeni Murek.

— No, to klawo. Pójdiesz z nami?

— Pójdę — ponuro odpowiedział Murek.

— No, to o dziewiątej na rogu Skolimowskiej — Piekutowski spojrzął na zegarek — za pół godziny. A tu masz maskę.

W pokoju Koziołkowa z Idalką szeptały o czymś z Arletką, gdy jednak tamci wyszli, cofnęły się do kuchni, Arletka zaś zamknęła za nimi drzwi i zarzuciła Murkowi ręce na szyję:

— Zgodziłeś się?... — zapytała — Pójdziesz?

— Pójdę — odpowiedział twardo i uwolnił się od jej rąk.

— Zobaczysz jacy będziemy szczęśliwi — przysiadła obok niego na łóżku i szeptała najczulsze słowa, usiłując dodać mu otuchy.

Murek siedział jak skamieniały, potem wyjął rewolwer, obejrzał ładunki, przełożył maskę do prawej kieszeni i wstał.

— Na mnie czas.

Bez słowa przywarła do jego ust aż oboje stracili oddech. Gdy już był na schodach, z otwartych drzwi wybiegł za nim cichy szept.

— Kocham cię.

Na dworze zaczął zimny gęsty deszcz, podmuchy wiatru uderzały w twarz ostremi kroplami. Rzadkie latarnie stały w mglistych otokach, pod nogami chlupotała woda.

Zaczynała się prawdziwa jesień.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dr-murek-zredukowany/>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Dr. Murek zredukowany, Tow. Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1936.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0189-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).